



Nowa powieść autora bestsellera
O człowieku, który chciał być szczęśliwy

Laurent
Gounelle

Bóg zjawia się
incognito

Świat Książki

Laurent Gounelle

Bóg zjawił się incognito

A stylized, handwritten signature or logo in black ink, consisting of three interconnected, flowing characters that resemble 'MKS'.

Otulała mnie spokojna, ciepła noc. Brała mnie w ramiona, niosła. Czulem, że się w nią wtapiam. Miałem wrażenie unoszenia się na wietrze.

Jeszcze krok...

Nie bałem się. Wcale. Strach był mi obcy i jeśli nie myślałem o nim, to dlatego, że bałem się jego pojawienia, jak to miało miejsce w ostatnich dniach. Nie chciałem, żeby wypłynął z nienacką i mnie powstrzymał, żeby wszystko zniweczył...

Mały krok...

Spodziewałem się słyszeć zgiełk miasta, tymczasem zaskoczył mnie spokój. Nie cisza, nie, spokój. Wszystkie dźwięki, jakie do mnie docierały, były łagodne, odległe i kołysały mnie, a wzrok gubił się w migotliwych światłach nocy.

Jeszcze jeden krok...

Posuwałem się do przodu wolno, bardzo wolno po szarej stalowej belce, którą to szczególne oświetlenie zabarwiało na ciemnozłoty kolor. Tej nocy wieża Eiffla i ja stanowiliśmy jedność. Stąpałem po złocie, wdychając spokojnie ciepłe, wilgotne powietrze o dziwnym smaku, który pociągał, upajał. Pod moimi stopami, sto dwadzieścia trzy metry niżej, otwierał się przede mną rozległy Paryż. Jego skrzące światła były jak oczka puszczane w moją stronę, przywołujące mnie. Cierpliwy, wiedząc, że nie można mu się oprzeć, czekał, aż użyźni go moja krew.

Jeszcze krok...

Wszystko przemyślałem, zdecydowałem się na ten czyn i oswoiłem go w sobie, a nawet go dokładnie zaplanowałem. Postanowiłem skończyć z życiem bez celu i sensu. Z życiem oraz przekonaniem, które stopniowo, lecz nieodwołalnie się we mnie utrwaliło, że nie wydarzy się już nic wartego uwagi.

Jeden krok...

Moja egzystencja była ciągiem porażek, które zaczęły się jeszcze przed moimi narodzinami. Mój ojciec, jeśli można tak określić tego człowieka, który dał mi życie, nie uznał mnie za godnego poznania: opuścił moją matkę, jak tylko oznajmiła mu, że jest w ciąży.

Czy dlatego, że chciała się mnie pozbyć, poszła topić smutki w paryskim barze? Liczne drinki wypite z amerykańskim biznesmenem, którego tam poznała, nie pozbawiły jej jednak przytomności. Miał trzydzieści dziewięć lat, ona dwadzieścia sześć. Była przestraszona, a luz, jaki prezentował ów mężczyzna, uspokajał ją. Miał pieniądze, podczas gdy ona niepokoiliła się o swoją przyszłość. Świadomie oddała mu się tej nocy, z

wyrachowaniem i nadzieją. Rano udawała czułą i zakochaną, a ja nigdy się nie dowiem, czy szczerze, czy jedynie przez słabość, odpowiedział jej, że tak: jeśli kiedykolwiek zajdzie w ciążę, będzie chciał, aby urodziła dziecko i została z nim.

Pojechała za nim do Stanów Zjednoczonych. W kraju otyłych nikt się nie zdziwił, że przyszedłem na świat po siedmiu i pół miesiąca, ważąc prawie trzy kilo. Nadali mi lokalne imię i stałem się Alanem Greenmorem, obywatelem amerykańskim. Moja matka nauczyła się angielskiego i zdołała się jako tako zintegrować z tamtejszą społecznością. Ciąg dalszy był mniej chwalebny. Pięć lat później mój nowy ojciec stracił pracę, a wobec trudności ze znalezieniem nowej podczas kryzysu ekonomicznego w okresie przedreaganowskim, stopniowo popadł w alkoholizm. Stał się ponury, milczący, skłonny do depresji. Matka była przynębiona jego brakiem determinacji i bez przerwy wyrzucała mu, że się poddał. Miała mu to głęboko za złe i ciągle starała się go sprowokować. Najmniejsza błahostka służyła jej za pretekst do robienia mu nieprzyjemnych uwag. Brak reakcji ze strony małżonka doprowadzał do tego, że jej ataki stawały się coraz bardziej osobiste, ocierały się o zniewagę. Miało się wrażenie, że była usatysfakcjonowana, kiedy wreszcie wpadał w złość, jakby wolała jego gniew od bierności. Byłem przerażony jej grą. Kochałem rodziców i nie mogłem patrzeć, jak się nawzajem niszczyli. Złość mojego ojca była sporadyczna, ale gwałtowna, i bałem się jej w takim stopniu, w jakim moja matka jej wyczekiwała. W końcu uzyskiwała jakąś reakcję z jego strony: spojrzenie w oczy, działanie. Miała wreszcie istniejącego przeciwnika, kogoś, kto odpowiadał na jej zaczepki. Dawała wtedy ujście nagromadzonym urazom w awanturach słownych. Pewnego wieczoru pobił ją. Gorsza od jego brutalności była dla mnie perwersyjna przyjemność, jaką wyczytałem na twarzy mojej matki. Pewnej nocy, kiedy ich kłótnia była szczególnie ostra, rzuciła mu w twarz, że jej syn nie jest jego synem. Dowiedziałem się tego w tej samej chwili... Opuścił dom następnego ranka i nigdy już go nie zobaczyliśmy. Tak oto mój drugi ojciec też mnie zostawił.

Matka toczyła walkę o byt. Pracowała w pralni sześć dni w tygodniu po siedem niekończących się godzin. Co wieczór przynosiła do domu woń chemikaliów, ten charakterystyczny zapach, który zawsze jej towarzyszył. Kiedy przychodziła dać mi buziaka na dobranoc, nie rozpoznawałem już drogiego zapachu mojej matki, który wcześniej mnie uspokajał i zapraszał do snu, otulając czułością.

Krok, potem jeszcze jeden...

Zmieniała pracę, sądząc za każdym razem, że będzie mogła się wybić, zostać w końcu zauważona, lepiej zarabiać. Brała sobie wciąż nowego kochanka w nadziei, że uda się jej

zatrzymać któregoś z nich, ponownie założyć rodzinę. Pewnego dnia zdała sobie prawdopodobnie sprawę, że wszystkie te poczynania były próżne, i wtedy skupiła się na mnie. To mnie miało udać się tam, gdzie ona przegrała. Powinienem zarabiać tyle, żeby i ona mogła na tym skorzystać. Od tej chwili moje wykształcenie stało się jej absolutnym priorytetem. Byłem rozliczany z dobrych ocen. Rozmowy przy stole kręciły się wokół szkoły, moich nauczycieli, wyników w nauce. Mama stała się moim trenerem, ja jej koniem wyścigowym. Dzięki temu, że rozmawiałem z nią po francusku, a z całą resztą po angielsku, byłem dwujęzyczny od urodzenia. W kółko powtarzała mi, że dysponuję wielkim atutem. Było pewne, że zostanę biznesmenem na międzynarodowym szczeblu albo uznanym tłumaczem i czemu by nie w Białym Domu; tylko ludzie godni pożałowania nie mają ambicji. Pewnego dnia widziała mnie nawet jako ministra spraw zagranicznych. Bardzo się bałem, że ją rozczaruję, więc starałem się w szkole, jak tylko mogłem, osiągając obiecujące wyniki, które tylko podwyższały jej oczekiwania, upewniając w obranej strategii.

Gdy pewnego dnia dowiedziała się, że w Stanach Zjednoczonych wszystkie uniwersytety są płatne i bardzo drogie, był to dla niej prawdziwy cios. Pierwszy raz widziałem matkę tak bardzo przybitą. Przez chwilę sądziłem, że wejdzie na drogę mojego ojca i w końcu stanie się warzywem. Wszystkie jej plany się zawaliły. Była przeklęta na zawsze. Po jakimś czasie jej silna natura wzięła jednak górę. Spotkała się z dyrektorem liceum, przekonując go, że nie należy pozwolić, aby młody obywatel amerykański, którego wspaniałe wyniki w nauce gwarantowały, iż może dobrze przysłużyć się ojczyźnie, pozostał niezauważony. Trzeba zatem sprawić, by miał dostęp do wysokich funkcji po ukończeniu uniwersytetu. Musiało być jakieś wyjście; przecież istniały stypendia czy coś w tym stylu. Wróciła do domu pełna energii. Rozwiązanie według niej proste, zawierało się w pięciu literach: SPORT. Gdybym okazał się dobry w sporcie, byłyby szanse, że któryś z uniwersytetów zaproponuje mi miejsce tylko dlatego, iż zechce, abym dołączył do ich drużyny i zwiększył szanse na zwycięstwo podczas rozgrywek.

Zostałem zatem poddany intensywnym ćwiczeniom fizycznym. Nigdy nie miałem odwagi wyznać matce, że w najwyższym stopniu nienawidziłem sportu. Popychała mnie w tym kierunku, stymulowała, zachęcała, cały czas uważnie obserwując moje wyniki. Nie wydawała się zbita z tropu średnimi ocenami z wychowania fizycznego, jakie dostawałem w przeszłości. Chcieć to móc - powtarzała przy każdej okazji. Najmniej zły okazałem się w baseballu. Od tego dnia miałem żyć dla sportu. Żeby mnie zmotywować, przypinała na ścianach mojego pokoju plakaty z gwiazdami drużyny Detroit i Tigersów. Śniadanie dostawałem w misce z wizerunkami słynnych zawodników. Znajdowałem je wszędzie: na

breloczku do kluczy, T-shirtach, skarpetkach, grzebieniu, długopisach. Jadłem z Tigersami, myłem się w towarzystwie Tigersów, a nawet spałem z Tigersami. Doszło do tego, że baseball zaczął nawiedzać moje sny. Matce udało się zawładnąć moim umysłem, wryć ideę sportu w moje myśli. Brała nadgodziny, żeby móc zapłacić składkę w pobliskim klubie, do którego mnie zapisała, nie zwlekając ani chwili. Spędzałem w nim minimum trzy godziny dziennie, a pięć w weekendy. Po latach krzyki trenera nadal rozbrzmiewają w mojej głowie. Z obrzydzeniem wspominam mdlący odór szatni, gdzie po treningu moi spoceni koledzy się przebierali. W kilka sekund szyby pokrywały się parą, trudno było oddychać. Nienawidziłem baseballu, ale kochałem matkę i zrobiłbym wszystko, żeby jej nie zawieść. Spędziła życie, żywiąc nadzieję, i odnosiłem wrażenie, że zakończyłaby je w dniu, w którym nie miałyby już na co czekać.

Przyszłość pokazała, że miałem rację. Zmarła kilka lat później, następnego dnia po tym, jak otrzymałem dyplom uniwersytecki. Zostałem sam z dyplomem MBA w kieszeni, którego tak naprawdę nie pragnąłem. Spędziwszy młodość z rówieśnikami, z którymi nie dzieliłem ani zamiłowań, ani dążeń, nie miałem nawet przyjaciół. Zaproponowano mi pracę zastępcy kierownika w dziale finansowym dużej firmy. Wynagrodzenie było zadowalające, ale zajęcie okazało się nudne. Mimo to nie byłem rozczarowany, bo nie miałem żadnych oczekiwań. Życie mojej matki nauczyło mnie, że nadzieje nie są nic warte.

Jeszcze jeden krok...

Po kilku latach pustej i bezcelowej egzystencji wyjechałem do Francji - w chwili kiedy o tym pomyślałem. Czy było to nieświadomione pragnienie powrotu do korzeni, czy też chciałem zmasać ślad żalnego życia mojej matki, podążając w odwrotnym kierunku? Nie wiem. Często przyjeżdżałem do Paryża i wreszcie zdecydowałem się tam zostać. Miasto było piękne, ale nie to leżało u podstaw mojego postanowienia. Chodziło o coś innego - intuicję czy też przecucie, że moje przeznaczenie było związane z Paryżem. W tamtym czasie nie wiedziałem jeszcze, że zapragnę tam umrzeć tak szybko.

Szukałem pracy i zostałem zaproszony na spotkanie z jednym z kierowników Dunker Consulting, biura pośrednictwa pracy, które poszukiwało księgowych dla dużych firm. Powiedział, że nie mogę być zatrudniony, ponieważ księgowość francuska opiera się na diametralnie innych zasadach niż anglosaska. Żadnego związku. „Należałoby zacząć studia od nowa” - dodał żartem, którym rozbawił tylko siebie. Jego śmiech wprawiał w drżenie fałdy podwójnego podbródka. Pozostałem niewzruszony. Przyznał jednocześnie, że moja kompleksowa wiedza w dziedzinie finansów, połączona ze znajomością kultury amerykańskiej, sprawiały, iż byłem interesującym kandydatem dla... ich firmy. Miałbym

zostać konsultantem do spraw rekrutacji. Głównymi klientami Dunker Consulting były duże przedsiębiorstwa amerykańskie, zależało im zatem, aby poszukiwaniem księgowych dla tych firm zajmował się Amerykanin. „Niemożliwe - odpowiedziałem - rekrutowanie to nie mój zawód, nie wiem o tym zupełnie nic”. Uśmiechnął się perwersyjnie jak stary wyjadacz wobec zakłopotania młodej kobiety, która w ostatnim momencie wyjawia, że jest jeszcze dziewczyną. „My się tym zajmiemy” - odparł rozluźniony.

Dostałem posadę i zostałem poddany dwutygodniowemu intensywnemu szkoleniu w towarzystwie innych młodych rekrutów, którzy mieli się przyczynić do znacznego rozwoju firmy. Żaden z nas nie przekroczył trzydziestu lat, co wydało mi się zbyt młodym wiekiem do wykonywania takiej pracy. Ocena zalet i zdolności kandydata miała się sprowadzać do oceny człowieka; byłem przerażony koniecznością wypełniania takiego obowiązku. Moich obaw zdecydowanie nie podzielali koledzy ze szkolenia. W widoczny sposób czerpali przyjemność z wślizgiwania się w budzący szacunek garnitur rekrutującego, zachowując przy tym powagę, jakby już utożsamiali się z osobami pełniącymi tę funkcję. Wspólną cechą członków grupy było poczucie przynależności do pewnego rodzaju elity. Duma nie pozostawiała miejsca na wątpliwości.

Przez czternaście dni uczono nas zawodu, prowadzenia spotkań, w sposób prosty, ale skuteczny, a także litanii socjo-technik, które dziś uważam za głupoty.

Nauczyłem się, że po przywitaniu kandydata należało przez kilka chwil milczeć. Jeśli sam zabierał głos, mieliśmy bez wątpienia do czynienia z liderem. Jeśli cierpliwie czekał, aż udzieli mu się głosu, za jego zdystansowaną postawą rysował się charakter wykonawcy.

Należało w bardzo otwarty sposób zachęcić go do przedstawienia się: „Proszę mi o sobie opowiedzieć”, nie zadając na początku zbyt szczegółowych pytań. Jeśli kandydat radził sobie sam, był niezależny. Jeśli na początku pytał nas o to, czy ma zacząć od studiów, czy raczej cofnąć się do ostatnio zajmowanego stanowiska, charakteryzował go brak inicjatywy. Taka osoba była osłem!

Ćwiczyliśmy w parach, aby móc zastosować wykładane techniki w odgrywanych scenkach. Jeden grał rolę rekrutującego, drugi wchodził w skórę kandydata, wymyślał scenariusz, przebieg kariery zawodowej, tak żeby konsultant mógł poćwiczyć prowadzenie dialogu i zadawanie pytań, zmierzających do ukazania prawdy o rozmówcy.

Najbardziej zadziwiająca była dla mnie bez wątpienia panująca podczas ćwiczeń atmosfera rywalizacji. Każdy chciał złapać drugiego w pułapkę, postrzegał go jako kłamcę do zdemaskowania albo wroga. Najśmieszniejsze było to, że wykładowca, konsultant Dunker Consulting, sam angażował się w tę rywalizację, czerpiąc złośliwą przyjemność z wytykania

przeoczeń i niezręczności. „Dajesz się zrobić!” było jego ulubionym zdaniem, które wygłaszał prześmiewczym tonem podczas nadzorowania scenek, wślizgując się pomiędzy poszczególne pary w trakcie ćwiczeń. Podtekstem było oczywiście to, że on sam umiałby się do tego odpowiednio zabrać...

Po dwóch tygodniach zostaliśmy uznani za nadających się do pracy.

Zacząłem spędzać dni za biurkiem, słuchając onieśmiałych ludzi, stremowanych, z wypiekami na twarzy, którzy opowiadali mi o swoich doświadczeniach i próbowali sprawić, abym uwierzył, że ich trzema głównymi wadami są perfekcjonizm, zbyt duża odpowiedzialność i tendencja do przepracowywania się. Nie mogli podejrzewać, że byłem bardziej nieśmiały od nich i że czułem się jeszcze mniej swobodnie. Miałem po prostu trochę więcej szczęścia, bo moja rola dawała mi pewien luksus - mogłem słuchać zamiast mówić. Zawsze jednak obawiałem się chwili, kiedy będę zmuszony do ogłoszenia dziesięciu kandydatom na dziesięciu, jak bezlitosny sędzia, że ich aplikacja nie odpowiada oczekiwaniom stawianym poszukiwanemu pracownikowi. Miałem wrażenie, że ogłaszam wyrok skazujący na galery. Mój dyskomfort wpływał na pogorszenie samopoczucia odrzuconych, co z kolei jeszcze bardziej mnie dołowało - piekielny zakłęty krąg. Dusilem się w tej pracy, a atmosfera w firmie nie sprzyjała rozluźnieniu. Poszukiwanie rzeczywistych wartości w ludziach było tylko pozorne. Codzienna praktyka sprowadzała się do chłodnej rywalizacji.

Wytrzymałem w tym jakiś czas dzięki Audrey. Spotkałem ją pewnego niedzielnego popołudnia w herbaciarni Mariage Freres przy ulicy Grands-Augustins. Wystarczyło, że znalazłem się w tym miejscu, a czas jakby się zatrzymał, i już czułem się odprężony. Otwierałem drzwi, stawiałem pierwszy krok po starej dębowej podłodze i wkraczałem w wyrafinowaną atmosferę pijalni herbaty z czasów, kiedy Francja była kolonialnym imperium. Oczarowywały mnie mieszające się zapachy różności starannie przechowywanych w ogromnych słojach z epoki. W jednej chwili przenosiłem się duchem na dziewiętnastowieczny Daleki Wschód. Wystarczyło, bym zamknął oczy, a wyobrażałem sobie, że jestem na pokładzie trójmasztowca załadowanego starymi drewnianymi skrzyniami pełnymi cennych przypraw, który przez długie miesiące miał przemierzać morza i oceany.

Gdy zamawiałem u młodego człowieka stojącego za starą

Audrey szepnęła mi do ucha, że sakura imperial jest delikatniejsza. Odwróciłem się, zaskoczony, że odzywa się do mnie nieznajoma w mieście, gdzie każdy zamyka się w swojej szklanej bańce i udaje, że nie zauważa innych. Powiedziała do mnie: „Nie wierzy mi pan? Proszę podejść, dam panu spróbować”, i biorąc mnie za rękę, pociągnęła przez salę,

przeciskając się między klientami i kolekcjami czajników z odległych zakątków świata w kierunku małych schodów prowadzących na piętro, gdzie była sala dla gości. Atmosfera intymna i elegancka. Kelnerzy w lnianych garniturach ecru prześlizgiwali się cicho i ceremonialnie między stolikami. Ubrany swobodnie wydałem się sobie nie na miejscu. Usiedliśmy w rogu przy małym stoliku nakrytym białym obrusem, srebrnymi sztućcami i filiżankami z porcelany z wizerunkiem fasady tego znakomitego lokalu. Audrey zamówiła dwie herbaty, bułeczki scones i Promyk Słońca, specjalność zakładu, której jej zdaniem musiałem za wszelką cenę spróbować. Nasza rozmowa od razu zaczęła sprawiać mi przyjemność. Studiowała w Akademii Sztuk Pięknych i mieszkała w pokoju na poddaszu w tej samej dzielnicy, gdzie znajdowała się herbaciarnia. „Zobaczysz, jest bardzo przytulny” - powiedziała, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że nasze spotkanie nie skończy się na progu Mariage Freres.

Jej pokój był w istocie czarujący - małeńki pod spadzistym dachem, z belkami na suficie, z okienkiem wychodzącym na rząd szarych dachów, których spadziste ściany zdawały się rozbiegać we wszystkich kierunkach. Jeszcze tylko księżyc w kształcie rogalika i zdawałoby się, że jesteśmy w Aristochats. Rozebrała się z naturalnym wdziękiem, a jej delikatne ciało, do jakiego nie byłem przyzwyczajony, od razu mi się spodobało. Ramiona i ręce miała subtelne w wyrafinowany sposób, czego nie widuje się u dziewcząt wychowanych na kornfleksach i intensywnie uprawiających sport. Jej bosko biała skóra kontrastowała z włosami, a piersi... Mój Boże, jej piersi były szlachetne. Pięćdziesiąt razy w trakcie nocy dziękowałem jej, że nie używa perfum, i delectowałem się rozkosznym zapachem skóry w każdym zakamarku jej ciała, upajającym jak narkotyk. Tamta noc zostanie we mnie na zawsze.

Następnego ranka obudziliśmy się wtuleni w siebie. Pobiegłem po rogaliki i z trudem łapiąc oddech, wspiałem się na szóste piętro. Rzuciłem się w jej ramiona i znowu się kochaliśmy. Pierwszy raz w życiu doświadczałem szczęścia. Było to nowe, dziwne uczucie. Nie przeczuwałem, że stanowiło początek upadku, z którego się nie podniosę.

Przez cztery miesiące moje życie kręciło się wokół Audrey. Wypełniała moje myśli w dzień, a sny w nocy. Zajęcia na wydziale sztuk pięknych odbywały się nieregularnie, była zatem dość dyspozycyjna. Często spotykaliśmy się w tygodniu w środku dnia. Pod pretekstem spotkania z klientem wychodziłem z pracy i spędzałem z nią godzinę lub dwie w pokoju, który wynajmowaliśmy w pobliskim hotelu. Miałem lekkie wyrzuty sumienia. Tylko lekkie, szczęście bowiem sprawia, że stajemy się egoistami. Pewnego dnia urzędowałem w swoim biurze, kiedy Vanessa, sekretarka działu, poinformowała mnie, że przyszła kolejna

kandydatka. Nie spodziewałem się nikogo, ale nie ufając do końca swojej organizacji pracy, nabrałem wątpliwości. Poprosiłem więc, żeby ją zaproszono. Wolałem przyjąć nieoczekiwaną kandydatkę niż dostarczyć Vanessie dowodów na moje niezorganizowanie. Wystarczyłoby mniej niż pół godziny, żeby dowiedział się o tym kierownik działu. Czekałem na progu pokoju i omal nie zasnąłem, gdy zobaczyłem na końcu korytarza sekretarkę prowadzącą Audrey, przebraną za księgową, z włosami związanymi w kucyk, w dopasowanym kostiumie i małych okularach w metalowych oprawkach, których wcześniej u niej nie widziałem. Wyglądała prawie groteskowo. Podziękowałem Yanessie, ledwo mogąc wydobyć z siebie głos. Zamknąłem drzwi za gościem. Zdjęła okulary, w sugestywny sposób wydymając lekko usta. Od razu odgadłem jej intencje. Przełknąłem ślinę i poczułem falę przerażenia, która przeszła moje ciało. Znałem Audrey na tyle dobrze, iż wiedziałem, że nic jej nie powstrzyma.

Stół konferencyjny stał się tamtego dnia meblem, na który już nigdy nie spojrzę tak jak przedtem. Umierałem ze strachu, że ktoś nas przyłapie. Była szalona, ale uwielbiałem to.

Kiedy zostawiła mnie cztery miesiące później, moje życie w jednej chwili się zatrzymało. Nie znałem powodów, nie miałem najmniejszych podejrzeń, aż pewnego dnia wyjąłem ze skrzynki na listy małą kopertę. W środku jedno słowo, jedno jedyne, napisane jej charakterystycznym pismem: „Zegnaj”. Stałem jak wryty przed ciągle otwartą skrzynką. Krew w moich żyłach przestała płynąć. Szumiało mi w głowie. O mało co nie zwymiotowałem. Wtoczyłem się do starej drewnianej windy, która dowiozła mnie na moje piętro. Wszedłem zszokowany do mieszkania. Wszystko wokół mnie wirowało. Upadłem na kanapę i szlochałem. Po długiej chwili wstałem nagle. To niemożliwe, po prostu niemożliwe. To musiała być jakaś prowokacja albo coś innego, choć nie wiedziałem, co. To nie mogła być prawda. Chwyciłem telefon i spróbowałem do niej zadzwonić. Sto razy usłyszałem jej nagranie na poczcie głosowej i za każdym razem głos wydawał mi się coraz bardziej neutralny, odległy, zimny. Przestałem dzwonić, kiedy skrzynka się zappełniła. Powoli odległe, ale znajome uczucie wynurzyło się z najgłębszych zakamarków mojej duszy. To przecież zupełnie normalne - mówiło - że mnie się opuszcza. Tak już jest. Nie walczy się z przeznaczeniem.

To właśnie w tamtej chwili odkryłem, że moja śmierć jest czymś oczywistym. To nie był impuls. Nie rzuciłbym się pod pociąg. Nie, po prostu miałem tylko przejść na drugą stronę, a potem już wszystko będzie dobrze. Do mnie należał wybór miejsca i czasu, nic nie nagliło. Nie było to chorobliwe, masochistyczne pragnienie. Zupełnie nie. Nie chodziło też jedynie o położenie kresu moim cierpieniom. Ta druga strona mnie pociągała, łagodnie, ale

nieodparcie, i miałem dziwne uczucie, że to było miejsce dla mnie, że tam moja dusza będzie mogła się rozwijać. Życie na ziemi nie miało dla mnie sensu. Chciałem do niego przyłgnąć, działać jak gdyby nigdy nic, ale ono zesłało mi Audrey, żebym poznał ból nie do zniesienia i spojrział w końcu przeznaczeniu prosto w oczy.

Miejsce podszeptała mi pamięć, bez wątplenia nie przez przypadek zachowując je w jednym ze swych zagadkowych zakamarków. Jakiś czas wcześniej przeczytałem w magazynie zostawionym przez Audrey artykuł, który spotkał się z ostrą polemiką, niejakiego Dubrovskiego, czy jakoś tak. Autor mówił w nim o prawie do samobójstwa i przedstawiał swoją teorię, według której należało zrobić to dobrze. Opisywał miejsce, które poetycko nazywał „lotem życia”. Wieża Eiffla, wyjaśniał, jest całkowicie zabezpieczona oprócz jednego miejsca, które dobrze jest poznać. Należy się dostać do luksusowej restauracji Jules Verne na drugim tarasie, wejść do damskiej toalety i popchnąć drzwi oznaczone informacją „Pomieszczenie służbowe” po prawej stronie umywalki. Otwiera się schowek na szczotki. Okno w nim nie ma krat i wychodzi bezpośrednio na zewnętrzne rusztowanie. Przypomniałem sobie te szczegóły, jakbym dopiero co je czytał. Śmierć u stóp wieży Eiffla była czymś wielkim. Rewanż za byle jakie życie.

Jeszcze krok...

Musiałem posunąć się odpowiednio naprzód, żeby dojść do miejsca, gdzie przestrzeń w dole jest wolna od metalowych konstrukcji.

Nie zostawiałem za sobą niczego: ani jednego przyjaciela, rodzica, przyjemności, niczego, co mogłoby sprawić, że żałowałbym swego czynu. Moja głowa i reszta ciała były gotowe.

Ostatni krok...

To tu. Odpowiednie miejsce. Zamarłem w bezruchu... Powietrze, którym oddychałem, wydawało mi się wyborne, boski nektar. Byłem jedynie sam ze sobą, świadomość zaczęła mnie opuszczać... Wziąłem wdech i obróciłem powoli stopy w prawo, w kierunku zatracenia. Nie patrzyłem w tę przestrzeń, ale wyczuwałem jej obecność i piękno.

Znajdowałem się na wysokości koła sterowniczego prywatnej windy restauracji Jules Verne. Było nieruchome, naprzeciwko mnie. Oddzielały nas trzy metry pustki. Z miejsca, w którym stałem, widziałem jedynie złozenie przytrzymujące linę oplatającą koło i spadającą w pustkę. Pustka... Okna restauracji wychodziły na drugą stronę. Nikt nie mógł mnie widzieć. Nie dochodził do mnie żaden dźwięk z sali. Nic oprócz spokojnych, odległych pomruków w nocnej ciszy. W oddali kołysały się światła, które pociągały, hipnotyzowały... Ciepłe powietrze było upajające, zalewało mnie falą wywołującą dobre samopoczucie. Większość

myśli mnie opuściła. Nie byłem już sobą. Zanurzałem się w przestrzeni, w życiu, w śmierci. Nie istniałem już jako odrębny byt. Byłem życiem...

Kaszlnięcie...

Wyrwało mnie z tego niezwykłego stanu w jednej chwili, jak kłaśnięcie hipnotyzera kończące trans pacjenta.

Po prawej stronie na końcu belki stał mężczyzna, który patrzył mi prosto w oczy. Około sześćdziesiątki. Siwe włosy. Ciemny garnitur. Jego spojrzenie, rozświetlone przez refleks światła wieży, zdawało się wyłaniać z nicości. Całe życie będę pamiętał to niebieskostatowe spojrzenie, które mroziło krew.

Uczucie złości zmieszało się z zaskoczeniem. Powziąłem wszelkie środki ostrożności, żeby mnie nie zauważono. Byłem pewien, że nikt mnie nie śledził... Miałem wrażenie, jakbym znalazł się w kiepskim filmie, w którym we właściwym momencie cudem zjawia się wybawiciel, żeby zapobiec samobójstwu.

Przegrałem życie, pozwalając, by inni nim zawładnęli. Śmierć należała do mnie. Tylko do mnie. Nie mogło być mowy, abym pozwolił komukolwiek na próbę zatrzymania mnie, przekonywania łagodnymi argumentami, że życie jest mimo wszystko piękne albo że inni są bardziej nieszczęśliwi ode mnie, albo nie wiem co jeszcze. W każdym razie nikt nie mógłby mnie zrozumieć, a poza tym o nic nie prosiłem. Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnąłem być sam. Sam.

- Proszę mnie zostawić. Jestem wolnym człowiekiem. Robię, co chcę. Proszę odejść.

Patrzył na mnie w ciszy i natychmiast odniosłem wrażenie, że coś jest nie tak. Wyglądał na... odprężonego. Tak, dokładnie, odprężonego!

Uniósł cygaro do ust, spokojnie.

- No dalej. Skacz!

Znieruchomiałem na dźwięk jego słów. Spodziewałem się wszystkiego oprócz tego.

Co to za typ? Zboczeniec? Chciał zobaczyć, jak spadam, i czerpać z tego przyjemność? Cholera! Musiało trafić na mnie! Ale to niemożliwe! Co, do diabła, takiego zrobiłem? Byłem oburzony. Szalałem ze złości, złości wstrzymywanej, która paliła mi twarz. Nie mogłem uwierzyć w tę sytuację. To niemożliwe, niemożliwe...

- Na co czekasz? - powiedział przerażająco spokojnym tonem. - Skacz!

Byłem kompletnie rozbity z powodu całej sytuacji. Myśli kłębiły mi się w głowie, nie mogłem ich zebrać.

Udało mi się wypowiedzieć kilka słów.

- Kim pan jest? Czego pan ode mnie chce?

Spokojnie zaciągnął się cygarem, zatrzymał przez chwilę dym w ustach, zanim wypuścił kilka kłębow, które mnie spowiły. Jego wzrok mnie paraliżował. Charyzma tego człowieka mogłaby wygiąć wieżę Eiffla.

- Jesteś zdenerwowany, ale w głębi duszy bardzo cierpisz - powiedział spokojnie z lekkim akcentem, jakiego nie znałem.

- Nietrudno się domyślić.

- Jesteś okropnie nieszczęśliwy i nie chcesz już dłużej żyć. Jego słowa wprawiły mnie w zakłopotanie, sprawiły, że mój ból wrócił. W końcu przytaknąłem ruchem głowy. Przez chwilę trwała ciężka cisza.

- Powiedzmy, że całe życie miałem wiele problemów. Powoli, bardzo powoli zaciągnął się cygarem.

- Nie ma wielkich problemów. Są tylko mali ludzie. Wezbrała we mnie fala złości. Czulem, jak krew pulsuje mi w skroniach. Przełknąłem ślinę.

- Łatwo wykorzystać tę sytuację, żeby mnie upokorzyć. Za kogo się pan uważa? Pan oczywiście umie rozwiązać wszystkie swoje problemy?

Z niezwykłą pewnością siebie odpowiedział spokojnie:

- Tak. I problemy innych też.

Zaczynałem czuć się źle. Miałem całkowitą świadomość, że otacza mnie pustka. Sądzę, że zaczynałem... się bać. Strach znalazł w końcu swoją ścieżkę i wniknął we mnie. Zaczynały mi się pocić dłonie. Przede wszystkim nie wolno mi było patrzeć w dół. Mówił dalej:

- To prawda, że jeśli skoczysz, twoje problemy znikną razem z tobą... Będziecie kwita. Sytuacja nie jest jednak taka prosta.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- To ty po raz kolejny będziesz cierpiał. Twoje problemy niczego nie odczują. To niezbyt... sprawiedliwe rozwiązanie.

- Nie cierpi się, skacząc z wieży. Szok jest taki, że po prostu przestaje się żyć. Nie ma czasu, żeby cokolwiek poczuć. Żadnego bólu. Dowiadywałem się.

Zaśmiał się cicho.

- Co pana śmieszy?

- To prawda... jeśli założysz, że jeszcze żyjesz, kiedy rozbijasz się o ziemię. Tu się mylisz. Nikt nie dolatuje na dół żywy.

Długi haust dymu z cygara. Czulem się coraz gorzej. Miałem zawroty głowy. Musiałem usiąść.

- Prawda jest taka - ciągnął niespiesznie - że wszyscy umierają podczas spadania z powodu zawału serca spowodowanego przerażeniem, okropnym przerażeniem wywołanym lotem w dół i wizją ziemi, która zbliża się z prędkością dwustu kilometrów na godzinę. Zostają zabici przez koszmarny strach, który sprawia, że wymiotują wnętrznościami, zanim rozerwie im serce. W chwili śmierci mają wytrzeszczone oczy.

Nie mogłem utrzymać się na nogach. Prawie zemdlałem. Kręciło mi się w głowie. Było mi niedobrze. Nie patrzeć w dół. Tylko nie to. Trzymać się prosto. Skoncentrować się na nim. Nie tracić go z oczu.

- Być może - powiedział po chwili ciszy - mogę ci coś zaproponować.

Milczałem, wpatrzony w jego usta.

- Pewnego rodzaju układ - kontynuował, pozwalając słowom wznosić się w powietrze.

- Układ? - wymamrotałem.

- Oto on: ty zostajesz przy życiu, a ja się tobą zajmuję, przywracam cię na właściwą drogę, robię z ciebie mężczyznę zdolnego do pokierowania swoim życiem, rozwiązywania swoich problemów, a nawet do bycia szczęśliwym. W zamian... - Znowu zaciągnął się cygarem. - W zamian zaangażujesz się we wszystko, w co ci każę. Zawrzesz umowę na życie.

Jego słowa wstrząsnęły mną w najwyższym stopniu, co spotęgowało moje złe samopoczucie. Musiałem zrobić duży wysiłek, żeby się skupić, opanować umysł i się zastanowić.

- Co pan rozumie przez „umowę na życie”?

Cisza.

- Będziesz musiał dotrzymać umowy.

- A jeśli nie?

- Jeśli nie... umrzesz.

- Trzeba być szalonym, żeby zawrzeć taki układ!

- Co masz do stracenia?

- Dlaczego miałbym oddawać życie w ręce obcego człowieka w zamian za hipotetyczne szczęście?!

Jego spojrzenie nabrało pewności gracza w szachy, który wie, że jego przeciwnik zostanie przyparty do muru.

- A tu? Co otrzymasz w zamian za pewną śmierć? - zapytał, wskazując pustkę końcem cygara.

Popełniłem błąd, spoglądając we wskazanym kierunku, gdyż poczułem ostry zawrót głowy. Wizja spadania mnie przeraziła, ale jednocześnie pustka mnie wzywała, jakby chciała

wyzwolić od przeraźliwego strachu, który mnie ogarniał. Miałem pokusę, by położyć się na belce i pozostać w bezruchu, czekając na pomoc. Nerwowe niekontrolowane dreszcze przeszywały moje ciało. To było okropne, nie do zniesienia.

Deszcz...

Zaczynało padać... Deszcz. Mój Boże... Metalowa belka stawała się lodowiskiem. Pięć metrów dzieliło mnie od mężczyzny, od okna, od wybawienia. Pięć metrów wąskiej i śliskiej belki. Musiałem się skoncentrować. Tak, o to chodzi, skoncentrować się. Przede wszystkim stać prosto. Oddychać.

Należało powoli obrócić się w prawo, ale... moje nogi nie chciały się ruszyć. Moje stopy jakby przykleiły się do metalu. Zbyt długie stanie w jednej pozycji unieruchomiło mięśnie, które już mnie nie słuchały. Nogi zaczęły mi się trząść, najpierw niezauważalnie, potem coraz mocniej. Siły mnie opuszczały.

Koło...

Koło się obracało... Hałas ruszającej windy. Koło zaczynało chlapać wodą. Tempo obrotów wzrastało, a winda nabierała prędkości, zjeżdżając w dół. Chlapnięcia wody dosięgły mnie. Zimne i oślepiające. Oszałamiające. Straciłem równowagę i... zauważyłem, że kucam, ciągle pod kaskadą wody. Mimo zgiełku usłyszałem, że mężczyzna krzyczy tonem nieznoszącym sprzeciwu:

- Tędy! Miej otwarte oczy! Stawiaj stopy jedna przed drugą!

Posłuchałem, podporządkowując mu się, zmuszając się do spełniania jego rozkazów i pozbycia się swoich myśli oraz napływających emocji. Zrobiłem krok, potem drugi, jak robot wykonujący machinalnie każde polecenie. Udało mi się wydobyć spod bryzgów wody, potem posuwać się naprzód, nieprzytomnie, i wreszcie dotrzeć do niego. Podniosłem nogę, żeby przekroczyć poziomą belkę, która nas dzieliła, ale on złapał moją drżącą i moką dłoń wyciągniętą ku niemu i popchnął mnie lekko w tył. Byłem tak zaskoczony, że aż krzyknąłem. O mało nie spadłem w pustkę, tracąc równowagę pod wpływem jego siły. Jego żelazna dłoń jednak mnie unieruchomiła.

- A więc zobowiązujesz się?

Woda spływała po jego twarzy, wzdłuż kolein zmarszczek. Niebieskie oczy były fascynujące.

- Tak - odrzekłem.

Następnego dnia obudziłem się w swoim łóżku, w ciepłe suchej pościeli. Przez żaluzje przeciskał się promyk słońca. Przeturlałem się, aby dosięgnąć szafki nocnej, nie opuszczając bezpiecznego kokonu z kołdry. Wyciągnąłem rękę i wziąłem wizytówkę, którą tam położyłem, kładąc się spać. Mężczyzna dał mi ją, zanim odszedł. „Przyjdź jutro o jedenastej” - napisał.

Yves Dubreuil 23, avenue Henri-Martin 75116 Paryż tel. 01 47 55 10 30

Nie wiedziałem, czego się spodziewać, i nie czułem się zbyt pewnie.

Chwyciłem za telefon i zadzwoniłem do Vanessy, żeby prosić ją o odwołanie wszystkich moich spotkań zaplanowanych na dzisiaj. Powiedziałem, że jestem chory i nie wiem, kiedy wyzdrowieję. Wykonałem, co musiałem, i poszedłem pod prysznic. Stałem pod nim tak długo, aż zbiornik z ciepłą wodą został opróżniony.

Mieszkałem w dwupokojowym mieszkaniu, które wynajmowałem na wzgórzu Montmartre. Czynnś był duży, a mieszkanie małe, ale mogłem napawać się niczym nieprzysłoniętym widokiem na miasto. Kiedy miałem chandrę, godzinami siedziałem na parapecie i błądziłem wzrokiem po horyzoncie, po niezliczonych budynkach i pomnikach. Wyobrażałem sobie miliony ludzi, którzy tam żyli, ich historie, ich zajęcia. O każdej porze dnia i nocy na pewno byli tacy, którzy pracują, śpią, kochają się, umierają, kłócą się lub wstają. Mówiłem „start” i zastanawiałem się, ile osób w danej chwili wybuchło śmiechem, ile powiedziało „żegnaj” swojemu partnerowi, przeżyło orgazm, rozplynęło się we łzach, ile zgasło, urodziło dziecko, zakochało się... Wyobrażałem sobie różne emocje, pojawiające się w tym samym momencie.

Wynajmowałem mieszkanie od kobiety w zaawansowanym wieku, madame Blanchard, która na moje nieszczęście mieszkała tuż przede mną. Od blisko dwudziestu lat była wdową, ale wyglądała, jakby cały czas nosiła żałobę. Jako zagorzała katoliczka, chodziła do kościoła kilka razy w tygodniu. Czasem wyobrażałem ją sobie, jak klęczy przy starym drewnianym konfesjonale w kościele Saint-Pierre de Montmartre i stłumionym głosem wyznaje, jakie oszczerstwa wygłosiła poprzedniego dnia. Może spowiadała się też z tego, jak uprzykrza mi życie. Kiedy tylko powodowałem hałas powyżej dopuszczalnej jej zdaniem normy, czyli całkowitej ciszy, przychodziła pod moje drzwi i mocno w nie waliła. Uchylałem je i widziałem, że na jej twarzy malowała się złość. Czyniła mi przesadne wyrzuty i nakazywała szanować sąsiadów. Niestety, z wiekiem nie straciła słuchu, a ja zastanawiałem się, jak mogła usłyszeć dźwięki tak nikłe jak przewrócony but albo zbyt gwałtownie odstawiony na stolik kieliszek. Wyobrażałem ją sobie czasem, jak stoi na starej drabinie,

wyposażona w stetoskop przytknięty do sufitu, ze zmarszczonymi brwiami, wyczekując najmniejszego odgłosu.

Wynajęła mi mieszkanie niechętnie, twierdząc, że wyrządziła mi przysługę. Z reguły nie wynajmowała obcokrajowcom, ale ponieważ jej mąż został uwolniony przez Amerykanów podczas drugiej wojny światowej, zrobiła dla mnie wyjątek. Musiałem zatem okazać się godny tego zaszczytu.

Audrey oczywiście nigdy u mnie nie bywała. Bałbym się, że wysłannicy inkwizycji wpadną w ciemnych sutannach, z twarzami ukrytymi w cieniu kapturów, i poddadzą nas przesłuchaniu, a potem powieszą nagą dziewczynę na haku od żyrandola z rękami i stopami związanymi łańcuchem, podczas gdy płomienie ognia będą lizać jej ciało.

Tamtego ranka wyszedłem, nie trzaskając drzwiami, i zbiegłem pięć pięter w dół. Od czasu rozstania z Audrey nigdy nie czułem się tak lekko. Niby nie miałem żadnego powodu, żeby czuć się lepiej. Nic w moim życiu się nie zmieniło. Chociaż tak - ktoś się mną interesował i bez względu na jego intencje to wystarczało, żebym poczuł balsam na sercu. Miałem oczywiście lekko ściśnięty żołądek, co przypominało tremę przed pójściem do biura, zwłaszcza kiedy czekało mnie wystąpienie przed ludźmi.

Wychodząc, wpadłem na Etienne'a, dzielnicowego kloszarda. Do wejścia do budynku prowadziły małe schodki, pod którymi miał zwyczaj się lokować. Musiał powodować niezłą walkę wewnętrzną u madame Blanchard, którą zapewne targały sprzeczności między obowiązkiem niesienia chrześcijańskiej pomocy a umiłowaniem porządku. Tego ranka Etienne z długimi rozczochranymi włosami wyszedł ze swojej nory i wygrzewał się na słońcu oparty o ścianę budynku.

- Ładna dzisiaj pogoda - rzuciłem w jego stronę, przechodząc.

- Jest, jak jest, chłopcze - odpowiedział ochrypłym głosem.

Wskoczyłem do metra, a widok paryżan z posępnymi minami, jadących do pracy jak na ścięcie, o mało nie przywrócił mi złego humoru z poprzedniego wieczoru.

Wysiadłem na stacji Rue de la Pompe i znalazłem się w elitarniej dzielnicy miasta. Natychmiast uderzył mnie kontrast między śmierdzącymi ciemnymi tunelami podziemnymi a świeżym, pachnącym zielenią powietrzem tej eleganckiej części Paryża, położonej w sąsiedztwie Lasku Bulońskiego. Henri-Martin to piękna aleja wysadzana czterema rzędami rozłożystych drzew, wzdłuż której stoją wspaniałe budynki zaprojektowane przez Haussmanna, wzniesione z ciosanych rzeźbionych płyt kamiennych, otoczone wysokimi czarno-złotymi ogrodzeniami z kutego metalu. Zauważyłem kilkoro przechodniów - eleganckie kobiety i spieszących się mężczyzn. Niektórzy z nich musieli przejść tak wiele

liftingów, że trudno było określić ich wiek. Twarz jednej z kobiet przywiodła mi na myśl ufolodka i zastanawiałem się, co zyskuje osoba, która pozbywając się znamion czasu, upodabnia się do kosmity.

Byłem dużo za wcześnie, więc wstąpiłem do kawiarni na śniadanie. Uderzył mnie zapach croissantów i świeżo zaparzonej kawy. Usiadłem przy oknie i czekałem. Kelner nie wyglądał na zbyt zabieganego. Skinąłem w jego stronę, ale udał, że nie widzi. W końcu go zawołałem. Podeszedł, pobur-kując. Zamówiłem czekoladę i kanapki, i czekałem cierpliwie, kartkując niedbale strony „Figaro” leżącego na małym, zimnym marmurowym stoliku. Dostałem parującą czekoladę i rzuciłem się na kanapki ze świeżej bagietki, obficie posmarowane masłem, podczas gdy przy barze toczyły się codzienne rozmowy. W paryskich kawiarniach panowała unikalna atmosfera, czuć było zapachy, których nie można spotkać w Stanach Zjednoczonych.

Pół godziny później udałem się w dalszą drogę. Aleja Henri-Martin była dość długa. Szedłem nią, myśląc o Yvesie Du-breuilu. Co nim kierowało, że zaproponował mi ten dziwny układ? Czy miał rzeczywiście dobre intencje, jak twierdził? Jego postawa była co najmniej dwuznaczna i trudno było mu ufać. Teraz, kiedy zbliżałem się do jego domu, czułem nawet pewnego rodzaju narastający niepokój.

Wypatrywałem numerów na domach, które mijalem, jedne piękniejsze od drugich. Doszedłem do numeru dwadzieścia pięć. Ten, do którego zmierzałem, powinien być następny, ale numeracja się urywała. Gęste liście za ogrodzeniem maskowały budynek. Stałem pod bramą. Numer dwadzieścia trzy nie był zwykłym domem, lecz pałacykiem z kamienia ciosanego. Ogromnym. Wyjąłem wizytówkę, żeby się upewnić. Rzeczywiście, mój wybawca mieszkał właśnie tu. Duże wrażenie... Czy to naprawdę jego dom?

Zadzwoiłem. Mała kamera za szybą wideofonu uruchomiła się i kobiecy głos zaprosił mnie do środka, podczas gdy furtka otworzyła się pod wpływem impulsu elektrycznego. Zrobiłem zaledwie kilka kroków w głąb ogrodu, kiedy wielki czarny doberman rzucił się w moim kierunku, szczekając. Miał groźbę w oczach i szczęki mokre od śliny. Już miałem odskoczyć w bok, kiedy łańcuch wiszący mu u szyi naciągnął się i zatrzymał go in extremis z podniesionymi przednimi łapami i pianą ciekącą z pyska, którą ochlapał mi buty. Natychmiast odwrócił się w ciszy, jakby błąd strach, który na mnie sprowadził, wystarczył mu za satysfakcję.

- Proszę cię, wybaczyć Stalinowi - powiedział Dubreuil, witając mnie na progu. - Jest wredny!

- Wabi się Stalin? - wymamrotałem, ściskając podaną mi dłoń i czując, że mój puls

osiągnął sto czterdzieści.

- Spuszczamy go tylko w nocy, a w dzień od czasu do czasu rozprostowuje sobie łapy, kiedy mamy wizytę. Terroryzuje trochę moich gości, ale to sprawia, że są bardziej ugodowi. Chodź za mną - zaprosił mnie i poprowadził przez szeroki marmurowy korytarz, gdzie jego głos odbijał się echem.

Wysokość sufitu robiła wrażenie. Na ścianach wisiały gigantyczne płótna przedstawiające kolejnych właścicieli domu, oprawione w ramy koloru starego złota.

Służący w liberii wziął ode mnie kurtkę. Dubreuil wszedł na monumentalne schody z białego kamienia. Poszedłem za nim. W centrum holu królował imponujący żyrandol z czarnych kryształków, który musiał ważyć ze trzy razy tyle co ja. Kiedy weszliśmy na piętro, gospodarz podążył szerokim korytarzem o ścianach obwieszonych tapiseriami. Kolejne obrazy. Świeczniki kinkietowe. Miałem wrażenie, że jestem w zamku. Dubreuil szedł pewnie i mówił głośno, jakbym znajdował się w odległości dziesięciu metrów. Jego ciemny garnitur kontrastował z siwymi włosami. Niesforne kosmyki nadawały mu wygląd szalonego dyrygenta. Biała koszula z wysokim, rozpiętym kołnierzykiem ukazywała pod szyją jedwabną apaszkę.

- Chodźmy do mojego biura. Będzie bardziej kameralnie.

- Dobrze.

Zdecydowanie potrzebowałem nieco intymności w tym niewątpliwie wspaniałym, jednak mało sprzyjającym zwierzeniom miejscu.

Biuro rzeczywiście wydało mi się bardziej przytulne. Pod ścianami stały antyczne biblioteczki z książkami, w większości starymi, co ocieplało atmosferę. Parkiet w stylu wersalskim przykryty był grubym perskim dywanem. Ciemnoczerwone kotary wyciszały pomieszczenie. Pod oknem stało ciężkie mahoniowe biurko, częściowo pokryte czarną skórą z delikatnie złożonymi brzegami. Kilka stosów książek i teczek, a pośrodku duży nóż do papieru, srebrny, z ostrzem zwróconym w moją stronę jak narzędzie zbrodni zapomniane w pośpiechu przez zabójcę opuszczającego miejsce przestępstwa. Dubreuil poprosił, żebym usiadł w jednym z dwóch dużych foteli z brązowej skóry, stojących naprzeciwko siebie.

- Chcesz się czegoś napić? - zapytał, nalewając sobie szklaneczkę alkoholu.

- Nie, dziękuję. Na razie nie.

Kostki lodu zachrzęściły, topiąc się w płynie.

Usiadł spokojnie i upił łyk, kiedy ja się niecierpliwiłem, chcąc się jak najprędzej dowiedzieć, jaki właściwie czeka mnie los.

- Słuchaj zatem, co mam ci do zaproponowania. Dzisiaj przede wszystkim opowiesz

mi swoje życie. Mówiłeś, że masz wiele problemów. Chcę wiedzieć wszystko. Nie będziemy się bawili w zawstydzone dziewczątka, nie bój się zwierzać. W każdym razie wiedz, że słyszałem w życiu tyle ohydnych historii, iż nic mnie nie szokuje ani nie dziwi. Ale też nie czuj się zobligowany do ubarwiania, żeby usprawiedliwić czyn, który chciałeś wczoraj popełnić. Chcę po prostu zrozumieć twoją osobistą historię.

Zamilkł i upił kolejny łyk.

Jest coś nieskromnego w opowiadaniu swojego życia nieznanemu, kiedy wykracza się poza błaha wydarzenia swojej egzystencji, takie jak praca, codzienne relacje i zwyczajowe zabieganie. Bałem się mu zwierzać, jakby obnażenie się dawało mu nade mną władzę. W pewnej chwili odważyłem się jednak, odrzucając wątpliwości. Zgodziłem się odkryć, może dlatego, że nie czułem się oceniany. Poza tym muszę przyznać, że złapałem bakcyła. To ostatecznie dość przyjemne, kiedy po przełamaniu bariery wstydu ma się do dyspozycji uważnego słuchacza. Nieczęsto w życiu trafia się okazja, by być naprawdę wysłuchanym. Uczucie, że ktoś stara się nas zrozumieć, odkryć meandry naszych myśli i sekrety duszy... Odkrycie naszej osobowości jest uwalniające i w pewien sposób ekscytujące.

Spędziłem dzień w zamku, jak zwykle nazywać dom Du-breuila. Gospodarz mówił mało, za to słuchał mnie z niezwykłą uwagą. Rzadko zdarzają się ludzie zdolni skupić uwagę na tak długo. Godzinę lub dwie po rozpoczęciu naszego spotkania przerwała nam kobieta około czterdziestki. Przedstawił mi ją, mówiąc jedynie: „Catherine, którą darzę bezgranicznym zaufaniem”. Ostra powierzchowność. Matowe, niezręcznie spięte włosy. Jej smutne i niewyszukane ubrania świadczyły o prawdopodobnej pogardzie dla kobiecych strojów. Mogłaby być córką madame Blanchard, przynajmniej jeśli chodzi o wygląd. Zapytała Dubreuila o zdanie, wskazując na krótki tekst zapisany na kartce. Nie wiedziałem, o co chodziło. Zachowywała się trochę zbyt chłodno, żeby mogła być jego żoną. Czyżby była jego współpracownicą? Jego asystentką?

Naszą rozmowę, choć powinienem raczej powiedzieć: mój quasi-monolog, kontynuowaliśmy w porze posiłku. Zeszliśmy na obiad do ogrodowej altanki. Trudno było uwierzyć, że znajdowaliśmy się w Paryżu. Catherine dołączyła do nas, ale nie była zbyt rozmowna. Trzeba dodać, że Dubreuil miał tendencję do zadawania pytań i odpowiadania na nie, jakby nadrabiał milczenie, do którego był zmuszony podczas naszego spotkania. Posiłek podał inny pracownik domu niż ten, który mnie powitał. Naturalna żywiowość Dubreuila, mimo tego, że był dystyngowany, kontrastowała z powściągliwym i wystudiowanym zachowaniem personelu. Jego otwartość w rozmowie rozluźniała mnie w przeciwieństwie do zaciekawionych, ale też zaniepokojonych spojrzeń, które czasem u niego zauważałem, gdy

mnie słuchał.

- Czy miałbyś coś przeciwko, żeby Catherine została z nami dziś po południu? - zapytał. - Ona jest moimi oczami i uszami, a czasem również moim mózgiem - dodał, śmiejąc się. - Nie mam przed nią sekretów.

Zręczny sposób, żeby mnie poinformować, że tak czy owak wszystko zostanie jej powtórzone.

- Nie mam nic przeciwko temu - skłamałem.

Zaproponował przechadzkę po parku, żebym mógł rozprostować nogi, zanim na nowo zacznę swoją opowieść. Myślę, że chciał podsumować to, co mówiłem rano.

Wróciliśmy do jego biura we troje. Czuję się mniej swobodnie przez kilka pierwszych minut, ale Catherine należała do tych neutralnych osób, o których obecności szybko się zapomina.

Dochodziła siódma wieczorem, kiedy wyczerpaliśmy temat mojego niewesołego życia. Kobieta ulotniła się dyskretnie.

- Zastanowię się nad tym wszystkim - powiedział Dubreuil w zamyśleniu - i wrócę do ciebie w ten czy inny sposób, żeby przedstawić ci twoje pierwsze zadanie. Zostaw mi swój numer telefonu.

- Moje pierwsze zadanie?

- Tak, twoja pierwsza misja, jeśli wolisz. To, co będziesz musiał zrobić, czekając na dalsze instrukcje.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem...

- Twoje przeżycia w pewnym sensie wryły się w ciebie i warunkują sposób, w jaki postrzegasz świat, w jaki się zachowujesz, twoje relacje z innymi, twoje emocje... Rezultat jest taki, że ci nie idzie, mówiąc wprost. To przysparza ci problemów i sprawia, że jesteś nieszczęśliwy. Twoje życie będzie marne, jeśli przeżyjesz je w ten sposób. Trzeba zatem dokonać kilku zmian...

Miałem wrażenie, że zacznę wymachiwać skalpelem, żeby natychmiast zoperować mi mózg.

- Można by o tym mówić godzinami - kontynuował - ale to by niczemu nie służyło poza tym, że poznałbyś przyczyny swojego nieszczęścia. Pozostałbyś jednak nieszczęśliwy... Widzisz, kiedy komputer działa nieprawidłowo, trzeba zainstalować nowe programy, które działają lepiej.

- Problem w tym, że nie jestem komputerem.

- W każdym razie znasz zasadę: musisz zdobyć pewną liczbę doświadczeń, które

sprawia, że twój punkt widzenia się zmieni, że pokonasz lęki, wątpliwości, obawy i tak dalej.

- A jak mi pan udowodni, że program będzie właściwy?

- Zaangażowałeś się. Zbyteczne jest zatem zadawanie pytań. To by tylko podsyciło twoje lęki, których i tak już jest wiele, jeśli dobrze zrozumiałem.

- Patrzyłem na niego przez chwilę bez słowa, pogrążony w myślach. Spoglądał mi w oczy, nic nie mówiąc. Upłynęły długie sekundy, które zdawały mi się godzinami. W końcu przerwałem ciszę.

- Kim pan jest, panie Dubreuil?

- To pytanie, które sam sobie czasem zadaję! - odpowiedział, wstając i wyprzedzając mnie w korytarzu. - Chodź, odprowadzę cię. Kim jestem? - Jego donośny głos rozbrzmiewał na szerokich schodach.

3

Następną noc miałem koszmar, jakiego nie doświadczyłem od dzieciństwa.

Znajdowałem się w zamku. Była noc. Był tam też Dubreuil. Staliśmy w ogromnym, bardzo mrocznym salonie o czarnych jak w lochu, wysokich ścianach. Oświetlały nas jedynie migotliwe płomienie kandelabrow, roznoszące zapach starego, wypalonego wosku. Dubreuil wpatrywał się we mnie intensywnie i trzymał w ręce kartkę papieru. Catherine, stojąca trochę dalej, była ubrana w czarne body i buty na wysokich obcasach, a włosy miała związane w koński ogon. W ręku trzymała duży bat, którym regularnie strzelała o podłogę z siłą, o jaką trudno ją było podejrzewać. Wydawała przy tym charczące okrzyki niczym tenisista, który właśnie zaserwował. Stalin, spuszczonego z łańcucha, siedział naprzeciwko i szczekał po każdym uderzeniu bata. Dubreuil nie odwracał ode mnie oczu, przybierając spokojną postawę kogoś, kto uważa się za wszechmocnego. Podał mi kartkę.

- Proszę, to twoja misja!

Wziąłem papier drżącą ręką i przysunąłem do płomienia, żeby móc przeczytać. Imiona. Lista imion, a przy każdym adres.

- Co to jest?

- Musisz ich zabić. Wszystkich. To twoja pierwsza misja. Pierwsza.

Bat Catherine strzelił mocno, powodując lawinę szczęknięć.

- Nie jestem kryminalistą! Nie chcę nikogo zabijać!

- To ci dobrze zrobi - powiedział Dubreuil, cedząc każde słowo.

Ogarnęła mnie fala paniki. Trzęsły mi się nogi. Drżała mi zuchwa.

- Ależ skądże! Ja... nie mam ochoty. Wcale. Ja... ja nie chcę.

- Potrzebujesz tego. Uwierz mi - powiedział stanowczo. - To z powodu twojej historii, rozumiesz? Tylko będąc w ciemnościach, nauczysz się z nich wydostawać. Nie bój się.

- Nie mogę. - Westchnąłem ciężko. - Ja... nie mogę.

- Nie masz wyboru.

Jego ton stawał się napastliwy. Dubreil przeszywał mnie wzrokiem, zbliżając się powoli.

- Proszę do mnie nie podchodzić! Chcę wyjść!

- Nie możesz. Za późno.

- Proszę mnie zostawić!

Rzuciłem się w kierunku dużych drzwi salonu. Zamknięte. Szarpałem za klamkę we wszystkie strony.

- Proszę otworzyć! - wrzeszczałem, waląc pięściami. - Proszę otworzyć te drzwi!

Dubreuil powoli zbliżał się do mnie. Odwróciłem się, stając plecami do drzwi, z założonymi rękami.

- Nie możecie mnie zmusić! Nigdy nikogo nie zabiję!

- Przypomnij sobie. Zobowiązałeś się!

- A jeśli się wycofam?

Moja odpowiedź wywołała u DubreUILa gwałtowny wybuch śmiechu. Był to śmiech... demoniczny, który zmroził mi krew w żyłach.

- O co chodzi? Co pana śmieszy?

- Jeśli się wycofasz...

Odwrócił się w stronę Catherine z szyderczym uśmiechem na ustach. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się szeroko. Jej uśmiech był ohydny. Miałem ochotę zwymiotować.

- Jeśli się wycofasz... - powtórzył powoli makiawelicznym tonem, podczas gdy płomienie rzucały diaboliczne błyski na jego twarz. - Jeśli się wycofasz, wpiszę twoje nazwisko na listę... listę, którą dam... komuś innemu.

W tej chwili usłyszałem za plecami, że ktoś dłubie w dziurce od klucza. Odwróciłem się, otworzyłem drzwi, popchnąłem kamerdynera i uciekłem korytarzem.

Głos DubreUILa prześladował mnie, odbijając się strasznym echem w holu i na wielkich schodach:

- Zobowiązałeś się! Zobowiązałeś się! Zobowiązałeś się!

Obudziłem się zziąjany i spocony. Widok znajomych przedmiotów wokół sprowadził

mnie z powrotem do oswojonego świata.

Uspokoilem się, uświadomiwszy sobie, że to był tylko sen, i jednocześnie zaniepokoiłem, że rzeczywistość mogłaby być taka jak we śnie. Na dobrą sprawę niczego nie wiedziałem o Dubreuilu i jego rzeczywistych intencjach. Przystąpiłem do gry, której reguł ani rozwiązania nie znałem. A jednak nie mogłem się z niej wykręcić. To była jedyna zasada, a ja byłem dość szalony, żeby się zgodzić na jej przyjęcie.

Była szósta. Wstałem i powoli szykowałem się do wyjścia do biura. Życie odzyskiwało swoje prawa; musiałem iść do pracy, nawet jeśli mierzyła mnie sama myśl o powrocie do tego zmijowiska.

Vanessa podbiegła do mnie, jak tylko się zjawiłem, i szła za mną korytarzem prowadzącym do mojego pokoju.

- Nie wiedziałam, czy dzisiaj przyjdiesz, ale czekając na wieści, nie odwołałam twoich spotkań. Mówiąc wprost,

Fausteri nie był zbyt zadowolony z twojej wczorajszej nieobecności. Stałam po twojej stronie. Powiedziałam mu, że przez telefon miałeś słaby głos i że naprawdę wydawałeś się chory. Nie gadam na próżno. Gdyby mnie tam nie było, bez wątpienia nigdy by ci nie uwierzył.

- Dziękuję, Vanesso, to miło z twojej strony.

Uwielbiała sytuacje, które dawały jej okazję do pokazania, że jest niezbędna, do tego stopnia, że sama je prowokowała. Nigdy się nie dowiem, czy Fausteri w ogóle zdawał sobie sprawę z mojej nieobecności. Ona jednak tak bardzo potrzebowała wdzięczności, że próbowała upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: zyskać podziękowania ode mnie i gratulacje za zgłoszenie mojej nieusprawiedliwionej nieobecności szefowi... Strzegłem się jej jak zarazy.

Luc Fausteri, kierownik działu rekrutacji księgowych i finansistów, podlegał dyrektorowi do spraw rekrutacji, Gregoi-re'owi Larcherowi. Firma Dunker Consulting była europejskim liderem w dziedzinie HR-u. Łączyła dwie duże gałęzie: rekrutację i szkolenia. Weszła na giełdę dwa miesiące po moim dołączeniu do zespołu. To był powód do dumy dla naszego prezesa, który uważał się za rekina CAC 40, indeksu akcji skupiającego spółki o najwyższej kapitalizacji na Giełdzie Paryskiej, podczas gdy przedsiębiorstwo liczyło zaledwie kilkuset pracowników w trzech krajach. Skądinąd pierwszą decyzją, jaką podjął po wejściu na giełdę, był zakup wspaniałego samochodu służbowego i zatrudnienie szofera. Trzeba było wykorzystać świeżo zarobione pieniądze. Drugą decyzją było zatrudnienie ochroniarza, jak gdyby notowania firmy na giełdzie czyniły z jej szefa najlepszego cel dla świata przestępczego.

Ów bodyguard w ciemnym garniturze i czarnych okularach chodził za nim wszędzie, rzucając wkoło ukradkowe spojrzenia, jakby chciał wypatrzeć przyczajonych na dachach snajperów. Największa zmiana towarzysząca temu wydarzeniu miała jednak charakter socjologiczny - atmosfera zmieniła się z dnia na dzień. Odtąd oczy wszystkich zwrócone były na niebieską linię kursu akcji. Na początku każdy włączył się do gry. Byliśmy rozentuzjasmowani, widząc postępujący wzrost. Ale gra szybko stała się obsesją naszych menadżerów. Co prawda firma musiała odtąd co trymestr publikować swoje wyniki, a słabe obroty przełożyłyby się na spadek cen akcji. Dyrekcja regularnie udzielała informacji mediom, lecz nie dało się ogłaszać dobrych wieści co chwila. W przedsiębiorstwie nie ma nowych osiągnięć codziennie, a mimo to trzeba było istnieć, „utrzymywać się w prasie”, jak mawiał nasz prezes. Dostarczanie jej pozytywnych wyników szybko stało się priorytetem, a potem więzieniem.

Firma przez lata rozwijała się dzięki profesjonalizmowi, poważnemu podchodzeniu do zadań i jakości usług świadczonych klientom. Każda rekrutacja prowadzona dla klienta była przedmiotem szczególnych starań. Z całym zaangażowaniem próbowano odnaleźć perełkę, kandydata, który nie tylko miał wymagane kompetencje i umiejętności, ale także charakter i temperament pozwalający mu dobrze się zintegrować, porozumieć z nowym kierownikiem i odnieść sukces w powierzonych mu zadaniach.

Od czasu wejścia na giełdę nastąpiły zmiany, to wszystko, co było dotąd priorytetem, stało się sprawą drugorzędną. Najważniejsze były obroty, które pod koniec trymestru mieliśmy opublikować w prasie, chodziło więc przede wszystkim o wysoką liczbę rekrutowanych osób. Cała organizacja uległa nagle zmianie. Poza misją polegającą na dobieraniu pracowników na potrzeby klientów konsultanci mieli obecnie badać rynek. Za wszelką cenę należało przyciągać nowych klientów, przygotowywać nowe umowy, generować obrót, poświęcając minimum czasu na spotkania z kandydatami, a maksimum na nowe zadania. Praca traciła swoją treść i szlachetny charakter, jaki w niej upatrywałem.

Relacje ze współpracownikami diametralnie się zmieniły. Szczera solidarność i duch zespołowy, które poznałem podczas dwóch pierwszych miesięcy, ustąpiły miejsca szalejącemu egoizmowi; każdy myślał o własnych korzyściach, stymulowany współzawodnictwem. Było jasne, że firma na tym traciła, bo każdy, żeby ugrać swoje, podkładał innym świnie kosztem dobra ogólnego. Oczywiście nie traciliśmy już tyle czasu, kręcąc się koło ekspresu do kawy i opowiadając sobie o lapsusach i kłamstwach kandydatów, chociaż te chwile rozluźnienia niegdyś przyczyniały się do wzmocnienia poczucia przynależności do przedsiębiorstwa, do tego, że je lubiliśmy, a także do motywowania nas, aby służyć jego interesom.

Czym jest bowiem firma, jak nie zgrupowaniem osób, z którymi dzieli się emocje podczas pracy nad tym samym projektem? Windowanie abstrakcyjnych cyfr nie było natomiast projektem, a wytwarzanie między nami współzawodnictwa nie niosło pozytywnych emocji.

Zadzwoił telefon. Vanessa informowała mnie, że przyszedł pierwszy umówiony kandydat. Rzut oka na kalendarz - siedem spotkań w planie. Zapowiadał się długi dzień.

Ściągnąłem w pośpiechu pocztę, czterdzieści osiem maili nagromadzonych w ciągu jednego dnia nieobecności. Kliknąłem na ten od Luca Fausteriego. Bez tematu, jak zwykle. Lakoniczna wiadomość:

Należy nadrobić niewykonaną pracę z opuszczonego dnia. Przypominam, że i tak jest Pan już do tyłu z miesięczną normą.

Serdeczności L.F.

Serdeczności, zaprogramowane automatycznie, były jak kleks na obrazie. Kopia wiadomości do Gregoire'a Larchera i... wszystkich moich kolegów z działu. Co za wstyd!

Powitałem mojego kandydata i rozpocząłem spotkanie. Z trudem udawało mi się skoncentrować, zaangażować w roz-mowę. Przedwczoraj opuściłem biuro z przekonaniem, że już nigdy moja stopa w nim nie postanie. Wykreśliłem tę pracę z głowy. Koniec końców zostałem przy życiu, ale nie wszystko w mojej świadomości wróciło na swoje miejsce. Biuro wydawało mi się niemal obce, a moja obecność w nim nie miała sensu. Byłem tu jedynie fizycznie.

Udało mi się skończyć pracę około dziewiętnastej. Cud. Ledwie wyszedłem z budynku, gdy na chodniku alei l'Opera zaczepił mnie mężczyzna w granatowym garniturze. Prawdziwa góra lodowa. Oczy w kolorze rozmytego błękitu, bez wyrazu, policzki bez wystających kości. Instynktownie cofnąłem się o krok.

- Pan Greenmor?

Zawahałem się, zanim odpowiedziałem:

- Tak...

- Pan Dubreuil czeka pan - powiedział, wskazując dyskretnie długiego czarnego mercedesa zaparkowanego na chodniku.

Nie mogłem nikogo dojrzeć przez zaciemnione szyby. Poszedłem za nieznanym z lekką obawą; otworzył przede mną tylne drzwi. Wślizgnąłem się do środka z lekkim ukluciem niepokoju w sercu. Delikatny zapach skórzanej tapicer-ki. Dubreuil siedział z boku; szerokość wozu pozwalała na zachowanie pewnej odległości. Zanim mężczyzna zamknął za mną drzwi, miałem okazję napotkać zdziwione spojrzenie Vanessy wychodzącej z budynku.

Dubreuil milczał. Minutę później mercedes ruszył.

- Późno wychodzisz - powiedział w końcu.

- Zdarza mi się siedzieć znacznie dłużej, czasem riałem do dwudziestej pierwszej - odrzekłem, zadowolony, że mogę przerwać ciszę, która... znowu zapadła.

- Dużo myślałem nad twoim przypadkiem - odezwał się w końcu. - Tak naprawdę tkwi w tobie wiele powiązanych ze sobą problemów. Ich ośrodkiem jest twój strach przed ludźmi. Nie wiem, czy sobie to uświadamiasz, ale nie tylko nie masz śmiałości okazywać swoich życzeń, ale też masz kłopot z przeciwstawieniem się woli innych i zwerbalizowaniem odmowy. Mówiąc krótko, nie żyjesz swoim życiem, lecz działasz, sugerując się oczekiwaniami i reakcjami innych. Pierwsze zadania, jakie ci wyznaczę, nauczą cię pokonywać obawę i zaakceptować to, że się z czymś nie zgadzasz, nauczą cię przeciwstawiać się, wyrażać swoje pragnienia i osiągać to, czego chcesz. Następnie będziesz się starał przyjąć do wiadomości, że nie musisz robić tego, czego oczekują ludzie, dostosowywać się do ich norm i wartości, ale możesz pokazać swoją odmiennność, nawet wtedy, kiedy to komuś przeszkadza. Jednym słowem - podsumował - nie powinieneś się skupiać na tym, aby twój wizerunek odpowiadał innym, i nauczyć się nie przejmować za bardzo tym, co o tobie myślą.

- Kiedy całkowicie zaakceptujesz to, czym się różnisz - kontynuował - będziesz mógł zaobserwować to samo u innych i, jeśli zajdzie taka potrzeba, przystosować się. W ten sposób nauczysz się lepiej komunikować, wchodzić w relacje z nieznanymi i tworzyć związki oparte na zaufaniu. Nauczysz się być akceptowanym przez osoby, które nie funkcjonują tak jak ty. Najpierw jednak musisz przyjąć to, co czyni cię niepowtarzalnym - podkreślił. - W przeciwnym razie znikniesz, a inni ludzie na tym skorzystają.

- Nauczę cię też przekonywać - oznajmił - abyś umiał otrzymywać to, czego potrzebujesz. Później doprowadzę do tego, że będziesz miał śmiałość zbierać nowe doświadczenia, wcielać w czyn pomysły, urzeczywistniać marzenia. Tym samym skruszę to jarzmo, które cię dziś uwiera i całkowicie zamyka na świat, z czego nawet nie zdajesz sobie sprawy. Uwolnię cię od niego, żebyś mógł żyć swoim życiem i przeżywać je do głębi.

- I nakaże mi pan robić różne rzeczy, żebym mógł się tego wszystkiego nauczyć?

- Sądzisz, że gdy będziesz żył dalej takim życiem jak dotąd, coś się dla ciebie zmieni na lepsze? Przecież widziałeś, dokąd cię to zaprowadziło.

- Dziękuję za przypomnienie, już zapomniałem.

- Nawet gdybyś nie chciał popełnić tak skrajnego czynu... Alanie, życie jest długie i nudne, jeśli nie przeżywa się go tak, jak by się chciało.

- Nie trzeba mnie przekonywać, przecież się zobowiązałem.

Mercedes dojechał do bulwaru Haussmanna i z dużą prędkością mknął pasem dla autobusów, wyprzedzając wszystkie samochody stojące w korku.

- Konfrontując się z rzeczywistością, uświadomisz sobie, że nie jest aż tak okropna, i będziesz mógł w końcu pozwolić sobie na to, na co dzisiaj brakuje ci odwagi. Chcę również, żebyś zmienił swoje podejście do życiowych zdarzeń. Słuchając cię wczoraj, często byłem zaskoczony sposobem, w jaki przedstawiasz sprawy, które przeżywasz na co dzień. Uważam, że przybierasz postawę ofiary.

- Postawę ofiary?

- To tylko określenie służące mówieniu o pozycji, w jakiej ustawiają się niektórzy, nawet o tym nie wiedząc. Chodzi o przeżywanie tego, co nas spotyka, jakby było nam narzucone, i uleganie temu wbrew sobie.

- Nie czuję, żebym tak postępował.

- Bez wątpienia nie jesteś tego świadomy, ale często stawiasz się w pozycji ofiary, kiedy używasz zwrotów takich jak: nie mam szczęścia; nie dzieje się tak, jakbym chciał; wolałbym... Kiedy opisujesz mi swoją codzienność i coś nie dzieje się tak, jak chcesz, masz tendencję do mówienia: trudno, szkoda, wszystko jedno, ale nie mówisz tego z mądrością kogoś, kto spokojnie akceptuje sytuację. Nie, mówisz to z żalem. To akceptacja pełna rezygnacji, wspominasz czasem, że nie taki był twój wybór. Poza tym... chwilami masz skłonność do uskarżania się. To wszystko wskazuje, że upodobałeś sobie rolę ofiary...

- Być może nieświadomie przyjmuję tę rolę, ale na pewno nie upodobałem jej sobie.

- Owszem. Na pewno znajdujesz w tym korzyści. Nasz mózg funkcjonuje tak: w każdej chwili skłania nas do tego, co uważa za najlepszy wybór. To znaczy, że w każdej sytuacji, którą właśnie przeżywasz, twój mózg wybierze z tego, co potrafisz, to, co wydaje mu się najodpowiedniejsze, co przyniesie najwięcej korzyści. Wszyscy funkcjonujemy w ten sposób. Problem w tym, że nie wszyscy dysponujemy taką samą gamą wyborów. Niektórzy ludzie przyswoili sobie bardzo różne postawy i zachowania. Kiedy spotyka ich zatem konkretna sytuacja, ich mózg dysponuje szerokim wyborem możliwych reakcji. Inni mają tendencję do postępowania zawsze tak samo i w tym wypadku wybór jest ograniczony. Wówczas zachowanie rzadko jest odpowiednie - wyjaśniał.

- Dam ci konkretny przykład. Wyobraź sobie dyskusję dwóch nieznajomych na ulicy. Jeden czyni drugiemu nieuzasadnione wyrzuty. Jeśli ten drugi ma wiele strzał w kołczanie, będzie mógł na przykład argumentować, żeby dowieść, iż oponent się myli, albo zamienić krytykę w szyderstwo pod przykrywką dowcipu, lub też zada mu kłopotliwe pytania, żeby zmusić go do uzasadnienia swojej postawy. Może też postawić się na jego miejscu i

spróbować zrozumieć powód wyrzutów, a wszystko po to, żeby pokazać, iż przeciwnik się myli, nie naruszając przy tym dobrych stosunków. Może też zignorować go, idąc w swoją stronę. Jednym słowem, jeśli potrafi to wszystko w momencie, kiedy słyszy jakiś wyrzut, jego mózg dysponuje wieloma możliwościami odpowiedzi i bardzo prawdopodobne, że wybierze najwłaściwszą w danej sytuacji - taką, która przyniesie najwięcej korzyści. Teraz wyobraź sobie kogoś, kto tego wszystkiego nie potrafi; możliwe, że jedynym wyborem, do jakiego ma dostęp jego mózg, będzie obrażenie drugiej osoby lub płaszczenie się przed nią. Ale w każdym z tych wypadków będzie to jego najlepszy wybór.

- Chce mi pan powiedzieć, że jestem trochę ograniczony, tak?

- Powiedzmy, że w tym szczególnym kontekście, w którym sprawy nie toczą się tak, jak byś sobie życzył, tak, dysponujesz małym wyborem. Masz tendencję do stawiania się zawsze w roli ofiary.^{5v}

- Jeśli założymy, że to prawda, jakie miałbym z tego korzyści?

- Tak jak to wczoraj udowodniłem, lubisz uchodzić za osobę, która stara się dla innych, i masz nadzieję, że zostaniesz doceniony w zamian za swoje poświęcenie. Poza tym lubisz się trochę uskarżać i zyskiwać w ten sposób sympatię ludzi. Między nami mówiąc, to wszystko bzdury. Wszystkie badania wskazują na to, że pociągają nas bardziej ci, którzy uznają swój wybór i żyją zgodnie z nim. Twoje narzekania wzruszają zatem tylko ciebie.

- Co nie znaczy, że patrząc na moje życie obiektywnie, naprawdę obiektywnie, nie uważam, że miałem jak dotąd mniej szczęścia niż inni. Zacznijmy od środowiska, z którego pochodzę. O wiele łatwiej być szczęśliwym, kiedy człowiek urodzi się w sprzyjającym środowisku, gdzie ma wszystko, czego chce.

- Przestań! To wszystko bzdury.

- Absolutnie nie. Wszyscy socjologowie panu powiedzą, że dzieci pochodzące ze środowisk uprzywilejowanych mają statystycznie więcej szans, żeby skończyć studia, niż dzieci z gorszych środowisk, a zatem mają lepszy dostęp do bardziej cenionych stanowisk.

- To nie ma jednak nic wspólnego ze szczęściem! Można być nieszczęśliwym inżynierem albo szczęśliwym robotnikiem. Poza tym przypominam, że jesteś urzędnikiem. niesprawiedliwość dotyczy przede wszystkim miłości i wykształcenia, jakie dziecko otrzymuje od rodziców, co rzeczywiście ma wpływ na jego przyszłe szczęście. Zgadzam się z tym, że są tacy, którzy mają mniej sprzyjające warunki. Ale to nie ma związku ze środowiskiem społecznym. Bogatym jest się wtedy, kiedy umie się dawać miłość swoim dzieciom i dozować surowość, żeby je wychować! Rozejrzyj się dookoła.

- Dobrze. W każdym razie, jeśli o to chodzi, nie może pan powiedzieć, że miałem

szczęście. Nie miałem nawet ojca!

- Tak, ale teraz jesteś dorosły i możesz się nauczyć robić coś innego niż uzalać się i płakać nad swoim losem.

Mercedes skręcił w bulwar Malesherbes, potem ruszył w kierunku Batignolles. Byłem bardzo rozzłoszczony słowami Dubreuil.

- Alan...

- Co?

- Nie ma szczęśliwych ofiar. Słyszysz? Nie istnieją.

Zamilkł na kilka chwil, jakby chciał, żeby jego słowa we mnie zapadły. Odebrałem to zdanie jak strzałę wbitą w serce, a jego milczenie wciskało ją w ranę.

- Dobrze, OK. Jak to się robi, żeby już nie stawiać się w roli ofiary? Bo jeśli jest to nieświadome, nie wiem, jak mógłbym się od tego uwolnić.

- Dla mnie najlepszym sposobem jest nauczyć się robić coś innego. Powtarzam: jeśli stawianie się w roli ofiary jest twoim najlepszym wyborem, to oczywiste, że twój mózg nie ma wielu innych możliwości. Musisz je więc rozwinąć. Rozumiesz, natura nie znosi pustki. Jeśli próbuje się po prostu wyjść z pozycji ofiary, a nie umie się jej niczym zastąpić, nie uda się. Będziesz odporny na zmiany. Najważniejsze, abyś odkrył, że możesz zachować się inaczej. Potem, o to już jestem spokojny, twój mózg szybko wybierze tę nową opcję, jeśli przyniesie ci ona więcej korzyści.

- A co to będzie, ta nowa opcja?

- Cóż, nauczę cię dostawać na co dzień to, czego chcesz. Jeśli ci się uda, nie będziesz już potrzebował stawiać się w roli ofiary. Posłuchaj, wiem, że to była anegdota, ale zmroziło mnie, kiedy opowiedziałeś mi wczoraj, że brak szczęścia towarzyszy ci nawet w nic nieznaczących sprawach życia codziennego. Powiedziałeś, że gdy kupujesz bagietkę, dostajesz zawsze zbyt wypieczoną, a tymczasem lubisz białą!

- Właśnie.

- Ależ to bzdury! To znaczy, że nie jesteś nawet zdolny powiedzieć: „Nie, ta jest zbyt wypieczona, chciałbym tę obok”.

- Ależ owszem, jestem do tego zdolny! Po prostu nie chcę denerwować sprzedawczynie, kiedy ma mnóstwo klientów. To wszystko.

- To by jej zabrało dwie sekundy! Ty wolisz jednak jeść zbyt wypieczoną bułkę, której nie lubisz, niż zabrać jej dwie sekundy! Prawda jest taka, że nie masz odwagi jej tego powiedzieć. Boisz się jej sprzeciwić, żeby dostać to, czego chcesz. Boisz się, że uzna cię za wymagającego, niemiłego i nie polubi cię. Obawiasz się też, że inni klienci będą źli i

zniecierpliwieni.

- Możliwe...

- Na łożu śmierci będziesz mógł powiedzieć: „Nie zrobiłem żadnego użytku ze swojego życia, nie dostałem niczego, co chciałem, ale wszyscy uważali, że jestem miły”. Genialne.

Zaczynałem czuć się naprawdę źle. Odwróciłem oczy od tego człowieka, który wypowiadał niepokojące kwestie, i pozwoliłem mojemu wzrokowi ślizgać się po budynkach, sklepach i ludziach przechodzących ulicą.

- Mam wspaniałą wiadomość - powiedział.

- Ach tak?

Sceptycznie nastawiony, nawet na niego nie spojrzałem.

- Wspaniała wiadomość jest taka, że to wszystko należy już do przeszłości. Nigdy więcej nie będziesz jadł zbyt wypieczonych bułek. Już nigdy - dodał, obserwując okolicę. - Vladi, zatrzymaj się!

Szofer zatrzymał mercedesa i włączył światła ostrzegawcze. Samochody wyprzedzały nas, trąbiąc.

- Na co masz ochotę? - zapytał Dubreuil, wskazując na piekarnię.

- W tej chwili na nic. Absolutnie na nic.

- Bardzo dobrze. W takim razie wejdiesz, poprosisz o bagietkę, ciastko albo cokolwiek innego, a kiedy ci je podadzą, znajdziesz pretekst, żeby zmienić zdanie i poprosić o coś innego. Za drugim razem wymyślisz jakąś inną wymówkę, a za trzecim i czwartym jeszcze inną. W końcu powiesz im, że nie chcesz niczego, i wyjdiesz.

Poczułem ucisk w żołądku, twarz mnie piekła. Przynajmniej przez piętnaście sekund nie mogłem wydusić z siebie słowa.

- Nie mogę tego zrobić.

- Owszem, możesz. Za kilka minut się przekonasz.

- To ponad moje siły.

- Vladi!

Kierowca wstał, otworzył mi drzwi i czekał. Spiorunowa-łem Dubreuila wzrokiem i wysiadłem wbrew sobie. Rzut oka na piekarnię. Największy ruch, na godzinę przed zamknięciem. Czuję, że serce wali mi jak szalone.

Stałem w kolejce z takim uczuciem, jakbym czekał na szafot. Po raz pierwszy od przyjazdu do Francji zapach świeżego pieczywa mnie odpychał. W środku wrzało jak w ulu. Sprzedawczyni powtarzała kasjerce zamówienia klientów, ta wypowiadała je na głos,

inkasując należność, a jej koleżanka zajmowała się już następnym klientem. Świetnie zgrana orkiestra. Kiedy nadeszła moja kolej, za mną czekało już osiem albo dziewięć osób. Przełknąłem ślinę.

- Dla pana? - zwróciła się do mnie sprzedawczyni piskliwym głosem.
- Poproszę bagietkę. - Mój głos brzmiał głucho, jakby uwiązł w gardle.
- Bagietka dla pana!
- Euro dziesięć - powiedziała kasjerka.

Miała włos na języku i pluła, mówiąc, ale nikt nie myślał o tym, żeby schować pieczywo.

- Słucham panią. - Sprzedawczyni obsługiwała już następnego klienta.
- Bułeczkę z czekoladą.
- Bułeczka dla pani!
- Przepraszam, miałyby pani mniej wypieczoną? - wykrztusiłem.
- Euro dwadzieścia od pani.
- Proszę - powiedziała sprzedawczyni, podając mi inną bagietkę. - Słucham panią?
- Chleb krojony poproszę.
- Yyy... przepraszam. Jednak wezmę chleb z otrębami. - Mój głos ledwo się

wydobywał. Nie słyszała mnie.

- Krojony dla pani!
- Euro osiemdziesiąt.
- Co dla pani?
- Nie, nie, przepraszam - wydukałem w końcu. - Ostatecznie wezmę chleb z otrębami.
- Chleb z otrębami oprócz bagietki dla pana!
- Razem trzy euro piętnaście - powiedziała kasjerka, tryskając śliną.
- Słucham, młodzieńcze.
- Nie, to zamiast bagietki, a nie oprócz.
- Dwa chleby - poprosił młody mężczyzna.
- Dobrze, w takim razie dwa euro pięć i dwa dziesięć młody człowiek.
- Słucham panią - zwróciła się sprzedawczyni do kolejnej klientki.

Poczułem się źle. Nie miałem odwagi brnąć dalej. Rzut oka w stronę Dubreuila. Kierowca stał obok samochodu z założonymi rękoma. Nie spuszczał mnie z oka.

- Pół dobrze wypieczonej bagietki - odrzekła starsza pani.
- Przepraszam - powiedziałem do sprzedawczyni - zmieniłem zdanie. Przykro mi, ale ostatecznie ja też wolałbym pół bagietki.

- No nie, ten człowiek nie wie, czego chce - skomentowała piskliwym głosem, biorąc drugą połówkę bagietki, którą przekroiła dla starszej pani.

Było mi strasznie gorąco. Pociłem się w garniturze.

- Sześćdziesiąt centymów od pani i tyle samo od pana.

- Dla pani?

- Zastanawiam się - odpowiedziała młoda kobieta, przyglądająca się ciastkom z wyraźnym poczuciem winy. Widocznie oceniała kaloryczność każdego z nich.

- Jeszcze jakiś problem, proszę pana? - zapytała podejrzliwie sprzedawczyni.

- Niech pani posłucha... naprawdę mi przykro... wiem, że... nadużywam cierpliwości, ale... jednak chleb. Myślę, że zdecyduję się na chleb pszenny. Tak, dokładnie! Chleb pszenny!

Spojrzała na mnie z wyraźną wściekłością. Nie miałem odwagi się odwrócić, ale odniosłem wrażenie, że klienci stojący za mną zaraz złapią mnie za kark i wyrzucą za drzwi.

Kobieta westchnęła i odwróciła się po chleb.

- Stop! Ostatecznie...

- Tak? - Była na skraju załamania nerwowego.

- Chcę... nic... ostatecznie nic nie chcę. Dziękuję... przepraszam... dziękuję.

Odwróciłem się i przeszedłem wzdłuż kolejki ze spuszczoną głową, nie patrząc na ludzi. Wybiegłem jak złodziej.

Kierowca czekał na mnie, drzwi samochodu były już otwarte, jak gdybym był ministrem, ale czułem taki wstyd, jakbym był małym chłopcem przyłapanym na próbie kradzieży słodczy ze sklepowej lady. Wsiadłem do mercedesa cały spocony.

- Jesteś czerwony jak Anglik, który spędził miesiąc na Lazurowym Wybrzeżu - powiedział Dubreuil bardzo rozbawiony.

- To nie jest śmieszne. Zupełnie nieśmieszne.

- Widzisz, udało ci się.

Nie odpowiedziałem. Samochód ruszył.

- Być może to było za trudne jak na początek - przyznał. - Ale obiecuję, że za kilka tygodni będziesz w stanie zrobić coś takiego i dobrze się przy tym bawić.

- Nie jestem zainteresowany! Nie chcę stać się upierdliwym-cem! Nie znoszę ludzi zbyt wymagających, którzy wszystkich denerwują. Nie chcę być do nich podobny!

- Przecież nie masz się stać kimś denerwującym. Nie chciałbym, żebyś popadał ze skrajności w skrajność. Chcę, żebyś umiał dostawać to, czego chcesz, nawet za cenę przeszkodzenia komuś. Kto umie wiele, potrafi też niewiele. A zatem będę cię zmuszał, żebyś robił na razie trochę więcej, niż to konieczne, po to, abyś potem mógł poprosić o coś na luzie.

- A więc jaki jest następny etap?

- W nadchodzących dniach odwiedzisz co najmniej trzy piekarnie dziennie i w każdej z nich dwa razy poprosisz o coś innego. To nie takie straszne.

W porównaniu z tym, co przed chwilą zrobiłem, wydało mi się to rzeczywiście akceptowalne.

- Jak długo mam to robić?

- Do czasu, aż stanie się to dla ciebie zupełnie naturalne, nie będzie wymagało żadnego wysiłku. Pamiętaj, że możesz być wymagający i zarazem sympatyczny. Nie trzeba być niemiłym.

Mercedes dojechał przed mój dom. Vladi wysiadł i otworzył mi drzwi. Haust świeżego powietrza.

- Miłego wieczoru - powiedział Dubreuil.

Wysiadłem bez odpowiedzi.

Etienne wylazł spod schodów, otwierając szeroko oczy na widok samochodu.

- Proszę, proszę, młody pan sobie nie żałuje - powiedział, zbliżając się.

Wziął swój kapelusz i udawał, że zamiata przede mną chodnik, cofając się, kiedy ja szedłem naprzód.

- Pan prezes.

Nagle poczułem się w obowiązku dać mu drobnika.

- Jaśnie pan bardzo hojny - powiedział zachrypniętym głosem, wykonując przesadnie służalczy ukłon. Miał przebiegłą minę kogoś, kto zawsze dostaje to, czego chce.

*

Yves Dubreuil chwycił telefon i nacisnął dwa guziki.

- Dobry wieczór, Catherine, to ja.

- I jak?

- Jak na razie robi, co mu każę. Wszystko przebiega zgodnie z planem.

- Nie sądzę, żeby to długo potrwało. Mam wielkie wątpliwości.

- Zawsze masz wątpliwości, Catherine.

- W końcu się zbuntuje.

- Mówisz tak, bo ty byś się zbuntowała, gdybyś była na jego miejscu.

- Może.

- W każdym razie nigdy nie widziałem kogoś, kto tak bardzo bałby się własnego cienia.

- I to mnie niepokoi. Dlatego sądzę, że nie będzie miał odwagi zrobić wszystkiego, co

mu każesz.

- Wręcz przeciwnie. Jego strach nam pomoże.

- Jak to?

- Jeśli nie będzie chciał słuchać, zrobimy tak, żeby słuchał. Zastraszymy go.

Cisza.

- Jesteś odpychający, Igorze.

- Owszem.

4

Pod koniec tygodnia znalazłem już wszystkie piekarnie w osiemnastej dzielnicy. W końcu stwierdziłem, że najlepszy chleb można kupić w oddalonej ode mnie o dwa kroki, do której zwykle chodziłem, być może także z powodu jej bliskości.

Kupowałem teraz trzy bagietki dziennie, a nadmiar dawałem Etienne'owi. Na początku był zadowolony, ale po pięciu dniach powiedział, że ma już dość jedzenia pieczywa!

Istota ludzka jest tak skonstruowana, że przyzwyczajają się do wszystkiego albo prawie do wszystkiego. Muszę przyznać, że to, co na początku wymagało ode mnie nadludzkiego wysiłku, po tygodniu było już tylko kwestią determinacji i świadomej decyzji. Pewnego wieczoru spotkałem sąsiada i rozmawialiśmy, stojąc w kolejce. Kiedy nadeszła moja kolej i dostałem zbyt wypieczoną bagietkę, nie miałem odruchu poproszenia o inną. Wystarczyło, żeby moja uwaga została rozproszona, a wracałem do dawnego przyzwyczajenia, aby zgadzać się na wszystko, co mi proponowano. Byłem więc dobrze leczony, ale jeszcze niewyleczony.

Moje biurowe życie wydawało mi się teraz jeszcze bardziej szare niż kiedykolwiek. Czy po to, żeby zrekompensować pogorszenie atmosfery w zespole, Luc Fausteri zaproponował konsultantom ze swojego działu wspólny poranny jogging? Ponieważ nie należał do ludzi kreatywnych, byłem pewien, że ten dziwaczny pomysł nie powstał w jego głowie. Musiał to znaleźć w książce typu team building, coś w stylu: przemień współpracowników w zwycięzców... W każdym razie projekt został zaakceptowany przez zwierzchników, gdyż Gregoire Larcher, szef Fausteriego, zgodził się na zamontowanie pryszniców w budynku. Cud.

W ten sposób konsultanci spotykali się rano, żeby wdychać do płuc wyziewy alei de l'Opera i ulicy Rivoli, albo umawiali się w ogrodzie Tuileries, gdzie powietrze było trochę mniej zanieczyszczone. Biegali, nie mówiąc ani słowa. Mój szef był niemalże tak rozmowny jak pracownik zakładu pogrzebowego. W każdym razie przedsięwzięcie miało na celu

stymulację zaciekleści, a nie zacieśnianie więzów. Fausteri zachowywał taki sam dystans jak zwykle. Udało mi się odrzucić propozycję - piekarnie osiemnastej dzielnicy jednak na coś się przydały - gdyż moje przykre doświadczenia z baseballlem na zawsze zniechęciły mnie do sportu. Przyłączanie się do grupy zziąpanych facetów, którzy czują się męscy, bo wykonują wysiłek fizyczny, zdecydowanie mnie nie pociągało. Nie znosiłem też idiotycznego zwyczaju spotykania się nago pod prysznicem, jeśli o mnie chodzi, nie miałem najmniejszej ochoty oglądać mojego szefa w stroju Adama.

Mam wrażenie, że im bardziej faceci uważają się za męskich, tym bardziej dwuznaczne zachowania seksualne prezentują. Co bowiem sądzić o rytuale piłkarzy, którzy wymieniają się koszulkami po meczu, mieszając tym samym swój pot z potem przeciwnika?

Każdego dnia przychodziłem do biura za pięć dziewiąta, żeby być już w pracy, kiedy drużyna powróci ze swoich porannych wyczynów. Dzięki temu informacja była czytelna: kiedy wy sobie podskakujecie, inni harują. Nie można mi było zatem niczego zarzucić, a jednak poziom wyrzutów delikatnie wzrósł. Jak już raz Fausteri wpadł na oryginalny pomysł, wściekł się, że nie chciałem się przyłączyć. Zrobił sobie ze mnie kozła ofiarnego, robiąc mi nieustannie nieprzyjemne uwagi dotyczące wszystkiego i niczego. Począwszy od koloru koszul, czystości butów, aż po czas, jaki poświęcam na spotkania z kandydatami, nic nie umykało jego złośliwym komentarzom.

Newralgiczny punkt znajdował się jednak gdzie indziej - chodziło o liczbę podpisywanych kontraktów. Zadaniem każdego konsultanta było samodzielne wyszukiwanie firm, które zwrócą się z prośbą o znalezienie pracowników, a więc miał do spełnienia podwójną rolę - rekrutującego i handlowca. Od czasu naszego wejścia na giełdę ta druga wzięła górę nad pierwszą. Konsultanci musieli wyznaczać sobie wynik, jaki mają uzyskać.

Nasz dział organizował teraz spotkania handlowe w każdy poniedziałek rano. Decyzja bez wątpienia nie pochodziła od Fausteriego. Jako introwertyk nie znosił bowiem przebywać wśród nas. To Larcher musiał mu ją narzucić. Ale mój szef był bardzo inteligentny i umiał się wykręcić od niewdzięcznego zadania prowadzenia tych cotygodniowych spotkań. Zajmował się tym sam Larcher, co dobrze mu wychodziło, bo bardzo lubił skupiać na sobie uwagę i wtrącać się we wszystko. Fausteri, zadowolony, siedział cicho obok niego, odgrywając rolę zdystansowanego eksperta, który zabiera głos tylko wtedy, gdy jest to naprawdę konieczne, odmawia natomiast brania udziału w debatach plebsu. Mierzył maluczkich lekko pobłażliwym i znudzonym spojrzeniem, zastanawiając się bez wątpienia, dlaczego ciągle muszą powtarzać te same głupoty. Co do tego ostatniego niezupełnie się mylił.

Tamtego dnia spotkałem na korytarzu Thomasa.

- Przedwczoraj myśleliśmy, że nie żyjesz! - rzucił ironicznie w moją stronę.

Stary, gdybyś tylko wiedział - pomyślałem, a głośno odrzekłem:

- Musiałem zwalczyć wirusa. Na szczęście nie trwało to długo.

Wszystkim wam byłoby na rękę, gdybym był chory - dodałem w duchu. Wtedy nie pokonałbym was na koniec miesiąca. Typowe!

- Dobra, w takim razie nie zbliżam się do ciebie - oznajmił, cofając się o krok.

Thomas miał najlepsze wyniki w całym zespole i nie przepuszczał okazji, żeby nam o tym przypomnieć. Cały świat musiał się o tym dowiedzieć. Przyznaję, że jego wyniki robiły wrażenie. To był tytan pracy, który wyrabiał nieprawdopodobne nadgodziny, regularnie obchodził się bez obiadu i tak bardzo skupiał się na swoich celach, że zapominał czasem przywitać się z osobami mijanymi na korytarzu. W każdym razie nigdy nie ucinał sobie pogawędek, chyba że miał okazję się pochwalić, czy to informując o swoich kwartalnych wynikach, czy też o najnowszym modelu coupe, który właśnie kupił, albo o tym, że poprzedniego dnia jadł kolację w modnej restauracji, o której mówił cały Paryż. Nigdy nie przepuszczał okazji, żeby się popisać, a słowami innych interesował się tylko wtedy, kiedy przy okazji mógł nadmienić o własnych wyczynach, świetnych wynikach lub o tym, co posiadał. Jeśli mówiło mu się: „Ładny masz samochód”, reagował, jak gdyby komplement dotyczył jego wyglądu albo inteligencji, i dziękował z uśmiechem zwycięzcy. Był wówczas zdolny przywołać znaną osobę, która jeździ takim samym samochodem, albo niby przypadkiem zdradzić zawrotną sumę, jaką na niego wydał. Wszystko, co dotyczyło Thomasa, było przemyślane i miało kreować wizerunek, począwszy od marek ubrań i dodatków, poprzez dowcipy, fryzurę, filmy i książki, o których mówił przy stole, aż po „Financial Times” niedbale trzymany pod pachą. Nic nie było pozostawione przypadkowi, nic też nie zdradzało osobistych upodobań. Każdy gest, każde słowo należało do osoby godnej podziwu, którą stworzył i z którą się identyfikował. Męczyło mnie jedno: czy robił to świadomie, czy też sam siebie oszukiwał?

Czasem wyobrażałem sobie Thomasa nagiego na bezludnej wyspie, bez garnituru od Armaniego, krawata Hermesa, mokasyń Weston, teczki Vuittona, pozbawionego celów wyrażających się liczbami i chwałą, którą należy osiągnąć. W dodatku, w promieniu stu kilometrów nie byłoby nikogo, na kim można by zrobić wrażenie. Widziałem go w wyobraźni, jak błędzi tam w nieskończonym otępieniu, nie umiejąc żyć bez podziwu ludzi, jak fikus z naszej poczekalni bez wody dostarczanej co tydzień przez Vanessę.

Prawdę mówiąc, myślę, że odnalazłby się w nowej roli i stał się archetypem Robinsona Cruoe, przybierając wygląd i zachowanie przykładowego rozbitka z takim samym

zaangażowaniem jak to, które wykazywał jako dynamiczny urzędnik. Kiedy, uratowany przez rybaków olśnionych jego zdolnością przetrwania, wróciłby do Francji, stałby się bohaterem. Opowieści o jego dokonaniach oglądalibyśmy na wszystkich kanałach telewizyjnych. Miałby ośmiomiesięczną brodę i przepaskę na biodrach, którą nosiłby jak nikt inny.

Okoliczności uległyby zmianie, ale nie on sam.

- Co, chłopaki, pogadamy?

Mickael to kolejny mój kolega, który lubił zaczepiać, a nawet drwić. Przynajmniej jednak nie traktował się zbyt poważnie, nawet jeśli uważał, że jest bardziej przebiegły od innych.

- Niektórzy mogą sobie na to pozwolić - odpowiedział automatycznie Thomas. Jego samouwielbienie odebrało mu poczucie humoru.

Mickael nawet nie odpowiedział. Odszedł, podśmiewając się. Zartowniś o kruczoczarnych włosach, udający cwaniaczka. Radził sobie raczej dobrze, gdyż jego wyniki były zupełnie wystarczające, ale miałem wrażenie, że trochę oszukuje. Kilkakrotnie niezapowiedziany wchodziłem do jego pokoju. Za każdym razem udawał, że jest pochłonięty obszernym dossier kandydata, podczas gdy obraz z monitora jego komputera, odbijający się w szybie biblioteczki, mógłby niektórych oburzyć. Poziom bezrobocia prowokował bowiem kandydatki do wysyłania rozbieranych zdjęć, żeby tylko ich szanse na otrzymanie posady księgowej wzrosły.

- Jest zazdrosny - powiedział Thomas poufałym szeptem.

Według niego ci, którzy nie wyrażali dla niego podziwu, byli zdecydowanie owładnięci zazdrością.

Co tydzień kontaktowały się z nami firmy, które potrzebowały rekrutacji na różne stanowiska i pytały o warunki. Vanes-sa odbierała od nich telefony, następnie przygotowywała kartę kandydata, którą przekazywała wybranemu konsultantowi. Nie trzeba dodawać, że byliśmy na to łasi - łatwiej podpisać umowę z firmą, która się do nas zwraca, niż rzucać się na głęboką wodę i dzwonić do nieznajomych, proponując nasze usługi. Vanessa powinna zatem rozdzielać karty sprawiedliwie. Ostatnio odkryłem, że wyraźnie faworyzowała Thomasa.

Widocznie zafascynowana obrazem zwycięzcy, który tworzył, musiała lubić myśl, że była mu niezbędna do osiągnięcia sukcesu. Byłem pewien, że spośród całej ekipy mam najmniej forów, mimo że przekazując mi jakiś kontakt, robiła to tak, żebym myślał, iż jej przychylność pozwoliła mi skorzystać z jedyne go zgłoszenia, jakie Dunker Consulting otrzymał od miesiąca.

Dwa tygodnie po naszym ostatnim spotkaniu Dubreuil pojawił się ponownie w podobnych okolicznościach. Wychodząc z biura, zobaczyłem mercedesa zaparkowanego dokładnie na środku chodnika.

Podszedłem, a Vladi wysiadł, obszedł samochód i otworzył mi tylne drzwi. Zgasilem niedopałek na chodniku i wypuściłem z płuc duży kłęb dymu. To było frustrujące... przed chwilą zapaliłem po całym popołudniu bez papierosa!

Bałem się mniej niż poprzednim razem, ale jednak lekka obawa ścisnęła mi żołądek, kiedy zastanawiałem się, w jakim sosie mnie dziś zjedzą.

Mercedes ruszył, zjechał z chodnika, przeciął aleję de l'Opera oraz linię ciągłą i zawrócił w kierunku Luwru. Dwie minuty później sunęliśmy ulicą Rivoli.

- Czy w piekarniach poległeś z bronią w ręku?

- Będę jadł chleb z supermarketu przez miesiąc, żeby o tym zapomnieć.

Dubreuil uśmiechnął się sadystycznie.

- Dokąd mnie dzisiaj zabieracie? - zapytałem.

- Widzisz, robisz postępy! Ostatnio nawet nie odważyłeś się zapytać. Pozwoliłeś wieść się jak więzień.

- Jestem więźniem mojego zobowiązania.

- To prawda - potwierdził zadowolony.

Dojechaliśmy na plac Zgody. Cisza we wnętrzu luksusowego wozu kontrastowała z harmidrem, jaki powodowali kierowcy jadący we wszystkich kierunkach, przyspieszający na kilku metrach, żeby wyprzedzić jeden czy dwa samochody. Przez ułamek sekundy na ich skupionych twarzach można było dojrzeć satysfakcję, ale było to tylko iluzoryczne zwycięstwo, bo zaraz znowu stawali w korku. Wielkie ciemne chmury przepływały przez białe niebo nad gmachem Zgromadzenia Narodowego. Skręciliśmy w prawo w kierunku Pól Elizejskich i otworzyła się przed nami aleja, wyrafinowana w swej przestronności i elegancji część miasta, rozświetlona przez jasne niebo, z Łukiem Triumfalnym zarysowanym na horyzoncie. Mercedes przyspieszył.

- A więc dokąd jedziemy?

- Jedziemy sprawdzić postępy, które poczyniłeś, żeby się upewnić, iż możemy przejść do kolejnych zadań.

- To sformułowanie nie spodobało mi się. Przypominało niektóre przerażające testy, jakim moja firma poddawała kandydatów.

- Nigdy panu tego nie mówiłem, ale zdecydowanie wolę testy teoretyczne, w stylu:

kartka i okienka do zaznaczania.

- Życie to nie teoria. Wierzę tylko w efekty doświadczeń, które przeżyło się w rzeczywistości. Tylko prawdziwe doświadczenia mogą zmienić człowieka. Wszystko inne to czcza gadanina albo intelektualna masturbacja.

Drzewa przemykały po mojej prawej stronie, potem pojawiły się pierwsze kolejki przed kinami.

- A więc co pan dziś dla mnie wymodził? - zapytałem, udając pewność siebie, podczas gdy wcale nie czułem się dobrze.

- Powiedzmy, że zamkniemy ten rozdział, zmieniając sklep.

- Zmieniając sklep?

- Tak, z piekarni madame Iks udamy się do prestiżowego jubilera.

- Żartuje pan? - odparłem, wątpiąc.

- W zasadzie nie ma większej różnicy.

- Ależ owszem! To nie ma ze sobą nic wspólnego.

- W obu wypadkach masz do czynienia z osobą, która jest po to, żeby ci coś sprzedać.

To ta sama sytuacja. Nie wiem, w czym problem.

- Ależ dobrze pan wie! Niech pan nie zgrywa idioty!

- Podstawowa różnica znajduje się w głowie.

- Ale ja nigdy nie wchodziłem do znanych jubilerów! Nie jestem przyzwyczajony do tego typu miejsc.

- Trzeba kiedyś zacząć. Wszystko ma swój początek.

Takie miejsce na tyle mnie onieśmielało, że czułbym się niezręcznie, zanimbym się odezwał. To podstęp.

- Co dokładnie cię zawstydzia? - zapytał Dubreuil z lekkim uśmiechem na ustach.

- Nie wiem... Ci ludzie nie mają zwyczaju obsługiwać takich jak ja... Nie umiałbym się zachować.

- Nie ma konkretnego typu klienta. To sklep jak każdy inny, tylko że towar jest tam droższy niż gdzie indziej. Dlatego możesz być bardziej wymagający!

Mercedes zatrzymał się równoległe do chodnika. Byliśmy na początku Pól Elizejskich. Vladi włączył światła ostrzegawcze. Patrzyłem prosto przed siebie, domyślając się, że mój szafot jest po prawej, tuż w zasięgu wzroku. Wolałem pozwolić się hipnotyzować samochodom skręcającym na plac Gwiazdy, przypominającym setki wściekłych mrówek, które posuwając się tyralierą, wymijały się bezkolizyjnie.

Zebrałem się na odwagę i lekko odwróciłem głowę w prawo. Budynek z ciosanego

kamienia wznoszący się obok wyglądał imponująco. Ogromna witryna zajmowała dwa piętra, dominowała, robiła wrażenie. Nad nią złotymi literami wypisana była nazwa, imię mojego kata: Cartier.

- Wyobraź sobie - mówił Dubreuil - jakie byłoby twoje życie, gdyby nie istniała sytuacja, która mogłaby wprowadzić cię w zakłopotanie.

- To nie takie proste, jeszcze mi do tego daleko.

- Jedynym sposobem, żeby do tego dojść, jest zderzenie się z rzeczywistością, konfrontacja z przedmiotem twojego strachu, aż do czasu, kiedy strach zniknie. Chowanie się w swoim azylu tylko potęguje obawę przed nieznanym.

- Może tak - odparłem bez przekonania.

- No dalej, powiedz sobie, że ludzie, którzy będą cię obsługiwali, są takimi samymi pracownikami jak ty i bez wątpienia też nie mają środków, żeby kupować biżuterię u Cartiera.

- Co dokładnie mam zrobić? Jakie jest moje zadanie?

- Poprosisz o pokazanie zegarków. Musisz przymierzyć z piętnaście, zadawać mnóstwo pytań i wyjść, nie kupując niczego.

Mój poziom stresu wzrósł w jednej chwili.

- Ale najpierw muszę zapalić.

- I jeszcze coś...

- Co?

Wziął swoją komórkę, wybrał numer, po czym w jego wewnętrznej kieszeni rozległ się dyskretny dzwonek. Wyjął z niej mały aparacik w kolorze cielistym, nacisnął i dzwonek się wyłączył.

- Włóż to do ucha. Dzięki temu będę słyszał, jak się męczysz, a ty będziesz mógł słyszeć mnie, jeśli będę miał ci coś do powiedzenia.

Brakowało mi słów.

- Ależ to obłąd!

- Jeszcze jedno...

- Co jeszcze?

- Baw się. To najlepsza rada, jakiej mogę ci udzielić. Jeśli ci się uda, zwyciężyłeś. Przestań traktować wszystko poważnie. Nabierz trochę dystansu i przeżywaj ten sprawdzian jak zabawę. Przecież tym właśnie jest ten eksperyment, czyż nie? Zabawą. Nie masz nic do stracenia, a możesz czegoś doświadczyć.

- Nooo...

- Wiesz, każdy może widzieć swoje życie albo usiane przeszkodami, które trzeba

pokonać, albo jako rozległy plac zabaw, który oferuje wzbogacające przeżycia.

Nie odpowiedziałem. Otworzyłem drzwi i wyszedłem. Oszłomił mnie hałas ulicy, a ciepły wiatr pobudził mój odrętwiały mózg. Po szerokim chodniku przechadzali się turyści i podążały spiesznie grupki młodzieży z przedmieść, których wypłuło wejście do znajdującej się w pobliżu stacji RER-u. Na placu Gwiazdy samochody zdawały się bez końca okrążyć Luk Triumfalny.

Zrobiłem kilka kroków, zapaliłem papierosa i zaciągnąłem się, zupełnie się nie spiesząc. Przy odrobinie szczęścia policja każe przestawić mercedesa, który nie ma tu nic do roboty.

Dubreuil mówił o teście. Chciał, jak twierdził, sprawdzić moje postępy. To bez wątplenia oznaczało, że jeśli uzna je za niewystarczające, wyznaczy mi kolejne przykre zadania na nadchodzące tygodnie. Żeby się od nich uchronić, musiałem koniecznie zdobyć się na odwagę i przejść próbę zadowalająco. Nie miałem wyboru. W każdym razie on mi nie popuści, byłem pewien.

Wyrzuciłem dopalającego się papierosa na chodnik i rozgniatąłem go energicznie, kręcąc piętą dłużej, niż to było konieczne. Wzniosłem oczy ku szklanej ścianie świątyni luksusu. Dreszcz przebiegł mi wzdłuż kręgosłupa. No dalej, odwagi!

Popchnąłem obrotowe drzwi, przelękając ślinę. Obraz mojej matki harującej w pralni przebiegł mi gwałtownie przez myśl. Trzech młodych mężczyzn w ciemnych garniturach stało w szerokim wejściu z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała. Powitali mnie cicho, a jeden z nich otworzył drugie drzwi do sklepu. Próbowałem wyglądać na pewnego siebie, gdy tymczasem wkroczyłem w zupełnie obcy mi świat.

Wielka przestrzeń. Obszerne i wysokie wnętrza zdominowane było przez monumentalne schody. Obok znajdowało się duże pomieszczenie z ładami z cennego drewna, błyszczącymi jak lustra. Z sufitu zwisał olbrzymi migotliwy żyrandol. Ściany obito zamśmierzającym światło. W powietrzu unosił się delikatny zapach, który uspokajał i odurzał. Ciemnoczerwona, bardzo gruba, wyciszająca hałasy wykładzina powodowała chęć wtulenia się w nią, zamknięcia oczu i niemyślenia o czymkolwiek. Nagle... dostrzegłem damskie piękne buty na wysokich obcasach, bardzo kobiece, kierujące się... w moją stronę, stąpające z gracją jeden za drugim. Pomału podniosłem wzrok... Szczupłe, niekończące się nogi, czarna, krótka, wąska, ale opływowa spódnica. Żakiet z mocno zaciśniętym paskiem - blondynka z oczami niebieskimi jak góra lodowa, włosami idealnie gładkimi, zebranymi w kok. Lodowa piękność.

Spojrzała wprost na mnie i odezwała się bardzo profesjonalnym tonem:

- Dzień dobry panu, w czym mogę pomóc? Nie zauważyłem najmniejszego uśmiechu i zastanawiałem się, cały sparaliżowany, czy zachowywała się jak zwykle, czy już wyczuła we mnie intruza, gościa, który nigdy nie stanie się klientem. Poczułem się zdemaskowany, nagi pod jej pewnym spojrzeniem.

- Przyszedłem... obejrzyć męskie zegarki.

- Kolekcję ze złota czy ze stali?

- Ze stali - odpowiedziałem zadowolony, że mogę wybrać zestaw mniej odległy od tego, co znałem.

- Ze złota, ze złota - mruknął Dubreuil w słuchawce.

Bardzo się bałem, żeby sprzedawczyni nie usłyszała jego głosu. Wydawało się, że nie zwróciła uwagi. Milczałem.

- Proszę za mną - powiedziała tonem, który natychmiast sprawił, że pożałowałem swojego wyboru, tonem, który oznaczał: „Nie wątpiłam”. Ohyda.

Poszedłem za nią, pozwalając mojemu wzrokowi ponownie powędrować ku jej butom. Można dowiedzieć się wiele o człowieku, obserwując jego chód. Jej był pewny i wystudiowany, zero spontaniczności. Zaprowadziła mnie do pierwszego pomieszczenia i skierowała się w stronę jednej z drewnianych lad. Malutki złocony kluczyk zatańczył w jej palcach profesjonalistki o czerwonych, idealnie zadbanych paznokciach, po czym pozioma szyba się uniosła. Kobieta wyjęła spod niej cienką tacę przykrytą aksamitem, na której majestatycznie spoczywały zegarki.

- A więc mamy modele: Pasha, Roadster, Santos i słynny francuski Tank. Te są mechaniczne samonakręcające się. W bardziej sportowym stylu mamy chronoscaph z bransoletą z kauczuku, inkrustowaną stalą, wodoodporny do głębokości stu metrów...

Nie słuchałem jej wywodów. Słowa odbijały się w mojej głowie, a ja nawet nie próbowałem uchwycić ich sensu. Moją uwagę przykuwały precyzyjne gesty towarzyszące temu, co mówiła. Wskazywała każdy zegarek smukłym palcem, nawet go nie dotykając, tak jakby kontakt mógł go zniszczyć. Jej gesty znacznie podnosiły w świadomości klienta wartość tego nieruchomego zbioru ze zwykłego metalu.

Musiałem coś powiedzieć, poprosić o możliwość przymierzenia, ale moja umiejętność rozmowy, zwykle wystarczająca, wobec profesjonalizmu sprzedawczyni okazała się o wiele za słaba. Jej słowa i gesty wskazywały na taką biegłość, taki perfekcjonizm, że obawiałem się, iż ujdę za tępaka, jeśli się odezwę.

Nagle przypomniałem sobie, że Dubreuil mnie podsłuchuje. Musiałem rzucić się na

głęboką wodę.

- Chciałbym przymierzyć tamten - powiedziałem, wskazując zegarek z kauczukową bransoletą.

Założyła białą rękawiczkę, jak gdyby odciski jej palców mogły zniszczyć nieskazitelność zegarka, chwyciła go koniuszkami zręcznych palców i podała mi. Byłem niemal zawstydzony, że mam go dotykać gołymi rękami.

- To jeden z naszych najnowszych modeli. Mechanizm kwarcowy w stalowej kopercie, funkcja zegarka i trzy liczniki.

Zegarek kwarcowy... Nawet nie prawdziwy zegarmistrzowski mechanizm. Na bazarach można znaleźć tysiące zegarków kwarcowych za mniej niż dziesięć euro...

Już miałem go założyć, kiedy uświadomiłem sobie, że na nadgarstku mam swój własny. Fala wstydu spowodowała, że dostałem gęsiej skórki. Nie mogłem popisać się fantazyjnym plastikowym zegarkiem, który krył się pod mankietem marynarki. W jednej chwili zdjąłem go, bez wątpienia groteskowym ruchem, zakrywając go dłonią, i wsunąłem zwinnie do kieszeni, skąd już się nie wy dostał.

- Może pan położyć go na tacy - powiedziała z fałszywą uprzejmością.

Byłem przekonany, że dostrzegła moje zakłopotanie i chciała je powiększyć. Podziękowałem. Twarz mnie piekła. Obym tylko się nie zaczerwienił... Nawiązałem do pierwszej rzeczy, jaka przyszła mi na myśl, żeby tylko odwrócić jej uwagę.

- Ile wytrzymuje bateria?

Pytanie natychmiast podwoiło moje zmieszanie. Musiałem być pierwszym klientem w całej historii Cartiera, który zapytał o coś takiego. Kto spośród tej klienteli martwiłby się o żywotność baterii?

Sprzedawczyni odczekała kilka sekund, chcąc dać mi czas, żebym sobie uświadomił, do jakiego stopnia moje pytanie było nie na miejscu, i pozwolić, aby fala wstydu przeniknęła mnie do głębi. Tortura. Było mi coraz bardziej gorąco.

- Rok.

Musiałem się uspokoić, skoncentrować. Próbowałem się rozluźnić, patrząc na zegarek z udawanym zainteresowaniem.

Szybkim gestem wsunąłem go na nadgarstek, chcąc pokazać, że jestem przyzwyczajony do posługiwania się tego rodzaju luksusowymi przedmiotami. Pociągnąłem zapięcie bransolety, próbując zachować tę samą biegłość, ale mój ruch został gwałtownie zatrzymany: podwójne metalowe zapięcie zablokowało się. Musiałem zgąć jedną część w złą stronę. Otworzyłem zapięcie w pośpiechu i spróbowałem innego manewru. Nacisnąłem,

udając delikatność, ale zablokowało się jeszcze bardziej.

- Zapięcie zamyka się odwrotnie - powiedziała, jakby to było oczywiste. - Pozwoli pan?

Ponownie zalała mnie fala wstydu, głowa mi parowała. Obawiałem się, żeby kropelki potu nie skapnęły na tacę, i aby uniknąć tego najgorszego upokorzenia, cofnąłem się o kilka centymetrów.

Wyciągnąłem nadgarstek w jej stronę jak uciekinier kapitulujący w obliczu policjanta, który zakuwa go w kajdanki. Zapięła bransoletę z łatwością, co tylko podkreśliło moją niezręczność.

Udawałem, że oceniam estetykę kosztownego przedmiotu, poruszając nadgarstkiem, żeby spojrzeć na zegarek pod różnym kątem.

- Ile kosztuje? - zapytałem, przybierając najbardziej roztargnioną minę, na jaką było mnie stać, tak jakbym pytał o sprawę drugorzędną.

- Trzy tysiące dwieście siedemdziesiąt euro.

Wydawało mi się, że dostrzegłem nieskończoną satysfakcję w jej głosie i spojrzeniu, taką jak u egzaminatora, który mówi komuś, że nie jest dopuszczony do matury albo nie zdał egzaminu na prawo jazdy.

Trzy tysiące dwieście siedemdziesiąt euro... za zegarek kwarcowy ze stali, z kauczukową bransoletą! Chciałem ją zapytać, jaka jest różnica w stosunku do keltona za trzydzieści euro. Dubreuilowi bez wątpienia pytanie by się spodobało, ale nie byłem do tego zdolny. Jeszcze nie. Z drugiej strony, paradoksalnie, ta suma, która w moich oczach była ogromna, pozwoliła mi się trochę rozluźnić. To widoczne nadużycie częściowo uwolniło mnie od presji, jaką dotąd czułem, a magia świata luksusu i szacunek, jaki do niego żywiłem, ulotniły się.

- Chciałbym przymierzyć również tamten - oznajmiłem, zsuwając ten, który miałem na nadgarstku.

- Tank francuski zaprojektowany w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku. Mechaniczny, samonakręcający się, kaliber Cartier 120.

Założyłem go i przyglądałem mu się.

- Całkiem niezły - powiedziałem z wahaniem.

Już dwa. Ile miałem przymierzyć? Czy nie powiedział, że piętnaście? Zaczynałem się trochę rozluźniać, kiedy usłyszałem, dyskretniejszy tym razem, głos DubreUILa.

- Powiedz jej, że według ciebie są brzydkie i że chcesz zobaczyć złote!

- Chciałbym zobaczyć jeszcze tamten - powiedziałem, udając, że nie słyszę.

To już trzy.

- Powiedz jej, że są...

Chrząknąłem, żeby zagłuszyć jego głos. Jak bym wyglądał, gdyby usłyszała? Przeszło mi przez myśl, że mogłem zostać wzięty za włamywacza będącego w zмовie ze współnikami na zewnątrz. Przecież kamery mogły już zauważyć moją słuchawkę. Znowu zacząłem się pocić. Musiałem się pospieszyć, żeby zakończyć zadanie jak najszybciej.

- Waham się. Ostatecznie może obejrzę modele ze złota - powiedziałem wbrew sobie, bojąc się, że będę niewiarygodny.

Zwinnym ruchem odłożyła tacę za szybę.

- Proszę za mną.

Miałem nieprzyjemne uczucie, że nie czyniła żadnych starań, żeby mnie obsłużyć. Wykonywała ściśle minimum, jakiego wymagał profesjonalizm. Musiała czuć, że traci ze mną czas. Podążyłem za nią, omiatając wzrokiem przestrzeń. Zauważyłem zwrócone na mnie spojrzenie jednego z mężczyzn w ciemnym garniturze, który otwierał mi drzwi. Bez wątplenia ochroniarz w cywilu. Miałem wrażenie, że dziwnie mi się przyglądał.

Weszliśmy do innego, większego pomieszczenia. Kilkoro klientów nie przypominało w żadnym stopniu przechodniów, jakich mijano się na ulicy, jakby przylecieli znikąd. Sprzedawczynie poruszały się niczym bezgłośne duchy, szanując spokój tego miejsca.

Instynktownie wypatrzyłem małe kamery zainstalowane w strategicznych miejscach. Miałem wrażenie, że wszystkie były wycelowane we mnie, obracając się wolno wokół własnej osi, żeby móc śledzić każdy mój ruch. Niepostrzeżenie otarłem czoło końcem rękawa i próbowałem oddychać głęboko, żeby rozluźnić napięcie. Musiałem opanować tremę, podczas gdy każdy krok przybliżał mnie do kolekcji przedmiotów dla miliarderów, którymi musiałem się zainteresować i udawać, że mnie na nie stać.

Stanęliśmy po przeciwnych stronach lady.

Kolekcja ze złota była większa i sprzedawczynie wskazywała mi modele przez poziomą szybę.

- Ten mi się podoba - powiedziałem, wskazując dość duży zegarek z złotego złota.

- To model Ballon Bleu: koperta z osiemnastokaratowego złotego złota, boki żłobione, ozdobiona niebieskim szafirem. Dwadzieścia trzy tysiące pięćset euro.

Miałem wyraźne uczucie, że wymówiła cenę, by mnie poinformować, że ten model nie jest w moim zasięgu. Naigrawała się ze mnie, upokarzała ze stoickim spokojem.

Poczułem się dotknięty do żywego i to popchnęło mnie do działania, obudziło z letargu.

Na pewno nie sądziła, że denerwując mnie, wyświadcza mi przysługę.

- Chcę go przymierzyć - oznajmiłem sucho, co mnie samego zdziwiło.

Spełniła moją prośbę bez słowa, a kiedy patrzyłem, jak jest posłuszna moim zachciankom, doznałem w pewnej chwili zupełnie nowego uczucia, mikroprzyjemności, która dotąd była mi obca. Czy tak smakuje władza?

Założyłem zegarek, przyglądałem mu się przez pięć sekund, nie mówiąc słowa, aż ogłosiłem bezapelacyjny werdykt:

- Za gruby.

Zdjąłem zegarek i podałem jej niedbale, zwracając wzrok ku innym modelom.

- Ten! - wskazałem, nie pozostawiając jej czasu na odłożenie poprzedniego.

Przyspieszyła ruchy zwinnych palców, a czerwony lakier do paznokci odbijał światło punktowych lampek skierowanych na ladę, mających podkreślić połysk zegarków.

Niosła mnie zagadkowa siła, której nie przeczuwałem, a która pojawiła się znikąd. Bycie stanowczym stawało się upajające.

- Przymierzę jeszcze tamten! - powiedziałem, wskazując kolejny, żeby zmusić sprzedawczynię do podążania za narzuconym przeze mnie tempem.

Nie poznawałem sam siebie. Moja nieśmiałość znikła i stawałem się coraz bardziej dominujący. Coś niesłychanego działo się ze mną. Odczuwałem pewnego rodzaju nieokreśloną radość.

- Proszę.

Ogarnęło mnie smutne uczucie, że zaczęła mnie szanować, od kiedy stałem się wymagający. Zachowywałem się władczo, co było dla mnie nowością, a ona przestała mierzyć mnie wzrokiem pełnym wyższości. Patrzyła na zegarki i wykonywała to, co jej dyktowałem. Stałem bardziej prosto niż kiedykolwiek, górując nad jej głową lekko pochyloną w kierunku palców, operujących przedmiotami ze starannością i energią.

Nie wiem, ile czasu trwała ta scena. Nie będąc całkowicie sobą, straciłem kontakt z rzeczywistością. Stąpałem po nieznanym lądzie i odkrywałem szczególną przyjemność, niewyobrażalną jeszcze przed godziną. Dziwne poczucie wszechwładzy. To tak jakby przytłaczająca mnie ciężka pokrywa odskoczyła w jednej chwili.

- Wracaj już.

Ostry głos Dubreuil'a sprowadził mnie gwałtownie na ziemię.

Zbierałem się do wyjścia powoli, a sprzedawczyni nalegała, że mnie odprowadzi, idąc za mną, kiedy przemierzałem butik pewnym krokiem, omiatając miejsce spojrzeniem generała patrzącego na zdobytą ziemię. Sale wydawały mi się teraz mniejsze, atmosfera

bardziej zwyczajna. Mężczyźni w czerni otworzyli przede mną drzwi, dziękując za wizytę. Wszyscy życzyli mi udanego wieczoru.

Wyszedłem na ulicę, a moje zmysły zostały natychmiast zaatakowane przez hałas, nieprzyjemny zapach smogu, wiatr i jasność nieba, które stało się prawie białe.

Kiedy doszedłem do siebie, zdałem sobie całkowicie sprawę z tego, czego doświadczyłem. Postawa innych wobec mnie jest warunkowana moim zachowaniem... To ja prowokuję ich reakcje.

Nie mogłem nie zastanowić się nad dotychczasowymi relacjami z ludźmi...

Odkryłem w sobie zasoby, których nie podejrzewałem, a dzięki nim mogłem zachowywać się inaczej. Nie chciałem oczywiście powtarzać sytuacji, którą właśnie przeżyłem. Nie byłem człowiekiem żadnym władzy i nie chciałem się nim stać. Za bardzo lubiłem serdeczne stosunki równego z równym. Odkryłem jednak, że nie muszę przyjmować roli tego, który się podporządkowuje. Ale nie tylko o to chodziło. Odkryłem też w sobie zdolność do robienia rzeczy, których nie miałem w zwyczaju, i to się w moich oczach liczyło.

Wąski tunel mojego życia zaczynał się, być może, trochę poszerzać.

7

- Co w zawodzie księgowego jest dla pana motywujące? Kandydat przewracał oczami we wszystkie strony, starając się znaleźć najlepszą z możliwych odpowiedzi.

- Yyyy... to znaczy... bardzo lubię cyfry.

Czuło się, że sam był rozczarowany. Chciałby wymyślić coś bardziej chwytliwego, ale nic nie przyszło mu do głowy.

- Co pana pociąga w cyfrach?

Miałem wrażenie, że wrzuciłem kolejny żeton i piłeczki lotto w głowie mojego rozmówcy znowu zaczęły podskakiwać, a policzki zaczerwieniły się jeszcze bardziej. Ewidentnie się wysilił, żeby wybrać strój na to spotkanie. Nie był raczej przyzwyczajony do chodzenia w szarym garniturze i klubowym krawacie, który sobie zawiązał, i to zwiększało jego dyskomfort. Białe skarpetki tak bardzo kontrastowały ze sztywnym strojem, że wydawały się fluorescencyjne.

- No... lubię, kiedy... dobrze wychodzi... Chcę powiedzieć: kiedy rachunki się zgadzają i jestem pewien, że zrobiłem swoje. Wie pan, to niezwykle satysfakcjonujące. Prawdę mówiąc, lubię, kiedy wszystko się zgadza. Poza tym, jeśli jest błąd, mogę poświęcić godziny na znalezienie go, żeby zapanowała harmonia. No... może nie godziny, nie tracę

niepotrzebnie czasu, umiem zajmować się tym co najważniejsze. Chcę jednak powiedzieć, że jestem bardzo solidny.

Biedaczek. Walczył, żeby pokazać, że jest idealnym kandydatem.

- Czy uważa się pan za osobę samodzielną?

Musiałem się skoncentrować na jego twarzy, żeby mój wzrok nie czepiał się jego skarpetek.

- O tak, jestem bardzo samodzielny. Nie mam z tym najmniejszego problemu. Umiem radzić sobie sam i nie zawracam nikomu głowy.

- Mógłby pan podać przykład takiej sytuacji, kiedy wykazał się pan samodzielnością?

To technika dobrze znana wielu rekrutującym. Kiedy ktoś twierdzi, że ma jakąś zaletę, musi umieć przywołać sytuację, w których dał jej świadectwo. Dokładniej mówiąc, potrafi podać kontekst, zachowanie i rezultat. Jeśli brakuje jednego z tych trzech elementów, to znaczy, że kłamie. To logiczne - jeśli naprawdę posiada tę zaletę, umie podać kontekst, w którym ją wykorzystał, powiedzieć, co dokładnie zrobił i co uzyskał.

- Yyy... tak, oczywiście.

- Jaka to była sytuacja?

Pileczki lotto zatańczyły we wściekłym rytmie, podczas gdy próbował sobie przypomnieć albo wyobrazić takie zdarzenie. Lekka czerwień na jego twarzy przybrała na sile i wydawało mi się, że dostrzegam kropelkę potu na czole. Nie znosiłem sprawiać, żeby kandydat czuł się nieswojo, i absolutnie nie miałem takiego zamiaru. Byłem jednak zobowiązany dobrze ocenić, czy nadaje się na proponowane stanowisko.

- Hmm... proszę posłuchać, regularnie daję dowód samodzielności, nie ma co do tego wątpliwości, może mi pan wierzyć.

Zdjął nogę z nogi, pokręcił się na krześle, po czym wrócił do poprzedniej pozycji. Jego skarpetki naprawdę mogłyby wystąpić w reklamie ariela.

- Proszę tylko o podanie przykładu, kiedy się to panu zdarzyło ostatni raz. Gdzie to było, w jakich okolicznościach, przy jakiej okazji? Proszę się nie spieszyć i spróbować sobie przypomnieć. Proszę się nie denerwować, mamy czas.

Przestał się wiercić na fotelu i wytarł prawdopodobnie wilgotne dłonie o spodnie. Mijały długie sekundy, które wydawały mi się godzinami, a on nie umiał nic odpowiedzieć. Czulem, jak ogarnia go narastające zakłopotanie. Musiał mnie nienawidzić.

- W porządku - powiedziałem, żeby przerwać tę torturę. - Powiem panu, dlaczego zadałem to pytanie. Oferujemy stanowisko w małej firmie, z której odszedł księgowy. Zgromadził tyle dni urlopu, że wraz ze złożeniem wypowiedzenia przestał pracować. Nikt nie

będzie mógł przyuczyć jego następcy. Jeśli dostanie pan tę posadę, będzie pan musiał radzić sobie sam, kartkując archiwa i przeglądając dokumenty w jego komputerze. Jeśli nie jest pan naprawdę samodzielny, mogłoby to stać się dla pana koszmarem, a moim obowiązkiem jest niedopuszczenie do takiej sytuacji. Nie staram się więc zastawiać na pana pułapki, próbuję po prostu się dowiedzieć, czy będzie pan potrafił poradzić sobie z wyzwaniem. Wie pan, w tym zakresie pański interes łączy się z interesem firmy.

Słuchał mnie uważnie, aż przyznał, że woli pracować w konkretnej strukturze, gdzie wiedziałby, czego się od niego oczekuje, i gdzie mógłby otrzymać odpowiedzi na pytania w razie wątpliwości. Resztę spotkania poświęciliśmy na określenie jego celów zawodowych i rodzaju stanowiska, które najlepiej pasowałoby do jego osobowości, doświadczenia oraz kompetencji. Obiecałem mu, że zachowam jego aplikację i skontaktuję się z nim, jak tylko będę miał ofertę odpowiadającą jego profilowi.

Odprowadziłem go aż do wind i życzyłem mu powodzenia w przyszłości.

Kiedy wróciłem do swojego pokoju, sprawdziłem nieodebrane połączenia. Dubreuil przysłał mi SMS:

Przyjdź spotkać się ze mną w barze hotelu Georges V. Weź taksówkę. Podczas jazdy musisz się sprzeciwiać WSZYSTKIEMU, co mówi kierowca. WSZYSTKIEMU. Będę czekał.

Y.D.

Przeczytałem wiadomość dwa razy i nie mogłem powstrzymać grymasu na myśl o tym, co mnie czekało. Wszystko będzie zależało od słów kierowcy... Szybko może się to stać nieprzyjemne.

Rzut oka na zegarek - za dwadzieścia szósta. Nie miałem już więcej spotkań, ale nigdy nie opuszczałem biura przed dziewiętnastą, w najlepszym wypadku...

Ściągnąłem maile. Zaledwie tuzin i nic pilnego. No dobra, tylko raz, nie będą przecież mieli mi tego za złe.

Wziąłem płaszcz przeciwdeszczowy i wystawiłem głowę na korytarz. Nikogo w zasięgu wzroku. Wyszedłem w pośpiechu i pomknąłem w kierunku schodów awaryjnych. Nie chciałem wystawać przed windami. Dochodziłem do końca korytarza, kiedy Gregoire Larcher wytoczył się ze swojego gabinetu. W ułamku sekundy musiał dostrzec moje zażenowanie.

- Robisz sobie wolne popołudnie? - zapytał sarkastycznie.

- Ja... muszę wyjść... pilna sprawa.

Oddalił się bez słowa, niewątpliwie zadowolony, że przyłapał mnie na gorącym uczynku. Pospieszyłem ku schodom, trochę zdegustowany obrotem wydarzeń. Na litość

boską, codziennie wyrabiam nieprawdopodobną liczbę godzin, a w dniu, kiedy wychodzę wcześniej, daję się przyłapać.

Wyszedłem na aleję de l'Opera dość zdenerwowany i dopiero świeże powietrze pomogło mi się opanować. Najbliższe zadanie będzie przynajmniej mniej stresujące niż to, co właśnie się wydarzyło. Szedłem w stronę Luwru, do postoju taksówek. Ani jednej. Skorzystałem z chwili wytchnienia i niemal poczułem ulgę. Zapaliłem papierosa i nerwowo się zaciągałem. Kiedy byłem zdenerwowany, musiałem zapalić. Co za głupota! Nigdy nie uda mi się od tego uwolnić.

Idąc w kierunku postoju, miałem zabawne uczucie, wrażenie, jakbym był... śledzony. Odwróciłem się, ale za mną falował tłum. Trudno stwierdzić. Szedłem jednak z pewnym niepokojem.

Myślałem o ostatnim razie, kiedy jechałem taksówką. Kierowcy w większości byli okropnie gadatliwi i bez zahamowań wyrażali swoje zdanie na aktualne tematy. Muszę przyznać, że powstrzymywałem się od wypowiedzania sprzecznych opinii. Dubreuil dobrze to przewidział. Może to tylko pewien rodzaj lenistwa z mojej strony. Poza tym uświadamianie ludziom, że są w błędzie, niczemu nie służy. I tak się ich nie przekona.

Spojrzałem w dal. Niezły ruch. Godziny szczytu. Groziło mi długie oczekiwanie.

A jeśli to nie lenistwo, ale uprzejmość? Nieodzywanie się też zresztą nie było odprężające. Często aż we mnie wrzało... A więc czego właściwie się bałem? Ze mnie nie polubią? Że wywołam nieprzewidzianą reakcję? Nie wiedziałem.

- Pan dokąd?

Pytanie wypowiedziane paryską gwarą wyrwało mnie z zamyślenia. Pochłonięty rozważaniami nie zauważyłem, kiedy nadjechała taksówka. Kierowca wychylił się przez szybę i patrzył na mnie ze zniecierpliwieniem. Miał około pięćdziesiątki, był krępej budowy, łysy, z czarnymi wąsami i nieprzyjemnym spojrzeniem. Dlaczego musiał trafić na mnie akurat tego dnia?

- Hej! Decyduje się pan? Mam co zrobić!

- Do hotelu Georges V - wymamrotałem, otwierając tylne drzwi.,,

Zły początek, musiałem szybko zdobyć przewagę. No dawaj, odwagi, mam sprzeciwić się wszystkiemu, co mówi. Wszystkiemu.

Usiadłem i natychmiast zrobiło mi się niedobrze. Woń starego tytoniu zmieszana z odświeżaczem z supermarketu. Koszmar.

- Uprzedzam od razu, może to i niedaleko, ale niełatwo będzie dojechać! Ja to panu mówię! Nie wiem, co ci ludzie wyprawiają, ale dzisiaj jest kompletny korek!

Hmmm... trudno się nie zgodzić... Co odpowiedzieć?

- Przy odrobinie szczęścia rozluźni się i przejedziemy szybciej, niż się panu wydaje.

- Taaa, niektórzy wierzą w Świętego Mikołaja - powiedział ze swoim paryskim akcentem, ostrym jak brzytwa. - Od dwudziestu ośmiu lat wykonuję ten zawód, więc chyba wiem, co mówię. Kurwa, jestem pewien, że przynajmniej połowa z nich nie potrzebuje się wozić.

Mówił tak głośno, jakbym siedział z tyłu autokaru.

- Może naprawdę muszą jeździć samochodem, nie wiadomo...

- Tak, dokładnie! Większość nie przejdzie nawet pięciuset metrów ze swoją teczką! Po prostu są zbyt leniwi, żeby się przejść, i zbyt skąpi, żeby wziąć taksówkę! Nie ma większego dusigrosza od paryżanina!

Miałem wrażenie, że nawet nie zauważa, iż się z nim nie zgadzam. To tylko podsycalo rozmowę. Może dzięki temu moje zadanie będzie łatwiejsze, niż się spodziewałem.

- Ja uważam, że paryżanie są w porządku.

- Ach tak? To chyba pan ich za dobrze nie zna! Przerabiam ich od dwudziestu ośmiu lat, więc ich znam, cwaniaczki jedne. I, powiem panu, z roku na rok stają się gorsi. Nie wyrabiam już z nimi. Wyłażą mi uszami.

Jego wielkie owłosione dłonie zaciskały się na kierownicy pokrytej syntetycznym futerkiem i widać było, jak napięcie rozchodzi się po mięśniach ramion pokrytych czarnymi włosami. Pod nimi miał podłużny tatuaż, który przypominał ogromną frytkę Vegetaline. Kiedy byłem mały, amerykańska telewizja nadawała rysunkową reklamę, w której paradowały frytki-ludziki. W całym swoim życiu nie widziałem równie idiotycznego tatuażu.

- Myślę, że się pan myli. Ludzie jedynie odbijają jak lustro sposób, w jaki się do nich zwracamy.

Wdusił brutalnie pedał hamulca i odwrócił się w moją stronę z oczami kipiącymi złością.

- No nie, ale co mi pan teraz chce powiedzieć?

Nie spodziewałem się tak gwałtownej reakcji. Cofnąłem się, ale i tak poczułem jego okropny oddech. Czy to zapach alkoholu? Musiałem rozbroić bombę, zabawić się w snajpera.

- Mówię, że ludzie są, być może, trochę zamknięci, ale jeśli poświęci się im czas, przyjmując do wiadomości myśl, że mają powody, aby być zestresowani, i zwraca się do nich łagodnie - podkreśliłem to słowo - mogą się otworzyć i stać się sympatyczniejsi, czując zainteresowanie.

Patrzył na mnie, nic nie mówiąc, ze wzrokiem gniewnego dzika, potem się odwrócił i

ruszył. W jednej chwili w samochodzie zapanowała ciężka jak ołów cisza. Próbowałem rozluźnić skrajne napięcie ciała i zacząłem głęboko oddychać. Łaa! Superwrażliwy ojczulek. Będę musiał jednak trochę bardziej uważać. Jechaliśmy dalej powoli, ale cisza szybko zaczęła ciążyć, nabrzmiewając wrogością. Musiałem ją przełamać.

- Co przedstawia pański tatuaż? - zapytałem w złudnym wysiłku zaprezentowania mu tego, o czym przed chwilą mówiłem.

- A, to... - odpowiedział prawie łagodnym tonem, co pokazało, że strzeliłem celnie. To pamiątka z młodości. Przedstawia Zemstę. - Ostatnie zdanie wypowiedział uroczystym tonem.

Umierałem z ochoty, żeby zapytać, w jaki sposób frytka Vegetaline mogła symbolizować zemstę, ale nie byłem aż takim samobójcą i powstrzymałem uśmiech.

Dojeżdżaliśmy do placu Zgody.

- Nie będziemy jechali Polami Elizejskimi. Zbyt zakorkowane. Przejedziemy nad Sekwaną, aż do bulwaru Alma, i wjedziemy w aleję Georges V od drugiej strony.

- Hmm... Wolę, żebyśmy jednak pojechali Polami.

Nic nie odpowiedział, odetchnął i znowu zaczął mówić.

- Uwielbiam tatuaze. Nie ma dwóch takich samych. Trzeba mieć jaja, żeby sobie zrobić tatuaż. Bo to nie schodzi. Ma się go na całe życie. No więc to wymaga odwagi, taaa... U kobiet też uwielbiam. Nie ma nic bardziej pociągającego niż tatuaż, którego się nie spodziewasz, w ukrytych miejscach. Jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

We wstecznym lusterku widziałem głównie jego pożądlive spojrzenie. Uspokój się, tatuśku. Uspokój się. Zebrałem całą swoją odwagę.

- Ja nie za bardzo lubię tatuaze...

- Taaa, w tych czasach młodzi już ich nie lubią, bo wszyscy chcą być tacy sami. Nie wiedzą już, co to zabawa! Tfu! Ale są sprytni.

- Nie... może nie potrzebują czegoś takiego, żeby się wyróżnić.

- Wyróżnić się, wyróżnić się! My mieliśmy to gdzieś, przede wszystkim chcieliśmy mieć dobrą zabawę. Braliśmy rower albo furę naszych starych i grzaliśmy pełną parą. Wtedy nie było korków!

Ten człowiek nie umiał mówić, umiał tylko ryczeć. Nie do zniesienia i niepokojące zarazem. I ten smród... No, jeszcze tylko trochę.

- Tak, ale dziś młodzi wiedzą, że nie można zanieczyszczać planety tylko po to, żeby się zabawić.

- No tak! Dokładnie! Znowu te ekologiczne bzdury! Ocieplenie planety to głupoty. To

pomysły facetów, którzy chcą sprzedać inteligencję, a nie mają przy sobie nawet próbki!

- Co pan może o tym wiedzieć?

Wymknęło mi się bez zastanowienia, tylko raz. Wdepnął gwałtownie hamulec i samochód nieomal stanął dęba. Uderzyłem o przedni fotel i odrzuciło mnie do tyłu. Wybuchnął:

- Odwal się pan! Słyszysz pan?! Odwal się! Mam dość fiutków, którzy prawią mi morały! Spadaj pan!

Tak mocno poleciałem do tyłu, że wbiłem się w starą gąbkę oparcia. Minęły dwie sekundy, dwie sekundy ciszy, potem otworzyłem drzwi i rzuciłem się na zewnątrz. Wyleciałem jak z procy, zanim przyszło mu do głowy mnie dopaść. Wyglądał na takiego, co ma pałkę pod siedzeniem.

Przecisnąłem się między samochodami do szerokiego chodnika Pól Elizejskich, potem biegłem w mżawce w kierunku odległego Łuku Triumfalnego. Drobniutki deszczyk chłodził mi twarz. Kiedy minął strach, nie czułem już nic, ale nadal biegłem, mijając turystów i wałęsających się pary-żan. Biegłem, bo nic mnie nie zatrzymywało. Zrzuciłem część jarzma, pozbyłem się kilku niepotrzebnych więzów. Pierwszy raz odważyłem się powiedzieć nieznanemu wszystko, co uważałem, i zaczynałem czuć się lekki, a przede wszystkim wolny, wolny... Mżawka uderzała mnie delikatnie w twarz, jakby chciała obudzić mnie do życia.

8

Powitał mnie niezwykle elegancki portier, więc pozostawało mi już tylko wejść do środka. Znalazłem się w majestatycznym holu hotelu Georges V, jednej z najpiękniejszych budowli Paryża.

Czerwony marmur z Alicante pokrywał całą podłogę oraz imponujące kolumny podtrzymujące bardzo wysoki plafon.

Lada recepcji wyłożona była drewnem, które ocieplało wnętrze. Panowała atmosfera wielkiej klasy i dyskretnej skuteczności. Waleci popychali złote wózki, na których leżały kufarki i walizki, w większości ze skóry, z prestiżowym logo. Szybcy i uśmiechnięci recepcjoniści podawali klucze, plany Paryża albo pomagali bardziej wymagającym gościom. Klient w szortach i czapeczce marki Nike, widok równie niezwykły jak widok rapera przebiegającego przez scenę orkiestry symfonicznej, przeszedł przez hol ze swobodą wskazującą na to, że jest przyzwyczajony do tego typu miejsc. Bez wątplenia jeden z moich

rodaków.

Skierowałem się do szatniarza.

- Dzień dobry, szukam baru.

Bąłem się, że zapyta, czy mam tu pokój. Musiałem wyglądać marnie z mokrymi włosami i spływającą po twarzy wodą. Na szczęście widok turysty w szortach trochę mnie rozluźnił.

- Proszę pójść w prawo, po tych trzech schodkach, i w głębi znajdzie pan bar - odpowiedział uprzejmym tonem z odrobiną patetyczności.

Pokonałem stopnie i znalazłem się w szerokiej szklanej galerii, biegnącej wzdłuż zadbanego ogrodu. Drzewka pomarańczowe, krzewy we wspaniałych rzeźbionych donicach. Kilka stołów z egzotycznego drewna i fotele zapraszały do odpoczynku. W galerii puszyste dywany ocieplały marmury. Ze zdobionego stiukami sufitu zwisały piękne żyrandole. Ściany z kamiennych bloków miały nisze, gdzie na majestatycznych piedestałach stały rzeźby. Fotele pokryte miękkimi tkaninami, ustawione wokół niskich stołów, zapraszały, aby się w nie zagłębić. Ochotę, aby to zrobić, natychmiast powstrzymywała jednak myśl, że należałoby dostosować swoje zachowanie do tak imponującego otoczenia.

W porównaniu z galerią bar wydawał się całkiem mały. Ściany i podłoga pokryte ciemnoczerwonym welurem sprzyjały znacznie intymniejszej atmosferze. Mało ludzi o tej porze. Mężczyzna i kobieta w słusznym wieku, siedzący naprzeciw siebie w niskich fotelach brydżowych, i trochę dalej dwóch mężczyzn zajętych ożywioną, ale cichą rozmową. Bez wątplenia dyskusja biznesowa. Ani śladu Dubreuila. Skierowałem się w stronę stołu w głębi, skąd mogłem widzieć, jak nadchodzi. Przechodząc obok siedzącej pary, poczułem upajający zapach damskich perfum.

Na moim stole leżały gazety. Kilka poważnych dzienników, takich jak „Herald Tribune”, „New York Times”, „Le Monde”, i kilka mniej poważnych. Wziąłem do ręki „Closer”, którego stan wskazywał na to, że cieszył się sporym zainteresowaniem. W gruncie rzeczy byłem przecież w idealnym miejscu, żeby zainteresować się życiem gwiazd!

Dubreuil pojawił się dość szybko, a ja zwinnie odłożyłem kłopotliwy magazyn. Przeszedł przez bar, żeby do mnie podejść. Zauważyłem, że cztery obecne w sali osoby odwróciły wzrok w jego stronę. Należał do tych mężczyzn, którzy emanują pewnego rodzaju energią, magnetyzmem przyciągającym uwagę.

- A więc opowiedz o swoich mękach!

Zauważyłem, że nigdy nie mówił mi dzień dobry. Za każdym razem, kiedy go spotykałem, zdawał się podejmować rozmowę, jakby przerwał ją kilka minut wcześniej, aby

udać się do toalety.

Zamówił burbona, ja pochyliłem się nad perrierem.

Opisałem mu scenę z taksówki z najdrobniejszymi szczegółami, a on bardzo ubawił się zachowaniem kierowcy.

- Trafiłeś na niezłego typa! Gdybym sam chciał zaaranżować takie spotkanie, na pewno nie znalazłbym kogoś takiego!

Podzieliłem się z nim trudnościami, jakie miałem w wyrażaniu sprzecznych opinii, i opowiedziałem o poczuciu wolności, którego doznałem, kiedy wreszcie mi się udało.

- Jestem bardzo zadowolony, że to przeżyłeś. Dużo opowiadałeś o swoim życiu zawodowym, o poczuciu zamknięcia, bycia ciągle ocenianym i szpiegowanym, czego doświadczasz w biurze.

- Tak, w tej firmie nie mogę być sobą. Mam bardzo mało wolności. Czuję się więźniem. Mam wrażenie, że każde moje działanie, każdy gest zostaną skomentowane. O, na przykład dzisiaj, kiedy wychodziłem, usłyszałem niby niezobowiązującą uwagę od dyrektora działu. To prawda, było dość wcześnie, ale za to każdego dnia kończę bardzo późno. Czynienie mi uwag w dniu, kiedy wyszedłem wcześniej, było szczególnie niesprawiedliwe. Nie pozostawiają mi wolności. Duszę się.

Spojrzał na mnie przeszywającym wzrokiem, smakując łyk burbona. Czuję zapach trunku.

- Wiesz, kiedy słyszę, jak mówisz: „Nie pozwalają mi być sobą”, mam ochotę odpowiedzieć ci, że wręcz odwrotnie, pozwalają ci być sobą, a nawet popychają cię do tego, żebyś takim się stawał w coraz większym stopniu. To cię dusi.

Nic z tego nie rozumiałem.

- Zupełnie za panem nie nadążam.

Zapadł się w fotelu.

- Mówiłeś mi o niektórych swoich kolegach. Przypominam sobie jednego z nich, szczególnie aroganckiego...

- Thomas.

- Tak, właśnie. Szpaner, z tego, co mówiłeś.

- To eufemizm...

- Wyobraź sobie, że to Thomas był dzisiaj na twoim miejscu, że wychodził z pracy o szesnastej czy siedemnastej i w korytarzu natknął się na szefa.

- To nie jest nasz bezpośredni szef, Larcher to dyrektor działu.

- W porządku, wyobraź sobie tę scenę: Thomas wychodzi wyjątkowo wcześniej i

spotyka swojego dyrektora w korytarzu.

- OK...

- Jesteś małą myszką i widzisz ich obu w momencie, kiedy się mijają.

- Dobrze.

- Co sobie mówią?

- Hmm... nie wiem... yyy... Proszę poczekać, to zabawne, wyobraziłem sobie Larchera, który uśmiecha się... przyjaźnie. To uśmiech zrozumienia.

- Interesujące... Myślisz, że tak zareagowałby wasz dyrektor, gdyby spotkał Thomasa zamiast ciebie?

- No tak... to możliwe. Tak to sobie w każdym razie wyobrażam. Byłoby to zresztą niesprawiedliwe. Sądzę bowiem, że istnieje pewnego rodzaju faworyzowanie i zasady nie są dla wszystkich takie same.

- Dobrze. A jak się nazywa twój drugi kolega, ten, który wygląda, jakby się ze wszystkich nabijał?

- Mickael?

- O właśnie. Teraz wyobraź sobie tę samą scenę pomiędzy nim i Larcherem. Tym razem to Mickael wychodzi o siedemnastej. Co się dzieje?

- Pomyślmy. Wyobrażam sobie... Sądzę, że Larcher czyni mu taką samą uwagę jak mnie!

- Tak?

- Tak samo mówi mu: „Robisz sobie wolne popołudnie?“, może nawet jeszcze bardziej sarkastycznym tonem. Tak, właśnie! Naigrawa się z niego.

- I jak reaguje Mickael?

- Hmm... trudno to sobie wyobrazić... Może... Sądzę, że Mickael jest dość nadęty, żeby mu odpowiedzieć w stylu: „Jak zwykle ma pan rację!“, czy coś takiego.

- Ach tak? I jak reaguje Larcher?

- Śmieją się we dwóch, rozchodząc, każdy w swoją stronę.

- Interesujące - powiedział Dubreuil, dopijając alkohol. - I co o tym sądzisz?

- Nie wiem - odpowiedziałem w zamyśleniu. - Gdyby to rzeczywiście tak przebiegło, byłoby oznaką faworyzowania.

- Nie, Alan. To nie tak.

Zrobił gest w kierunku kelnera, który w okamgnieniu zjawił się przy nas.

- Jeszcze raz burbon.

Pociągnąłem łyk perriera. Dubreuil nachylił się ku mnie, zatapiając swoje niebieskie

spojrzenie w moich oczach. Czułem się nagi.

- To nie tak, Alan - ciągnął. - To o wiele bardziej... pokręcone. Thomas jest zadufany w sobie i jego postawa powoduje u Larchera... pewien respekt. Mickael żartuje z każdego i Larcher wie, że to cwaniak, który uważa się za sprytniejszego od innych. Zaczepia go zatem, żeby dać mu do zrozumienia, że jest jeszcze cwańszy. Ty... - Zawiesił głos.

- Ja nie gram w to co inni, jestem naturalny, więc korzystam z tego.

- Nie, to bardziej skomplikowane. Ciebie charakteryzuje to, że... nie jesteś wolny. Nie jesteś wolny, więc on wciska cię jeszcze bardziej do więzienia, w którym już się znajdujesz...

Gęsta cisza. Cios był celny. Krew we mnie zawrzała i poczułem, jak narasta złość. Co on mi opowiada?

- Wręcz przeciwnie! Zupełnie na odwrót! Nie znoszę, kiedy ktoś zagraża mojej wolności!

- Spójrz na to, co się działo z taksówkarzem. Musiałeś się zmuszać, żeby wyrażać przeciwstawne opinie, jak sam mówiłeś. Tymczasem tacy ludzie jak on to nieznajomi, których już nigdy nie zobaczysz. Twoje życie, twoja przyszłość nie zależą od nich, prawda? A jednak odczuwasz potrzebę większego lub mniejszego dostosowania się... żeby cię lubili. Boisz się kogoś sobą rozczarować, boisz się odrzucenia. To dlatego nie pozwalasz sobie wyrażać tego, co czujesz naprawdę, ani zachowywać się tak, jak byś chciał. Wysiłasz się, żeby się przystosować do oczekiwań innych. I to z własnej inicjatywy, Alan. Nikt tego od ciebie nie żąda.

- Ale to dla mnie zupełnie normalne! Poza tym, gdyby każdy wysilił się dla innych, życie wszystkich ludzi stałoby się lepsze.

- Tak, tylko że w twoim wypadku to nie wybór. Nie mówisz sobie spokojnym tonem: „Tak, dzisiaj będę robił to, czego się ode mnie oczekuje”, lecz nieświadomie się do tego zobowiązujesz. Uważasz, że w przeciwnym razie nie będziesz lubiany, akceptowany. A więc nieświadomie narzucasz sobie wiele ograniczeń. Twoje życie staje się bardzo ograniczające i dlatego nie czujesz się wolny. I... masz to za złe innym.

Byłem oszołomiony. Prawdziwy cios maczugą w głowę. Spodziewałem się wszystkiego, ale nie tego. Sprawy, idee, emocje - wszystko falowało w mojej głowie i sprawiało, że traciłem grunt pod nogami. Miałem zawroty. Chciałem gwałtownie odrzucić analizę Dubreuila, ale część mnie wyczuwała w niej... prawdę. Niewygodną prawdę. Ja, który jak dotąd boleśnie odczuwałem najmniejszy zamach na swoją wolność, wpływy innych, sam byłem winny swoim cierpieniom.

- Widzisz, Alan, kiedy czujesz się w obowiązku nie rozczarować innych i w pewien

sposób odpowiadać na ich oczekiwania, szanując konwenanse, niektórzy z nich stają się bardziej wymagający wobec ciebie, jakby czuli, że twoim obowiązkiem jest podporządkowywanie się ich żądaniom. Wydaje im się to całkowicie normalne. Jeśli masz wyrzuty sumienia na myśl o tym, że wyjdiesz wcześniej z biura, twój szef sprawi, że będą one jeszcze większe. I wcale nie musi być niesprawiedliwy. To bez wątpienia podświadome. Czuje, że dla ciebie to niedopuszczalne, żeby wyjść wcześniej z biura, więc też tak uważa. To ty prowokujesz jego reakcję. Rozumiesz?

Nie powiedziałem nic. Milczałem, pochłonięty delikatnymi ruchami jego dłoni, która od jakiegoś czasu kreśliła kieliszkiem w powietrzu małe koła, powodując, że kostki lodu pływające w burbonie obijały się o ścianki kryształowego więzienia.

- Alan - mówił dalej - wolność jest w nas. Nie spodziewaj się, że przyjdzie z zewnątrz. Jego słowa odbijały się echem w mojej głowie.

- Możliwe - przyznałem w końcu.

- Wiesz, przeprowadzono wiele badań na osobach ocalałych z obozów koncentracyjnych po drugiej wojnie światowej. Jedna z nich wskazała na to, co było wspólne dla prawie wszystkich, którzy przetrwali - w swoich umysłach pozostali wolnymi ludźmi. Dajmy na to, mając jedynie mały kawałek chleba na cały dzień, mówili sobie: „Mogę go zjeść, kiedy zechcę. Mogę wybierać, kiedy go zjem”. Dzięki wyborom, które mogą wydawać się iluzoryczne, zachowywali w sobie poczucie wolności. I wydaje się, że to pomogło im utrzymać się przy życiu.

Słuchałem go uważnie i nie mogłem oprzeć się wrażeniu, iż na miejscu tych biednych ludzi tak dotkliwie odczuwałbym dominację i nadużywanie siły przez oprawców, że nigdy nie byłbym zdolny do wypracowania takiego stanu świadomości.

- Jak mogę... yyy... stać się bardziej wolny w moim umyśle?

- Nie ma gotowej recepty ani sposobu, jak do tego dojść. Dobrym rozwiązaniem jest robienie przez pewien czas tego, czego zwykle starannie się unika.

- Mam wrażenie, że to, co mi pan doradza, od początku polega na tym, żebym robił wszystko, czego nie lubię. Czy w ten sposób człowiek się rozwija?

Wybuchnął śmiechem. Starsza pani o uwodzicielskim zapachu odwróciła się w naszą stronę.

- To bardziej złożone. Ale kiedy tak się w życiu urządzimy, żeby być daleko od wszystkiego, czego się boimy, nie mamy okazji zauważyć, że większość obaw to wytwory naszego umysłu. Jedynym sposobem, żeby się dowiedzieć, czy to, w co wierzymy, jest słuszne, czy nie, jest sprawdzenie tego przez doświadczenie! Czasem więc warto się zmusić,

żeby doświadczyć tego, co nas przeraża, żeby dać sobie szansę dowiedzenia się, iż być może się myliliśmy.

- A więc co tym razem każe mi pan zrobić, żeby rozwiązać mój problem?

- No cóż, pomyślmy - powiedział, sadowiac się wygodnie w fotelu, widocznie zadowolony z odpowiedniej do sformułowania zdania pozycji. - Skoro wierzysz, niesłusznie, że ludzie cię nie polubią, jeśli nie będziesz się zachowywał zgodnie z ich normami, skoro odczuwasz potrzebę odpowiadania ich wizji, zabawisz się w bycie wyobcowanym.

Przełknąłem ślinę.

- Wyobcowanym?

- Tak, poćwiczysz robienie czegoś odwrotnego do tego, co czujesz, że koniecznie należy robić. Na przykład zaczniesz od zabierania ze sobą codziennie do biura tego magazynu, który cię tak interesuje, aż będziesz pewien, że wszyscy cię z nim widzieli.

Ku mojemu przerażeniu wziął do ręki „Closer”, który położyłem do góry nogami, kiedy zobaczyłem, że Dubreuil nadchodzi.

- Jeśli tak zrobię, skompromituję się przed wszystkimi.

- Oj, twój wizerunek, twój wizerunek! Widzisz, nie jesteś wolny.

- Ależ to odbiłoby się na mojej wiarygodności w pracy. Nie mogę tego zrobić!

- Zapominasz, że mówiłeś mi i powtarzałeś, iż w twojej firmie nieważni są ludzie, liczą się tylko osiągnięcia przez nich wyniki. W takim razie zupełnie nie obejdzie ich twoja lektura.

- Nie mogę! Wstydzilibym się!

- Nie powinieneś się wstydzić tego, co cię interesuje.

- Ale to mnie nie interesuje. Nigdy nie czytam tego magazynu!

- Wiem, nikt nie czyta. Mimo to co tydzień sprzedają setki tysięcy egzemplarzy. A przecież cię interesuje, miałeś go w ręce, kiedy przyszedłem!

- Sam nie wiem... To przez ciekawość.

- No właśnie, masz prawo być ciekawy, to nawet zaleta. Nie musisz się wstydzić.

Już sobie wyobrażałem miny moich kolegów i menadżerów, kiedy zobaczą mnie z tą gazetą.

- Alan - ciągnął - staniesz się wolny w dniu, kiedy nie będziesz się martwił tym, co ludzie pomyślą, widząc cię z „Closerem” pod pachą.

Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że ten dzień jest daleko, bardzo daleko.

- To nie jest sprawa z góry wygrana...

- Poza tym każdego dnia popełnisz, powiedzmy, trzy błędy, zachowasz się

niewłaściwie. Konkretnie: chcę, żebyś się zachował niestosownie trzy razy w ciągu dnia. Może to dotyczyć czegokolwiek, choćby drobnostek. Chcę, żebyś na pewien czas stał się niedoskonały, aż do chwili, kiedy sobie uświadomisz, że wciąż żyjesz, że to niczego nie zmienia, a twoje relacje z innymi nie zostały przekreślone. Na koniec odmówisz przynajmniej dwa razy dziennie, kiedy ktoś cię

Ocoś poprosi, albo sprzeciwisz się mu. Do wyboru.

Patrzyłem na niego w ciszy. Brak entuzjazmu, który było po mnie widać, nie gasił jego zapału. Wyglądał na zadowolonego ze swoich pomysłów.

- Kiedy zaczynam?

- Natychmiast! Nigdy nie należy odkładać na później tego, co przyczyni się do naszego doskonalenia!

- Świetnie. W takim razie chyba wyjdę bez pożegnania

Inawet nie proponuję, że zapłacę swoją część rachunku.

- Doskonale! Dobry początek!

Był wyraźnie zadowolony, choć jego przebiegłe oczy tego nie zdradzały.

Wstałem i odszedłem od stołu.

Przemierzyłem już cały bar i wychodziłem na galerię, kiedy mnie zawołał. Jego donośny głos przełamał ciszę i wszyscy się odwrócili, próbując dostrzec, czym wymachiwał.

- Alan! Wracaj! Zapomniałeś swojego magazynu!

9

Nienawidzę poniedziałkowych poranków. To musi być najbanalniejsze i najpowszechniejsze uczucie na świecie. Tylko że ja mam dobry powód - to dzień cotygodniowego spotkania. W każdym tygodniu moi koledzy i ja słyszymy, że nie wykonaliśmy planu i co zamierzamy zrobić, żeby go wykonać? Jakie decyzje podejmiemy? Jakie działania?

Mój weekend był bogaty w emocje tak jak cały tydzień po spotkaniu z Dubreilem. W pierwszych dniach zmuszałem się do liczenia moich małych wyczynów. W konsekwencji łapałem odważnie wszystkie nadarzające się okazje.

I tak jechałem chyba dwa na godzinę po wąskiej uliczce, mimo że za mną był inny samochód, więc powinienem się zatrzymać, żeby mnie wyprzedził, albo przyspieszyć, zamiast wlec się jak zgrzybiały staruszek. Hałasowałem w mieszkaniu i zostałem dwukrotnie przywołany do porządku przez madame Blanchard, sąsiadkę z dołu. Odłożyłem słuchawkę,

kiedy zadzwonił jakiś mężczyzna, żeby sprzedać mi okna. Poszedłem do pracy w dwóch różnych skarpetkach. Zjadłem foie gras w małej restauracji, a potem powiedziałem kelnerowi, że paszтет był bardzo dobry. W końcu każdego dnia piłem kawę przy barze w bistro naprzeciwko w porze największego napływu klientów, kiedy to wszyscy dyskutują o najlepszych rozwiązaniach problemów ekonomicznych - dlaczego więc rząd o nich nie pomyślał? - próbując naprawić świat. No i oczywiście starałem się nie zgadzać prawie ze wszystkim.

Było to bardzo wyczerpujące, mimo że odczuwałem lekką przyjemność z pokonywania obaw. Żywiłem nadzieję, że pewnego dnia uwolnię się od ich duszącego uścisku.

W poniedziałek, jak tylko skończyłem pierwsze spotkanie z kandydatem, udałem się na przekłete zebranie. Była jedenasta pięć, spóźniłem się zatem... Wszedłem do sali z notatnikiem w ręku i... „Closerem” pod pachą. Wszyscy konsultanci siedzieli przy stołach ustawionych w okrąg. Czekali tylko na mnie.

Luc Fausteri rzucił mi lodowate spojrzenie. Po jego lewej stronie zajął miejsce Gregoire Larcher ze swoim niezmiennym ultraangielskim uśmiechem. Wiedział, że można najwięcej uzyskać od ludzi, będąc pozytywnym. Jestem pewien, że wybielił sobie zęby. Były tak lśniące, że przywodziły na myśl plastikową szczękę. Kiedy mówił, nie umiałem się powstrzymać, aby zamiast w oczy patrzeć mu w zęby.

Usiadłem na wolnym miejscu. Twarze kolegów zwróciły się w moją stronę. Położyłem magazyn na stole tak, żeby tytuł był dobrze widoczny, ale unikałem kontaktu wzrokowego. Za bardzo się wstydzilem.

Po mojej lewej stronie Thomas udawał, że z wielkim zainteresowaniem czyta „Financial Times”. Mickael żartował z sąsiadką, która próbowała przejrzeć „La Tribune”, co chwila podśmiewając się z wygłupów kolegi.

- Wyniki z tego tygodnia są...

Larcher lubił zabierać głos i zawieszać końcówkę zdania, skupiając w ten sposób na sobie uwagę. Wstał, jakby chciał górować nad otoczeniem, i ciągnął z uśmiechem:

- Wyniki z tego tygodnia są zachęcające. Zrobiliśmy o cztery procent więcej rekrutacji w porównaniu z zeszłym tygodniem i o siedem procent więcej w porównaniu z tym samym tygodniem poprzedniego roku. Jeśli chodzi o ostatni wskaźnik, przypominam, że naszym celem jest jedenastoprocentowy wzrost. Oczywiście indywidualne wyniki nie są porównywalne i po raz kolejny muszę pogratulować Thomasowi, który utrzymuje się na czele peletonu.

Thomas wyglądał na rozluźnionego i zadowolonego. Uwielbiał zakładać koszulkę zwycięzcy, który wygrywa ze spokojem. Wiedziałem, że w rzeczywistości pochwały są dla niego jak zastrzyk kokainy.

- Ale mam też wspaniałą wiadomość dla reszty... - Larcher omiatał zgromadzenie uwodzicielskim wzrokiem. Chwila milczenia miała na celu udramatyzowanie informacji, którą trzymał w zanadru. - Najpierw muszę zaznaczyć - podjął - że Luc Fausteri dużo dla was zrobił. Od prawie miesiąca analizuje dane, którymi dysponujemy, żeby w racjonalny sposób zrozumieć, dlaczego niektórzy spośród was mają lepsze wyniki niż inni, mimo że wszyscy stosują takie same metody pracy. Robił wszelkie możliwe zestawienia, statystyki, sumował liczby, analizował krzywe. A owoc tych badań jest wprost genialny. Mamy rozwiązanie i każdy będzie mógł z niego korzystać na co dzień. Luc, pozwolę ci samemu przedstawić wnioski!

Nasz kierownik działu, poważniejszy niż kiedykolwiek, zaczął mówić swoim zimnym, jednostajnym tonem, nie wstając z miejsca.

- Przyglądając się kolejno waszym rozkładom dnia, zaobserwowałem związek między liczbą spotkań przeprowadzonych podczas ostatnich dwunastu miesięcy a średnią miesięczną wyników handlowych konkretnego konsultanta. Znaczenie miało też przeprowadzanie przez konsultantów kursów doszkalających dla kandydatów.

Przez dłuższą chwilę w sali panowała cisza. Wszyscy wpatrywali się w Fausteriego pytającym wzrokiem.

- Możesz nam to przetłumaczyć? - odezwał się w końcu Mickael, wybuchając śmiechem.

- To bardzo proste! - odpowiedział Larcher, kontynuując wypowiedź swojego przedmówcy. - Ci, którzy poświęcają najwięcej czasu na spotkania, zawierają najmniej umów z firmami. To zresztą bardzo logiczne, jeśli się nad tym zastanowić. Nie można mieć wszystkiego naraz. Jeśli spędzacie za dużo czasu z kandydatem, zostaje wam go mniej na docieranie do firm i sprzedaż naszych usług, a więc macie gorsze rezultaty. Nieuniknione.

Przyjęliśmy milczeniem informację, która powoli docierała do naszych umysłów.

- Na przykład - kontynuował Larcher - najlepszy z was poświęca na spotkanie średnio godzinę i dwanaście minut, podczas gdy Alan, w ogonie peletonu - przykro mi, Alan - poświęca na nie średnio godzinę i pięćdziesiąt siedem minut. Wyobrażacie sobie? To prawie dwa razy tyle!

Zapadłem się w fotelu, patrząc, niby rozluźniony, na stolik przed sobą. Leżało na nim... nic innego jak mój „Closer”. Czuję na sobie ciężar spojrzeń.

- Bez wątpienia można skrócić czas naszych spotkań - powiedziała Alice, młoda konsultantka - ale obniżymy liczbę udanych rekrutacji. Mam zawsze w pamięci gwarancję, jaką dajemy klientom. Jeśli wybrana osoba nie da sobie rady albo odejdzie w ciągu pół roku od momentu zatrudnienia, musimy dostarczyć innego pracownika. Wybacz, Thomas - dodała, odwracając się do kolegi - ale z tego, co sobie przypominam, to właśnie twoi klienci odwoływali się najczęściej do tej gwarancji. Mnie zdarza się to rzadko.

Patrzył na nią, nic nie mówiąc, z pobłażliwym uśmiechem na ustach.

- Nie chcę opowiadać się za Thomasem, który tego nie potrzebuje - skwitował Larcher - ale koszt zdobycia nowego kandydata jest żaden w porównaniu ze wzrostem obrotów, jaki powoduje.

- Ale to nie leży w interesie naszych klientów! - zachnęła się Alice. - A na dłuższą metę też w naszym, bo degraduje nasz wizerunek.

- Nie mają nam tego aż tak za złe, zapewniam cię. Wiedzą, że nie można poskromić ludzkiej natury. Pracujemy w płynnej dziedzinie... Nikt nie może być pewien, że wybrał odpowiedniego kandydata.

Powstrzymaliśmy się od riposty, a pełne optymizmu spojrzenie Larchera omiotło salę.

Po chwili David, najstarszy stażem, pozwolił sobie na uwagę:

- To nie takie oczywiste. Scenariusz spotkań jest długi i nie możemy nic zrobić, jeśli nasi kandydaci nie umieją wypowiadać się zwięźle. Nie będziemy im przecież przerywać.

- I tu mam dobrą wiadomość - odrzekł Larcher triumfalnie. - Luc, opowiedz nam o swojej kolejnej konkluzji.

Fausteri wznowił swoje sprawozdanie. Mówił, nie patrząc na nas, ze wzrokiem wbitym w papiery.

- Mówiłem już, że średnia długość spotkań Thomasa jest odczuwalnie niższa niż konsultantów z gorszymi wynikami handlowymi. Jeśli przyjrzymy się bliżej tym liczbom, wykażą, że średnia skrywa jeszcze większy rozdźwięk. Okazuje się, że spotkanie jest zbyt długie w wypadku kandydatów, którzy i tak nie zostaną zatrudnieni i...

- Mówiąc inaczej - uciął Larcher zwycięsko - wystarczy poświęcić mniej czasu na kiepskich zawodników, a będziecie mieli go więcej na badanie rynku. Skracajcie spotkania, kiedy się zorientujecie, że facet czy dziewczyna nie pasują na dane stanowisko. Przeciąganie niczemu nie służy.

Pośród zgromadzonych zapanowała pełna zażenowania cisza.

- Tak czy inaczej nie dacie mu pracy, więc nie miejcie skrępułów.

Cisza wyrażała niesmak, jaki ta propozycja wywołała wśród członków ekipy.

Niektórzy rozglądali się dookoła w oczekiwaniu na reakcję. Inni, wręcz przeciwnie, udawali, że są pochłonięci swoimi notatnikami.

- Nie do końca się zgadzam.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się w moim kierunku. Nieczęsto zabierałem głos na zebraniach, a już nigdy po to, żeby wyrazić swoją dezaprobatę. Postanowiłem zrobić to delikatnie.

- Sądzę, że to nie leży w interesie naszej firmy. Kandydat, który nie jest odpowiedni na stanowisko oferowane dziś, być może jutro będzie pasował na jakieś inne. W długofalowej perspektywie zyskamy, poszerzając bazę kandydatów, którzy są zadowoleni z naszych usług i ufają nam.

- Co do tego, bez obaw, drodzy przyjaciele. Już was uspokajam. W obecnych czasach, i to się szybko nie zmieni, kandydatów jest o wiele więcej niż oferowanych stanowisk i nie musimy się za nimi uganiać. Wystarczy kopnąć w śmietnik i wypada dziesięć aplikacji. Wystarczy się schylić, żeby je podnieść.

Fala szyderczego śmiechu przebiegła przez zgromadzenie.

Wziąłem się w garść.

- Jeśli o mnie chodzi, jestem przywiązany do pewnej deontologii, pewnej etyki, jeśli mogą to tak nazwać. Nie jesteśmy firmą, która rekrutuje dla siebie. Jesteśmy firmą doradztwa personalnego. Nasza misja wybiega zatem poza zwykły wybór kandydata i sądę, że naszą rolą jest też doradzanie tym, którzy nie są w danej chwili odpowiedni. To nasz społeczny obowiązek. W każdym razie to sprawia, że lubię swój zawód.

Larcher wysłuchał mnie z uśmiechem, ale jak za każdym razem, kiedy jego interes był zagrożony, wyraz jego twarzy zmieniał się niezauważalnie, a uśmiech stawał się lekko drapieżny.

- Myślę, moi przyjaciele, że Alan zapomina, iż pracuje dla Dunker Consulting, a nie dla matki Teresy - powiedział i roześmiał się.

Thomas natychmiast się do niego przyłączył, a potem Mickael. Larcher lekko zmarszczył brwi i skupił na mnie wzrok.

- Jeśli wątpisz - ciągnął - spójrz na małe okienko na samym dole twojego wykazu wynagrodzenia, a uświadomisz sobie, że towarzystwo charytatywne nie płaciłoby ci tyle.

Kilka głośnych przełknięć śliny na sali.

_ Teraz, Alan, będziesz musiał ruszyć tyłek, żeby zasłużyć na to wynagrodzenie. I nie osiągniesz tego, bawiąc się w opiekę społeczną.

- Dzięki mnie firma zarabia. Moje wynagrodzenie jest zrównoważone przychodem,

więc w pełni zasłużone.

Martwa cisza na sali. Wszyscy moi koledzy wbili wzrok w buty. Czułem w powietrzu ogromne napięcie. Larcher był bardzo zaskoczony moją zupełnie niezwykłą reakcją. I chyba to zdenerwowało go najbardziej.

- Nie tobie to oceniać - zakończył agresywnym tonem, bez wątpienia przekonany, że wypowiedzenie ostatniego słowa było podstawą utrzymania autorytetu wobec reszty grupy. - To my ustalamy twoje cele. Nie ty. A jak dotąd nie osiągasz ich.

Zebranie zakończyło się dość szybko. Czuło się, że Larcher jest wściekły z powodu obrotu wydarzeń, który osłabił wydzwięk jego przesłania. Po raz pierwszy miałem odwagę wyrazić swój sprzeciw. Pewnie lepiej bym zrobił, milcząc. A jednak byłem szczęśliwy, że tak postąpiłem, że nie pozwoliłem zdeptać wyznawanych przez siebie wartości.

Pospiesznie opuściłem salę konferencyjną i poszedłem do swojego pokoju. Wolałem jednak nie znaleźć się oko w oko z dyrektorem. Poza tym nie miałem ochoty widzieć nikogo. Czekałem, aż wszyscy pójda na obiad, zanim sam wyszedłem, aby coś zjeść. Pomału otworzyłem drzwi. W firmie panował spokój. Wymknąłem się na korytarz. Moje kroki, tłumione przez wykładzinę, nie mąciły niemalże niepokojącej ciszy.

Kiedy byłem na wysokości pokoju Thomasa, rozległo się dzwonenie mącające spokój. Aż podskoczyłem. Jego telefon. Ktoś do niego dzwonił. O tej godzinie zazwyczaj się to nie zdarzało. Sygnał rozbrzmiewał w opustoszałym biurze jak desperackie wołanie w pustce.

Nie wiem, co mnie podkusiło. Nie miałem tego w zwyczaju ani w kompetencjach, ale dzwonenie było tak uporczywe, że postanowiłem odebrać telefon.

Otworzyłem drzwi do pokoju Thomasa. Wszystko było w idealnym porządku: segregatory ułożone na stosie, niedbale odłożony długopis Montblanc na widoku. W powietrzu unosił się bardzo delikatny zapach perfum. Może jego woda po goleniu. Podniosłem słuchawkę, model o wiele bardziej efektowny niż te, które były w pozostałych pokojach. Czyżby wynegocjował taki aparat u szefa? Był równie zdolny do tego, by go kupić. Wszystko po to, żeby się wyróżnić i wybić z tłumu.

- Al... - Chciałem wypowiedzieć swoje imię, aby poinformować rozmówcę, że to nie Thomas, ale tamten nie dał mi czasu, przerywając mi i wygrażając nienawistnym tonem.

- To okropne, co zrobiliście. Przecież mówiłem, że jeszcze się nie zwolniłem, i liczyłem na waszą całkowitą dyskrecję. Wiem, iż dzwonił pan do mojego dyrektora, aby mu powiedzieć, że kierownik administracyjny zwolni stanowisko, i proponował pan znalezienie następcy...

- Proszę pana, ja nie...

- Proszę milczeć! Wiem, że to pan, bo nigdzie indziej nie wysłałem swojego CV. Słyszysz pan? To musiał być pan. To karygodne i nie trafi pan za to do raju.

10

Kiedy wychodziłem z firmy, ni stąd, ni zowąd pojawiła się Alice. Widocznie czekała na mnie od zakończenia zebrania.

- Idziesz na lunch? - zapytała prosto z mostu. Uśmiechała się, ale jej uśmiech przysłaśniał cię niepokojem... Czyżby się obawiała, że ją ze mną zobaczą?

- Tak - odpowiedziałem.

Odczekała chwilę, jakby chciała, żebym to ja zaproponował, po czym zapytała:

- Zjemy razem?

- Zgoda.

- Znam malutką, bardzo miłą restaurację trochę na uboczu. Będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

- Jak się nazywa?

- Le Repaire d'Arthus.

- Nie znam.

- Jest dość... oryginalna. Nie powiem nic więcej. Nie zdradzę nic więcej. Sam oceń to miejsce...

- Jeśli nie jada się tam dziwnych zwierząt, będzie OK.

- Wy, Amerykanie! Ale z was sztywniaki!

Poszliśmy ulicą Moliera i na jej końcu znaleźliśmy się w zadaszonym przejściu prowadzącym do arkad Palais-Royal, biegnących wzdłuż ogrodu. Co za spokojna przystań w pełnej zgiełku dzielnicy w sercu Paryża... Prosty ogród przywodził na myśl szkolne dziedzińce sprzed wojny. Kasztanowce posadzone w rzędzie, ubita ziemia i stary budynek owiany historią. Pod arkadami wyczuwało się delikatny zapach zimnego kamienia, wysłużonego i zmatowiałego w trakcie minionych stuleci, na którym rozbrzmiewał stukot naszych obcasów. To miejsce wypełniała nostalgia. Czas się tu zatrzymał dwa stulecia temu i nie zdziwilibyśmy się, gdybyśmy zobaczyli dzieci w staromodnych strojach, wybiegające z krzykiem po dzwonku na przerwę, strasząc wróble.

Pokonaliśmy kilka stopni schodów w północnym zakątku ogrodu, ozdobionych ładną poręczą z kutego żelaza, chropowatą w dotyku. Przeszliśmy wzdłuż witryny sklepu z pozytywkami, obramowanej ciemnym drewnem, i dotarliśmy do Petits-Champs. Ta urocza,

gwarna uliczka starego Paryża miała tak wąski chodnik, że trudno było iść obok siebie. Każdy z wielu małych sklepików był niepowtarzalny, odległy o lata świetlne od sklepów sieciowych, sprzedających to samo we wszystkich miastach świata. Tu każda wystawa zaskakiwała oryginalnością dekoracji i oferowanych produktów. Sprzedawca parasoli miał swoje miejsce obok sklepu mięsnego, który z kolei sąsiadował z butikiem z kapeluszami. Za nim mieściła się herbaciarnia, a dalej sklepik z biżuterią artystyczną. Od knajpek przez pasmanterie, aż po księgarnie ze starymi książkami, wszystko to zachęcało, żeby się zatrzymać i kontemplować piękne przedmioty, dotykać ich...

- Znasz galerię Vivienne?

- Nie.

- Zboczymy trochę.

Przeszliśmy przez ulicę między samochodami, jadącymi powolutku w nieprzerwanym ciągu - kierowcy byli wyraźnie zdenerwowani, że poruszają się wolniej od pieszych - po czym skierowaliśmy się pod wysoki portyk pomiędzy dwoma butikami. Znaleźliśmy się na swego rodzaju uliczce przykrytej dachem z żółtego szkła i kutego żelaza. Niezbyt przyjemnie tu pachniało, czuć było wilgoć. W galerii mieściło się kilka sklepów i restauracja. Atmosfera w niej była zupełnie różna od tej, do jakiej przywykliśmy w restauracjach usytuowanych przy zwykłych ulicach. Odizolowana od napływających przechodniów i zgiełku miasta, była skąpana w przytłumionym świetle i nabożnej ciszy. Najmniejszy hałas lub podniesiony głos niósł się po werandzie. Ludzie poruszali się wolno, panował tu melancholijny spokój.

- Galeria powstała na początku dziewiętnastego wieku. Była miejscem spotkań elity w okresie Restauracji. Przychodzę tu, kiedy chcę się odciąć i zapomnieć na trochę o pracy.

Miała kształt podkowy. Przemierzyliśmy ją i znaleźliśmy się znów na ulicy. Doszedł nas zapach ciepłego chleba z pobliskiej piekarni. W jednej chwili poczułem się bardzo głodny.

- Jesteśmy! - zawołała Alice, wskazując fronton restauracji obłożony drewnem pomalowanym na kolor pięknej głębokiej szarości.

Weszliśmy do małej sali z barokowymi dekoracjami, w której mogło się zmieścić zaledwie około dwudziestu osób. Na ścianach wisiały liczne obrazki z cytatami, oprawione w drewniane rzeźbione ramki. Szef - około czterdziestki, blondyn, dość niski, jedwabna chustka wystająca spod kołnierzyka różowej koszuli - pochłonięty był rozmową z klientami. Przerwał, jak tylko zauważył Alice.

- Pani sierzant rekrutująca! - powiedział manierycznym tonem, który, gdyby nie został opatrzony poufnym uśmiechem, wydałby się służalczy.

- Już panu mówiłam, żeby mnie tak nie nazywać, Arthus - odpowiedziała rozbawiona.

Pocałował ją w rękę.

- A cóż to za piękny królewicz dziś pani towarzyszy? - zapytał, pożerając mnie wzrokiem. - Pani ma dobry gust... i ryzykuje, przyprowadzając go do Arthusa.

- Alan to kolega z pracy - odpowiedziała tonem przywołującym do porządku.

- Ach! Pan też z tych! Proszę nie próbować mnie zatrudniać, nie potrafiłbym się odnaleźć w obcej firmie.

- Rekrutuję tylko księgowych - odparłem.

- Ach! - westchnął, udając wielki smutek. - Interesuje się tylko księgowymi...

- Miałbyś dla nas dwa miejsca, Arthus? Nie robiłam rezerwacji...

- Mój astrolog powiedział mi, że dziś przyjdzie ktoś dla mnie ważny, zatrzymałem zatem ten stolik. Jest dla was.

- Ależ pan dobry.

Podał nam karty z dużą elegancją, a Alice odłożyła swoją, nawet do niej nie zaglądając.

- Nie zajrzysz? - zapytałem.

- Nie ma potrzeby.

Patrzyłem na nią w oczekiwaniu, chcąc się czegoś więcej dowiedzieć, ale obdarzyła mnie tylko krótkim, zagadkowym uśmiechem.

Karta była dość bogata i wszystkie dania wydawały się smaczne. Nielatwy wybór. Nie skończyłem jeszcze czytać, gdy nasz gospodarz przyszedł odebrać zamówienie.

- Dla pani?

- Zdaję się na pana.

- Ach! Lubię, kiedy kobiety się na mnie zdają! Odtąd jest pani moją własnością. A czy mój piękny książę już wybrał? - zapytał, pochylając się delikatnie nade mną.

- Hmm... yyy... Wezmę przekładaniec z pomidorami i bazylią z Aix...

- Nie, nie, nie... - wymamrotał cicho pod nosem.

- Słucham?

- Nie, nie, to nie przystawka dla księcia. Proszę pozwolić mi się tym zająć. Zobaczmy... Przygotuję dla pana... cykorie w serze roquefort.

Byłem trochę zbity z tropu jego zachowaniem.

- Co to jest roquefort?

Arthus udał, że ze zdziwienia opada mu szczęka, i przez kilka chwil stał z otwartymi ustami.

- Słucham? Mój księżę żartuje, czyż nie?

- Mój kolega jest Amerykaninem - odparła Alice. - Mieszka we Francji zaledwie od kilku miesięcy.

- Ale mówi bez akcentu - zauważył. - A poza tym jest uroczy i niezbyt postawny jak na Amerykańca. Nie wychowywał się pan na corn flakesach i big macach?

- Jego matka była Francuzką, ale całe życie mieszkał w Stanach Zjednoczonych.

- Dobrze, w takim razie trzeba go podszkolić. Liczę na panią, Alice. Trzeba wszystko przerobić. Ja zajmę się nim od strony kulinarnej - powiedział, oddzielając każdą sylabę ostatniego słowa. - Zacznijmy zatem od roqueforta. Wie pan, że Francja ma ponad pięćset gatunków sera...

- W Stanach też mamy ich sporo.

- Och nie! - powiedział niby zrozpaczonym tonem, z emfazą. Nie mówimy o tym samym! Zupełnie! U was to nie ser, to plastik w celofanie, to galaretowata guma zaprawiona solą... O la la! Trzeba będzie nauczyć go wszystkiego! Dobrze, więc zacznijmy od roqueforta... Roquefort to król serów i ser królów...

- Dobrze, więc dla mnie cykorie z roquefortem - przerwałem mu. - Postanowione! Potem wrzucę na ruszt...

- Tutaj się niczego nie wrzuca, mój księżę.

- Dobrze, a zatem przekąszę...

- Nie, nie, nikogo też nie kąsamy. Nawet tych, którzy nie płacą, wie pan...

Zacząłem od nowa, starannie dobierając słowa:

- Następnie zjem boef bourguignon z pomidorami na parze.

- Och nie! - krzyknął stanowczo. - Oczywiście, że nie! To nie dla pana. Nie może się pan kazać wołowiną. Nie, nie... Przyniosę panu... pomyślmy... indyczkę leśną w złotym winie z opieńkami z Sologne.

- Byłem lekko zbity z tropu.

- Czy mam prawo wybrać deser?

- Ma pan wszelkie prawa, mój księżę.

- Wezmę więc tartę Tatin.

- Bardzo dobrze! W takim razie - mówił, koncentrując się na głoskach i wymawiając dokładnie każdą sylabę - mus czekoladowy. Dziękuję i życzę smacznego! Arthus cieszy się, że może was gościć!

Zniknął w kuchni.

Wybuchnąłem śmiechem.

- Co to za obłąd?

- Karta to ścierna - wyjaśniła Alice. - Jest tylko jedno menu, takie samo dla wszystkich. Ale jedzenie jest smaczne, wszystko świeże. Leon przygotowuje dobre i estetyczne dania - poinformowała mnie, wskazując wysokiego Murzyna, którego można było dostrzec przez przeszklone okienko w kuchni.

- Umieram z głodu.

- Szybko podają. To zaleta karty jednodaniowej... Mają stałych gości. Raz tylko pojawił się niemiecki turysta. Bardzo źle zareagował na żarciki Arthusa. Uznał, że to skandal, i wyszedł, pokrzykując.

Gospodarz pojawił się z powrotem prawie natychmiast, obracając zręcznie naszymi przystawkami.

- Proszę bardzo, cykorie w roquefortie!

Już prawie rzuciłem się na przystawkę, kiedy nagle...

- Alice - wymamrotałem.

Widok zawartości mojego talerza natychmiast mnie znie-smaczył.

- Co?

- Alice - mówiłem cicho - mój ser jest niedobry. Jest... spleśniały. To ohydne.

Patrzyła na mnie w ciszy przez trzy sekundy, potem wybuchła śmiechem.

- Ależ to normalne!

- To normalne, że ser jest zepsuty?

- Jest dobry, on...

- Chcesz, żebym jadł spleśniały ser?

Miałem wrażenie, że to jakieś nowe zadanie Dubreuila.

- Nie jest spleśniały, tylko pokryty pleśnią.

- To to samo, spleśniały czy pokryty pleśnią.

- Nie, to zdrowa pleśń. Przysięgam, że możesz to zjeść bez ryzyka. Poza tym bez niej ten ser nie byłby interesujący.

- Nabijasz się ze mnie.

- Ależ nie! Zapewniam cię! Patrz.

- Nabiła na widelec kilka kawałków tego czegoś i... włożyła do ust. Przeżuła i... połknęła z uśmiechem.

- To wstrętne!

- Ale przynajmniej spróbuj!

- Na pewno nie!

Zabrałem się do liści cykorii, wybierając starannie te, które nie miały kontaktu z pleśnią.

Arthus miał zasmuconą minę, kiedy przyszedł zabrać talerze.

- Będę musiał to ukryć przed Leonem. Płakałby krokodylimi łzami, gdyby zobaczył, jak została potraktowana jego przystawka. Znam go, byłby niepokieszony...

Zniknął w kuchni z naszymi talerzami. Alice oparła ręce na stole i lekko się nachyliła w moją stronę.

- Wiesz, bardzo mnie zaskoczyłeś na zebraniu. Nigdy bym nie pomyślała, że postawisz się Larcherowi. Ryzykowałeś.

- Sam nie wiem, w każdym razie byłem szczery. Jestem przekonany, że to nie leży w interesie firmy, żebyśmy pomijali kandydatów, którzy nie odpowiadają stanowisku w danym momencie.

Patrzyła mi w oczy kilka chwil. Nigdy wcześniej nie zauważyłem, jaka jest ładna. Jej jasnobrązowe włosy spięte nad karkiem odsłaniały smukłą, bardzo kobiecą szyję. Niebieskie spojrzenie było zarazem delikatne i stanowcze, błyszczało inteligencją. Było w niej coś bardzo urokliwego.

- Tak, tylko że jestem coraz bardziej przekonana, iż Larcher, Dunker i inni członkowie dyrekcji podejmują świadomie decyzje, które nie służą interesom firmy.

- Dlaczego mieliby to robić?

- Decyzje są dyktowane przede wszystkim przez rynek finansowy. Przez giełdę.

- Chcesz powiedzieć, że przez naszych akcjonariuszy?

- W pewnym sensie.

- Nie wiem, co to zmienia. Przecież to, żeby firma dobrze prosperowała, jest również w interesie naszych akcjonariuszy.

- Nie, to zależy...

- Zależy od czego?

- Od motywacji, dla której chcą być akcjonariuszami. Wiesz, wśród akcjonariuszy są różni ludzie: mali przedsiębiorcy, banki, fundusze inwestycyjne...

- I co?

- Sądzisz, że większość z nich interesuje się zdrowym i harmonijnym rozwojem naszej firmy? Liczy się tylko jedno: kurs akcji musi wzrastać, a my musimy wypłacać coroczne dywidendy.

- Niekoniecznie... Główną zasadą kapitalizmu jest to, że ci, którzy podejmują ryzyko finansowe, inwestując w przedsiębiorstwa, zyskują najwięcej, jeśli one dobrze prosperują. To

rekompensata za ryzyko, dzięki któremu firmy mogły się rozwijać. Akcje rosną, jeśli firma się rozwija, bo wówczas ryzyko wydaje się mniejsze i wielu chce wejść na pokład. Jeśli chodzi o dywidendy, to tylko zyski są dzielone między akcjonariuszy. Firma musi dobrze prosperować...

- Tak, w teorii, ale w praktyce ten system tak nie działa. Teraz rzadkością są akcjonariusze, którym zależy na długoterminowym rozwoju przedsiębiorstwa. Poza tym zazwyczaj w ogóle go nie znają... Albo chcą zarobić, odsprzedając akcje, kiedy wystarczająco wzrosną, albo mają ich tyle, że mogą wpływać na decyzje przedsiębiorców. I, wierz mi, nie chodzi im o to, żeby firma się harmonijnie rozwijała, ale o to, żeby mogła wypłacać wysokie dywidendy w ciągu tych kilku lat, kiedy będą jej udziałowcami, nawet jeśli to przeszkadza w finansowaniu rozwoju firmy i w rezultacie stanowi dla niej zagrożenie.

- A ty myślisz, że Dunker i jego banda właśnie tak pogrywają, służąc interesom akcjonariuszy ze szkodą dla dobra firmy?

_ Tak.

- Przecież to Dunker stworzył tę firmę. To jego firma. Z trudem mógłbym sobie wyobrazić, że zgodziłby się na jej powolne niszczenie.

- To już nie jest jego firma. Wprowadził ją na giełdę i odtąd ma tylko osiem procent udziałów. To tak jakby ją sprzedał.

- Wciąż jednak pozostaje na jej czele, chyba ją lubi...

Alice zrobiła grymas.

- On nie jest sentymentalny. Nie. Sądzę, że to, iż wciąż należy do dyrekcji, wynika z porozumienia między nim a dwoma wielkimi akcjonariuszami, którzy stali się posiadaczami kapitału.

Arthus postawił przed nami parujące, pysznie pachnące indyczki i zostawił nas, żeby powitać innych bywalców lokalu.

- Hrabino, jestem do usług.

- Mój biedny Arthus - odpowiedziała dama, do której się zwrócił. - Tak daleko, jak sięga moje drzewo genealogiczne, w mojej rodzinie byli tylko chłopci, włóczędzy i utrzymankowie... A potem, jak pan wie, szlachtę obalono w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym...

- Tak, ale Arthus przywrócił ją w dwa tysiące trzecim! - ripostował gospodarz.

Indyczka w żółtym winie miała wyrafinowany smak. Ten rodzaj potraw mógłby zatrzymać na francuskiej ziemi każdego Amerykanina. Exit to zło dla każdego kraju. Nawet ultra-nacjonalistyczny konserwatysta wyrzekłby się jednak swojej ojczyzny po jednym kęsie

takiego dania.

- Znałeś Tonera? - zapytała Alice pomiędzy dwoma kęsami.

- Faceta, który zwolnił się niedługo po moim pojawieniu się?

- Tak. To najlepszy z konsultantów. Silny typ. I handlowiec niemający równego. Był świadomy swojej wartości i próbował negocjować podwyżkę.

- Odmówili, jeśli dobrze pamiętam.

- Tak. Ale nie dał się zbić z tropu. Udowodnił, że jego odejście będzie firmę kosztowało więcej niż jego podwyżka. Przeliczył koszt rekrutacji na swoje miejsce, wyszkolenia następcy, czas, kiedy będzie mu się płaciło, a on jeszcze nie będzie generował zysków i tak dalej. Nie było wątpliwości - kosztowałyby ich mniej, gdyby dali mu podwyżkę i nie pozwolili odejść. A jednak do tego dopuścili. Wiesz, dlaczego?

- Kwestia ambicjonalna? Żeby nie zmienić raz podjętej decyzji?

- Nawet nie to. Wyjaśnili mu, że jeśli pozwolą, aby wynagrodzenia wzrastały, szybko się to odbije na prognozach handlowych i kurs akcji spadnie. Tymczasem koszt zatrudnienia następcy zostałby wpisany w koszty dokształcania, na co giełda jest znacznie mniej wrażliwa.

- To bzdury.

- W kwestii dokształcania wcale nie jest lepiej. Kiedyś zajęcia kończyły się o osiemnastej. Teraz o siedemnastej nie ma już nikogo.

- Dlaczego?

- Chcesz znać powód, jaki podaje się klientom, czy ten dyktowany przez biznes?

- Dawaj...

- To podstawowa sprawa, jeśli chodzi o plan pedagogiczny, mój drogi kliencie. Nasze badania wykazały, że nieznaczne obcięcie godzin zajęć powoduje wzrost ilości przyswajanej wiedzy, optymalizując ten proces...

- A w rzeczywistości?

- Szkoleniowiec musi być o siedemnastej pięć przy telefonie i wyszukiwać nowych klientów. Rozumiesz, o osiemnastej nie można się już do nikogo dodzwonić...

Upiłem łyk wina.

- A propos nieuczciwych praktyk. Zupełnie przez przypadek odkryłem, że jeden z naszych kolegów zdradził klienta, informując jego szefa, że tamten zamierza odejść z pracy...

- O... nie jesteś na bieżąco?

- Jak to?

- To wydarzyło się w dniu, kiedy nie było cię w pracy. Dunker przyszedł na cotygodniowe spotkanie handlowe. Dał nam do zrozumienia, że stosując tę metodę, można

zrobić niezły interes.

- Żartujesz?

- Wcale nie.

- Marc Dunker, nasz prezes, miałby zachęcać konsultantów do... tego rodzaju praktyk?

Ależ to niegodne!

- Nie prosił nas o to wprost, ale zasugerował nam to.

Obserwowałem przez szybę szare niebo. Zaczynało padać.

- No wiesz, to trochę deprymujące. Ja chciałbym jednak wierzyć w to, co robię. Żeby wstać rano do pracy, muszę wiedzieć, że to czemuś służy, nawet jeśli nie chodzi o wielką sprawę. Chcę przynajmniej odczuwać satysfakcję z dobrze wykonanej pracy. Ale jeśli trzeba zrobić wszystko, i to natychmiast, żeby wzbogacić akcjonariuszy, którzy nawet nie interesują się firmą, nie widzę w tym sensu. Potrzebuję tego, żeby moja praca miała sens.

- Jesteś idealistą, Alan.

- Bez wątpienia tak.

- To piękne, ale niedzisiejsze. Żyjemy wśród cyników i samemu też trzeba być cynicznym, żeby jakoś sobie z tym poradzić.

- Ja... ja się nie zgadzam. A raczej odmawiam podporządkowania się takiej wizji. W przeciwnym razie nic już nie ma wartości. Nie mogę zaakceptować myśli, że moje życie sprowadzi się do pracy jedynie po to, żebym miał za co kupić jedzenie, zapłacić za mieszkanie i kilka rozrywek. To by było kompletnie pozbawione sensu.

- Wszystko w porządku, moje indyczki? - zapyta! Arthus, patrząc na nasze talerze świadczące o sukcesie przygotowanego przez niego dania.

- Nie pozwalam panu na taką zażyłość - odparła Alice, udając obrażoną.

Oddalił się ze śmiechem.

- Ja - mówiłem dalej - potrzebuję pracy, która przynosi coś ludziom, nawet jeśli nie zmieni oblicza świata. Chcę się kłaść spać, mówiąc sobie, że mój dzień był pożyteczny, że dołożyłem swoją cegiełkę.

- Będziesz musiał przyznać, że nie zmienisz świata.

Odłożyłem widelec. Nawet indyczka w złotym winie już nie wzbudzała we mnie apetytu.

Zobaczyłem, jak Arthus całuje kogoś w rękę. On żyje w świecie, który sam stworzył.

- Ależ owszem, jestem przekonany, że każdy z nas może zmieniać świat pod warunkiem, że nie pochyli się głowy, nie odrzuci tego, co uważa się za słuszne, ani nie pozwoli się zdeptać uznawanych przez siebie wartości. W przeciwnym razie zgadzamy się na

to, co się wydarza.

- Dobrze, masz rację, ale to tylko piękne słowa. Konkretnie to niczemu nie służy. Przez to, że zaryzykujesz, prezentując swoje przekonania, nie zapobiegiesz złemu zachowaniu innych.

Patrzyłem na Alice. To zabawne, ale nawet jeśli próbowała udowodnić mi, że moje wysiłki są daremne, w głębi duszy chciała, żebym miał rację. Być może nie miała już nadziei, a jedyne, czego chciała, to znowu ją zyskać.

Zamyśliłem się, pozwalając spojrzeniu prześlizgiwać się po ścianach restauracji. W końcu zatrzymałem wzrok na jednej z maksym, które Arthus powiesił jako obrazek. Był to cytat z Gandhiego: Sami musimy być zmianą, którą chcemy widzieć w świecie.

11

- To pewne, że zmiany nie przyjdą od innych!

Yves Dubreuil rozparł się w swoim głębokim fotelu i położył nogi na biurku. Podobał mi się zapach skóry i starych książek, kojarzący się z tym miejscem, w którym spędziliśmy razem cały dzień nazajutrz po naszym pierwszym spotkaniu. Delikatne światło wieczoru filtrowane przez gałęzie drzew w parku podkreślało angielską atmosferę panującą w pokoju. Dubreuil zgodnie z przyzwyczajeniem obracał kostki lodu w burbonie.

- Jestem przekonany - ciągnął - że wszelkie zmiany, których oczekujemy, muszą wyjść od nas, a nie przyjść z zewnątrz. To nie żadna organizacja, nie żaden rząd, nie nowy szef czy syndykat, ani nawet nowy partner, zmieniają twoje życie. Spójrz na politykę. Kiedy ludzie stawiali na kogoś po to, aby ich życie się zmieniło, czy to przynosiło skutek? Pomyśl o Mitterandzie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym, o Chiracu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym, o Obamie w dwa tysiące ósmym... Za każdym razem ludzie byli rozczarowani. Sądziło się, że pomylili się w wyborze człowieka, że źle wybrali. Tak naprawdę nie w tym tkwi problem. Nikt bowiem nie zmieni twojego życia, jeśli nie zrobisz tego sam. Dlatego trzeba się wziąć w garść.

Zauważ, myśl Gandhiego wykraczała poza indywidualne punkty widzenia, osobiste próby podejmowania zmian. Sądzę, że określała przede wszystkim zmiany, które każdy pragnąłby ujrzeć na świecie, i bez wątplenia chciał pokazać, że mądrzej jest być wzorem do naśladowania, i w końcu stać się dla innych przykładem, niż oskarżać i krytykować.

- Tak, rozumiem, idea jest interesująca, ale nawet jeśli stanę się wzorem równowagi,

w mojej firmie i tak nic się nie zmieni, jeśli chodzi o wymagania wobec mnie, a mój szef nie zacznie mnie szanować...

- Owszem, w pewien sposób. Jeśli cierpisz dlatego, że twój szef cię nie szanuje, nie sądz, że to on się zmieni. To ty musisz nauczyć innych, żeby cię szanowali. Zastanów się, co możesz w sobie zmienić, żeby stać się bardziej godnym szacunku. Może swoją pozycję we wzajemnych relacjach, sposób mówienia, komunikowania swoich wyników... Może nie pozwalając czynić sobie nieodpowiednich uwag... Powinieneś też wiedzieć, że nienormalni szefowie, którzy znęcają się psychicznie, nie atakują wszystkich współpracowników i nieprzypadkowo dobierają ofiary.

- Przecież nie można powiedzieć, że to wina ofiary, jeśli jest napastowana!

- Nie, tego nie mówię. To na pewno nie jej wina i nie można nawet powiedzieć, że bezwiednie do tego doprowadza. Nie. Mówię tylko, że jej sposób zachowania, sposób bycia umożliwiają napastowanie. Jej kat czuje, że jeśli zaatakuje, odniesie spodziewany skutek, podczas gdy z innym by się to nie udało.

- To okropne.

- Tak.

- A... co sprawia, że dana osoba zalicza się do takiej kategorii?

- To skomplikowane, może się na to składać wiele elementów, ale najbardziej determinujące jest to, że bez wątplenia brakuje jej wiary w siebie. Jeśli w głębi nie jest wystarczająco przekonana o swojej wartości, staje się łatwym celem dla niektórych zbrojeńców. Wystarczy, że dotkną tam, gdzie boli.

Natychmiast potrzebowałem powietrza.

- Moglibyśmy trochę przewietrzyć?

Wstał i otworzył okno na oścież. Ciepłe, łagodne powietrze połączone z wilgocia drzew wypełniło pokój, przynosząc nam kojące zapachy letniego wieczoru. Słychać było ciche pogwizdywania ptaków ukrytych w listowiu, a gałęzie stuletniego cedru falowały powoli.

- Zastanawiam się, czy... myślę, że... że może brakuje mi trochę pewności siebie... Nie o to chodzi, że siebie nie lubię, to nie to, no i czuję się... normalny, ale to prawda, że łatwo mnie zbić z tropu, kiedy słyszę uwagi na swój temat, kiedy mnie krytykują.

- Też tak sądzę. Następnym razem dam ci zadanie, które rozwinie twoje poczucie wartości, twoje zaufanie do siebie samego, żebyś w głębi stał się silniejszy.

Zastanawiałem się, czy nie postąpiłbym lepiej, milcząc.

- Wracając do naszych spraw, chcę wierzyć, że można zmienić to, jak nas widzi nasz

menadżer i jak się wobec nas zachowuje, ewoluując wewnętrznie. Ale to nie zmieni biegu wydarzeń w firmie.

- Powiedzmy, że to wymaga umiejętności dobrego komunikowania się, ale jestem przekonany, że potrafisz przekonać menadżerów, na których ciągle się skarżysz, aby zmienili zdanie na niektóre tematy. Żeby coś osiągnąć, będziesz musiał umieć na nich wpłynąć.

- Trudno to sobie wyobrazić.

- Mówisz tak, bo jeszcze nie wiesz, jak się do tego zabrać, ale to nie takie straszne. Poza tym, kiedy coś nam nie pasuje, możemy zwyczajnie zmienić pracę. Gdybyś wiedział, ilu ludzi jest niezadowolonych ze swojej sytuacji zawodowej. Uskarżają się, a jednak zostają na miejscu. Człowiek boi się zmian, nowości, często woli zostać w znajomym otoczeniu, nawet jeśli jest ono nieprzyjemne, niż znaleźć się w sytuacji, której nie zna. To jaskinia Platona! Platon opisywał to na przykładzie ludzi urodzonych w ciemnej grocie, z której nigdy nie wychodzili. Ta pieczara była ich wszechświatem i mimo że przygnębiająca, była im znajoma, więc czuli się w niej pewnie. Uparcie odmawiali wyjścia na zewnątrz, bo nie znając świata zewnętrznego, wyobrażali sobie, że jest wrogi i niebezpieczny. Nie dali sobie szansy, aby się dowiedzieć, że ta nieznana przestrzeń jest w istocie wypełniona słońcem, pięknem, wolnością... - Dubreuil zawiesił w zamyśleniu głos. - Wielu ludzi żyje dziś w jaskini Platona - podjął swój wywód - nie zdając sobie z tego sprawy. Ogarnia ich blady strach przed nieznanym i odmawiają jakichkolwiek zmian, które dotknęłyby ich osobiście. Mają idee, plany, marzenia, ale nigdy ich nie realizują, sparaliżowani tysiącem nieuzasadnionych obaw. Tymczasem oni sami mają klucz otwierający ich jaskinię. Wisi na ich szyi, ale nigdy nie wezmą go do rąk.

Dubreuil upił kropelkę burbona i dorzucił kilka kostek lodu, które zadźwięczały radośnie w kieliszku.

- Ja wierzę - konkludował - że życie samo w sobie jest permanentną zmianą, ruchem. Nie ma sensu przywiązywać się do status quo. Jedyne umarłi są nieruchomi... W naszym interesie leży nie tylko zaakceptowanie, ale i zainicjowanie zmian, żeby móc ewoluować w kierunku, jaki nam odpowiada.

Wziął głęboki wdech. Powietrze dochodzące z zewnątrz miało delikatny zapach.

- A propos zmian - odezwał się - jest jedna, której naprawdę bym chciał, a nie udaje mi się jej wprowadzić, mimo że dotyczy tylko i wyłącznie mnie. Chciałbym przestać palić. Może mógłby pan coś z tym zrobić?

- To zależy. Opowiedz mi o tym trochę więcej. Dlaczego chcesz przestać?

- Z tych samych przyczyn co wszyscy: to głupota, coś, co pomału zabija.

- Dobrze, a zatem co ci przeszkadza w rzuceniu palenia?

- Po pierwsze, lubię to, jeśli mam być ze sobą szczerzy. Trudno obyć się bez czegoś, co się lubi. Brakowałoby mi tego, przede wszystkim w chwilach stresu, bo dzięki papierosowi mogę się rozluźnić.

_ OK. Wyobraź sobie zatem, że istnieje inny produkt, przyjemny w konsumpcji, który dodatkowo rozluźnia. Możesz go używać, kiedy tylko chcesz. Wyobraź to sobie.

- Dobrze.

- Dzięki temu z łatwością przestałbyś palić?

- Hmm... taaa...

- Niezbyt przekonująca odpowiedź!

- Nie wiem...

- Wyobraź sobie, że masz magiczny produkt, który dostarcza przyjemności i rozluźnia, kiedy tego potrzebujesz. Papieros dostarcza jeszcze czegoś?

- Yyy... nie.

- Co więc w tych okolicznościach przeszkadzałoby ci w zaprzestaniu palenia?

Na próżno wyobrażałem sobie, że jakiś cudowny produkt dostarczy mi przyjemności i wystarczająco rozluźni. Coś w rzuceniu palenia mnie zasmucało. Ale co? Co to mogło być? Mgliście przeczuwałem odpowiedź, zanim się pojawiła i stała się ewidentna.

- Wolność.

- Wolność?

- Tak, wolność. Nawet jeśli mam ochotę skończyć z nikotyną, istnieje taka presja społeczna, iż mam wrażenie, że to nie mój wybór; gdybym powstrzymał się od palenia, straciłbym wolność.

- Straciłbyś wolność?

- Wszyscy się czepiają o papierosy. Mówią: „Powinieneś przestać palić”, i przez to miałbym poczucie, że ulegam presji, podporządkowuję się woli innych.

Przez twarz Dubreuila przebiegł uśmiech.

- OK. Wyślę ci instrukcje. Będziesz musiał się do nich całkowicie stosować. Jak zwykle.

Poczułem na plecach chłodne powietrze i odwróciłem się.

Catherine uchyliła drzwi, żeby wślizgnąć się do pokoju. Usiadła po cichu w kącie, kierując w moją stronę przelotny uśmiech.

W tym momencie moje spojrzenie padło na TO. Na biurku leżał szary, dość duży notes. Na okładce zauważyłem swoje imię do góry nogami, napisane ręcznie czarnym tuszem,

oddzielnymi literami, mocno podkreślonymi zamazystą linią. Czyżby Dubreuil prowadził o mnie zeszyt? Płonałem ochotą, żeby go przeczytać. Co zawierał? Listę zadań, które mi wyznaczał? Notatki na mój temat, dotyczące naszych spotkań?

- Podsumujmy zatem - ciągnął - żebyśmy wiedzieli, na czym stoisz. Nauczyłeś się wyrażać niezgodę, życzenia, pragnienia, i umacniać swoją pozycję wśród innych.

- W skrócie tak.

- Teraz, w odniesieniu do tego, o czym właśnie mówiliśmy, musisz się nauczyć lepiej komunikować z ludźmi. To sprawa podstawowa. Nie żyjemy na ziemi sami. Z konieczności tkwimy w relacjach i interakcjach z innymi i nie zawsze właściwie się do nich zabieramy. Są rzeczy, które trzeba wiedzieć, żeby stać się docenianym, szanowanym i stworzyć dobre stosunki z innymi.

W jego sformułowaniu coś mi się nie podobało.

- Nie chcę stosować technik, żeby lepiej się porozumiewać. Chcę pozostać sobą i nie musieć mówić lub robić jakichś specjalnych rzeczy, żeby mieć dobre stosunki z otoczeniem.

Przyglądał mi się zbity z tropu.

- W takim razie dlaczego zgodziłeś się nauczyć języka?

- Słucham?

- Mówisz po francusku i angielsku, czyż nie? Dlaczego zgodziłeś się nauczyć tych języków?

- To co innego.

- Czym to się różni? Nie urodziłeś się z umiejętnością mówienia. Nauczyłeś się tego, nauczyłeś się reguł, a teraz je stosujesz, żeby się wyrażać. Czy masz poczucie, że nie jesteś sobą, kiedy mówisz?

- Oczywiście, że nie.

- Jesteś pewien? Żeby pozostać naprawdę naturalnym, może wolisz wyrażać się nieartykułowanymi dźwiękami albo wydawać jęki, żeby cię zrozumiano.

- Języka nauczyłem się, kiedy byłem dzieckiem. To wielka różnica.

- A więc chcesz powiedzieć, że to, czego uczymy się przed osiągnięciem pewnego wieku, jest częścią nas, a to, czego uczymy się później, jest sztuczne i nie jesteśmy sobą, jeśli tego używamy?

- Nie wiem, ale czuję się nienaturalnie, kiedy nie działam spontanicznie.

- Chcesz, żebym ci coś powiedział?

- Co takiego?

- To opór przed zmianą! To główna różnica między dzieckiem a dorosłym. Dziecko

ma ochotę się rozwijać. Dorosły robi wszystko, żeby się nie zmieniać.

- Może.

- Podzielę się z tobą moim odczuciem. - Delikatnie nachylił się w moją stronę i przybrał poufały ton. - Kiedy nie masz już ochoty ewoluować, zaczynasz powoli umierać.

Przełknąłem ślinę. Catherine zaczęła kaszleć. Krzyk ptaka za oknem zabrzmiał jak szyderstwo.

- Zdałem sobie sprawę z pewnej niepokojącej rzeczy - mówił dalej. - U większości ludzi ta niechęć do pracy nad swoim zachowaniem pojawia się w wieku około dwudziestu, dwudziestu pięciu lat. Wiesz, jakiemu biologicznemu procesowi odpowiada ten okres?

- Nie.

- W tym wieku kończy się rozwój mózgu.

- A więc to nieprzypadkowo ustaje chęć do rozwoju. Może to naturalne...

- Tak, ale historia się nie zatrzymuje w tym momencie. Długo sądzono, że liczba neuronów zmniejsza się nieodwołalnie do końca życia. Bardzo niedawno udowodniono jednak, że mogą się one tworzyć nadal, nawet kiedy jesteśmy dorośli.

- Przywraca mi pan wiarę, bo już zaczynałem czuć się staro.

- Dokładniej, proces regeneracji może powrócić pod wpływem różnych czynników, takich jak... nauka. Mówiąc krótko, jeśli decydujesz się na dalszą naukę i rozwój, pozostajesz młody. Ciało i dusza są nierozzerwalnie związane. Chcesz dowodu?

- Tak.

- Według oficjalnych statystyk ministerstwa zdrowia w momencie, kiedy ludzie przechodzą na emeryturę, ich zdrowie gwałtownie się pogarsza. Dlaczego, według ciebie? Tak długo, jak są aktywni, muszą się adaptować, choć trochę ewoluować, żeby nie uznano ich za starych ramoli. Kiedy przechodzą na emeryturę, nie muszą się już wysilać. Utwierdzają się w swoich przyzwyczajeniach i tak zaczyna się koniec.

- Weszło...

- Żeby zostać przy życiu, wystarczy zostać w życiu, to znaczy w ruchu, rozwijać się. Znam kobietę, która zaczęła uczyć się gry na pianinie w wieku osiemdziesięciu jeden lat. To wspaniale! Każdy wie, że trzeba lat nauki, żeby naprawdę umieć grać. To znaczy, że w wieku osiemdziesięciu jeden lat stwierdziła, iż jednak warto poświęcić kilka lat, żeby opanować grę na tym instrumencie! Założyłbym się, że będzie żyła jeszcze długo.

Jeśli chcesz być młody całe swoje życie, nie przestawaj się rozwijać, uczyć, odkrywać, i nie zamykaj się w swoich przyzwyczajeniach, które powodują sklerozę, ani w odrętwiającym komforcie tego, co już umiesz.

- Dobrze, co zatem chce mi pan przekazać na planie racjonalnym?

Spojrzał na mnie z zadowoleniem.

- Hm, powierzę ci sekret. Sekret, który pozwoli ci nawiązać relację z każdym, nawet z przedstawicielem kultury innej niż twoja. Sposób na wchodzenie w relację i powodowanie, że druga osoba ma ochotę na wymianę myśli, słuchanie twoich słów, szanowanie twojego punktu widzenia, nawet jeśli jest inny niż jej, to szczerłość.

Taka perspektywa była oczywiście pożądana...

Wziął kartkę papieru kredowego z biurka, chwycił pióro, którego oprawa z czarnej laki odbijała światło, i zaczął pisać płynnymi ruchami. Złota stalówka skrobała głośno po papierze. Podał mi go. Wilgotny atrament lśnił, jakby papier nie chciał przyjąć sekretu, który nie był dla niego przeznaczony.

Wejdz w świat swojego bliźniego, a on otworzy się przed tobą.

Przeczytałem raz, drugi i zamyśliłem się. Oczywiście, sformułowanie spodobało mi się, przypominało magiczne zaklęcie, którego sens jeszcze mi umykał.

- Ma pan do tego instrukcję obsługi?

Uśmiechnął się.

- Jeśli zatrzymalibyśmy się na czysto mentalnym poziomie, inaczej sformułowałbym ten sekret. Powiedziałbym ci coś w stylu: „Spróbuj zrozumieć drugą osobę, zanim się postarasz, by zrozumiano ciebie”. Ale ta formuła sięga o wiele głębiej. Nie można sprowadzić komunikacji między dwojgiem ludzi do wymiany intelektualnej. Przebiega też na innym poziomie.

- Innym poziomie?

- Tak, szczególnie na emocjonalnym. Emocje, które odczuwasz w obecności drugiej osoby, są często nieświadomie przez nią odbierane. Jeśli jej nie lubisz, to nawet gdy doskonale to ukrywasz, odczuje to w taki czy inny sposób.

- Możliwe...

- Ludzie czują nasze intencje.

- Chce pan powiedzieć: to, co mamy w głowie podczas rozmowy?

- Tak, i robią to niekoniecznie świadomie... Weźmy na przykład zebranie w biurze. W większości wypadków, kiedy ktoś zadaje pytanie, tak naprawdę nie zawsze ma intencję otrzymania odpowiedzi.

- Jak to?

- Jego intencją może być tylko pokazanie, że zadaje mądre pytania, albo chce sprawić, żeby rozmówca poczuł się niepewnie przed resztą zgromadzenia, lub udowodnić, że

interesuje się tematem, a może pragnie przewodzić grupie...

- Tak, to mi rzeczywiście coś przypomina!

- Dość często to właśnie intencja jest odbierana przez rozmówcę bardziej niż samo pytanie. Kiedy ktoś chce nas zapędzić w sytuację bez wyjścia, czujemy to, nawet jeśli w jego słowach nie ma nic, co obiektywnie można byłoby mu zarzucić.

- To jasne.

- Myślę, że dużo się dzieje na poziomie... duchowym, nawet jeśli trudniej jest cokolwiek w tej dziedzinie udowodnić.

- Dobrze, a zatem konkretnie: co mam zrobić z pańskim pięknym magicznym zaklęciem?

- Aby wejść w świat drugiej osoby, trzeba sprawić, żeby dojrzała w tobie ochota poznania jej. Musisz zainteresować się nią do tego stopnia, żeby chcieć doświadczyć, jak to jest być w jej skórze. Czerpać przyjemność z myślenia tak jak ona, z wiary w to, w co wierzy, a nawet mówienia jak ona, poruszania się... Kiedy ci się to uda, będziesz w stanie czuć to, co czuje druga osoba i naprawdę ją zrozumieć. Każde z was będzie czuło, że nadajecie na tej samej fali. Możecie oczywiście wrócić do swojej optyki, zachowacie jednak umiejętność komunikacji korzystną dla obojga. Druga osoba będzie się starała zrozumieć ciebie. Zacznie interesować się twoim światem, powodowana głównie chęcią podtrzymania relacji tej jakości.

- To wszystko jest trochę dziwne. Niech pan nie zapomina, że jestem księgowym. To nie przypadek, jestem zdecydowanie racjonalny...

- Dobrze, spróbuję, żebyś to poczuł. Przeprowadzimy doświadczenie, które dotyczy nie tylko tego, o czym mówiłem. Muszę się trochę przygotować - powiedział, wstając. - Muszę pójść po dwa krzesła. W tych fotelach nie da się pracować, za bardzo się w nie zapadamy.

Wyszedł z pokoju, a za nim Catherine. Usłyszałem ich oddalające się w korytarzu kroki. Byłem rozdarty. Część mnie, zainteresowana tymi trochę zagadkowymi sprawami dotyczącymi związków międzyludzkich, czekała. Druga część, bardziej przyziemna, wątpiła.

Mój wzrok spoczął nagle na notesie. Notes... Kusiło mnie, żeby wziąć go do ręki... rzucić okiem. Odgłos kroków ustał. Musieli wejść do innego pokoju. Teraz albo nigdy. Szybko! Wstałem jednym susem. Parkiet zatrzeszczał pode mną. Znieruchomiałem... Cisza... Odwróciłem się w stronę biurka i wyciągnąłem rękę. Głosy, kroki... Wracają! Uwaga! Szybko wróciłem na fotel, ale parkiet zatrzeszczał tak głośno, że na pewno usłyszeli. Nie siadać z powrotem. Szybko, udawać, że oglądam... książki. Książki.

Weszli. Skupiłem się na półkach.

- Postawimy je tam!

Odwrociłem się. Postawili dwa krzesła naprzeciw siebie w odległości metra.

- Siadaj - powiedział Dubreuil, wskazując jedno z nich.

Usiadłem. Oczekał sekundę, potem też usiadł.

- Chciałbym, żebyś mi powiedział, jak się czujesz, kiedy siedzę naprzeciwko.

- Jak się czuję? No... nic szczególnego... Czuję się dobrze.

- A teraz zamknij oczy.

Posłuchałem, zastanawiając się, co mi robi.

- Kiedy za kilka sekund otworzysz je na powrót, chcę, żebyś wsłuchał się w siebie i powiedział mi, jak zmieniły się twoje odczucia. Otwórz oczy.

Nadal siedział na krześle, ale zmienił pozycję. Ręce położył na kolanach. Zauważyłem to. Moje odczucie? Trochę dziwnie, ale trudno to określić.

- Powiedziałbym, że czuję się dziwnie.

- Lepiej czy gorzej niż wcześniej?

- Ale co pan przez to rozumie?

- Kiedy jedziesz windą z kimś, kogo mało znasz, trudniej ci z nim rozmawiać, niż gdybyście byli na ulicy, prawda?

- Jasne.

- O tym mówię. Chciałbym, żebyś ocenił swój komfort w odniesieniu do mojej pozycji.

- Dobrze. Już wszystko jasne.

- Więc pytam ponownie: Gdybyś miał ze mną rozmawiać, czułbyś się lepiej czy gorzej, odkąd zmieniłem pozycję?

- Gorzej.

- OK. Zamknij oczy... Już... Teraz otwórz. - Znowu zmienił pozycję. Brodę oparł na dłoni, a łokieć na udzie.

- Czuję się, jak by to powiedzieć... obserwowany. Niezbyt przyjemnie.

- Dobrze. Zamknij oczy i... już możesz otworzyć.

- O wiele lepiej!

Obie ręce położył na udach i przybrał na krześle trochę swobodniejszą pozycję.

- Jeszcze raz.

Przyjmował około dwunastu pozycji. Dwu - lub trzykrotnie czułem się wyraźnie lepiej niż w pozostałych wypadkach.

- Catherine? - zwrócił się do asystentki.

_ Wyraźnie to widać - powiedziała do mnie. - Mówi pan, że czuje się dobrze za każdym razem, kiedy Yves przyjmuje taką samą postawę jak pan. Kiedy jego ciało przybiera inną pozycję niż pańska, czuje się pan gorzej.

- Chce pani powiedzieć, że czułem się dobrze, bo siedział tak jak ja?

Nagle zdałem sobie sprawę ze swojej pozycji.

- Tak.

- To zabawne!

- Czyż nie?

- Wszyscy tak mają?

- Tak.

- Mówiąc precyzyjnie - dodała Catherine - tak jest w wypadku większości ludzi, ale nie wszystkich. Zdarzają się wyjątki.

- Przestań ciągle podważać to, co mówię, Catherine! To niczego nie zmienia.

- Jak to wyjaśnić? - zapytałem.

- To zjawisko naturalne, które zostało udowodnione przez amerykańskich badaczy. Myślę, iż najpierw wykazali, że gdy dwie osoby rozmawiają i zawiązuje się nie porozumienia, nieświadomie synchronizują się i w końcu przybierają taką samą postawę. Poza tym każdy może to zaobserwować. Na przykład... kiedy widzimy zakochaną parę w restauracji, nierzadko oboje siedzą dokładnie tak samo, opierają łokcie na stole, głowę na dłoni, tułów odchylają do przodu albo do tyłu, mają ręce na kolanach albo bawią się pojemnikiem na sztućce...

- To zadziwiające...

- Następnie badacze wykazali, że można odtworzyć to zjawisko, odwracając je. Jeśli synchronizujemy się dobrowolnie z postawą drugiej osoby, przyczyni się to do tego, że szybko poczujemy się z nią dobrze. A zatem komunikacja stanie się łatwiejsza. Ale żeby się to udało, nie wystarczy zastosować jedynie technikę. Naprawdę trzeba chcieć wejść w świat rozmówcy.

- To stanowczo kłopotliwe. Pewnie znowu pan uzna, że podważam pana zdanie, sądzę jednak, iż jeśli trzeba zgłębić gestykulację rozmówcy i w konsekwencji dostosować się do niego, traci się zupełnie naturalność!

Uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Mam ci coś powiedzieć?

- Co?

- I tak to robisz podświadomie.

- Wcale nie!

- Ależ tak, zapewniam cię.

- Zastanówmy się! Jeszcze pięć minut temu to wszystko było mi nieznane!

Uśmiechnął się szerzej.

- Co robisz, jeśli chcesz nawiązać kontakt z małym, dwu- lub trzyletnim dzieckiem?

- Nie zdarza mi się to codziennie.

- Przypomnij sobie, kiedy ostatni raz ci się zdarzyło.

- No, rozmawiałem z synem dozorczyńni może ze dwa tygodnie temu. Poprosiłem, żeby mi opowiedział, co robił przez cały dzień w żłobku.

W miarę jak odpowiadałem Dubreuilowi, zdawałem sobie sprawę z tej zdumiewającej prawdy, ponieważ scena ciągle była świeża w mojej pamięci. Żeby porozmawiać z małym Markiem, kucnąłem, a znajdując się na jego wysokości, naturalnie przybrałem dziecięcy ton i dobieierałem najprostsze słowa, które w moim pojęciu odpowiadały jego zasobowi. Spontanicznie. Nie musiałem się wysilać. Miałem szczerą ochotę sprawić, żeby mi opowiedział, jak wygląda francuski żłobek.

- A wiesz, co jest najbardziej niewiarygodne?

- Słucham.

- Kiedy uda nam się stworzyć i przez pewien czas utrzymać dobrą jakość rozmowy, jest to tak cenny moment, że każdy, nie myśląc o tym, robi wszystko, żeby go zachować. Na przykład, jeśli zatrzymamy się na kwestii gestów: gdy jeden z rozmówców zmieni lekko pozycję, drugi nieświadomie robi to samo.

- Chce pan powiedzieć, że jeśli przybieram czyjąś postawę przez dłuższy czas, a potem zmienię pozycję, mój rozmówca podąży za mną i zmieni pozycję w ten sam sposób?

- Tak.

- To zupełnie zwariowane!

- Zachowaj jednak w pamięci, że najważniejsza jest szczerą chęć wejścia z kimś w relację.

- To pociągające, te pańskie sztuczki!

Byłem entuzjastyczny, podekscytowany tym, co odkryłem. Miałem wrażenie, że dotąd byłem ślepy i głuchy na te aspekty tak mocno obecne w relacjach między ludźmi. Zaskakujące było odkrycie, że poza słowami działa się mnóstwo rzeczy, których nawet nie byliśmy świadomi. To informacje przekazywane przez ciało. A Dubreuil mówił o jeszcze innych poziomach komunikacji.

Próbowałem się dowiedzieć o tym więcej, ale odpowiedział, że na dziś wystarczy, i

razem ze swoją asystentką odprowadzili mnie do drzwi. Na zewnątrz była noc.

Wciąż nie umiałem rozgryźć osobowości Catherine, jak też nie potrafiłem określić jej roli przy Dubreuilu. Należała do osób, które mówią mało i spowija je tajemniczość.

Przestąpiłem już próg domu i zrobiłem kilka kroków w głąb ogrodu, kierując się w stronę wielkiej furtki i obserwując Stalina kątem oka, kiedy gospodarz znów mnie przywołał.

- Alan!

Zatrzymałem się.

- Wracaj! Zapomniałem powierzyć ci misji.

Po chwili wahania zawróciłem i poszedłem za nim długim korytarzem. Nasze kroki odbijały się echem po zimnym marmurze. Weszliśmy do pokoju, którego nie znałem. Panowała w nim atmosfera starego angielskiego klubu. Wszystkie ściany były zastawione zabytkowymi biblioteczkami sięgającymi sufitu zdobionego stiukami. Dwa żyrandole, każdy złożony z dwunastu lamp osłoniętych abażurami w koniakowym kolorze, sączyły ciepłe i nastrojowe światło na tysiące starych książek. Kilka mahoniowych drabin było opartych o szafę. Perskie dywany przykrywały większą część wersalskiego parkietu. Tu i ówdzie rozstawiono głębokie fotele obite ciemną skórą. W kątku do brydza stały dwa fotele pikowane, a w głębi pokoju królowała wielka kanapa, również w stylu chesterfield.

Dubreuil wziął do rąk księgę. Catherine zatrzymała się w drzwiach, obserwując nas uważnie.

- Podaj liczbę od zera do tysiąca.

- Liczbę? A po co?

- Liczbę, mówię!

- Trzysta dwadzieścia osiem.

- Trzysta dwadzieścia osiem... zobaczmy.

Otworzył księgę i przewracał kartki, widocznie szukając strony trzysta dwadzieścia osiem.

- Oto i ona. Dobrze. A teraz podaj inną... powiedzmy między zero a dwadzieścia.

- Ale co pan robi?

_ Podaj!

- Dobrze, dwanaście.

Przyjrzałem się księdze. To był słownik. Dubreuil wodził palcem po liście haseł na stronie.

- Dziesięć, jedenaście, dwanaście: „marionetka”. Nieźle. Mogłeś mieć mniej szczęścia, na przykład trafić na przysłówek.

- Czy powie pan w końcu, o co chodzi?

- To bardzo proste. Mówiłeś, że masz w pracy dwóch szefów, tak?

- Tak, mam bezpośredniego zwierzchnika i jego szefa, który często sam interweniuje w różnych sprawach.

- Bardzo dobrze. A więc pójdziesz do każdego z nich osobno. Znajdź pretekst do rozmowy. Twoja misja polega na tym, żeby wypowiedzieli słowo „marionetka”.

- Jakiś kolejny obłąd.

- Jest jedna podstawowa zasada. Nie możesz sam wymówić tego słowa ani oczywiście pokazać zdjęcia.

- Czemu ma to służyć?

- Odwagi!

Niespiesznie wyszedłem na zewnątrz, zatrzymując się na podjeździe, żeby móc poobserwować gwiazdy. W Paryżu rzadko można było je dostrzec, zwykle niebo wydawało się mętne naszym oczom przyzwyczajonym do świateł miasta.

Byłem trochę zły, że nie zrozumiałem celu zadania, jakie mi wyznaczył. W przeszłości wzbierałem się przed jego poleceniami, bo wymagały znacznego wysiłku, ale zawsze wiedziałem, że są przydatne. Tym razem nie rozumiałem. I nie znośłem tego, że nie odpowiadał na moje pytania, po prostu je ignorując! To trochę tak, jakby dysponując moim zobowiązaniem, nie zadawał sobie trudu, żeby mnie przekonywać. Kiedy w końcu skończy się ta gra? Oczywiście wydawał się szczery w chęci przekazania mi pewnej wiedzy, sprawienia, żebym posunął się w życiu naprzód. Mimo wszystko było mi coraz ciężiej pozwalać sobą kierować, nawet jeśli ten człowiek miał dobre zamiary. A poza tym czy naprawdę je miał? Musiał mieć dobry powód, żeby się mną zajmować... coś z tego czerpać. Ale co?

Wróciłem myślami do notatnika. Skoro był w całości poświęcony mnie, bez wątpienia zawierał odpowiedzi na moje pytania. Był dobitnym świadectwem tego, że mojego położenia nie dało się określić jako normalne. Nie mogłem dłużej przymykać oczu na to, co popychało nieznanego do interesowania się mną, doradzania mi, wręcz dyktowania, jak mam się zachowywać, a wszystko pod przykrywką układu, do którego mnie nakłonił w przerażających okolicznościach. Przebiegł mi dreszcz po kręgosłupie.

Szkoda, że nie miałem czasu, by zajrzeć do notesu w ciągu tych kilku minut, kiedy Dubreuil nie było w pokoju. Co za frustracja! Straciłem okazję, która może się już nie powtórzyć. Koniecznie muszę znaleźć sposób, żeby zdobyć zeszyt. A jeśli wróciłbym któregoś dnia o zmroku? W tak ciepłe noce okna bez wątpienia są otwarte...

Metaliczny dźwięk przerwał mi brutalnie rozmyślenia. Stalin rzucił się w moją stronę, ciągnąc za sobą ciężki łańcuch. Odskokczyłem na bok dokładnie w momencie, gdy łańcuch rozciągnął się całkowicie wśród lawiny szczęknięć. Szaleństwem w oczach, z wilgotnymi od piany szczękami, Stalin odpowiedział na moje pytanie. Nie, nie wrócę w nocy. Noc należała do niego. Spuszczony z łańcucha to on rządził ogrodem.

*

Catherine usiadła na kanapie chesterfield. Dubreuil zaproponował jej cygaro, ale jak zwykle odmówiła.

- A więc jak go odbierasz? - zapytał, biorąc do ręki obci-nacz do cygar.

Oczy kobiety zwróciły się powoli ku najbliższemu żyrandolowi, zastanawiała się bez pośpiechu.

_ Raczej dobrze, ale na końcu czułam, że jest trochę zdenerwowany. Jeśli mam być szczerą, sama nie zrozumiałam sensu ostatniego zadania, jakie mu wyznaczyłeś.

- Zmuszenie szefów do powiedzenia losowo wybranego słowa?

- Tak.

Zapałił dużą zapalkę. Zbliżył płomień do swojego cygara, które obracał w palcach, jednocześnie lekko pociągając ustami. Wzbił się pierwszy kłęb dymu, roznosząc charakterystyczny zapach cygar Montechristo. Dubreuil rozparł się w głębokim fotelu i założył nogę na nogę, powodując ciche skrzyknięcie pikowanej skóry.

- Trudność z Alanem polega na tym, że nie wystarczy mu powiedzieć, jak skutecznie się porozumiewać. To nie w ten sposób osiągnie w firmie to, co będzie chciał. I tak coś by go powstrzymywało.

- Co?

- Za bardzo przyzwyczyił się do roli cierpiętника. Teraz stopniowo uczy się, jak stawiać opór. To dobrze, ale nie wystarczy. Zdecydowanie nie. Trzeba umieć stawiać opór i dostawać. A żeby do tego dojść, trzeba pokonać pierwszy etap.

- Pierwszy etap?

- Rozwinąć w sobie przekonanie, że jest się do tego zdolnym.

- Chcesz powiedzieć, że jeśli w głębi duszy nie jest przekonany, iż może uzyskać coś od swoich menadżerów, nie dostanie niczego, nawet jeśli świadomie zastosuje techniki porozumiewania się?

- Dokładnie!

- Rozumiem.

- To najważniejsze. Trzeba być wewnętrznie przekonany, że można wpłynąć na

decyzje innych, wówczas w końcu się do tego dochodzi. Nawet jeśli człowiek zabiera się do tego nieumiejętnie, daje sobie radę. Jeśli natomiast w to nie wierzy, zatrzyma się na pierwszym niepowodzeniu, gdyż uzna je za dowód na nieżyteczność swego podejścia.

Uniósł cygaro do ust.

- Kazałeś mu zatem się zabawić i sprowokować szefów do wypowiedzenia konkretnego słowa tylko po to, żeby mu pokazać, iż może na nich wpłynąć?

- Wszystko zrozumiałaś. Chcę, żeby uwierzył w swoją zdolność wywierania wpływu.

- Interesujące...

Catherine nagle podniosła głowę, gdy przez umysł przebiegła jej pewna myśl.

- Tak naprawdę nie wylosowałaś tego słowa, prawda? To ty wymyśliłaś „marionetkę”, żeby Alan podświadomie wszedł w rolę tego, który pociąga za sznurki, tak?

Zamiast odpowiedzieć Dubreuil się uśmiechnął.

- Mocne, Igor...

Zaciągnął się głęboko cygarem.

12

Marc Dunker, prezes i dyrektor generalny, był wysokim, solidnie zbudowanym mężczyzną. Mając metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważąc dziewięćdziesiąt sześć kilo, należał do wagi ciężkiej w konkurencji rekrutacji pracowników we Francji.

Pochodził z prowincjonalnego miasteczka, leżącego w samym sercu Beaujolais. W jego rodzinie tradycją było uprawianie zawodu negocjatora cen mięsa, przekazywanego z ojca na syna. Dunkerowie nie byli zatem zbyt poważani przez mieszkańców, traktujących tę profesję jako zło konieczne. Rodzina miała większe dochody niż okoliczni hodowcy, którzy czuli, że te pieniądze zostały zarobione ich kosztem. W dodatku Dunkerowie nie musieli cierpieć tak jak inni, kiedy cena mięsa spadała.

W szkole mały Marc, choć dumny, że jest synem najbogatszego człowieka w miasteczku, czuł się odepchnięty przez rówieśników. Nie użalał się jednak nad swoim losem, a wręcz przeciwnie, był skory do bitki. Po najmniejszej zaczepce z ich strony prowokował do rozróby.

Jego matka cierpiała o wiele bardziej. Mąż cieszył się, co prawda, pozycją godną pozazdroszczenia, ale ona ciężko znosiła negatywne skutki jego zajęcia. Próby nawiązania stosunków towarzyskich z innymi kobietami kończyły się ich nieprzyjazywnymi spojrzeniami, za którymi kryły się niewypowiedziane wyrzuty. Po latach goryczy i urazy w końcu się

poddała i postanowiła zmienić sytuację ugruntowaną od pokoleń. Rodzina miała się przenieść do miasta, z dala od plotek i złorzeczeń. Dunkerowie przeprowadzili się do Lyonu, co zmuszało ojca do pokonywania dziennie wielu kilometrów, żeby dotrzeć do miasteczka, gdzie wciąż pracował. Marc przeżył tę przeprowadzkę jak kapitulację i odtąd pogardzał ojcem, który wyjeżdżając, zdaniem syna poddał się.

Satysfakcja matki nie trwała długo. Przestała być zadowolona w dniu, kiedy uświadomiła sobie, że ona i jej rodzina są postrzegani przez sąsiadów - ludzi w białych kołnierzykach, urzędników, pracowników biur - jako wieśniacy. Woląc być odrzuconym z powodu zazdrości niż pogardy, Marc cierpiał po tym kolejnym odepchnięciu i powziął postanowienie: chciał się odegrać.

Zdał maturę, potem, w wieku dwudziestu lat, zdobył licencjat z handlu. Pracował przez dziesięć lat jako sprzedawca maszyn rolniczych, wykorzystując zręcznie talent negocjatora bez wątpienia odziedziczony w genach. Trzy - lub czterokrotnie zmieniał firmę, korzystając z każdej okazji, żeby podwyższać swoje wynagrodzenie. Za każdym razem powielał ten sam scenariusz: oszukiwał rekrutującego na temat długości swego stażu i deklarował wykonywanie obowiązków, których oficjalnie nie wykonywał, ale które czasem sobie dokładał.

Dość szybko wyciągnął wnioski, że konsultanci w ogóle nie znają się na swojej pracy i łatwo ich zwieść. Pewnego dnia jego ówczesny pracodawca zdradził mu, ile wydał na jego rekrutację, i Marc nie mógł uwierzyć własnym uszom. Suma wydała mu się astronomiczna, a zadanie podobne do tego, które wykonywał jego ojciec. Uważał nawet, że łatwiej jest przekonać firmę o przewidywanych zaletach kandydata niż farmera do ceny za mięso, która w oczywisty sposób zależała od jakości zwierzęcia.

Sześć miesięcy później Marc zaczął pracę na własny rachunek. Wynajął jednopokojowe biuro w centrum Lyonu i przeszedłszy krótki kurs metod zatrudniania, powiesił tabliczkę: Marc Dunker, doradztwo i rekrutacje. Zapamiętał przede wszystkim to, że przy wyborze kandydata ważniejsza od wszelkich technik jest intuicja. Doświadczył zaledwie kilku niepowodzeń. Miał instynkt. Wyczuwał ludzi, firmy, kandydatów, i przeczuwał, którzy z nich sprawdzą się na danym stanowisku.

Najtrudniej było zdobyć pierwszych klientów; bez żadnych referencji nie był zbyt wiarygodny. Kiedy mu to wypominano, stawał się agresywny. Szybko posunął się do kłamstwa, wymyślając prestiżowych klientów, a przede wszystkim wymieniając z nazwy niewielkie i średnie firmy, którym rzekomo odmówił współpracy, gdyż były zbyt mało znaczące, żeby chciał poświęcać im swój czas. Taka postawa okazała się skuteczna - zdobył

pierwsze kontrakty, po których szybko przyszły kolejne, a sukces generował sukces.

Nowy zawód pasował mu jak ulał. Miał wrażenie, że drobni mieszczanie, którzy kiedyś z pogardą unikali kontaktów z jego rodziną, dziś przychodzą do niego po zatrudnienie. Czuł, że ludzie czują przed nim respekt i szanują go. Niemal jedli mu z ręki. Pragnął kontrolować cały rynek rekrutacji w mieście tylko po to, żeby ich zależność od niego była jak największa.

Nowa pozycja nie wystarczała mu jednak, żeby uleczyć zranione ego. Coś go stale popychało do marszu naprzód i rozwijania biznesu, do zdobywania coraz większej władzy i autorytetu w wybranej dziedzinie. Podwoił wysiłki, żeby umocnić pozycję swojej firmy.

Pod koniec roku zatrudniał już trzech konsultantów. Czerpał z tego wielką satysfakcję, która popychała go jeszcze dalej. Sześć miesięcy później otworzył biuro w Paryżu. W stolicy. We wspaniałym Paryżu. Przeprowadził się tam czym prędzej i przy tej okazji zmienił nazwę firmy na Dunker Consulting. W następnych latach otwierał średnio jedno nowe biuro co trzy miesiące w kolejnych miastach.

Mierzył swój sukces liczbą współpracowników. Ich pomnażanie było jego obsesją. Czerpał wielką satysfakcję z „powiększania stada”, używając do znudzenia tej metafory i zdradzając w ten sposób swoje wiejskie pochodzenie, które tak starannie starał się ukryć. Jego osobista wartość była w jego pojęciu ściśle związana z liczbą podwładnych. Innymi słowy, mierzył ją wielkością stada. Nie tracił żadnej okazji, żeby przywołać tę liczbę, szczególnie gdy przedstawiał się nieznanym.

Błyskawiczny sukces firmy popchnął go do ekspansji za granicę i kiedy otworzył swoje biuro w kolejnej europejskiej stolicy, poczuł się zdobywcą.

Dwa lata później nadeszła najwyższa nobilitacja. Zdecydował, że wprowadzi swój biznes na giełdę.

13

Tego ranka przyszedłem do biura z „Closerem” pod pachą, jak to miałem w zwyczaju od tygodnia. Krzywe spojrzenia moich kolegów, bardzo wyraźne na początku, ustąpiły miejsca zupełnej obojętności. Nie do końca się wyluzowałem, nadal czułem pewne zażenowanie, chociaż już mało. Musiałem przyznać, że moje relacje z otoczeniem w niczym się nie zmieniły, ale potrzebowałem jeszcze czasu, żeby stać się naprawdę wolnym zgodnie z definicją Dubreuil.

W domu starałem się mniej niż wcześniej, to znaczy pozwalałem sobie na robienie

hałasu na normalnym poziomie, co powodowało codzienne wizyty madame Blanchard. Nie starałem się już ich unikać, jak wcześniej, ale nadal bardzo mnie denerwowały. Miałem wrażenie, że nic jej nie powstrzyma przed nękaniami mnie. Przedtem byłem cierpliwy, teraz dawałem wyraźne dowody niechęci, uchylając drzwi jedynie po to, by ją poinformować, że mi przeszkadza. Ona zaś podchodziła do szpary w półotwartych drzwiach, jakby chciała sobie utorować przejście. Ze zmarszczonymi brwiami i oskarżycielskim spojrzeniem, wysokim głosem i używając moralizatorskiego tonu, nawoływała mnie do porządku.

Właśnie wszedłem do firmy i czekałem na windę razem z dwoma kolegami z innego działu, kiedy dostałem SMS. Rzut oka na ekran komórki - to Dubreuil. Odczytałem: „Natychmiast zapal papierosa”.

Co to za historia? Chciał, żebym zapalił?

Drzwi windy się otworzyły. Moi koledzy wsiedli.

- Nie czekajcie na mnie - powiedziałem.

Dlaczego Dubreuil każe mi zapalić, kiedy moim celem jest rzucenie palenia? Wyszedłem z powrotem na ulicę i wyciągnąłem papierosa. Przecież nie cierpiał jeszcze na starczy zanik pamięci... Palilem, pozwalając spojrzeniu ślizgać się po licznych przechodniach, w większości pospiesznie udających się do pracy, kiedy zauważyłem mężczyznę podobnego do yadiego, stojącego nieruchomo pośród tłumu. Wspiąłem się na palce, próbując go dojrzeć wśród napływających falą osób, ale on natychmiast się odwrócił.

_ Vladi! Vladi!

Zniknął mi z oczu.

Poczułem niepokój. Byłem prawie pewien, że to on. Śledził mnie? Ale dlaczego? Czy Dubreuil chciał się upewnić, że szanuję naszą umowę? To byłoby chore. Co go to właściwie obchodziło? Powinienem naprawdę zacząć się niepokoić albo poznać powód, dla którego się mną interesuje.

Wszedłem do holu budynku ze ściśniętym żołądkiem.

W korytarzu na moim piętrze minąłem gabinet Luca Fau-steriego, mojego szefa działu. Był już na stanowisku pracy, co oznaczało, że musiał skrócić poranny jogging. To niezwykle - jego drzwi były otwarte. Wolał się na ogół zamykać, żeby maksymalnie odizolować się od swoich podwładnych. Spotkania z nami dużo go kosztowały. Musiał się po nich otrząsnąć i przez całe godziny unikał wszelkiego kontaktu.

Otwarte drzwi były niepowtarzalną okazją. Miałem przecież do wypełnienia zadanie. Odwagi! Wyciągnięcie od niego żądanego słowa będzie o tyle trudniejsze, że nie istniał chyba na świecie drugi taki milczek.

Wszedłem, witając się z nim. Czekał, aż podejść na odległość mniejszą niż metr, zanim podniósł wzrok znad papierów, ale głową nie ruszył ani o milimetr. Uścisnęliśmy sobie dłonie, co nie wywołało u niego najmniejszego uśmiechu lub choćby drgnięcia warg.

Próbowałem nawiązać rozmowę, przypominając sobie słynny sekret Dubreuila. Boże, jakie to trudne wchodzić w świat, który nam się nie podoba!

- Akcje utrzymują się na poziomie stu dwudziestu ośmiu. Wzrosły o dwie dziesiąte procent podczas jednej sesji i prawie o cały procent w ciągu tygodnia.

- Tak.

Bez wątpienia miał w sobie werwę. Musiałem go tylko rozruszać, mówić z entuzjazmem, który wskazywałby na moje żywe zainteresowanie tematem. Jeśli poczuje, że łączę się z nim w tym, co go zajmuje, otworzy się przede mną.

- Co zadziwiające, akcje wzrosły o czternaście procent od początku roku, podczas gdy nasze wyniki trymestralne wzrosły o dwadzieścia trzy procent. To nielogiczne.

- Nie.

Nie udało się. Idźmy dalej za wszelką cenę. Nie należy dopuścić do ciszy.

- Naprawdę szkoda... Byłoby lepiej, gdyby kurs akcji odzwierciedlał nasze wyniki, skoro są takie dobre.

Nawet nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć, ale przyglądał mi się, jakby nie rozumiał, że można otwierać usta, aby mówić takie głupoty. Przeczynałem wstyd. Tylko przeczynałem. W sumie i tak już wiedział, że jestem wiernym czytelnikiem magazynu „Closer”. Nie mogłem go bardziej rozczarować. Idźmy dalej.

- To przecież świetne dokonanie. Jest dla nas powodem do dumy.

Zmarszczył brwi. Mówiłem dalej z podwójnym zapałem:

- Gdybym był biznesmenem, postawiłbym na nasze akcje wszystko.

Wyglądał na wściekłego albo... zasmuconego, okopując się w swoim milczeniu.

- Jak pan wyjaśni ten rozdźwięk między naszymi wynikami a notowaniem giełdowym?

Kilka sekund ciszy, podczas których Fausteri pozostawał w kompletnym bezruchu. Bez wątpienia zbierał siły i odwagę, przygotowując się do rozmowy z największym idiotą w mieście.

- Jest kilka elementów. Po pierwsze rynek finansowy mniej zwraca uwagę na dokonania, a bardziej na perspektywy.

_ Przecież są dobre. Larcher powtarza nam to w każdy poniedziałek rano!

- Następnie, na giełdę wpływają czynniki psychologiczne.

Ostatnie słowo wypowiedział z pewną pogardą.

- Czynniki psychologiczne?

Wziął wdech. Widocznie nie czerpał żadnej przyjemności z zabawy w nauczyciela.

- Obawy, plotki... no i Fisherman.

- Fisherman?

- Ten dziennikarz ekonomiczny z „Les Echos”, który nie wierzy w nasz rozwój i daje temu wyraz w swoich artykułach. To niewątpliwie ma wpływ na inwestorów, ponieważ jego zdanie się liczy. Zresztą zastanawiamy się dlaczego.

- A jeśli ktoś ciągnie za sznurki za jego plecami? Jeśli Fisherman jest... jak to się mówi?

- Nie wiem, kto miałby w tym interes.

Cholera jasna, nie możesz odpowiadać na pytania?

- Fisherman nie ma przecież osobistego celu w tym, żeby nasze akcje przestały wzrastać?

- Skąd mogę wiedzieć?

- Jeśli jednak tak jest, to muszą być ludzie, którzy popychają go do obsmarowywania nas w gazecie. Fisherman jest tylko ich... - Udawałem, że szukam słów, dołączając ruchy rąk, żeby pokazać, iż mam lukę w pamięci.

- Nie jestem zwolennikiem teorii spiskowej.

- Oj, to denerwujące, nienawidzę zapominać słów. Jak się określa kogoś, kto daje sobą manipulować? Mówi się, że to...

- Alan, proszę posłuchać, mam swoją robotę.

- Tak, ale proszę tylko odpowiedzieć na moje pytanie! Będę miał zły dzień, jeśli sobie nie przypomnę...

- Proszę się skupić na swoich zadaniach i wszystko będzie dobrze.

- Mam to słowo na końcu języka...

- No to niech je pan wypluje, tylko nie na moje biurko.

Mimo iż był to jedyny raz, kiedy starał się wykazać poczuciem humoru, nie miałem ochoty się śmiać. No już, szybko, trzeba go zmotywować, żeby mi odpowiedział.

- Proszę mi przypomnieć to słowo i natychmiast zniknę.

- Frajer.

Patrzyłem na niego zbity z tropu.

- Nie, nie to... Inne.

- Denerwuje mnie pan.

- Proszę tylko o synonim.
- Zabawka. To pasuje?
- Nie, też nie to.
- No cóż, musi się pan nim zadowolić.

Proszę o inny synonim...

- Mam inne sprawy do załatwienia, Alan.
- Bardzo proszę...
- Do widzenia.

Jego ton nie znosił sprzeciwu. Zagłębił się w papiery, nie patrząc dłużej na mnie.

Wyszedłem lekko sfrustrowany. No cóż, walczyłem dzielnie. To już coś. Niewątpliwie moim błędem był entuzjazm. Żeby wejść w jego świat, nie wystarczy poruszyć interesujący go temat, trzeba pewnie przybrać jego styl rozmowy. Poważny, racjonalny. Trzeba wyrażać się precyzyjnie i zwięźle, w kilku słowach. Ale czy dzięki temu powiedziałby więcej? Nie wiadomo. W każdym razie prawie się udało.

Gdy tylko wszedłem do mojego pokoju, przyszła Alice, żeby podzielić się ze mną opowieścią o negocjacjach z jednym z klientów. Rozmawialiśmy już z dziesięć minut, kiedy rozpoznałem kroki Fausteriego na korytarzu. Przechodząc obok moich drzwi, zatrzymał się, wsadził głowę do mojego pokoju, a jego twarz nadal pozostawała nieprzenikniona.

_ Marionetka! - rzucił i poszedł dalej.

Alice odwróciła się do mnie, zszokowana, że mój szef tak mnie obraził.

Byłem przeschęśliwy.

14

Zadanie mogło być jeszcze cięższe z Gregoire'em Larche-rem. Fausteri nie lubił, co prawda, rozmów pozbawionych intelektualnego sensu, lecz Larcher nie znosił takich, które odwracały uwagę od jego celów. Każda sekunda musiała przybliżać go do sukcesu.

Zostawało jednak pewne wyjście. Jako wytrawny manipulator, zgadzał się czasem na pogadanie o błahostkach, jeśli czuł, że to mogłoby się przyczynić do zmotywowania jego rozmówcy. Pracownik zadowolony to pracownik produktywny, co koniec końców służyło jego interesom.

Nie miałem zatem większych trudności, żeby nakłonić go do mówienia o rodzinie, co doprowadziło nas do tematu rozrywek, wyjść z dziećmi; marionetki pojawiły się w tym kontekście w najnaturalniejszy sposób.

To było dość przyjemne - manipulować manipulatorem.

W ciągu dnia dostałem pięć SMS-ów od Dubreuil. Za każdym razem kazał mi wychodzić z biura na papierosa, którego wypalałem, stojąc na chodniku, i ciągle nie rozumiałem głębszego sensu tych działań.

Mój dzień zakończył się w pokoju Alice. Kolejny raz podzieliła się ze mną swoim niepokojem na temat złego funkcjonowania firmy. Thomas przyszedł się z nami pożegnać przed wyjściem z biura. Subtelnie zwrócił naszą uwagę na nową komórkę, ostatni krzyk mody, którą właśnie zdobył. Nagle ogarnęła mnie nieprzeparta ochota...

- Miałem dziś spotkanie z niesamowitym kandydatem - powiedziałem. - Kawał zawodowca.

- Ach tak? - skwitował.

Za każdym razem, gdy w jego obecności mówiło się coś dobrego o innych, uśmiech zastąpił mu na ustach, jakby jego wartość nagle stawała się zagrożona.

- Dawny dyrektor finansowy. Niezwykle błyskotliwy i przede wszystkim... ten look! Nieprawdopodobna klasa!

Alice przyglądała mi się, lekko zaskoczona moimi słowami.

- Wyjął nawet pióro, żeby robić notatki - mówiłem dalej. - Wspaniale! Zgadnijcie, co to było.

- Montblanc? - zapytał Thomas.

To była marka, której on używał. Niech ci się nawet nie śni, mój drogi - pomyślałem.

- Pudło. Spróbuj jeszcze raz.

- No dawaj, mów - wyjął z bladym uśmiechem.

- Dupont. Ze złotą stalówką! Czujecie? Dupont!

Otwierałem oczy szeroko, żeby podbudować swoje słowa.

Mina mu zrzędła. Z wyrazu twarzy Alice wyczytałem, że zrozumiała moją gierkę.

- Prawdziwy dupont? - zapytała, udając, że mi nie wierzy.

- Prawdziwy.

- Łał! Co za facet...

- No pewnie - potwierdziłem. - Niecodziennie się takie widuje.

- To tworzy image zwycięzcy. Moim zdaniem nie będzie miał problemu ze znalezieniem jakiejś superposady.

Zastanawiałem się, jak daleko możemy się posunąć, zanim Thomas się zorientuje, że się z niego nabijamy.

_ Pewnie wszystkie dziewczyny na niego lecą.

- No jasne.

Dobra, to już się stawało zbyt dosadne... Ale Thomas nadal miał kiepską minę. Był do tego stopnia przekonany, iż przedmioty wyznaczają wartość człowieka, że nie pojmował naszego dowcipu. To, co mówiliśmy, za bardzo pasowało do jego wizji świata.

W końcu życzył nam dobrego wieczoru i wyszedł. Czekaliśmy, aż się oddali, i wybuchliśmy śmiechem.

Była prawie dwudziesta, więc również czym prędzej opuściłem biuro. Kiedy znalazłem się na ulicy, nie mogłem się powstrzymać przed rozejrzeniem się dookoła. Nikt nie zdawał się na mnie czyhać. Wsiadłem do metra, ale musiałem wysiąść trzydzieści sekund później. Dubreuil kazał mi zapalić. Zbieżność czasowa była bardzo dziwna... Ponownie rozejrzałem się dookoła. O tak późnej porze w biznesowej dzielnicy było coraz mniej przechodniów. Nic nienormalnego nie zwróciło mojej uwagi.

Trzy minuty później byłem z powrotem w podziemiach metra. Postanowiłem sprawdzić się w synchronizacji gestów, którą jak dotąd zaniedbywałem. Na razie wolałem wchodzić w świat innych, próbując myśleć podobnie, poznać ich zmartwienia i system wartości.

Skład wjechał na stację ze zgrzytem kół równie nieprzyjemnym jak skrobanie kredy o tablicę. Kłozard śpiący na ławce wymamrotał coś niezrozumiałego, roztaczając wokół siebie silną woń alkoholu. Wagony przejeżdżały przed moimi oczami, potem zatrzymały się dość gwałtownie, potrząsając nielicznymi pasażerami, którzy nawet się nie skrzywili, przyzwyczajeni do takich sytuacji. Wsiadłem. To, co obiecywał Dubreuil, obejmowało umiejętność stworzenia więzi z osobami z innej kultury i o innym podejściu do życia niż moje. Rzuciłem okiem na kilku podróżnych i zauważyłem wysokiego Murzyna w dresie i czarnej skórzanej kurtce. Pod kurtką widoczna była koszulka jakby z siatki, a pod nią mocna klata. Usiadłem naprzeciwko niego i przybrałem taką samą niedbałą pozę. Szukałem jego wzroku, ale wydawał się zapatrzony w dal, nieobecny. Próbowałem poczuć to, co on mógł czuć, żeby wejść w jego świat. Niełatwe. W garniturze nie było mi zbyt wygodnie. Poluzowałem krawat, potem próbowałem sobie wyobrazić siebie ubranego tak jak on, z grubym złotym łańcuchem skazańca na szyi. Poczułem się zabawnie. Zmienił pozycję, a ja natychmiast zrobiłem to samo. Musiałem przecież utrzymać kontakt.

Nie spuszczałem go z oczu. Kilka sekund później skrzyżował ręce. Podążyłem za nim. Zastanawiałem się, ile czasu potrzeba, żeby naprawdę stworzyć więź, żeby druga osoba nieświadomie zaczęła naśladować moje ruchy. Miałem wielką ochotę się tego dowiedzieć... Wyciągnął nogi. Odczekałem chwilę i zrobiłem to samo. Nie miałem w zwyczaju tak się

rozwalać w metrze, ale było całkiem fajnie. Nigdy dotąd nie próbowałem znaleźć się na miejscu osoby zupełnie różnej ode mnie, zachowywać się tak jak ona i sprawdzać, jak to się skończy. Położył ręce na udach. Zrobiłem to samo. Patrzyłem wprost na niego, ale mimo to miałem wrażenie, że mnie nie widzi. Jego twarz była nieruchoma, próbowałem więc przybrać taki sam wyraz. Siedzieliśmy tak przez kilka chwil, cały czas w idealnej harmonii. Jego spojrzenie nie zdradzało niczego, ale zdawało mi się, że coś nas zbliżyło. To pewne, musiał wyczuć jakąś wspólnotę między nami. Wyprostował się na siedzeniu, a ja czym prędzej zrobiłem to samo. Nachylił się w moją stronę, tym razem patrząc mi głęboko w oczy i próbując wyraźnie nawiązać kontakt. Czułem, że zaraz zacznę mówić. Wygrałem, udało mi się nawiązać więź, doprowadziłem do tego, że nieznajomy chce otworzyć się przede mną. Nie musiałem nawet z nim rozmawiać. Wystarczył wpływ gestów na podświadomość. Górowały nad słowami. To niezwykle, niesłychane. Patrząc wyzywająco, odezwał się z mocnym afrykańskim akcentem:

- Długo jeszcze masz zamiar się ze mnie nabijać?

15

Tamtego ranka szedłem na cotygodniowe spotkanie zupełnie beztrąsko. Nie wiedziałem, że przeżyję najgorsze momenty mojego życia, które staną się powodem... korzystnych dla mnie zmian. Rzadko uświadamiamy sobie, iż trudne chwile mają ukrytą funkcję - pozwalają nam się udoskonalać. Anioły przebierają się za czarnoksiężników i dają nam cudowne prezenty w okropnych opakowaniach.

Mogą mieć postać niepowodzenia, choroby albo codziennych zmartwień. Nie zawsze chcemy przyjąć taki prezent ani go rozpakować, żeby odkryć ukryte przesłanie, które zawiera. Na przykład, że powinniśmy nauczyć się chcieć i mieć odwagę, albo odwrotnie, odpuścić sobie to, co nie ma wielkiego znaczenia; że życie polega na wsłuchiwanie się w swoje głębokie potrzeby i aspiracje; że mamy zdecydować się na wykorzystywanie talentów, jakie otrzymaliśmy; przestać się zgadzać na to, co nie odpowiada naszym zasadom.

Kiedy nadchodzi moment próby, reagujemy zazwyczaj złością albo zwątpieniem, odrzucając to, co wydaje nam się niesprawiedliwe. Ale złość ogłusza, a brak nadziei oslepia. Przepuszczamy okazje, które pozwoliłyby nam urosnąć. A potem ciosy i niepowodzenia stają się coraz liczniejsze. To nie los występuje przeciwko nam, lecz życie próbuje przekazać nam swoje przesłanie.

Sala pękała w szwach. Obok Alice było wolne miejsce, które bez wątpienia zajęła dla

mnie. Było nas znacznie więcej niż zazwyczaj. Raz w miesiącu zbierała się cała sekcja rekrutacji, nie tylko nasz dział. Rzuciłem „Closer” na stolik i spokojnie zająłem miejsce. Pojawienie się jako ostatni nie było aż tak nieprzyjemne, miałem wrażenie, że wszyscy mnie wyczekują.

- Spójrz na Thomasa - szepnęła mi Alice do ucha.

Poszukałem go pośród zgromadzenia i w końcu dostrzegłem.

- Co?

- Przyjrzyj się uważniej.

Wychyliłem się w jego stronę, żeby lepiej go zlustrować, ale nie zobaczyłem nic oprócz dumy i rozluźnienia, które cechowały go zawsze. I w tym momencie spostrzegłem. Nie wierzyłem własnym oczom. Położył go na stoliku niby niedbale, ale i tak wszyscy widzieli. Nowiuteńki dupont. Obok mnie Alice zakrywała dłonią usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Dzień dobry wszystkim!

Donośny głos Marca Dunkera sprawił, że nieomal podskoczyłem. Nasz prezes i główny dyrektor był obecny na cotygodniowym zebraniu, a ja, wchodząc, nawet go nie zauważyłem. Na sali zapanowała cisza.

- Nie będę długo zakłócał waszego zebrania - powiedział - ale chciałem podzielić się z wami nowym testem oceny, który właśnie odkryłem podczas pobytu w Austrii, gdzie otworzyliśmy nasze osiemnaste biuro. Wiem, że dysponujecie już kilkunastoma testami, ale ten jest inny i zależało mi na tym, żeby zaprezentować go wam osobiście.

Zzerała nas ciekawość. Co znowu wymyślił?

- Wszyscy wiemy, że trudniej ocenić charakter kandydata niż jego kompetencje. Wszyscy macie wykształcenie takie jak aplikujący kandydaci, potraficie zatem zadawać właściwe pytania, żeby stwierdzić, czy mają oni odpowiednie umiejętności, by objąć dane stanowisko. Z drugiej strony, nie zawsze można odróżnić realne zalety od tych, do których się przyznają, nie mówiąc o wadach, takich jak perfekcjonizm i tendencja do przepracowywania się, które ma dziewięćdziesiąt procent kandydatów. Kiedy ktoś mówi o swoich urojonych zaletach i wadach, które uważa za zalety, niełatwo wyobrazić sobie, jaki będzie w pracy. Test, o którym wspomniałem, pozwoli ocenić podstawową dla większości stanowisk cechę charakteru, a szczególnie dla stanowisk kierowniczych. Chodzi o pewność siebie, którą niesamowicie trudno oszacować w procesie rekrutacji. Znam ludzi, którzy uczestniczyli w tyłu spotkaniach o pracę, że sprawiają wrażenie pewnych siebie, ale gdy dochodzi do konfrontacji ze współpracownikiem, który trochę się z nich podśmiewa, rozsypują się. Można

udawać spryciarza na spotkaniu, a potem nie poradzić sobie w zetknięciu z pozostałymi członkami załogi.

- To, o czym mówisz, to prawda, ale w większości wypadków, jeśli komuś brakuje pewności siebie w życiu, brakuje mu jej też w obliczu rekrutującego.

Szepty pośród zgromadzenia. Głos zabrał młody konsultant nowo przybyły z konkurencyjnej firmy, gdzie mówienie sobie na ty było zwyczajem. Oczywiście my, konsultanci, mówiliśmy sobie na ty, ale nasz szef nigdy nie uległ tej modzie, tworzącej pseudobliskość w relacjach. Opór Marca Dunkera miał też inne podłoże - zależało mu na oznakach szacunku ze strony współpracowników.

- Mamy inną optykę, proszę pana.

To jego zwyczajowa odpowiedź w podobnych okolicznościach. Nachyliłem się do Alice.

- Wie, o czym mówi.

Parsknęła śmiechem. Fausteri rzucił nam lodowate spojrzenie.

Dunker mówił dalej, nie zadając sobie trudu odpowiedzenia na uwagę konsultanta.

- Test, który wam proponuję, jest dość wymagający, ponieważ muszą w nim uczestniczyć przynajmniej trzy osoby, chociaż niekoniecznie konsultanci. W praktyce możecie skorzystać z pomocy kogokolwiek - dodał z nutą szyderstwa.

Rozbudził naszą ciekawość. Zastanawialiśmy się, o co chodzi.

- Test opiera się na zasadzie - kontynuował - że prawdziwa pewność siebie jest niezależna od oceny innych. To charakterystyka osobowości zakorzeniona w człowieku. Odpowiada niezłomnej wierze w siebie, w swoją wartość, w swoje umiejętności. Taka osoba nie da się zbić z tropu przez zewnętrzną krytykę. I odwrotnie, udawana pewność siebie nie oprze się wrogiemu środowisku. Ale dość już powiedziałem. Demonstracja jest warta więcej niż długi wywód! Potrzebuję ochotnika spośród was.

Przebiegł wzrokiem grupę z nieodgadnionym uśmiechem na ustach. Spojrzenia wbiły się w ziemię albo rozplynęły w dali.

- Najlepszy byłby członek zespołu rekrutującego księgowych, bo potrzeba mi kogoś dobrego z matematyki!

Połowa zgromadzonych rozluźniła się, podczas gdy druga spięła się jeszcze bardziej. Nie spieszył się i domyślałem się, że czerpał sadystyczną przyjemność z niepewności, jaką nam zgotował.

- Kto się zgłasza?

Było jasne, że nikt nie podejmie takiego wyzwania, skoro nie wiedział, w jakim sosie

zostanie ugotowany.

- Dobrze, więc zmuszacie mnie do wskazania ochotnika.

Sądzę, że naziści robili to samo, spychając na innych odpowiedzialność za własne czyny.

- Pomyślmy...

Staralem się wyglądać tak spokojnie, jak to tylko możliwe, błędząc wzrokiem po okładce „Closera”. „Czy piersi Angeliny

Jolie nie są już tak wspaniałe po okresie karmienia?” - pasjonujący temat... Dało się słyszeć przelatującą muchę. Atmosfera stawała się zbyt ciężka, żeby można było swobodnie oddychać. Czulem na sobie wzrok Dunkera.

- Pan Greenmor.

Padło na mnie... Krew we mnie zawrzała. Musiałem się trzymać, nie ulec słabości. Zostanę poddany jego cholernemu testowi publicznie. Czy to zemsta? Larcher na pewno opowiedział mu o naszej sprzeczce podczas ostatniego zebrania. Chciał mnie zapewne uciszyć, odebrać ochotę do dalszych dyskusji, przywołać do porządku. Spokojnie. Nie poddawać się. Nie dawać mu tej przyjemności.

- Proszę podejść, Alan.

Dobrze, zwraca się do mnie po imieniu. Bez wątpienia po to, żeby mi schlebić, żebym stracił czujność. Trzeba zatem ją zdwoić. Wstałem i podszedłem do niego. Wszystkie oczy wycelowane były we mnie. Obawa, niemal namacalna jeszcze kilka sekund temu, ustąpiła miejsca ciekawości. W końcu byli przecież w teatrze. Może wręcz w Koloseum... Patrzyłem na Dunkera. Ave, Caesar, mońturi te salutant. Nie, nie mam duszy wojownika.

Wskazał mi krzesło stojące dwa metry od niego, przodem do grupy. Usiadłem, próbując wyglądać zarazem na obojętnego i pewnego siebie. Niełatwe.

- Będziemy postępować następująco - powiedział, zwracając się do zebranych. - Najpierw trzeba zapewnić kandydata, że to tylko zabawa i że nic z tego, co mu powiemy, nie jest prawdą. Robimy to tylko na potrzeby testu. Ważne jest poinformowanie go o tym, żeby nie ściągnąć na siebie kłopotów. Prasa i tak już robi swoje...

Co on wyrabiał? Czulem, że to nie będzie wesołe. Postanowiłem się nie dać za żadną cenę.

- Moją rolą jest - ciągnął - zadanie panu Greenmorowi pytań dotyczących bardzo prostych rachunków pamięciowych.

Rachunek pamięciowy? W porządku, spodziewałem się czegoś gorszego. Poradzę sobie.

- W tym czasie - kontynuował - będziecie mówili mu rzeczy... raczej... niezbyt pochlebne: krytykowali go... czynili mu uwagi... Waszym celem jest podłamanie go za pomocą wszystkich niemiłych słów, jakie przyjdą wam na jego temat do głowy. Wiem, że niektórzy mało albo wcale nie znają Alana Greenmora. To bez znaczenia. W każdym razie nie starajcie się mówić prawdy. Stosujcie tylko nieprzyjemną krytykę, mającą go wytrącić z równowagi.

Co to za obłąd? Przecież nie pozwolę się publicznie zlinczować!

- Nie widzę zasadności tego testu - zaproponowałem.

- Przecież to jasne. Kandydat, który dysponuje prawdziwą pewnością siebie, w żaden sposób nie da się speszyć niesłusznymi uwagami.

Zrozumiałem głównie to, że Dunker dostrzegł we mnie idealny obiekt, który pomoże mu uwiarygodnić test. Ten świr ewidentnie wyczuwał, że łatwo mnie zdeprymować. Był prawie pewien, że jego pokaz wypadnie znakomicie, że zrobi wrażenie moim kosztem. Nie powinienem brać w tym udziału. Tylko nie to. Nie mogłem nic zyskać, a jedynie wszystko stracić. Szybko, muszę znaleźć jakąś wymówkę, byle co, aby tylko się wykręcić.

- Panie Dunker, ten test wydaje mi się niezbyt przydatny w procesie rekrutacji. To niezbyt... etyczne.

- Ależ to żaden problem, jeśli tylko będziemy działać w przejrzysty sposób. Poza tym kandydat będzie miał wolny wybór, czy chce się poddać testowi, czy nie.

- No właśnie, przecież nikt się nie zgodzi.

- Panie Greenmor, jest pan konsultantem, nieprawdaż?

Nienawidzę osób zadających pytania, na które znają odpowiedź, tylko po to, żeby potwierdzić słuszność swoich słów.

Spojrzałem mu w oczy.

- Musi pan zatem wiedzieć, że kandydaci są gotowi na wielki wysiłek, żeby dostać wysokie stanowisko.

Nie wygram z nim w ten sposób. Zawsze będzie miał na wszystko odpowiedź. Szybko! Wymyślić coś innego. Natychmiast... albo... powiedzieć prawdę.

- Nie mam ochoty brać udziału w tym ćwiczeniu - powiedziałem, wstając.

Pomruk na sali. Byłem dumny, że miałem odwagę odmówić. Nie miałbym jej bez wątpienia kilka tygodni temu.

Zrobiłem już trzy kroki w kierunku swojego miejsca, kiedy mnie zawołał:

- Czy zna pan definicję ciężkiego przewinienia w prawie francuskim, panie Greenmor?

Znieruchomiałem, stojąc wciąż plecami do niego. Nie odpowiedziałem. Na sali zapanowała absolutna cisza. Ciężąca cisza. Przełknąłem ślinę.

- Ciężkie przewinienie - mówił dalej swoim odrażającym głosem - jest definiowane jako chęć zaszkodzenia pracodawcy przez pracownika. Odmowa wzięcia udziału w tym teście będzie dla mnie szkodliwa, ponieważ uniemożliwi mój pokaz kolegom, którzy zgromadzili się tutaj specjalnie, żeby wziąć w nim udział. To chyba nie jest pańską intencją, panie Greenmor?

Milczałem, cały czas odwrócony tyłem. Krew pulsowała mi jak szalona.

Nie potrzeba nic więcej. Znam doskonale konsekwencje ciężkiego przewinienia. Brak odszkodowania przy zwolnieniu, brak okresu wypowiedzenia i utrata prawa do płatnego urlopu... Musiałbym odejść natychmiast, bez niczego.

- Prawda, panie Greenmor?

Miałem wrażenie, że moje ciało staje się betonowym dwutonowym blokiem, którego nie można oderwać od podłoża. Miałem pustkę w głowie.

- Proszę się zdecydować, Greenmor.

Czy naprawdę miałem wybór? To było... koszarne. Nie powinienem był odmawiać. Nie znalazłbym się w tym upokarzającym położeniu. Jedyne wyjście to poddanie się temu cholernemu testowi. Musiałem nad sobą zapanować. Przełknąć dumę. No dalej... dalej... Zrobiłem nadludzki wysiłek i... odwróciłem się. Ciężyły na mnie wszystkie spojrzenia. Wróciłem do krzesła, nie patrząc na Dunkera, i usiadłem w ciszy z oczami wbitymi w podłogę. Byłem rozpalony. Huczało mi w uszach. Musiałem zwyciężyć. Szybko. Zapomnieć o upokorzeniu. Uspokoić się. Oddychać...

Nie spiesząc się, zaczął wydawać swoje polecenia.

- Dziewięć razy dwanaście?

Nie byłem jego uczniem, nie musiałem odpowiadać natychmiast.

- Sto osiem.

- Czternaście plus siedemnaście?

- Trzydzieści jeden.

- Dwadzieścia trzy minus osiem?

Zmuszałem się, żeby zwolnić tempo odpowiedzi. Musiałem się skupić, odzyskać siły. Będą mi potrzebne. Zen.

- Piętnaście.

Wykonywał gesty mające zachęcić grupę do formułowania krytyki. Unikałem ich spojrzeń. Usłyszałem kaszlnięcia, zażenowane pomruki i... żadnego słowa. Jednym susem

znalazł się przy nich.

- Teraz wasza kolej! Musicie mówić wszystko, co wam przychodzi do głowy... coś negatywnego na temat pana Green-mora.

Znowu stałem się panem sytuacji.

- Bądźcie spokojni - powiedział grupie - przypominam, że nie macie mówić prawdy. Poza tym wiemy, że Alan ma same zalety. To tylko zabawa na potrzeby testu. Dajcie się ponieść!

Dobrze, teraz byłem Alanem. Jego kolegą. I miałem tylko zalety. Co za manipulator... Co za wstrętny zboczeniec!

- Jesteś niedobry! - Pierwsza krytyka wystrzeliła.

- Osiem razy dziewięć? - pospiesznie zapytał Dunker.

- Siedemdziesiąt dwa.

- Czterdzieści siedem razy dwa?

- Dziewięćdziesiąt cztery.

- Dalej, dalej - rzucił w stronę grupy, okraszając swoje słowa zamaszystymi gestami.

Przynaglał moich kolegów, jak generał nawołujący swoje oddziały do wyjścia z okopów i walki z wrogiem.

- Nie umiesz liczyć! - Druga krytyczna uwaga.

- Trzydzieści osiem podzielone przez dwa?

Powoli wziąłem wdech, żeby zakłócić tempo, które próbował narzucić.

- Dziewiętnaście.

- No dalej, dalej! - Miało się wrażenie, że pokrzykuje na ludzi pchających zepsuty samochód, żeby zmotywować ich do rozpędzenia go do prędkości pozwalającej zapalić silnik.

- Nie idzie ci dobrze!

Jak dotąd uwagi pozostawiały mnie obojętnym. Brzmiały bardzo fałszywie, moi koledzy byli zażenowani bardziej ode mnie.

- Trzydzieści cztery?

- Pięćdziesiąt dwa.

- Amator!

- Trzydzieści siedem plus dwadzieścia osiem?

- Jesteś powolny!

- Sześćdziesiąt pięć.

- Szybciej! Postarajcie się! - krzyczał Dunker do grupy.

- Ślimak!

- Dziewiętnaście razy trzy?
- Guzdrzesz się!
- Zbyt wolno!
- Pięćdziesiąt siedem.
- Beznadziejny w rachunkach! Dunker uśmiechał się z satysfakcją.
- Sześćdziesiąt cztery minus osiemnaście!
- Beznadziejny!
- Nie umiesz liczyć!
- Kiepski!

Ataki zaczęły się zewsząd. Musiałem się skoncentrować na pytaniach Dunkera, zapomnieć o innych, nie słyszeć ich.

- Czterdzieści sześć.
- Słaby!
- Mięczak!
- Liczysz dwa na godzinę!
- Ślamazara!

Maszyna się rozpędziła. Wszyscy krzyczeli na mnie jednocześnie. Dunker zwyciężał.

- Dwadzieścia trzy plus osiemnaście?
- Nie uda ci się!

Nie słuchać ich. Wizualizować liczby. Nic tylko liczby. Dwadzieścia trzy, osiemnaście.

- Nie jesteś do tego zdolny!
- O wiele za wolny! Głuche śmiechy na sali.
- Oferma!
- Niezdolny!
- Zero z matematyki!
- Nie masz szans, jesteś ugotowany!
- Stracony!

Byli jak rozwścieczone sępy, bawili się tym. _ Dwadzieścia trzy plus osiemnaście? - powtórzył Dunker uśmiechnięty.

- Czterdzieści dwa, nie...

Jego uśmiech jeszcze się poszerzył. _ Walnąłeś się! _ Nie umiesz liczyć!

- Czterdzieści jeden.
- Dwanaście plus czternaście?

- Nie uda ci się!
- Jesteś nieudacznikiem!
- Jesteś żałosny!

Dwanaście plus czternaście. Dwanaście, czternaście powtarzałem liczby, próbując się skupić.

- Dwadzieścia cztery. Dwadzieścia sześć!
- Jesteś coraz bardziej beznadziejny!
- Osiem razy dziewięć?
- Kiepski!
- Sześćdziesiąt dwa. Nie... Osiem razy dziewięć, siedemdziesiąt dwa.
- Nie umiesz tabliczki mnożenia, jesteś najgorszy! Traciłem głowę. Kompletnie.

Skoncentrować się. Odciać się od uczuć.

- Cztery razy siedem?
- Zero!
- Nie dasz rady!
- Nie wiesz!
- Jesteś przegrany!
- Cztery razy siedem? - powtórzył Dunker.
- Niezdolny!
- Dwadzieścia... cztery.
- Zaplątałeś się!
- Jesteś beznadziejny!
- Kompletnie ociężały!
- Niemota!
- Trzy razy dwa?
- Cha, cha, cha, nie umie liczyć!
- Zero zer!
- Pierdoła!
- Oferma!
- Trzy razy dwa!

Śmiechy, głośne, wstrętne. Niektórzy wręcz się zwijali. Nie miałem już pojęcia, co naprawdę myślą.

- Dwa plus dwa?
- Nie umie liczyć do dwóch!

- Zero! Zero! Zero!
- Głupek!
- Mało zdolny!
- Dwa plus dwa? - powtarzał Dunker w euforii.
- Yyy...
- Dwa plus dwa? - wciąż pytał, radując się.
- Ciamajda!

Dunker gwałtownie przerwał, wstał i uciszył grupę.

- OK. Już wystarczy. Dość!
- Nieudacznik!
- Stop, już dosyć, dosyć.

Byłem ogłuszony, zmęczony. Czułem się źle, bardzo źle. Dunker nagle zdał sobie z tego sprawę i w jednej chwili stał się bardzo poważny. Wszystko w okropny sposób wymknęło się spod kontroli, a on czuł się za to odpowiedzialny. Musiał jednak wiedzieć, jakie podejmował ryzyko.

- Skończone - powiedział. - Zaszliśmy zbyt daleko. W praktyce to nieprzydatne... ale tu mamy do czynienia z kimś silnym. Mogliśmy sobie na to pozwolić... prawda? Dobrze, proponuję, żebyśmy podziękowali Alanowi za odwagę oklaskami. To nie była łatwa próba!

Grupa, gwałtownie wyrwana z transu, zbита z tropu, nagle zażenowana, klaskała słabiotko. Zauważyłem, że oczy Alice były pełne łez.

_ Brawo, przyjacielu! Świetnie sobie poradziłeś - powiedział Dunker, klepiąc mnie mocno po plecach, kiedy wstawałem z krzesła.

16

Wyszedłem z biura w pośpiechu, zwalnając się z reszty dnia. Nikt by mi niczego nie zarzucił. Wyszedłem na ulicę, przeszedłem na lewy chodnik i pokonywałem go szybkim krokiem bez konkretnego celu. Musiałem skanalizować stres.

Przerażające doświadczenie, jakie przeżyłem, kompletnie mnie rozbiło i odczuwałem silną złość na Dunkera. Jak teraz spojrzę w twarz kolegom? Ten gnojek upokorzył mnie publicznie. Zapłaci mi za to. Bardzo drogo. Znajdę sposób, aby pożałował, że tak się bawił ludźmi.

To, że test ukazał mój brak pewności siebie, paradoksalnie stawiało mnie w korzystnej pozycji - miało miejsce publiczne nadużycie i Dunker był za to odpowiedzialny. Bez

wątpienia byłbym w stanie przysporzyć mu kłopotów prawnych i musiał to wiedzieć. Stałem się niemal nietykalny.

Dostałem od Dubreuila SMS-a i zapaliłem zalecanego papierosa. On umiałby mi pomóc się zemścić, to pewne. Mógłby jednak przestać kazać mi palić co chwila! Palenie jest Przyjemne, jeśli samemu się o tym decyduje, a nie kiedy jest się do tego zmuszanym.

Szedłem ulicami Paryża, przezuwając zemstę. Niebo było złowróżbne, wielkie czarne chmury przepływały w szybkim tempie. Ciepłe, elektryzujące powietrze pachniało burzą. Szedłem szybko, na czole zaczynały perlić mi się krople potu. Czy to z wysiłku, czy ze złości? Mogłem oczywiście złożyć skargę i otrzymać odszkodowanie, ale co potem? Atmosfera stałaby się nieznośna. Koledzy niewątpliwie nie chcieliby pokazywać się w moim towarzystwie... Czy długo bym tak wytrzymał? Sprawa była z góry przegrana.

Moja złość ustępowała po trochu miejsca goryczy, potem przygnębieniu. Cała energia mnie opuściła. Nie czułem się tak zdeprimowany od dnia, kiedy Audrey ode mnie odeszła. Audrey. Spadająca gwiazda mojego życia. Pojawiła się, abym poznał szczęście, zanim rozplynęła się w ciemności nocy. Gdyby przynajmniej podała powód swojej decyzji, gdyby robiła mi jakieś wyrzuty, krytykowała mnie... Mógłbym winić się za to albo stwierdzić, że jest niesprawiedliwa, i łatwiej z niej zrezygnować. Tymczasem jej odejście, nagłe i niewyjaśnione, nie pozwalało mi zamknąć tego rozdziału, odbyć żałoby po naszym związku, i okrutnie odczuwałem jej brak. Kiedy myślałem wracałem do niej, moje serce ogarniała pustka i torturowała je. Wspomnienie jej uśmiechu pograżało mnie w smutku. Część mnie zniknęła razem z nią. Brakowało mi jej ciała, a moja dusza była osierocona.

Zaczęło padać - drobny, melancholijny deszcz. Szedłem dalej, teraz już wolniej. Nie miałem ochoty wracać do domu. Odwróciłem się plecami do Luwru, porzuciłem ulicę Rivoli i wszedłem do ogrodu Tuileries. Nie było ludzi, przepłoszył ich deszcz. Stałem pod drzewem, kopiąc czubkiem buta ubitą ziemię, tu i tam przykrytą przedwcześnie opadłymi liśćmi. Liście na drzewie filtrowały wodę płynącą z nieba, kropla po kropli, jakby wbrew sobie, najpierw zostawiając na niej swój delikatny aromat. W końcu usiadłem na pieńku nieopodal. Życie było czasem niesprawiedliwe. Moje dzieciństwo bez wątpienia tłumaczyło, dlaczego brakuje mi pewności siebie. Nie byłem za nie odpowiedzialny, a musiałem to znosić. Jakby sam brak pewności siebie nie wystarczał, moja słabość przyciągała jeszcze zboczeńców, dla których stawałem się ofiarą, i spadała na mnie kolejna kara. Życie nie oszczędza cierpień. Dowala podwójnie.

Długo tak siedziałem, kontemplując przyrodę, chłonąc atmosferę tego miejsca.

W końcu wstałem i instynktownie poszedłem w kierunku dzielnicy Dubreuila. On

jeden będzie w stanie podnieść mnie na duchu.

Woda zaczynała spływać mi po policzkach i szyi. Miałem wrażenie, że zmywa ze mnie to, czego doświadczyłem, zabierając ze sobą całe upokorzenie.

Doszedłem do ogrodzenia pałacyku Dubreuila pod koniec dnia. Okna były zamknięte, miejsce wydawało się uśpione, bez życia. Od razu pomyślałem, że gospodarza na pewno nie ma w domu. Zazwyczaj roztaczał taką energię, że wydawało mi się, iż można poczuć jego obecność, nawet go nie widząc, jakby jego aura promieniowała przez ściany.

Zadzwoiłem, naciskając guzik wideofonu.

Lokaj poinformował mnie, że pan wyszedł. Nie wiedział, kiedy wróci.

- A Catherine?

- Nigdy jej nie ma podczas jego nieobecności.

Włóczyłem się trochę po dzielnicy, znajdując preteksty, żeby nie wracać do domu. W końcu zjadłem coś w jednym z nielicznych w tej okolicy bistro. Byłem sfrustrowany, że nie mogę zobaczyć się z Dubreulem. Przeszła mi przez głowę pewna myśl. A jeśli on też był świrem, którego zwabiła moja słabość? Przecież poznałem go w okolicznościach więcej niż szczególnych, kiedy moja kruchość była całkowicie widoczna... Po raz kolejny zastanowiłem się nad powodem, dla którego się mną interesował, pomagał mi. Dlaczego to robił? Nie miałem żadnego sposobu, żeby się dowiedzieć.

W mojej pamięci pojawił się pewien obraz. Notes. Notes zawierał elementy odpowiedzi, to nie ulegało wątpliwości. Ale jak się do niego dostać, nie zostając pożartym przez tego przekłętego psa? Musiał być jakiś sposób. Uregulowałem rachunek, kupiłem „Les Echos”, których stos leżał na ladzie, i zawróciłem do pałacyku, ale tym razem pozostałem na chodniku naprzeciwko. Usiadłem na ławce po drugiej stronie alei i otworzyłem gazetę. Od ogrodzenia oddzielały mnie cztery rzędy drzew. Mogłem obserwować, nie będąc widzianym. Miałem pewien pomysł, który chciałem zweryfikować. Przejrzałem „Les Echos”, koncentrując uwagę na aktualnościach na temat średnich i dużych przedsiębiorstw. Wszystkie miały jeden cel - podnieść swoją wartość giełdową. Czasem spoglądałem na pałacyk. Nic. Czas płynął wolno, bardzo wolno. Około dwudziestej pierwszej trzydzieści zapaliło się światło na parterze, a po nim kolejne w sąsiednich pokojach. Nie widziałem okna biura Dubreuila, ponieważ wychodziło na drugą stronę, na ogród. Patrzyłem uważnie, ale nie dostrzegłem nikogo. Czytałem dalej, zerkając na okna. Za pół godziny ściemni się na tyle, że siedząc tu z otwartą gazetą, nie będę wiarygodny. Trzeba było wymyślić coś innego. Trafiałem na artykuł Fishermana, który po raz kolejny wyrażał wątpliwości na temat strategii Dunker Consulting. „Dyrekcji brakuje wizji” - pisał. To smutne, że do tego doszło, ale byłam

zadowolony, że czytałem złe opinie na temat mojej firmy.

Oczekiwanie zaczynało mi się dłużyć. Robiło się coraz ciemniej, a ruch samochodów na ulicy ustawał. Wilgotne powietrze po deszczu niesło wyraźny zapach klonów rosnących wzdłuż alei. W końcu położyłem się na ławce, podkładając pod głowę gazetę. Nie spuszczałem pałacyku z oczu. Miejsce było przesycone zadziwiającym spokojem, który przerywały od czasu do czasu odgłosy uliczne.

Dokładnie o dwudziestej drugiej usłyszałem w oddali dźwięk. Natychmiast go rozpoznałem. Elektrycznie otwierana furtka. Obserwowałem uważnie, ale nie dostrzegłem nikogo. A jednak byłem pewien tego charakterystycznego odgłosu.

Nagle drzwi wejściowe się otworzyły. Zamarłem. Chciałem wstać, żeby lepiej widzieć, ale bałem się zwrócić na siebie uwagę. Lepiej było zostać w dotychczasowej pozycji. Przez kilka sekund nie widziałem niczego, potem cztery osoby wyszły razem na zewnętrzne schodki, zamknąwszy za sobą drzwi. Przeszły przez ogród i wyszły przez furtkę, która została elektrycznie otwarta od środka. To ludzie z obsługi domu. Wymienili kilka słów i rozeszli się. Jeden z nich szedł w moją stronę. Mój puls przyspieszył. Zauważył mnie? Trudno by było... Postanowiłem się nie ruszać. Jeśli podejdziesz do mnie, zamknę oczy i udam, że śpię. Przecież już wcześniej pojawiłem się w domu, a skoro poinformowano mnie o nieobecności Dubreuil, mogłem na niego czekać i w końcu zasnąć na ławce. Gdyby wrócił w tym czasie, mogłem tego nie zauważyć. Przymknąłem powieki, nie tracąc lokaja z oczu. Wszedł na chodnik, skręcił w lewo i stanął na przystanku. Rozluźniłem się. Kontynuowałem obserwację domu, znów spokojny. Siedem minut później przyjechał autobus. Upewniłem się, że lokaj wsiadł. Była dwudziesta druga trzynaście. Zaczynałem czuć odrętwienie. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Mój dyskomfort stawał się nie do zniesienia. W końcu wstałem i dokładnie w tym momencie mocne światło zalało ogród przed domem. Wcisnąłem się w ławkę. Drzwi się otworzyły i na progu pojawił się Dubreuil. Stalin od razu zaczął szczekać z radości. Pan podszedł do niego. Usłyszałem głosy i zauważyłem, że pies merda ogonem. Dubreuil nachylił się nad nim i chwilę później Stalin już skakał wokół niego. Był wolny. Dokładnie o dwudziestej drugiej trzydzieści.

Pies stanął na tylnych łapach, a pan objął go z sympatią za szyję. Bawili się kilka minut, potem gospodarz wszedł do domu i zgasił światło zewnętrzne, pogrążając ogród w ciemności. Stalin pobiegł za dom.

Wstałem cały obolały i poszedłem na przystanek autobusowy. Rzuciłem okiem na rozkład jazdy. Autobus, którym lokaj odjechał o dwudziestej drugiej trzynaście, powinien był przyjechać o dwudziestej drugiej dziesięć. Miał trzy minuty spóźnienia.

Minęło zatem siedemnaście minut od chwili jego odjazdu do momentu spuszczenia Stalina z łańcucha. Siedemnaście minut. Czy to wystarczająco długo, żeby spróbować wejść do domu? Może... Ale czy w środku nie było innych osób? I jak przejść przez ogród? Potem łatwo już będzie wejść do wnętrza, bo okna są o tej porze roku zazwyczaj otwarte, ale jak się dostać do biura pana domu, nie będąc zauważonym? To wszystko wydawało mi się bardzo ryzykowne. Postanowiłem zebrać więcej informacji.

Poszedłem do metra i wróciłem do domu. Byłem u siebie zaledwie od pięciu minut, gdy madame Blanchard znowu przylazła. Jak mogła pozwolić sobie na niepokojenie lokatora o tak późnej porze? Nie zachowywałem się nawet szczególnie głośno.

Nie wiem, czy to moja nagromadzona od rana uraza do Dunkera była przyczyną, ale po raz pierwszy pozwoliłem sobie na wybuch złości w stosunku do gospodyni. Z początku zaskoczona, nie dała się jednak zbić z tropu i przypomniała jadowitym głosem zasady współżycistowania. Była gorsza niż wszystko, co mnie tego dnia spotkało. Nic nie mogło się z nią równać!

17

Yves Dubreuil wybuchnął szczerym, długim śmiechem. Nie przestawał się śmiać. Catherine, z natury niewzruszona, też zrywała boki. Właśnie opowiedziałem im o moich bezowocnych próbach zsynchronizowania gestów z wielkim Murzynem w metrze.

- Zupełnie nie wiem, co w tym takiego śmiesznego. O mało nie dostałem przez was w mordę.

Nie odpowiedzieli, zaśmiewając się.

- To raczej ja powinienem się z was nabijać! Wasza sztuczka nie działa!

Między dwoma spazmami Dubreuil powtórzył zdanie, które wcześniej zacytowałem, naśladowując afrykański akcent.

- Długo jeszcze masz zamiar się ze mnie nabijać?

Znowu wybuchli szalonym, niekontrolowanym śmiechem, tak zaraźliwym, że w końcu i ja zacząłem się śmiać.

Byliśmy na tarasie pałacyku od strony parku, wygodnie usadowieni w głębokich drewnianych fotelach. Było ładnie, znacznie pogodniej niż poprzedniego dnia. Popołudniowe słońce nadawało budynkowi brązowożłoty kolor. Kamień oddawał nagromadzone ciepło. W rozgrzanym powietrzu unosił się delikatny zapach róż z ogromnego krzewu pnącego się po

ścianie.

Doceniałem tę chwilę wytchnienia, ponieważ zaczynałem odczuwać zmęczenie z powodu niewyspania poprzedniej nocy. Trzykrotnie byłem bowiem budzony i zmuszany do zapalenia papierosa.

Dolałem sobie soku pomarańczowego, podnosząc z trudem imponującą karafkę ze rżniętego szkła, w której pobrzękiwały kostki lodu. Wcześniej zjedliśmy lekki tajski obiad, Przygotowany przez domowego kucharza. Stół został pięknie Przystrojony - największe wrażenie robiły stojące na środku Piramidy z przypraw na srebrnych półmiskach.

- Popełniłeś dwa błędy - powiedział Dubreuil, poważniejąc - i one wyjaśniają twoje niepowodzenie. Po pierwsze, kiedy przybierasz postawę drugiej osoby, musisz chwilę odczekać, zanim to zrobisz, żeby nie czuła się małpowana. Następnie, i to jest najważniejsze, postąpiłeś tak, jakbyś używał jedynie techniki. Tymczasem chodzi przede wszystkim o przyswojenie sobie stanu ducha drugiej osoby, to filozofia odkrywania jej. Ta metoda działa tylko wtedy, gdy masz ochotę wejść w świat tej osoby, stawiając się na jej miejscu, żeby poczuć to co ona, i patrzeć jej oczami. Jeśli twoje pragnienie jest szczere, synchronizacja gestów to dotyk magii, która pomaga ci je spełnić i pozwala nawiązać kontakt, poprawić jakość relacji, tak że rozmówca będzie chciał ją kontynuować. Dlatego potem nieświadomie będzie chciał podążać za twoimi ruchami. Ale ten ostatni punkt to jedynie rezultat. Nie może być celem.

- Zgadza się. Przyzna pan jednak, że to coś na tyle niewiarygodnego, iż można nie mieć ochoty tego doświadczać!

- Oczywiście.

- OK. Próbowałem jeszcze czegoś i mniej więcej zadziałało. Próbowałem nawiązać kontakt z moim menadżerem, synchronizując swoje myśli z jego myślami. Luc Fausteri jest człowiekiem zimnym, bardzo racjonalnym, kimś, kto nie lubi pogaduszek.

- Świetnie wybrałeś.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Jeśli wybierzesz osobę, której świat jest zupełnie inny od twojego, próba zrozumienia jej ma więcej sensu. To dalsza podróż... Czy wspominałem ci, co na ten temat mówił Proust?

- Marcel Proust, francuski pisarz? Nie przypominam sobie.

Dubreuil wyrecytował z pamięci:

Jedyną prawdziwą podróżą, jedyną kąpielą w wodzie Młodości byłoby iść nie ku nowym krajobrazom, ale mieć inne oczy, widzieć wszechświat oczami kogoś innego, stu

innych, widzieć sto światów, które każdy z nich widzi, którym każdy z nich jest*.

Catherine pochyliła głowę w geście aprobaty.

Jakiś ptaszek usiadł na brzegu stołu wyraźnie zainteresowany zawartością talerzy z przekąskami, które dopiero zaczęliśmy jeść. To musi być zabawne - widzieć świat oczami ptaszka. Czy zwierzęta też mają duszę? Każdy inną, która sprawia, że różnie przeżywają tę samą sytuację?

Dubreuil chwycił kanapczkę z łososiem i ptaszek od-frunął.

- To nie takie proste - mówiłem - wejść w skórę kogoś, czyj świat nam się nieszczególnie podoba. W przypadku Fau-steriego było trudno. Nie pasjonuję się liczbami tak jak on, zmianami wyników i kursem akcji naszej firmy. Zmuszałem się, żeby poruszyć te tematy, ale bez wątplenia brakowało mi przekonania... albo szczerości. W każdym razie nie poczułem, żeby się na mnie otwierał.

- Rozumiem, że nie pociągają cię liczby, ale nie chodzi o to, żebyś udawał zainteresowanie gustami czy sprawami innych. Nie. Głównym założeniem jest to, żebyś interesował się kimś do tego stopnia, aby spróbować odczuwać przyjemność, jaką on znajduje na przykład w liczbach. To zupełnie co innego... Kiedy zatem synchronizujesz z kimś ruchy, przyjmujesz czyjeś wartości i dzielisz zmartwienia, rób to jedynie w celu wejścia w jego skórę i poznania jego świata od wewnątrz.

- OK. Chce pan powiedzieć, że w tym wypadku nie miałem się interesować liczbami, ale zastanowić się nad tym, jak to jest? Co się czuje, kiedy interesują cię liczby? Tak?

- Dokładnie! I czerpać przyjemność z tego, co jest dla ciebie kompletną nowością... To tu wydarzy się cud, na planie racjonalnym stworzycie jedność.

Sięgnąłem po kanapkę. Cienki plasterk lekko wędzonego łososa na kromce chleba pszennego z odrobiną świeżej śmietanki i miniaturowym liściem szpinaku, całość skropiona cytryną. Przysmak rozpływający się w ustach...

- Jednak jest pewna granica. To nie działa w odniesieniu do wszystkich - zauważyłem.

- Owszem. To jest cecha takiego podejścia.

- Jeśli trzeba się szczerze interesować drugą osobą, żeby zadziało, wydaje się to prawie niemożliwe w wypadku... wrogów.

- Wręcz przeciwnie, to najlepszy sposób, żeby ich pokonać! Obejmujesz rywala, żeby go udusić.

- Kiedy się kogoś nie znosi, kogoś, kto sprawia, że cierpimy, absolutnie nie mamy ochoty wchodzić w jego skórę, żeby poczuć to, co on - zaoponowałem.

- To prawda. A jednak często to jedyny sposób, żeby zrozumieć, dlaczego postępuje

wobec nas tak, a nie inaczej. Tak długo, jak pozostajesz tylko sobą i skupiasz się na cierpieniu albo odrzucaniu innych, nie zmienisz sytuacji. Nie masz bowiem wpływu na drugą osobę. Tymczasem, kiedy postawisz się na jej miejscu, możesz odkryć, dlaczego zachowuje się w taki czy inny sposób. Jeśli jest katem, spójrz jego oczami, a zrozumiesz, co go do tego popycha. Jedynie wtedy możesz mieć nadzieję, że zdołasz go powstrzymać. Nie zmienisz człowieka, odrzucając go.

- Taaa...

- Kiedy odrzucasz osobę lub jej wartości, popychasz ją do zamykania się w sobie, okopywania się na swojej pozycji.

Dlaczego miałyby go interesować, co masz do powiedzenia, jeśli odrzucasz jego punkt widzenia?

_ Całkiem słuszne.

- Jeśli uczynisz wysiłek, czasem nieprzyjemny, i przyjmiesz jego sposób patrzenia, zrozumiesz, co doprowadziło go do tego, że myśli i zachowuje się w określony sposób. A kiedy poczuje się zrozumiany, a nie oceniany, być może potrafi usłyszeć, co masz do powiedzenia, i jego postawa zacznie ewoluować.

- To nie działa zawsze...

- Jasne, ale odwrotne postępowanie nie działa nigdy.

- Chyba rozumiem, co chce pan powiedzieć.

- Mówiąc ogólnie, im bardziej starasz się przekonać kogoś do czegoś, tym większy opór w nim wywołujesz. Im bardziej chcesz, żeby zmienił zdanie, mniej je zmienia. Fizycy wiedzą o tym już od dawna.

- Fizycy? Jaki jest związek między fizyką a relacjami międzyludzkimi?

- Prawo dynamiki. Isaac Newton udowodnił, że kiedy przykładasz siłę o pewnym natężeniu do danego przedmiotu, powoduje to siłę odwrotną o tej samej intensywności.

- Tak, mglście sobie przypominam.

- I podobnie jest z relacjami międzyludzkimi. Kiedy tracisz energię, próbując kogoś przekonać, to tak jakbyś wysyłał w jego kierunku siłę, która na niego oddziałuje, która go popycha. On to czuje i odpycha się z tą samą siłą w przeciwnym kierunku. Popchnij, a odepchnie.

- Dobrze, a zatem jakie jest rozwiązanie? Bo jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, to im bardziej chcemy przekonać kogoś do czegoś, tym mniej nam się to udaje, tak? W takim razie co należy robić?

- Nie popychać, ciągnąć.

- Taaa... A konkretnie?

- Pchać to wyjść ze swojej pozycji i próbować narzucić ją drugiej osobie. Ciągnąć to wyjść z pozycji tej osoby i pomału doprowadzić ją do swojego punktu widzenia. Widzisz, pozostajemy w obrębie filozofii synchronizacji. Wchodzimy do świata kogoś innego, żeby on mógł z niego wyjść. Ale początek jest zawsze taki sam. Pójść po kogoś tam, gdzie się znajduje.

- Popchnij, a odepchnie.

Powtarzałem sobie półgłosem maksymę Dubreuila, myśląc o wszystkich sytuacjach, kiedy rzeczywiście próbowałem kogoś bezskutecznie przekonać.

- To działa również na odwrót. Kiedy chcesz się pozbyć kogoś uciążliwego, odpychasz go, a on wówczas naciska jeszcze bardziej.

To mi przypomniało moje rozmowy z madame Blanchard. Im bardziej próbowałem walczyć z jej wymówkami i częstym wkraczaniem w moje życie prywatne, tym bardziej obstawała przy swoim. Ostatnim razem, kiedy naprawdę się wkurzyłem, zamykając drzwi prawie przed jej nosem, odepchnęła je i zrzędziła jeszcze bardziej niż zwykle.

Opowiedziałem o tym Dubreuilowi. Słuchał uważnie w ciszy i nagle zaświeciły mu się oczy. Wyraźnie wpadł na pomysł, z którego był dumny.

- Ma pan rozwiązanie?

- Oto co zrobisz...

Przedstawił mi swój pomysł.

Czułem, że błędę coraz bardziej. Im dalej posuwał się w wyjaśnieniach, tym bardziej rozkazujący ton przybierał, czując zapewne, że trzeba zaradzić mojemu sceptycyzmowi, wydając mi konkretne polecenia. To, o co mnie prosił, było zwyczajnie nie do przy-ję-cia. Buntowałem się już przeciwko niektórym jego zadaniom, ale w końcu zawsze ustępowałem. W tym wypadku wykonanie go było najzwyczajniej niemożliwe. Jak tylko to sobie wyobrażałem, czułem, że mdleję.

- Nie, proszę przestać. Wie pan doskonale, że nigdy tego nie zrobię.

Rzuciłem okiem w kierunku Catherine, szukając wsparcia. Miał3 równie zakłopotaną minę jak ja.

- A wiesz, że nie masz wyboru?

- Nie stosuje pan swoich zasad. Im bardziej się przeciwstawiam, tym bardziej pan naciska...

- To prawda.

- I to panu specjalnie nie przeszkadza?

- Mam ku temu dobry powód.

- Jaki?

- Mam władzę, mój przyjacielu. Władzę. Dlaczego miałbym się przejmować?

Powiedział to zadowolonym tonem, uśmiechając się. Podniósł do ust kieliszek białego wina, tak schłodzonego, że na ściankach utworzyła się cieniutka warstewka rosy. Nalałem sobie jeszcze soku pomarańczowego. Żałowałem, że zwierzyłem mu się z sąsiedzkich problemów. Popchnąłem go do zbrodni, a teraz żałowałem, że narzuca mi swoje rozwiązania. Czasami byłem trochę masochistą.

Majestatyczne gałęzie wielkiego cedru były doskonale nieruchome, jakby wstrzymały oddech. Otulała nas słodycz wieczoru. Gigantyczne platany górowały nad nami opiekuńczo. Skierowałem przelotnie wzrok na Catherine i znieruchomiałem. Był tam, na jej kolanach. Trzymała go jedną ręką, w drugiej miała ołówek. Notes...

Zauważyła moje spojrzenie albo wyczuła je podświadomie, bo położyła na zeszytcie drugą dłoń, jakby chciała go zakryć.

Przez głowę przebiegła mi pewna myśl. A gdybym zwyczajnie poprosił o możliwość przejrzania go? Przecież nie mogłem niczego zakładać z góry. Może by się zgodzili... Może zamartwiałem się bez powodu.

Staralem się przybrać obojętny ton.

- Widzę, że na tym notesie jest moje imię. Mogę rzucić okiem? - zapytałem Catherine, wyciągając rękę w jej kierunku. - Z natury jestem ciekawski.

Zesztywniała. Nie odpowiedziała, szukając wzroku Dubreuila.

- Oczywiście, że nie! - powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Nalegałem. Teraz albo nigdy. Nie cofać się.

- Jeśli to, co jest w nim napisane, dotyczy mnie, powinienem mieć prawo, żeby to przeczytać.

- Czy reżyser odkrywa przed widzami scenariusz w trakcie filmu?

- W tej sytuacji nie jestem tylko widzem. Jestem również głównym aktorem, o ile dobrze mi się wydaje.

- No właśnie! Aktor gra lepiej, kiedy mówi mu się w ostatniej chwili, jaką scenę zagra! Jest bardziej spontaniczny.

- Ja wypadam lepiej, jeśli mogę się uprzednio przygotować.

- Scenariusz twojego życia nie jest z góry zapisany, Alan.

Te słowa zawisły w powietrzu. Catherine patrzyła na swoje stopy.

Nie podobała mi się ta niejednoznaczna odpowiedź. Co się za nią kryło? Czy to, że

nikt nie zna swojego przeznaczenia, czy to, że on, Dubreuil, pisał scenariusz mojego życia? Ta myśl wywołała u mnie dreszcz.

Instynktownie odwróciłem wzrok na fasadę pałacyku. Okno biura na pierwszym piętrze było szeroko otwarte. Poniżej, przez całą długość budynku, biegł rzeźbiony gzyms. W rogu kamienna rynna schodziła aż do ziemi. Bardzo łatwo byłoby się wślizgnąć na gzyms, a z niego wdrapać się przez okno do biura.

Wziąłem kolejną kanapkę z łososiem.

- A propos władzy i stosunku sił, przeżyłem w pracy koszmar...

Opowiedziałem o zebraniu z poprzedniego dnia, o Marcu Dunkerze i jego teście z rachunku pamięciowego. Dubreuil słuchał uważnie. Wiedziałem, że po raz kolejny ściągam na siebie niemiłe zadanie, ale byłem gotowy na wszystko, żeby ukarać mojego prezesa, a do tego potrzebowałem kreatywności Dubreuila. Miał siłę Dunkera, co więcej, był geniuszem.

- Chcę się zemścić.

- Ale na kogo w tej całej historii jesteś zły?

- To chyba jasne, czyż nie?

- Odpowiedz.

- A jak pan sądzi?

- To ciebie pytam.

- Na Dunkera, oczywiście!

Powoli nachylił się w moją stronę, wbijając wzrok w moje oczy. Wzrok, który mógłby zahipnotyzować nawet najbardziej nadpobudliwą osobę.

- Alan, na kogo tak naprawdę jesteś zły?

Czułem się złapany w pułapkę, zobligowany do odwrócenia uwagi od zbyt prostej odpowiedzi i skierowania jej na swoje wnętrze, do zastanowienia się nad swoimi emocjami. Jaki był prawdziwy obiekt mojej złości, jeśli nie Dunker? Dubreuil cały czas wpatrywał się we mnie nieruchomo. Jego oczy były... zwierciadłem mojej duszy. Zobaczyłem w nich odpowiedź, nagłą i oczywistą. Szepnąłem:

- Na siebie. Jestem zły na siebie, że poddałem się jego ohydnej presji... i że nie udało mi się przejść tego haniebnego testu.

Cisza w ogrodzie zaczęła mi nagle ciążyć. To prawda, że byłem zły na siebie, zły, że pozwoliłem się wkręcić w upokarzającą sytuację. To jednak nie przeszkadzało mi mieć za złe Dunkerowi, że był tego wszystkiego przyczyną. Miałem mu to śmiertelnie za złe.

- To mimo wszystko jego wina. To on sprowokował całą sytuację. Chcę się zemścić. Wszelkimi sposobami. To się stało moją obsesją.

- Ach! Zemsta, zemsta! Przez dziesięciolecia myślałem tylko o tym, kiedy krzyżowano mi plany! Ileż razy się zemściłem! Ileż razy radowałem się z cierpień moich przeciwników! Triumfowałem, każąc im płacić za ich czyny... A potem, pewnego dnia, uświadomiłem sobie, że to wszystko na próżno, że to niczemu nie służy, a przede wszystkim... że sam sobie robiłem krzywdę.

- Sobie robił pan krzywdę?

- Kiedy przeżywasz zemstę, czujesz bardzo stymulującą, ale negatywną, destrukcyjną energię, która ciągnie cię w dół. Nie bogacisz się w ten sposób. Jest coś jeszcze...

- Tak?

- Kiedy się mścisz na kimś, to dlatego, że wyrządził ci krzywdę. Mszcząc się, chcesz się mu odwdziżyć tym samym, czyż nie? Ostatecznie postępujesz tak jak on, przejmujesz jego sposób postępowania...

- Oczywiście.

- A zatem to on wygrywa. Udaje mu się narzucić ci swój model, nawet jeśli nie zrobił tego świadomie. Popchnął cię do tego, żebyś połączył się z nim w złym.

Nigdy tak o tym nie myślałem. To analiza raczej... niewygodna. Gdybym zemścił się na Dunkerze, a o tym oczywiście marzyłem, oznaczałoby to, że ma na mnie wpływ. Co za koszmar! A jednak nie miałem zamiaru mu odpuścić.

- Wiesz - kontynuował Dubreuil - na ziemi będzie o wiele mniej wojen, kiedy ludzie przestaną chcieć się mścić. Spójrz na konflikt izraelsko-palestyński. Tak długo, jak mieszkańcy obu obozów będą chcieli pomścić brata, kuzynkę albo wujka zabitego przez wroga, wojna będzie trwała, każdego dnia mnożąc liczbę zabitych, których należy... pomścić. To się nigdy nie skończy, dopóki nie pomożemy tym ludziom i ich cierpiącym żonom przeżyć żaloby, ale nie po zmarłych... lecz po ich chęci zemsty.

Dziwnie, wręcz nie na miejscu było wspominać o wojnie w tej spokojnej przystani, jaką był pałacowy ogród, z kojącymi zapachami i majestatycznymi drzewami, otulający spokojem do tego stopnia, że zapominało się o bliskości miasta.

Ale to, co może się wydawać oczywiste, kiedy obserwujemy konflikty innych, nabiera zupełnie innych proporcji, gdy chodzi o nasze. Wiadomo, że istnieje potrzeba wybaczenia na Bliskim Wschodzie, wybaczenie Dunkerowi nie wchodziło jednak w grę.

- Mówi pan, że krzywdzimy samych siebie, kiedy próbujemy się zemścić. Zgadzam się z tym, ale myślę też, że duszenie w sobie złości wyrządzi mi tyle samo zła!

- Twój gniew wyzwala energię, siłę, którą można przekie-rować tak, aby służyła twoim interesom, podczas gdy zemsta nie przynosi nic, tylko niszczy.

- To całkiem ładnie brzmi, ale konkretnie: co miałbym zrobić?

- Musisz przede wszystkim wyrazić to, co masz w sercu, mówiąc temu facetowi, co myślisz na temat jego postępowania, albo robiąc to w sposób symboliczny.

- W sposób symboliczny?

- Tak, możesz na przykład napisać do niego list, w którym dasz upust swojej urazie, a potem wrzucisz go do Sekwany albo spalisz.

Miałem poczucie, że coś mi umknęło.

- Czemu miałyby to służyć?

- Oczyszczeniu się ze skumulowanej nienawiści, która robi ci krzywdę. Musisz to z siebie wyrzucić, rozumiesz? To ci pozwoli przejść do kolejnej fazy. Tak długo bowiem, jak długo będziesz ogarnięty złością, twój umysł będzie obsesyjnie chciał się odegrać, a to będzie przeszkadzało ci działać na własną korzyść. Przeżuwasz bez przerwy złość, urazę i nie posuwasz się do przodu. Emocje cię blokują. Trzeba je uwolnić. Symboliczne działanie może w tym pomóc.

- A druga faza to co?

- Druga faza to użycie energii powstałej ze złości do działania, na przykład do zrobienia tego, czego nigdy nie odważyłeś się zrobić, czegoś konstruktywnego, co naprawdę służy twoim interesom.

To dość ambitne. Marzyłem, żeby zmienić wiele w mojej firmie, stać się siłą sprawczą zamiast oplakiwać obrót spraw i bez przerwy narzekać wspólnie z Alice.

Pójdę osobiście do Marca Dunkera. Jego faux pas z poprzedniego dnia stawiało go w niezręcznej pozycji wobec mnie. Skorzystam z tego. Powstrzyma się od odrzucenia z góry tego, co mam do powiedzenia, i będzie zmuszony choć po części mnie wysłuchać, byłem tego pewien. Podzielę się z nim moimi spostrzeżeniami, moimi pomysłami i wynegocjuję sprawdzenie ich w praktyce. Co mam do stracenia?

Na mój entuzjazm padł cień. Dlaczego Dunker miałby słuchać pomysłów kogoś, kto udowodnił brak wiary w siebie? Zważywszy na to, jak silną miał osobowość, musiał mną głęboko pogardzać.

Podzieliłem się moim pomysłem i wątpliwościami z Du-breulem.

- Pewność siebie na pewno ułatwia zdobycie w pracy tego, czego się chce.

Przelknąłem ślinę.

- Obiecał mi pan, że będziemy nad tym pracować.

Patrzył na mnie w ciszy przez kilka chwil, potem chwycił kieliszek z wodą, kryształowy kieliszek na nóżce tak cienkiej, że prawie nierzeczywistej. Uniósł go ponad

piramidą z szafranu i lekko przechylił. Nie spuszczałem z oczu rżniętego misternie kryształu, w którym woda zdawała się lśnić.

Wszyscy rodzimy się z takim samym potencjałem wiary w siebie - powiedział. - Później, kiedy odbieramy komentarze rodziców, opiekunów, nauczycieli...

Kropla wody oderwała się od kieliszka i kapnęła na szczyt piramidy, powiększając jak lupa pomarańczowe ziarenka cennej przyprawy. Zawahała się, a potem utorowała sobie drogę, spływając coraz szybciej w dół.

- Jeśli nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności wszyscy ciągną nas w negatywną stronę, wyrażając krytykę, zwracając uwagę na nasze niedostatki, błędy i niepowodzenia, to poczucie samoniewystarczalności i samokrytyka wpisują się w nasze zwyczajowe myślenie.

Dubreuil na nowo przechylił kieliszek, druga kropla powoli spadła w to samo miejsce. Przez moment też się zawahała, po czym spłynęła tą samą ścieżką co pierwsza. Trzecia kropla tak samo, jeszcze szybciej niż poprzednia. Po kilku sekundach utworzył się rowek, którym spływały kolejne krople, za każdym razem żłobiąc go głębiej.

- Na dłuższą metę najmniejsza niezręczność powoduje, że czujemy się niepewnie, najbardziej drugorzędna z porażek sprawia, że zaczynamy w sobie wątpić, a najbardziej nie-znacząca krytyka destabilizuje nas i usuwa grunt spod nóg. Mózg przyzwyczaja się do reagowania negatywnego, a połączenia nerwowe osłabiają się po każdym doświadczeniu.

Zdecydowanie był to mój przypadek. Wszystko, o czym mówił, przemawiało do mnie, odbijało się we mnie szczególnym echem. Byłem więc ofiarą życia, porzucony przez ojców, stłamszony przez matkę, dla której nigdy nie byłem wystarczająco dobry. A teraz, mimo że jestem już dorosły, nadal płacę za dzieciństwo, którego sobie nie wybrałem. Moich rodziców już ze mną nie ma, ale nadal cierpię z powodu negatywnych skutków ich działań. Zaczynałem czuć się głęboko zdeprymowany, kiedy nagle uświadomiłem sobie, że to zwątpienie samo w sobie musiało wzmacniać utratę mojej pewności siebie.

- Jest sposób, żeby wydostać się z tego zaklętego kręgu? - zapytałem.

- Nie definitywny. Trudno się z tego wydostać. To wymaga wysiłku.

Przechylił głowę w bok i pozwalając kolejnej kropli spaść na czubek piramidy, dmuchnął na nią, zmuszając do obrania innej drogi. Utorowała sobie powoli nową ścieżkę ku dołowi.

- A przede wszystkim - mówił dalej - te wysiłki muszą być czynione stale, ponieważ nasz umysł jest przyzwyczajony do konkretnego sposobu myślenia, nawet jeśli przez to cierpimy.

Wylał kolejną kroplę na czubek kopca. Spłynęła pierwotnym korytarzem.

- Trzeba... - Zawiesił głos. Dmuchał, jak to robił wcześniej, a kolejne krople zostały zmuszone do obrania nowej drogi, żłobiąc ją. Po chwili przestał dmuchać i krople same popłynęły nowym torem. -...wypracować nowe przyzwyczajenia umysłu: wystarczająco często myśleć o sobie wartościująco, łączyć to z pozytywnym nastawieniem, aż wytworzą się nowe połączenia między neuronami. Potem się wzmocnią i staną się najbardziej znaczące. To wymaga czasu.

Nie spuszczałem z oczu pięknej pomarańczowej piramidy, teraz naznaczonej dwoma dobrze widocznymi żłobieniami.

- Nie usuniemy złych przyzwyczajajeń z umysłu - dodał. - Możemy jednak wypracować nowe i sprawić, żeby były nie do odparcia. Nie da się zmienić ludzi, jak wiesz, ale można wskazać im drogę i sprawić, żeby mieli ochotę nią pójść.

Zastanawiałem się, jak głębokie było koryto mojego braku pewności siebie. Czy uda mi się kiedyś wypracować w sobie tę pewność, spokój wobec krytyki wszelkiego rodzaju? Czy będę umiał rozwinąć tę wewnętrzną siłę, która pozwala stać się niewrażliwym na ataki? Przecież prześladowcy zdają się atakować tylko najsłabszych z nas.

- A więc co mi pan radzi w odniesieniu do mojego problemu?

Odstawił kieliszek z wodą, nalał sobie białego wina i odchylił się do tyłu w fotelu. Upił łyk.

- Najpierw musisz wiedzieć, że dam ci zadanie, które będziesz wykonywał codziennie przez... sto dni.

- Sto dni!

To nie długość zadania mnie przeraziła, lecz perspektywa pozostawania w szponach Dubreuila przez tak długi czas.

- Tak, sto dni. Chodzi o to, co właśnie ci wytłumaczyłem. Nie tworzy się nowych przyzwyczajajeń umysłu z dnia na dzień. Jeśli będziesz wywiązywał się z zadania, które ci dam, przez tydzień, w niczym ci ono nie pomoże. Zupełnie w niczym. Musisz powtarzać je wystarczająco długo, żeby się w tobie zakorzeniło.

- O co chodzi?

- To proste, ale dla ciebie nowe. Każdego wieczoru poświęcisz dwie minuty, żeby przemyśleć swój dzień, który właśnie minął, i przypomnieć sobie trzy rzeczy, które ci się udały, z których jesteś dumny.

- Nie jestem pewien, czy codziennie dopuszczam się tyłu aktów brawury.

- Nie chodzi o brawurowe czyny. Mogą to być drobne działania i niekoniecznie w pracy. Może poświęciłeś chwilę, żeby pomóc niewidomej staruszce przejść przez jezdnię,

kie-dy sam się spieszyłeś. Może poinformowałeś sprzedawcę, że wydał ci za dużo reszty, albo powiedziałaś komuś same dobre rzeczy, jakie o nim myślisz. Widzisz, to może być niewielka rzecz, ale taka, która obudzi w tobie poczucie dumy. Nie musi to być koniecznie jakieś działanie. Możesz być też zadowolony ze sposobu, w jaki zareagowałeś, z tego, co czułeś, dumny z tego, że zachowałeś spokój w sytuacji, jaka zazwyczaj wyprowadza cię z równowagi.

- Rozumiem.

Byłem trochę rozczarowany. Myślałem, że da mi zadanie wymagające większej konsekwencji, bardziej wyrafinowane.

- Ale... myśli pan, że to naprawdę pomoże mi rozwinąć pewność siebie? To się wydaje takie proste.

- Cha! Widać, że nie jesteś czystej krwi Amerykaninem! Nie umiesz ukryć korzeni francuskich. Dla Francuza pomysł musi być koniecznie złożony, w przeciwnym razie podejrzewa, że jest uproszczony! To pewnie z tego powodu wszystko w tym kraju jest takie skomplikowane. Lubią tu łamać sobie głowę!

To mi przypomniało, że Dubreuil mówił z akcentem, którego pochodzenia nie umiałem określić.

- Tak naprawdę - ciągnął - nie ma magicznego sposobu, który dodałby ci pewności siebie z dnia na dzień. Zadanie, które ci powierzam, musisz potraktować jak kulę śniegową, spychaną z wierzchołka góry. Jeśli będziesz wystarczająco długo ją śledził, zauważysz, że nabierze wielkości, a w końcu wywoła lawinę pozytywnych zmian w twoim życiu.

O jednym byłem przekonany - pewność siebie była kluczem do równowagi w wielu dziedzinach. Rozwinięcie jej przyczyniłoby się do tego, że moje życie stałoby się pełne.

- To zadanie - mówił dalej - doprowadzi cię do tego, że staniesz się świadomy, co robisz dobrze, co ci się udaje każdego dnia. Pomału nauczysz się kierować uwagę na swoje zalety, wartości, wszystko to, co sprawia, że jesteś dobrym człowiekiem. Poczucie własnej wartości stopniowo się w ciebie wryje i stanie się oczywiste. Odtąd żaden atak, żadna krytyka, żadne wyrzuty nie będą mogły cię zdestabilizować. Już cię to nie dotknie i będziesz mógł nawet podarować sobie luksus wybaczenia i odczuwania współczucia w stosunku do napastnika.

Byłem daleki od wyobrażenia sobie współczucia w stosunku do Marca Dunkera. To bez wątpienia znak, że czekała mnie długa droga.

Dubreuil wstał.

_ Chodź, odprowadzę cię. Robi się późno.

Pożegnałem Catherine, która patrzyła na mnie, jakbym był zwierzątkiem doświadczalnym. Poszedłem za gospodarzem. Okrążyliśmy pałacyk, idąc przez ogród. Dzień się kończył, wieczorna aura nadawała posiadłości zagadkową atmosferę.

_ Utrzymanie takiego budynku i parku tej wielkości musi wymagać wiele pracy. Rozumiem, dlaczego ma pan służbę.

- Rzeczywiście, trudno by było się bez niej obejść.

_ Ja jednak nie czułbym się swobodnie z tymi wszystkimi ludźmi w domu. Są tu w dzień i w nocy?

- Nie. Wszyscy wychodzą o dwudziestej drugiej. W nocy tylko ja nawiedzam to miejsce!

Przeszliśmy obok wielkiego cedru, którego niższe gałęzie dotykały ziemi pogrążonej w półmroku, jak długie ramiona okryte ciemnym płaszczem z igieł. Zapach szyszek otulał nas w ciepłe wieczoru.

Szliśmy bez słowa aż do wysokiego czarnego ogrodzenia, chroniącego dziwny spokój tego miejsca.

Stalin leżał, ale nie spuszczał mnie z oczu, czekając bez wątplenia na odpowiedni moment do ataku. Nagle zauważyłem, że za nim była nie jedna, ale cztery budy ustawione w rzędzie.

- Ma pan cztery psy?

- Nie, Stalin ma cztery budy dla siebie. Codziennie wybiera, w której będzie spał. Nikt oprócz niego tego nie wie. Ma tendencję do silnej paranoi...

Czasami odnosiłem wrażenie, że moja noga postąpiła w domu wariatów.

Odwrociłem się w stronę Dubreuil. Światło z latarni ulicznych wyostrzyło rysy jego twarzy.

- Chciałbym mimo wszystko wiedzieć jedną rzecz - powiedziałem, przełamując ciszę.

- Tak?

- Zajmuje się pan mną i jestem za to wdzięczny, ale chciałbym czuć się... wolny.

Kiedy zwolni mnie pan z układu?

- Na wolność trzeba zapracować!

- Proszę mi powiedzieć kiedy. Chcę znać termin.

- Poznasz go, gdy będziesz gotów.

- Niech pan przestanie bawić się ze mną w kotka i myszkę. Chcę wiedzieć teraz.

Przecież to mnie ta sprawa dotyczy...

- Nie dotyczy cię, jesteś w nią uwikłany.

- Widzi pan, dalej bawi się pan słowami. Dotyczy mnie czy jestem w nią uwikłany znaczy to samo, czyż nie?

- Nie, zupełnie nie.

- A zatem? Jaka jest według pana różnica?

- To jak omlet z boczkiem.

- Co pan opowiada?

- Każdy to wie! Omlet dotyczy kury, a uwikłana w niego jest świnia!

18

Szanowny Panie

Piszę, aby podzielić się z Panem ogromną przykrością, jaką wywołało we mnie ćwiczenie, które zorganizował Pan kilka dni temu w obecności pracowników z działu rekrutacji pańskiej firmy. Mimo całego szacunku, jaki żywię do pełnionej przez Pana funkcji, uważam za konieczne poinformowanie Pana, co czuję od czasu tego zdarzenia. Nie znoszę Pana, kawał chama z Pana, kawał chama, kawał chama, kawał chama. Nienawidzę Pana, rzygam Panem, sram ludźmi takimi jak Pan, jest Pan godną pożałowania świnia, jest Pan wstrętnym, zasranym dupkiem.

Dziękuję za uwagę i proszę przyjąć, szanowny Panie, wyrazy moich najszczerzych pozdrowień.

Alan Greenmor

19

Dwudziesta pierwsza. Popchnąłem drzwi mojego domu z listem w ręce. Wieczorne powietrze na ulicy przesycone było zapachem bujnych klonów. Zszedłem z zewnętrznych schodków i minąłem Etienne'a. Oparty o ścianę, patrzył w niebo. Wyglądał na rozmarzonego.

- Piękny dziś wieczór - zagadnąłem.

- Jest jak jest, mój chłopcze - odrzekł.

Szedłem chodnikiem, potem wrzuciłem list do pierwszej kratki ściekowej, jaka się nadarzyła. I oto, proszę, z dostawą do domu - pomyślałem.

Szedłem piechotą do metra, deptając paryski chodnik. Dzielnica Montmartre ma tę

zaletę, że jest położona na wzgórzu i ma się wrażenie, jakby nie było się do końca w mieście. Człowiek nie czuje się pochłonięty przez metropolię, zagubiony w zgiełku i zanieczyszczeniach, mimo że znajduje się w jej sercu. Na Montmartrze niebo jest wszędzie i można oddychać. Wzgórze to jakby osobne miasteczko i kiedy za rogiem krętej uliczki dostrzeże się w dole wielkie miasto, wydaje się ono tak odległe, że bardziej czuje się tu obecność chmur niż paryskiego zgiełku.

Zjawiłem się przed posiadłością Dubreuil'a o dwudziestej pierwszej czterdzieści i odnalazłem znajomą ławkę. To już trzeci wieczór czałem się przed jego domem. W końcu zrezygnowałem z kładzenia się, ale postarałem się o czapkę, którą naciągałem prawie na oczy. Dzięki temu z daleka byłem nierozpoznawalny.

Ledwie zająłem miejsce, gdy w alei pojawił się długi czarny mercedes pana domu. Zatrzymał się przed bramą. Vladi wysiadł, obszedł samochód i otworzył tylne drzwi. Zauważyłem, że z samochodu wylania się młoda kobieta, a za nią Dubreuil, trzymając rękę na jej talii. Była brunetką, krótkie włosy odsłaniały ładny kark. Miała na sobie krótką spódnicę, ukazującą niebotycznie długie nogi. Poruszała się niezwykle kobieco, bez wątplenia wymuszały to wysokie obcasy, ale czy nie była lekko... wstawiona? Uwiesiła się Du-breuilowi na szyi. Usłyszałem śmiech, który zdradzał, że musieli sporo wypić.

Weszli na teren posiadłości, pokonali kilka schodków i zniknęli we wnętrzu domu. W oknach jedne po drugich zaczęły się zapalać światła.

Przez następne dziesięć minut nie działo się nic, potem usłyszałem brzęczyk furtki, tak jak w poprzednich dniach. Pojawili się pięćdziesiąt pięć sekund później. Taki sam rytuał pożegnania na chodniku, kilka słów przed rozejściem się. Pasażer autobusu przeszedł na drugą stronę alei. Pojazd nadjechał o dwudziestej drugiej dziewięć. Minutę przed czasem względem oficjalnego rozkładu jazdy. Pozostała najważniejsza kwestia. Po upływie jakiego czasu Dubreuil spuści Stalina z łańcucha? Trzymałem kciuki, żeby zrobił to o tej porze co poprzednio: punkt dwudziesta druga trzydzieści.

Mój wzrok oscylował między drzwiami wejściowymi a zegarkiem, który miałem na ręku. Każda minuta wzmacniała nadzieje i obawy. Osiemnaście po dziesiątej światło w holu wejściowym się zapaliło, a moje serce stanęło. Czekałem w napięciu, żeby drzwi się otworzyły. Nie spuszczałem z nich oczu. Nic. Potem kolejne światło, tym razem zapalone w bibliotece. Odetchnąłem. Było dwadzieścia jeden po dziesiątej. Autobus odjechał dwanaście minut temu. Rozluźniłem się. Nic nowego się nie działo. Dwadzieścia cztery minuty po dziesiątej. Ciągle nic. Dwadzieścia osiem. Nic. Dwudziesta druga trzydzieści. Teraz pragnąłem, żeby Dubreuil pojawił się jak najszybciej. Od regularności jego działań w sprawie

spuszczania Stalina zależał mój spokój w godzinie zero. Było trzydzieści jeden minut po dziesiątej, kiedy drzwi się otworzyły - Wydałem westchnienie ulgi. Trzeci dzień z rzędu Dubreuil uwalniał swojego psa o tej samej godzinie, prawie co do minuty. Zwyczaj wydawał się dobrze zakotwiczony.

Nie będę sprawdzał nazajutrz. Był czwartek i możliwe, że organizacja zmienia się w weekendy. Musiałem się trzymać rozkładu w dniach roboczych.

Poczekalem do końca operacji, potem wstałem, żeby udać się do metra. Szedłem w ciszy, patrząc w ziemię, pogrążony w myślach. Wyrwał mnie z nich krótki dzwonek komórki. SMS. To on. Nawet w dobrym towarzystwie nie zapominał o mnie. Wyjąłem zalecanego papierosa i zapaliłem, idąc dalej. Wolałem wdychać słodki zapach wieczornego powietrza, w którym wyczuwało się wilgoć drzew. Zaczynałem mieć dość tego, że ktoś każe mi palić, kiedy nie mam na to ochoty.

Myślałem o przebiegu dnia. Z czego mogłem być dziś dumny? Pomyślmy... Trzy rzeczy... Dumny... No cóż, przede wszystkim byłem dumny z tego, że miałem odwagę wyjść z biura o osiemnastej. Wcześniej czułem się w obowiązku zostawać tak jak wszyscy do dziewiętnastej, nawet gdy nie miałem nic do zrobienia. Co jeszcze...? Pomyślmy. A tak, byłem dumny, że ustąpiłem miejsca w metrze ciężarnej kobiecie, a także ze swojej nieodwołalnej decyzji, że skończę śledztwo w sprawie słynnego notesu Dubreuila. W poniedziałkowy wieczór, dokładnie za siedemdziesiąt dwie godziny, dowiem się, co w nim jest.

20

Następna noc minęła niespokojnie. Czterokrotnie byłem budzony nakazem zapalenia papierosa. Najgorzej było o piątej nad ranem. Zapaliłem w półśnie, stojąc w oknie w przeszywającym chłodziu, żeby dym nie wpadał do pokoju. Okropnie mi nie smakował. Dubreuil wyznaczał mi palenie około trzydziestu razy na dzień i zaczynałem już tego nie znosić. Doszło do tego, że z niepokojem czekałem na SMS, który nakaże mi zapalić. Przy stole przyłapałem się na tym, że jadłem coraz szybciej, bo bałem się, że będę musiał przerwać z powodu papierosa. Kiedy odzywał się krótki dzwonek zapowiadający tę pańszczyznę, robiło mi się niedobrze, zanim jeszcze moja dłoń zagłębiła się w kieszeni, żeby wyjąć przekłętą paczkę.

Była sobota, zostałem więc w łóżku aż do jedenastej, nadrabiając trochę zaległości w spaniu. Po energetyzującym prysznicu wypłem kawę i zjadłem bułeczki kupione w

przeddzień, które podgrzałem w opiekaczu. Zapach ciepłych rogalików wypełnił mieszkanie. Normalnie rozbudziłyby to mój apetyt.

Sobota od zawsze była moim ulubionym dniem. Jedyny dzień odpoczynku, po którym miał nastąpić kolejny. Ale dziś był dzień szczególny. Miałem tremę. Podświadomą, ukrytą tremę, która, nawet kiedy nie myślałem o jej przyczynach, była obecna i supłała mi żołądek. Dziś był dzień, który wybrałem na wykonanie zadania powierzonego mi przez Dubreuila względem madame Blanchard. Musiałem się od niej uwolnić, a im prędzej to nastąpi, tym lepiej. Za godzinę nie będę już o tym myślał. Na razie jednak musiałem zebrać w sobie całą odwagę.

Byłem więc raczej niespokojny, kiedy przeżuwałem rogaliki, i jedynie ciepła kawa ogrzewająca przełyk zdołała mnie trochę uspokoić. Smakowałem ją aż do ostatniej kropli nie po to, żeby się nią nacieszyć, ale żeby odsunąć feralną chwilę.

W końcu wstałem i boso przeszedłem przez pokój w kierunku miniwieży stereo. Nie odłączyłem słuchawek podłączonych na stałe, wbrew pierwotnemu zamiarowi. Nie chciałem dawać jej żadnego uzasadnionego powodu do narzekań. Zresztą mogłem w ogóle obywać się bez muzyki, ale teraz potrzebowałem jej, żeby się odpowiednio nastroić. Potrzebne mi było coś... nietuzinkowego. Pomyślmy, pomyślmy... Co mógłbym włączyć... Nie, to nie... to nie... O, przeróbka My Way dawnego basisty Sex Pistols. Frank Sinatra odświeżony i podrasowany przez hardrockowców. Założyłem słuchawki z dużymi nausznikami, które izolują i sprawiają, że czuję się sam na świecie. Rozbrzmiał niski głos Sida Viciousa, intonujący bardzo spokojnie pierwszą zwrotkę. Podkręciłem głośność i chodziłem z kablem w ręce, jak piosenkarz trzymający sznur mikrofonu. Nagle gitary elektryczne zaryczały wściekle. Zacząłem poruszać się w rytmie, utrzymując bosymi stopami kontakt z podłogą. Głos wokalisty szalał we wszystkich rejestrach, jakby wymiotował swoją piosenkę. Zapomnieć o sąsiadce. Jeszcze głośniej. Jeszcze. Zatracić się. Zamknąć oczy. Dalej. Rozpłynąć się w muzyce. Muzyka we mnie, w moim ciele. Ruszać się, wibrować, tańczyć. Bez zahamowań. Uwolnić się od wszystkiego. Skakać, czuć każdą nutę...

Trwało to bez wątpienia kilka minut, zanim zdałem sobie sprawę, że słyszalne stukanie to nie efekt wyczerpujących się baterii... Powtarzające się odgłosy dochodziły skądinąd i mimo transu, w jaki wpadłem, trafnie odgadywałem ich źródło.

Jednym gwałtownym ruchem zdjąłem słuchawki i znalazłem się w ogłuszającej ciszy pokoju. W uszach huczało mi jeszcze po tym, co sobie zafundowałem.

Walenie w drzwi nagle się nasiliło. Już nawet nie waliła, lecz łomotała.

- Panie Greenmor!

Nadszedł ten moment...

Popchnij, a odepchnie... i odwrotność też jest prawdą - jak mawiał Dubreuil. Im mocniej będziesz odpychał, tym bardziej będzie nalegała.

- Panie Greenmor! Proszę otworzyć! Znieruchomiałem, nagle ogarnięty wątpliwościami. A jeśli

Dubreuil nie ma racji?

Uderzenia jeszcze się wzmożyły. Jak można być tak wstrętnym? Pewnie podskoczyłem pięć czy sześć razy, tańcząc. U niej na pewno nie było słyhać nic szczególnego... Naprawdę chciała mi uprzykrzyć życie... Co za wredna kobiecina!

Złość popchnęła mnie do działania. Jednym ruchem zerwałem z siebie sweter i T-shirt. Byłem w samych spodniach i boso.

- Panie Greenmor, wiem, że pan tam jest! Podeszedłem do drzwi i cofnąłem się. Czulem, że serce wali mi szybciej niż normalnie. Dalej!

Zsunąłem spodnie i zostawiłem je na podłodze. Dubreuil naprawdę ma świra...

- Proszę otworzyć te drzwi!

Jej głos był zarazem autorytarny i nienawistny. Zrobiłem kilka kroków, które dzieliły mnie od drzwi. Miałem megatremę. Teraz.

Wstrzymując oddech, zsunąłem slipki i odrzuciłem je. Okropnie było być nagim w takiej sytuacji.

- Wiem, że mnie pan słyszy, panie Greenmor! Odwagi!

Wyciągnąłem dłoń w stronę klamki. Nie wierzyłem w to, co właśnie robiłem. Zupełnie nie byłem sobą.

Zadała drzwiom trzy ostatnie uderzenia, a ja nacisnąłem klamkę. Miałem wrażenie, że sam spuszcza na siebie gilotynę. Pociągnąłem drzwi do siebie, a kiedy je otwierałem, chłodne powietrze połaskotało mi jądra, jakby chciało mi przypomnieć, że jestem nagi. Tortura.

Zdanie. Trzeba powiedzieć zdanie. Energicznie. No dalej, już za późno, żeby się wycofać.

Otworzyłem drzwi na całą szerokość.

- Pani Blanchard! Jak miło panią widzieć!

To był szok jej życia. Ubrana cała na czarno, z popielatymi włosami zebranymi w kok, widocznie musiała oprzeć się o drzwi, żeby efektywniej uderzać, bo kiedy ustąpiły, straciła równowagę. Cofnęła się, znieruchomiała, wybałuszyła oczy, a jej twarz stawała się purpurowa. Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Zapraszam, witam panią serdecznie!

Stała jak wryta, przypatrując się mojej nagości, niezdolna wymówić słowa.

Okropnie było stać nago przed starą sąsiadką, ale jej reakcja mnie ośmieliła. Nieomal dodawała mi chęci, żeby jeszcze spotęgować niecodziennosc tej sytuacji.

- Zapraszam, proszę się ze mną napić!

- Ja... ja... nie... ja... ale... Mój... mój... panie... ja... ale... ja...

Stała jak słup soli, ze szkarłatną twarzą, mamrocząc niezrozumiałe słowa ze wzrokiem wbitym w mojego penisa.

Potrzebowała kilku minut, żeby choć po części wrócić do siebie. Wydukała przeprosiny i wycofała się chyłkiem.

Nigdy więcej nie przyszła uskarżać się na hałas.

21

Niedziela, szósta rano. Dzwonek komórki wyrwał mnie z głębokiego snu. Nie ma nic bardziej nieprzyjemnego niż być tak raptownie obudzonym. Ogarnęło mnie ogromne zmęczenie. To już trzeci SMS tej nocy. Litości! Nie mogłem tak dłużej. Nie miałem nawet siły wstać. Przez dłuższą chwilę leżałem, zmuszając się do otwarcia oczu, i walczyłem, żeby nie zasnąć z powrotem. Co za koszmar!

Dokonałem nadludzkiego wysiłku, żeby usiąść na łóżku. Byłem zupełnie zamroczony snem. Nie miałem już siły pa-lic o każdej porze dnia i nocy. To była prawdziwa droga przez mękę. Wkurzony, odwróciłem głowę w kierunku stolika nocnego.

Nie ma nic okropniejszego od tej czerwono-białej paczki. Jest brzydka i śmierdzi.

Wyciągnąłem rękę, chwyciłem ją i wyjąłem papierosa. Nie miałem siły wstać i podejść do okna. Trudno, będzie śmierdziało w całym pokoju. Zawinę peta i popiół w chusteczkę, żeby nie było czuć tego odrażającego zapachu zimnego tytoniu, kiedy będę zasypiał z powrotem.

Wziąłem do ręki pudełko zapalek. Małutkie pudełko z obrazkiem wieży Eiffla. Pierwsza zapalka złamała mi się w otumanionych snem palcach. Druga trzasnęła i buchnął mały płomień, uwalniając charakterystyczny zapach. To jedyna chwila przyjemności przed pańszczyzną. Zbliżyłem zapalkę do papierosa. Płomień polizał jego koniec, zaciągnąłem się. Koniuszek się rozżarzył i kłęb dymu wdarł się do moich ust, drażniąc podniebienie, język i gardło, rozprzestrzeniając swój gorzki, ostry smak. Zbyt ostry. Wypuściłem jak najszybciej to niedobre powietrze. Okropne uczucie kaptcia w ustach pozostało. Odrażające.

Zaciągnąłem się ponownie. Dym rozpałił mi tchawicę, potem płuca. Kaszlałem. Suchy kaszel podkreślił tylko wstrętny smak na języku. Chciało mi się płakać. Nie mogłem już dłużej. To, zwyczajnie, już nie było możliwe. Ponad moje siły. Stop. Litości...

Nieprzytomny, rozejrzałem się dookoła, szukając czegoś, co przyniosłoby mi ulgę. Mój wzrok padł na doręczyciela tor-tur, mój telefon komórkowy. SMS-y od Dubreuila... Dubreuil! Nerwowo wyciągnąłem rękę i chwyciłem telefon. Naciskałem klawisze i patrzyłem, jak przesuwa się lista otrzymanych wiadomości. Szczypały mnie oczy, czytałem więc z trudem. W końcu odnalazłem numer, z którego został wysłany SMS. Zawahałem się, potem nacisnąłem zielony klawisz. Telefon wybierał numer. Z walącym sercem przyłożyłem aparat do ucha i czekałem. Cisza, potem sygnał. Drugi. Trzeci. Odebrał.

- Dzień dobry. - Głos Dubreuila.

- To ja, Alan.

- Wiem.

- Ja... ja już nie mogę. Proszę przestać wysyłać mi cały czas SMS-y. Załamuję się.

Cisza. Nie odpowiedział.

- Błagam pana. Proszę pozwolić mi przestać. Nie chcę już palić, słyszy pan? Nie znoszę już papierosów. Proszę pozwolić mi przestać.

Znowu cisza. Czy przynajmniej rozumiał, w jakim jestem stanie?

- Błagam...

Przerwał ciszę bardzo spokojnym głosem.

- Zgoda. Jeśli tego chcesz, pozostawiam ci wolny wybór. Możesz rzucić palenie.

Rozłączył się, zanim powiedziałem: dziękuję.

Ogarnęła mnie ulga i szczęście. Odetchnąłem pełną piersią. Powietrze wydało mi się cudowne, lekkie. Uśmiechałem się do aniołów, sam w łóżku o szóstej rano!

Zgasilem papierosa bezpośrednio na stoliku, z sercem pełnym radości. To ostatni papieros w moim życiu.

22

Dubreuil zaczął od tego, że odmówił mi pomocy w przygotowaniu do spotkania z Markiem Dunkerem. „Nie znam twojej firmy. Co chcesz, żebym ci doradził?” - odparł. W końcu ugiął się pod moimi naciskami i dał mi kilka ogólnych wskazówek.

- Z czym masz trudność? - zapytał.

- To ktoś ze złymi intencjami, kto łatwo pozwala sobie na nieuzasadnione uwagi.

Kiedy się go o coś prosi albo wskazuje, że coś nie gra, ma tendencję do atakowania, żeby nie być zmuszonym do odpowiedzi.

- Rozumiem... A co ty i twoi koledzy robicie, kiedy ma o coś pretensje?

- Nie pozwalamy mu na to. Próbujemy mu udowodnić, że to nieprawda, że jego uwagi są niesprawiedliwe.

- A więc próbujecie się usprawiedliwiać, czy tak?

- Tak, oczywiście.

- A zatem to wy odwalacie robotę!

- Nie rozumiem.

- W obliczu nieuzasadnionych uwag przede wszystkim nie wolno się usprawiedliwiać.

W przeciwnym razie dajecie się wciągnąć w jego grę!

- Być może, ale co innego mamy zrobić?

Przybrał swoją typową, lekko rozbawioną minę.

- Torturować go.

- Bardzo śmieszne.

- Nie żartuję.

- Zapomina pan tylko o jednym małym szczególe.

- O czym?

- Nie chcę stracić pracy.

- Rób jak inkwizytorzy w średniowieczu. Co mówili, zapowiadając seanse niewyobrażalnych tortur, które zamierzali komuś wymierzyć?

- Nie wiem.

- Poddamy go przesłuchaniu.

- Poddamy go przesłuchaniu?

- Tak.

- A jaki to ma związek z moim szefem?

- W obliczu nieuzasadnionych uwag torturuj go, zadając mu pytania.

- A konkretnie?

- Nie usprawiedliwiaj się, tylko zmuś go, żeby udowodnił słuszność swoich zarzutów!

I nie popuszczaj. To on musi uzasadnić, że ma rację, a nie ty, że jej nie masz! Mówiąc inaczej, zmuś go do roboty.

- Rozumiem.

- Przyciśnij go do muru. Pytaj, co go skłania do twierdzenia tego, co twierdzi, i nie pozwól mu się chować za ogólnikami. Draż, proś o sprecyzowanie, o przytoczenie faktów.

Jeśli ma złe zamiary, przeżyje okropne chwile... I wiesz co?

- Proszę powiedzieć.

- Najgenialniejsze jest to, że nie musisz nawet być agresywny. Jeśli się dobrze do tego zabierzesz, możesz ze spokojem zmusić go, żeby padł na kolana, zaczął mówić tonem z pozoru pełnym szacunku. Mówiąc krótko, zmusisz go do uzasadnienia swoich uwag, a sam pozostaniesz bez zarzutu.

- Nieźle...

- A jeśli dobrze to przeprowadzisz, są duże szanse, że w konsekwencji Dunker da ci spokój.

*

Umówiłem się z Dunkerem telefonicznie, dzwoniąc do jego sekretarza. Specjalnie mówię: sekretarza, ponieważ, co niezwykle rzadkie w firmie, chodziło o mężczyznę, młodego, bardzo dystyngowanego Anglika o imieniu Andrew. Obsadzenie go na tym stanowisku zaskoczyło wszystkich. Prezes ewidentnie należał do typu macho, łatwo więc go sobie wyobrazić, jak zatrudnia nimfetkę w spódniczce mini i wydekoltowanej bluzce, podporządkowaną jego rozkazom, dziewczynę dość doświadczoną, żeby mu dobrze służyć, a jednocześnie dość głupią, żeby dawała mu poczucie wyższości dominującego samca.

Wybór Andrew też bez wątplenia nie był przypadkiem. Podejrzewałem, że Marc miał ukryty kompleks prowincji, spowodowany jego wiejskim pochodzeniem. Angielski sekretarz, który jeździł za nim wszędzie, rekompensował braki w image'u Dunkera swoją elegancją, uprzejmością i dystynkcją. Wisienką na torcie był staranny język i wymowa nacechowana silnym brytyjskim akcentem - klasa prawdziwego poddanego Jej Wysokości, który samą swoją obecnością nobilitował szefa. Jego drobne pomyłki gramatyczne w języku francuskim dodawały mu tylko wdzięku.

Tamtego ranka celowo przyszedłem pięć minut spóźniony, żeby pokazać Dunkerowi, iż nie byłem mu ślepo poddany. Powitał mnie Andrew.

- Będę musiał - powiedział ze swoim charakterystycznym akcentem - poprosić pana o chwilę cierpliwości. Pan Dunker jeszcze nie jest gotów, żeby pana przyjąć.

Normalne. Odpowiedział na moje spóźnienie jeszcze większym spóźnieniem. We Francji czas to narzędzie władzy.

Andrew poprosił, żebym usiadł na kanapie z czerwonej skóry, która mocno kontrastowała z idealnie białymi ścianami. W dość obszernym pokoju wydzielono kącik, w którym czekali goście. Po drugiej stronie stało biurko młodego Anglika pokryte skórą tego samego koloru co kanapa. Wszystko było w idealnym porządku. Nawet jedna kartka papieru

nie leżała w nieładzie.

- Życzy pan sobie kawy?

- Nie dziękuję... Hmm, albo tak, poproszę...

Sekretarz przytaknął w milczeniu i poszedł w kąt pokoju w stronę ekspresu na kapsułki, ostatniego krzyku mody, w nieskazitelnie czystym kolorze inox. Maszyna szumiała przez chwilę, a kawa płynęła do filiżanki. Jedna kropelka prysnęła na lśniący metal. Andrew natychmiast chwycił serwetkę i starł zbuntowaną kroplę równie szybko, jak jaszczurka łapie komara, błyskawicznie wysuwając język. Metaliczna powierzchnia odzyskała idealny wygląd sprzed kilku sekund.

Filiżanka z niezwykłą precyzją została postawiona na niskim stoliku przede mną. Była jaskrawoczerwona, a jej design pretensjonalny, wcale niezachwycający.

- Proszę - powiedział, cofając się.

- Dziękuję.

Andrew wrócił do swojego biurka i zatopił się w lekturze aplikacji. Siedział w fotelu prosto, głowę trzymał wysoko, opuszczając jedynie oczy na dokumenty, które czytał. Jego powieki wydawały się półprzymknięte. Od czasu do czasu brał do ręki pióro oprawne w czarną lakę, żeby zanotować coś na marginesie, potem je odkładał dokładnie na to samo miejsce, prostopadle do brzegu biurka.

Po kilku dłużących się minutach drzwi, które oddzielały nas od biura Dunkera, otworzyły się gwałtownie, jakby zostały popchnięte przez agenta RAID. Prezes znalazł się na środku pokoju.

- Kto przygotował ten raport?! - krzyczał oskarżyciel-skim tonem.

- Alice, panie prezesie - odpowiedział Andrew bez mrugnienia.

Wtargnięcie szefa nie wywołało na jego niewzruszonej twarzy najmniejszego grymasu. James Bond, któremu nawet Pasemko włosów nie drgnie, gdy wszystko wokół wybucha.

- Ależ to niemożliwe! Robi błędy większe niż jej tyłek! Proszę jej powiedzieć, żeby wszystko czytała, zanim przekaże mi podobną szmatę!

Rzucił dokument, a kartki rozsypały się na biurku sekretarza. Ten pozbiierał je w jednej chwili, przywracając niewzruszony porządek.

Przelknąłem ślinę.

Dunker odwrócił się w moją stronę i wyciągnął dłoń, w jednej chwili spokojny i uśmiechnięty.

- Dzień dobry, Alan.

Poszedłem za nim do jego świątyni. Rozległa przestrzeń, pośrodku której królowało trójkątnie biurko. Róg był skierowany w stronę gościa. Usiadł i wskazał mi fotel naprzeciwko siebie. Wyszukana forma, ale bardzo niewygodny.

Okno było otwarte, a mimo to hałasy z ulicy zdawały się odległe, jakby nie wolno im było docierać do ostatniego piętra budynku. Z góry widać było dachy, ostro zakończony obelisk na placu Zgody, a w oddali wierzchołek Łuku Triumfalnego. Czuło się lekki powiew powietrza, dość rześkiego, ale kompletnie pozbawionego zapachu. Martwego.

- Piękny widok, prawda? - powiedział, zauważywszy, że kieruję wzrok na zewnątrz.

- Tak, piękny. Ale szkoda, że na alei de POpera nie ma drzew - powiedziałem, żeby przełamać lody. - Ładnie by pachniało, gdyby na zewnątrz była odrobina zieleni.

- To jedyna aleja w Paryżu, na której nie ma drzew. Wie pan, dlaczego?

- Nie.

- Kiedy Haussmann budował ją na życzenie Napoleona III, ustąpił naciskom architekta, który chciał, żeby nic nie zakłócało możliwości podziwiania jego dzieła aż od ogrodów Tuile-ries. Cała perspektywa musiała być widoczna.

Do pokoju wpadła mucha i przeleciała koło nas.

- Chciał się pan ze mną zobaczyć - odezwał się Dunker.

- Tak, dziękuję za przyjęcie.

- Proszę. Co mogę dla pana zrobić?

- Chciałbym podzielić się z panem uwagami na temat tego, co można poprawić w firmie.

Niemal niedostrzegalnie zmarszczył brwi.

- Poprawić?

Moja strategia, służąca przekonaniu go, polegała na wejściu w jego świat i dostosowaniu się do jego systemu wartości. Wydajność i opłacalność - tylko te słowa miał na ustach. Wszystkie jego decyzje służyły jedynie tym wartościom. Chciałem mu udowodnić, że moje propozycje posłużą jego celom.

- Tak, dla dobra wszystkich i w celu podniesienia wydajności firmy - wyjaśniłem.

- Te dwie kwestie rzadko idą w parze - powiedział z lekkim rozbawieniem.

Zaczynał ostro.

- Tyle że pracownik, który dobrze się czuje w pracy, pracuje lepiej...

Mucha usiadła na jego biurku. Odgonił ją wierzchem dłoni.

- Jeśli nie czuje się pan u nas dobrze, Alan...

- Tego nie powiedziałem.

- Niech się pan nie denerwuje.

- Nie denerwuję się - odrzekłem, zmuszając się do spokoju, podczas gdy miałem ochotę wyrzucić go przez okno.

A jeśli specjalnie opacznie interpretował moje słowa, żeby mnie wytrącić z równowagi?

Przestań odpowiadać. Torturuj go pytaniami. Pytaniami - przywoływałem zalecenia Dubreuila.

- Jaki miałby być związek między moją opinią, że pracownik, który czuje się dobrze, lepiej pracuje, a pańską hipotezą, że ja nie czuję się tu dobrze?

Trzy sekundy ciszy.

- To mi się wydaje jasne, czyż nie?

- Nie. Co pan chce przez to powiedzieć? - pytałem, zmuszając się do mówienia łagodnym tonem.

- Hmm... złe wyniki nie powinny być tłumaczone zewnętrznymi okolicznościami.

- A jednak moje... - Nie usprawiedliwiać się. Pytać. Spokojnie. - Kto ma złe wyniki? - pytałem dalej.

Grymas zdenerwowania pojawił się na jego twarzy. Mucha usiadła mu na długopisie. Po raz kolejny ją odgonił. Potem zmienił temat.

- Proszę mi powiedzieć, jakie ma pan pomysły na ulepszenia w naszej firmie.

Odniosłem pierwsze zwycięstwo.

- Cóż, po pierwsze, myślę, że powinno się zatrudnić jeszcze jedną asystentkę naszego działu, żeby odciążyć Vanessę. Jest przeciążona i można odczuć, że jest nadmiernie zestresowana. Nowa osoba mogłaby od razu wpisywać nasze raporty do komputera. Obliczyłem, że my, konsultanci, spędzamy około dwudziestu procent czasu na przepisywaniu sprawozdań ze spotkań. Biorąc pod uwagę nasze średnie wynagrodzenie za godzinę, to się firmie nie opłaca. Gdybyśmy mieli jeszcze jedną asystentkę, to ona przepisywałaby i redagowała nasze raporty. Wykorzystywalibyśmy zaoszczędzony czas na to, co tylko my możemy zrobić.

- Nie. Każdy konsultant musi sam przepisywać swoje raporty. Takie są zasady.

- To właśnie tę regułę chciałbym podważyć...

- Kiedy jest się dobrze zorganizowanym, to nie zabiera aż tak dużo czasu.

- Ale to logiczne, że taka praca powinna być wykonywana przez kogoś, kto ma niższe wynagrodzenie. Lepiej byłoby, gdyby konsultant wykorzystywał swój czas na działania bardziej opłacalne dla firmy.

- Otóż to, rekrutacja dodatkowej osoby w dziale sprawiłaby, że wasza praca stałaby się mniej opłacalna.

- Wręcz przeciwnie, ja... - Przestań argumentować... Zadawaj pytania. - W jaki sposób zatrudnienie nowego pracownika zmniejszyłoby opłacalność?

- To zwiększyłoby sumę wydatków na wynagrodzenia w dziale, rzecz jasna.

- Ale skoro konsultanci mieliby czas na zajmowanie się ofertami klientów, obrót by wzrósł. W efekcie zyskalibyśmy...

- Nie sądzę, że to zwiększyłoby obroty.

- A dlaczego pan tak uważa?

- Wszyscy wiedzą, że im mniej ma się pracy, tym mniej się jej wykonuje.

Zadawaj pytania. Łagodnie.

- Wszyscy? Czyli kto?

Przez kilka sekund szukał słów, poruszając oczami w lewo i w prawo.

- W każdym razie ja to wiem.

- A skąd pan to wie?

Mucha usiadła mu na nosie. Odgonił ją gwałtownym gestem, wyrażającym poważne zdenerwowanie.

- Zawsze się tak dzieje!

- Ach tak... Ma pan już takie doświadczenia?

- Tak... w sumie... nie, ale wiem dobrze, jak to jest.

Aby nie mógł zarzucić mi jakiegokolwiek agresywności, zmusiłem się do zachowania postawy niezwykle łagodnej, udawałem niemal idiotę pierwszej wody.

- Skąd może pan to wiedzieć, jeśli... nie doświadczył pan tego?

Wydawało mi się, że dostrzegłem kilka kropel potu na jego czole, o ile to nie moja wyobraźnia... W każdym razie nie znalazł właściwej odpowiedzi.

- Czy to znaczy, że gdyby pan miał mniej pracy, pozwolił, by pan sobie pracować coraz mniej? - naciskałem.

- Ja to co innego! - wybuchnął, zanim się opanował. - Proszę posłuchać, uważam, że staje się pan bardzo arogancki!

Wreszcie do tego doszliśmy. Dałem sobie czas na odpowiedź.

- Arogancki? - zapytałem, rozsiadając się w fotelu. - Przecież niedawno pokazał pan wszystkim, że brakuje mi pewności siebie.

Znieruchomiał. Chmura przysłoniła słońce i w jednej chwili biuro stało się bardziej ponure. Z oddali dochodziło wycie syreny przejeżdżającej ulicą karetki.

W końcu wziął oddech.

- Proszę posłuchać, Greenmor, wróćmy do naszych spraw. Jeśli chodzi o pańską propozycję reorganizacji... Niech najpierw dział osiągnie swoje założenia, a potem porozmawiamy o zatrudnieniu kolejnej asystentki!

- Tak, oczywiście, oczywiście - odpowiedziałem w głębokiej zadumie. - A jeśli to właśnie zatrudnienie asystentki pozwoliłoby nam osiągnąć założenia?

Zrobił pobłażliwą minę.

- Pan widzi sprawę, patrząc z drugiego końca lunety. Ja mam strategiczną wizję rozwoju przedsiębiorstwa. I właśnie ta wizja nie pozwala mi powiększać liczby zatrudnionych. Nie dysponuje pan wszystkimi danymi, żeby oceniać. Nie rozumie pan...

- Rzeczywiście, trudno mi ogarnąć strategiczną wizję rozwoju firmy, ponieważ pracownicy jej nie znają. Ale, wie pan, ja jestem zwolennikiem zrównowazenia. I wydaje mi się, że aby się rozwijać, każda firma potrzebuje środków. Czy to nie jest nieodzowne?

- Zapomina pan o jednym, o sprawie najważniejszej. Nasze przedsiębiorstwo jest teraz notowane na giełdzie. Rynek ma nas na oku. Nie możemy robić byle czego.

- Zatrudnianie, żeby mieć środki do rozwoju, to byle co?

Mucha przeleciała obok nas. Dunker chwycił szklankę stojącą na biurku, wylał zawartość do doniczki z zieloną rośliną i przytrzymał szklankę w ręce.

- Rynek przewiduje zmiany na podstawie obecnych wyników. Inwestorzy nie będą czekali, żeby się przekonać, iż dodatkowa rekrutacja przyniesie pozytywny efekt długofalowy. Jeśli będziemy mieli więcej pracowników, akcje spadną. To dzieje się automatycznie. Jesteśmy obserwowani pod lupą. On czuwa - dodał na koniec swego wywodu, wskazując rozkładówkę gazety.

Było tam zdjęcie Fishermana, wroga Dunkera, a artykuł dotyczył naszych akcji: „Mają pewien potencjał, ale muszą się wysilić”.

Mucha usiadła na biurku. Gestem równie szybkim, co zręcznym, prezes odwrócił szklankę i uwięził ją. Sadystyczny uśmiech przemknął po jego twarzy.

- Mam wrażenie - odpowiedziałem - że naprawdę jesteśmy niewolnikami kursu akcji... Ostatecznie jednak, jeśli nabierzemy trochę dystansu, co to dla nas oznacza, że akcje na chwilę wzrosną lub spadną? To chyba dla nas obojętne, czyż nie?

- Mówi pan tak, bo ich pan nie ma!

- To co się liczy, nawet dla pana, który je posiada, to przecież wzrost ostateczny. Jeśli przedsiębiorstwo się rozwija, kurs akcji wzrośnie prędzej czy później.

- Tak, ale nie możemy sobie pozwolić na spadek kursu akcji, nawet na krótko.

- Dlaczego?

- Z powodu ryzyka przetargów. Powinien pan to wiedzieć, skończył pan studia ekonomiczne, prawda? Jedynie wysoki kurs chroni nas przed próbą przejęcia przez inną firmę.

Dopóki kurs jest wysoki, dopóty nie będzie nikogo stać na wykupienie akcji pozwalających na przejęcie kontroli nad nami. To dlatego tak ważne jest, żeby kurs na giełdzie stale rósł, i to szybciej niż u konkurencji.

- Jeśli jest takie ryzyko, po co wchodzić na giełdę?

- Po to, żeby szybko się rozwijać. Jak pan wie, kiedy firma wchodzi na giełdę, gromadzi pieniądze tych, którzy chcą być akcjonariuszami. Dzięki temu finansuje się projekty.

- Tak, ale jeśli potem nie można przez to podejmować zdrowych decyzji umożliwiających jej rozwój, bo trzeba utrzymywać wzrost kursu akcji, uzyskuje się coś odwrotnego do tego, na czym nam zależy.

- To tylko przeciwności, z którymi trzeba się uporać.

- Ale przestajemy być wolni! Fausteri mówił, że nie możemy otworzyć biura w Brukseli w tym roku, ponieważ zyski z roku poprzedniego zostały oddane akcjonariuszom w dywidendach, a nie chcemy obcinać zysków przyszłorocznych.

- Tak, ale to co innego. To bez związku z kursem akcji. To tylko wymagania naszych akcjonariuszy.

- Dlaczego? Jeśli w tym roku wydamy na rozwój, możemy obejść się bez zysków, ale będziemy je mieli w przyszłym roku, prawda?

- Mamy dwie ważne grupy akcjonariuszy, którzy wymagają od nas dwunastu procent zysku każdego roku, wypłacania im dywidend. To normalne, dywidendy to wynagrodzenie akcjonariuszy. To zwrot inwestycji w przedsiębiorstwo.

- Jeśli takie wymagania szkodzą rozwojowi firmy, mogą przecież poczekać rok lub dwa.

- Nie, nasze trudności ich nie obchodzą. Zainwestowali w naszą firmę, niekoniecznie w długofalowej perspektywie. Chcą szybkiego zwrotu inwestycji i mają do tego prawo.

- Zmusza nas to jednak po raz kolejny do podejmowania szkodliwych decyzji...

- Tak już jest. Nie mamy wyboru. Prawdziwymi szefami są akcjonariusze.

- Jeśli ich celem jest jedynie zysk w krótkim czasie, mają pewnie zamiar szybko odsprzedać akcje, a więc los firmy ich nie obchodzi.

- To część gry.

- Gry? Ależ to nie gra, to rzeczywistość! Tu pracują prawdziwi ludzie! Ich życie i życie ich rodzin zależy częściowo od dobrej sytuacji tego przedsiębiorstwa. Nazywa pan to grą?

- Co mam panu odpowiedzieć?

- Podsumowując, jesteśmy zatem niewolnikami nie tylko kursu akcji, ale też absurdalnych wymagań akcjonariuszy, którzy są nimi tylko przez chwilę. Nie ma pan wrażenia, że stoimy na głowie? Zdecydowanie nie rozumiem, po co weszliśmy na giełdę. W każdym razie mógł się pan rozwijać bez niej, inwestując zyski z poprzedniego roku.

- Tak, ale nie tak szybko.

Szybko, szybko... Byłem bezradny, nie rozumiejąc tej obsesji szybkości. Dlaczego zawsze trzeba działać szybko? Do czego to prowadzi? Ludzie, którzy się spieszą, już są martwi.

- Jeśli się nad tym zastanowimy, czemu służy szybki rozwój?

- Trzeba szybko znaleźć się w pozycji dominującej, zanim konkurencja wzmocni się na stałe.

- A co w przeciwnym razie?

- W przeciwnym razie trudno będzie im odebrać część rynku, czyli zwiększać nasz obrót.

- Ależ owszem, będzie to możliwe. Dzięki wolniejszemu, ale zdrowemu rozwojowi polepszymy jakość naszych usług, naszą ofertę i znajdziemy nowych klientów.

Cisza. Czy Dunker brał to w ogóle pod uwagę?

- Byłoby wolniej.

- I w czym problem? Nie rozumiem, dlaczego nie możemy działać w swoim tempie, wykonując solidną robotę.

Wzniósł oczy do nieba.

- A propos czasu, właśnie zabiera mi pan mój... Oprócz filozofowania mam inne zajęcia.

Zaczął porządkować stosy aplikacji na swoim biurku, nie patrząc już na mnie.

- Mam wrażenie - powiedziałem, dobierając słowa - że to zawsze korzystne... nabrać trochę dystansu i zastanowić się nad... sensem naszych działań.

- Sensem?

- Tak, dlatego działamy, a to przynosi...

Mucha szamotała się pod szklanym kloszem.

- Nie trzeba szukać sensu tam, gdzie go nie ma. Wierzy pan, że życie ma sens? Tylko

silniejsi i sprytniejsi dają sobie radę, to wszystko. Dla nich władza i pieniądze. A kiedy ma się władzę i pieniądze, można mieć wszystko, czego się w życiu zapragnie. To proste, panie Greenmor. Reszta to intelektualna masturbacja.

Patrzyłem na niego w zamyśleniu. Jak można choć przez sekundę pomyśleć, że wystarczy być bogatym i mieć władzę, żeby wieść udane życie? Kto może się oszukiwać do tego stopnia tylko dlatego, że jeździ porchem?

- Mój biedny Alanie - mówił dalej - prawdopodobnie nigdy się pan nie dowie, jak dobrze jest mieć władzę!

Rzeczywiście, wobec takich założeń czułem się ufolud-kiem... Zaczynało mnie to wręcz ciekawić. A przecież Dubreuil zachęcał mnie do wchodzenia w skórę osób zupełnie różnych ode mnie, żeby zrozumieć, co czują.

- Kiedy pan robi to wszystko... czuje się pan... silny?

- Tak.

- A gdyby się pan tym nie zajmował... czułby się pan...

Dunker się zaczerwienił. Nagle miałem ochotę wybuchnąć śmiechem, a przecież nie zrobiłem tego celowo. Teraz przed oczami wyobraźni przesuwiał mi się film o biznesmenie, który działał na polu zawodowym, żeby zrekompensować swoje problemy seksualne.

„W każdym razie - powiedział - jeśli chodzi o asystentkę, odmawiam. Ma pan inne postulaty?

Przedstawiłem mu inne pomysły, ale na żaden się nie zgodził. Nie byłem tym zaskoczony teraz, kiedy zrozumiałem sposób jego funkcjonowania i zasady, jak to nazwał, gry-

Miałem jednak ostatnią prośbę, tym razem o wyjaśnienie czegoś.

- Zauważyłem, że nasza firma zamieszcza zdecydowanie więcej ogłoszeń w prasie.

- Tak, rzeczywiście - powiedział, widocznie z siebie zadowolony.

- Przecież nie dostaję obecnie więcej zadań... Jak to się dzieje?

- Proszę się nie niepokoić, to normalne.

- Jak to normalne?

- Proszę mi zaufać. Gwarantuję, że nie jest pan mniej ceniony od swoich kolegów. Zadania są rozdzielane po równo. Na tym musimy zakończyć, mam pracę. - Do słów dołączył gest, biorąc z biurka segregator.

Nie ruszyłem się.

- Jak to się w takim razie dzieje, że nie mam więcej zadań? - nie ustępowałem. - To nielogiczne.

- Alan, chce pan zawsze wszystko rozumieć. Musi pan sobie uświadomić, że w firmie tak dużej jak nasza zapadają decyzje, których się nie rozgłasza wszem i wobec. Obecnie, mimo że publikujemy ogłoszenia, nie mamy stanowisk...

- Chce pan powiedzieć, że publikujemy... fałszywe ogłoszenia? Fałszywe oferty pracy?

- Fałszywe, fałszywe, od razu wielkie słowa!

- Ale po co?

- Zdecydowanie brakuje panu wizji strategicznej, panie Greenmor. Od godziny panu tłumaczę, co jest dla nas najważniejsze, aby kurs akcji wzrastał z dnia na dzień. Powinien pan wiedzieć, że rynek reaguje nie tylko na obiektywne wyniki! Jest w tym też element psychologiczny, proszę sobie wyobrazić. To, że inwestorzy widzą oferty Dunker Consulting, podnosi ich dobre samopoczucie.

Nie mogłem w to uwierzyć.

- Ależ to nieuczciwe!

- Trzeba wybijać się z tłumu.

- Publikuje pan fałszywe oferty tylko po to, żeby poprawić wizerunek firmy i sprawić, aby kurs akcji wzrósł? A kandydaci?

- Dla nich to bez znaczenia!

Poświęcają czas, żeby wysłać swoje CV, napisać list motywacyjny...

Westchnął zamiast odpowiedzi.

- Nie mówiąc już o tym - kontynuowałem - że im więcej wysyłają zgłoszeń, które nie przynoszą rezultatów, tym bardziej spada ich motywacja i wiara w siebie!

Wzniósł oczy do nieba.

- Alan, czy myślał pan już o pracy w towarzystwie bezrobotnych?

Przez chwilę się nie odzywałem, oszołomiony tym, co usłyszałem. Trudno mi było zrozumieć, że można do tego stopnia nie przejmować się losem innych, nawet jeśli są nieznajomymi.

W końcu wstałem, aby wyjść. Tak czy inaczej niczego nie osiągnę. Nie ma sensu dłużej argumentować. Jego decyzje są oparte na pokrętnej logice, która nie pozostawia miejsca na pomysły mające na celu poprawienie stanu rzeczy.

Zrobiłem dwa kroki i zatrzymałem się. Było dla mnie niepojęte, że można zadowalać się wizją egzystencji tak pozbawionej celu, jak mi to parę minut temu opisał. Musiałem się tego dowiedzieć.

Miał gniewną minę, ale nie podniósł oczu znad segregatora, w którym coś przeglądał.

- Panie Dunker, czy to wszystko... czyni z pana... człowieka szczęśliwego?

Zrobił zabawną minę, ale nie odpowiedział, wpatrując się w swoje dokumenty. Mój czas nieodwołalnie minął. Być może pierwszy raz w życiu zadawano mu takie pytania. Popatrzyłem na niego z zaciekawieniem i może odrobiną litości, a potem skierowałem się do wyjścia, przemierzając pokój w ciszy. Gruba wykładzina tłumiała odgłos moich kroków. Kiedy doszedłem do drzwi, odwróciłem się, żeby je za sobą zamknąć. Wpatrywał się nadal w swój segregator i niewątpliwie już o mnie zapomniał. Jego spojrzenie wydawało mi się nieruchome, być może zatonął w swoich myślach. Potem jego dłoń powoli zbliżyła się do szklanki i podniosła ją.

Mucha natychmiast się poderwała i wyleciała przez okno.

23

Tego samego wieczoru wsiadłem do autobusu, żeby udać się do pałacyku Dubreuila. Owładnęły mną sprzeczne uczucia. Z jednej strony miałem wyraźną ochotę, żeby odkryć w końcu zawartość notesu - byłem pewien, że dzięki niemu dowiem się więcej na temat motywacji mojego mentora - z drugiej strony czułem strach przed wejściem nocą do miejsca, które już za dnia robi ogromne wrażenie, obawę, że zostanę przyłapany na gorącym uczynku.

W autobusie było dużo ludzi mimo późnej pory. Mała staruszka siedziała obok mnie, a naprzeciwko wąsaty facet.

Oparłem na nogach plastikową siatkę z ogromnym udźcem baranim, kupionym w sklepie mięsnym na rogu. Po kilkunastu minutach ciepłe powietrze wewnątrz pojazdu przesiąkło odorem surowego mięsa. Na początku był to lekki smrodek, który szybko się wzmocnił i w końcu stał się odrażający. Mała staruszka zaczęła zerkać na mnie ukradkiem, potem odwróciła się ostentacyjnie. Wąsacz świdrował mnie pustym wzrokiem, z którego mimo wszystko można było wyczytać odrazę. Już miałem wstać, żeby się przesiąść, kiedy zaśmiałem się w duchu - ten udziec to mój „Closer”. Nie mogłem przejmować się spojrzeniami innych. Ostatecznie życie jest bajeczne, w każdej chwili dostarcza nam okazji, żeby się rozwijać.

Zostałem więc na swoim miejscu, próbując się rozluźnić i przegonić poczucie wstydu, które we mnie zakiełkowało. Przecież nie ma zakazu podróżowania z udźcem.

Byłem bardzo dumny z mojej decyzji. Przypomniałem sobie tym samym o obowiązku pomyślenia o trzech rzeczach, z których jestem zadowolony. Co mogłem dorzucić dzisiaj? Spotkanie z Dunkerem, rzecz jasna! Oczywiście niczego nie uzyskałem, ale mimo wszystko

miałem odwagę, żeby się z nim skonfrontować, udało mi się też nie usprawiedliwiać w obliczu jego ataków. Miałem nawet poczucie, że taktyka pytań zasugerowana przez Dubreuila sprawiła mu trochę kłopotu. Miałem z czego być dumny.

Wąsacz gapił się teraz na moją plastikową siatkę podejrzliwym wzrokiem, bez wątpienia próbując odgadnąć, co jest w środku. Być może myślał, że wiozłem przez Paryż poćwiartowanego trupa.

Wysiadłem przystanek wcześniej, żeby ostatnie sto metrów przejść na piechotę. Autobus odjechał z hałasem i dzielnica odzyskała spokój. Powietrze było ciepłe, drzewa delikatnie pachniały; zadawało się, że czekają, aż zapadnie noc, żeby w pełni uwolnić swoją subtelną woń. Szedłem, koncentrując się na czekającej mnie misji, powtarzając w myślach przebieg działań minuta po minucie.

Dwudziesta pierwsza trzydzieści osiem. Moja pierwsza akcja zacznie się za dwadzieścia dwie minuty. Ubrałem się w ciemny dres, żeby mieć swobodę ruchu i przemknąć się niezauważony.

W miarę jak się zbliżałem, rosła we mnie obawa i wątpliwości. Czy postępowałem słusznie, za wszelką cenę chcąc przeczytać to, co zapisano w notesie? Czy nie szedłem na pewną śmierć? Czy to nie czyste szaleństwo porywać się na taki czyn? Jeszcze bardziej przerażało mnie jednak, że Dubreuil coś przede mną ukrywał. Byłem o tym przekonany. W przeciwnym razie po co miałyby robić tajemnice, kiedy zazwyczaj jest tak szczerzy i prostolinijny? Dlaczego nie odpowiada na moje pytania? Musiałem się dowiedzieć. Potrzebowałem tego, żeby odzyskać spokój ducha. Było to również konieczne dla mojego bezpieczeństwa.

Doszedłem na miejsce o dwudziestej pierwszej czterdzieści siedem. Trzydzieści minut przed kluczową chwilą. Zająłem miejsce na ławce po przeciwnej stronie alei, kładąc obok siatkę z mięsem. Dzielnica wydawała się wyludniona. W środku lata większość mieszkańców była pewnie na wakacjach. Zmusiłem się, żeby oddychać głęboko, rozluźnić się.

Fasada pałacyku była ciemna. Blade światło rzucane przez najbliższą latarnię nadawało mu przygnębiający wygląd. Nawiedzony dom. Jedynie okna dużego salonu z boku budynku były rozświetlone.

O dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt dwie wstałem. Ze ściśniętym żołądkiem przechodziłem przez ulicę na ukos, zupełnie się nie spiesząc. Musiałem teraz znaleźć się w pobliżu bramy, ale udawać, że nie stoję na czatach, na wypadek gdyby jakiś mieszkaniec tej ulicy mnie obserwował.

Dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt osiem. Już za chwilę. p0 przejściu całej długości

ogrodzenia zatrzymałem się, udając że wiążę sznurówki, potem się odwróciłem. Dwudziesta druga. Nic. Zaczynałem odliczać sekundy, kiedy wreszcie usłyszałem brzęczyk furtki. Serce zaczęło mi bić szybciej. Przyspieszałem kroku, rozglądając się dookoła, by się upewnić, że jestem sam. Za niecałe dziesięć sekund byłem już przy czarnej furtce. Pospiesznie wyciągnąłem z kieszeni małą kostkę, którą wyszperałem wczoraj w sklepie metalowym. Nadstawiłem uszu. Nikt nie nadchodził. Popchnąłem furtkę, otworzyła się. Kucnąłem i położyłem przedmiot na zatrasku. Puściłem skrzydło furtki i ze struchlałym sercem patrzyłem, jak powoli się zamyka. Uderzyło w moją kostkę. Metal zadźwięczał, ale był to dźwięk podobny do zwykłego odgłosu zamykanej furtki. Popchnąłem ją jeszcze raz i ku mojej wielkiej uldze otworzyła się. Kostka zabezpieczyła szczelinę, w którą zwykle wpadała zapadka. Zostawiłem furtkę i oddaliłem się o kilka kroków, potem przeszedłem znów na drugą stronę alei. Nie doszedłem jeszcze do mojej ławki, kiedy usłyszałem głosy przed drzwiami do pałacyku. Pracownicy opuszczali dom. Po chwili wyszli na ulicę i zdawali się niczego nie zauważyć. Idealnie. Rozstali się dość prędko, a jeden z nich jak zwykle skierował się w stronę przystanku autobusowego. Dwudziesta druga sześć. Jak dotąd wszystko szło bez zarzutu. Autobus powinien przyjechać za cztery minuty.

Jakaś kobieta z małym psem na smyczy pojawiła się na chodniku po drugiej stronie. Z daleka obserwowałem rozżarzony koniec jej papierosa, który kreślił zawijasy w półmroku. Za nią, ciężko oddychając, włókł się pekińczyk. Zatrzymywał się co pół metra, żeby coś obwąchać. Jego długa płowa sierść zamiatała chodnik. Kobieta zaciągała się papierosem i czekała, aż pies skończy się delektować kolejnym zapachem.

Dwudziesta druga dziewięć. Autobus mógł nadjechać w każdej chwili, ale spacerowiczka przeszkadzała mi w wejściu na teren posiadłości. Nie mam szczęścia... Jedna z niewielu mieszkanek dzielnicy musiała się przechadzać właśnie tam, gdzie chciałem być sam.

Szła właśnie wzdłuż ogrodzenia pałacyku. Od czasu do czasu wydawało się, że się niecierpliwi, kiedy pies obwąchuje ten czy inny fragment chodnika, gdyż lekko pociągała za smycz. Z daleka miało się wrażenie, że ciągnie mopa. Pekińczyk nie chciał być posłuszny swojej pani, zapierał się, opuszczając głowę i nieruchomiejąc. Właścicielka poddawała się i podnosiła do ust papierosa.

Dwudziesta druga jedenaście. Autobus się spóźnił. Lokaj nadal czekał. Ja także. Nawet jeśli autobus przyjedzie w tej chwili, starsza pani będzie potrzebowała przynajmniej pięciu minut, żeby się oddalić. Zostanie mi za mało czasu. Będę musiał przełożyć akcję.

Właśnie myślałem o tym, że mój udziec do jutra całkiem się zaśmiardnie, kiedy usłyszałem hałas silnika. W chwili gdy autobus zatrzymał się na przystanku, stał się cud.

Kobieta wzięła psa na ręce i pobiegła w jego stronę. Głowa pekińczyka podskakiwała bezwolnie jak głowy plastikowych psów, które ludzie stawiają czasem na tylnej półce w samochodzie. Zdążyła, wsiadła. Drzwi się zamknęły i autobus natychmiast odjechał.

Nie mogłem w to uwierzyć... Nagle miałem wybór, ale zdecydowałem się od razu. Była dwudziesta druga trzynaście. Za trzynaście minut Dubreuil uwolni swojego brytana. Nie pozostało mi wiele czasu. Do dzieła!

Wstałem i jednym susem pokonałem aleję. Zatrzymałem się na moment przed furtką, mobilizując wszystkie moje zmysły, po czym popchnąłem ją. Otworzyła się zgodnie z planem. Wślizgnąłem się do środka. Stalin od razu się poderwał i rzucił w moim kierunku, szczekając. Zatrzymałem się w miejscu, do którego rozciąga się łańcuch, i włożyłem rękę do plastikowej siatki. Moje palce ślizgały się po zimnym, gładkim mięsie, kiedy próbowałem je uchwycić. Udało mi się wreszcie złapać dużą kość i szybkim ruchem wyjąłem udziec z siatki. Wymachiwałem nim jak wielką pałką. Kucnąłem, żeby uspokoić psa, i wyciągnąłem rękę przed siebie. Stalin natychmiast przestał szczekać. Jego zęby wbiły się w surowe mięso. Pochwaliłem go dwoma lub trzema cichymi słowami. Wiedziałem, że przyjmie prezent, któremu nie sposób było się oprzeć. Znał mnie już wystarczająco. Nawet psy są przekupne. Zmiałem szybko torbę, żeby schować ją do kieszeni, potem wytarłem wilgotną dłoń o spodnie.

Nie mogłem iść wzdłuż domu, ponieważ ryzykowałbym, że zostanę zauważony z oświetlonych okien. Zakradłem się więc za krzaki okalające ogród i pomaszerowałem dookoła.

Kiedy obszedłem pałacyk, z trudem łapiąc oddech, spotkała mnie przykra niespodzianka. Wszystkie okna na pierwszym piętrze pozostawały zamknięte, mimo że wieczór był ciepły, a w środku bez wątpienia musiało być gorąco. Jedyne kilka okien na parterze było otwartych, w tym okna korytarza. To o wiele bardziej ryzykowne... Dwudziesta druga dziewiętnaście. Miałem jedenaście minut. Jeszcze mogłem wygrać.

Wynurzyłem się z zarośli i przebiegłem przez ogród z walącym sercem. Zbliżając się do domu, usłyszałem muzykę... Dubreuil słuchał koncertu fortepianowego. Pierwsza sonata Rachmaninowa. Nastawił bardzo głośno. Szczęście mi sprzyjało.

Wziąłem kilka wdechów i ze ściśniętym żołądkiem wślizgnąłem się do środka.

W powietrzu unosił się upajający zapach damskich perfum... diabelsko pociągający. Pan domu nie był zatem sam tego wieczoru.

Dźwięki fortepianu rozlegały się w wielkim marmurowym korytarzu, gdzie właśnie się znalazłem. Monumentalny żyrandol był wyłączony, ale kryształki odbijały światło

wpadające z wnętrza domu. Drzwi prowadzące do salonu musiały być częściowo otwarte, gdyż snop żółtego światła tworzył na marmurowej podłodze jasny prostokąt, jak projektor kinowy oświetlający jedynie ekran.

Istniało duże ryzyko, że zostanę zauważony, kiedy będę przemierzał korytarz, żeby dojść do schodów. Czy powinienem się wycofać, będąc tak blisko celu? Zadałem sobie tyle trudu...

W tym momencie stała się rzecz zadziwiająca - zabrzmiała fałszywa nuta, a po niej usłyszałem przekleństwo w obcym języku. Głos Dubreuila. Po dwóch sekundach muzyka znowu popłynęła. To nie płyta, to on grał! Nadspodziewane.

Zapach...

Pozostawała jeszcze jego towarzyska, która mogła mnie zauważyć... A jednak, skoro grał dla kobiety, było duże prawdopodobieństwo, że ona na niego patrzy. Jedyna słuchaczka patrzy zapewne na pianistę.

Trzeba było zaryzykować...

Tak też zrobiłem, nie zastanawiając się, lecz słuchając instynktu i być może pod wpływem tego zniewalającego zapachu, który budził we mnie chęć... zobaczenia, kto go roztaczał.

Przerażony, skradałem się w kierunku schodów, a każdy krok przybliżał mnie do niebezpiecznej i pociągającej wstęgi światła. Gwałtowna muzyka Rachmaninowa, głośna, wręcz hałaśliwa, zawładnęła przestrzenią i wdzierła się we mnie. Z każdym centymetrem powolnego posuwania się naprzód dostrzegałem coraz większą część salonu, a mój puls rósł w rytmie oszalałych akordów, wybijanych mocnymi dłońmi na klawiaturze.

Przestronny salon pod wysokim, ozdobionym stiukami sufitem był przytulny mimo swoich ogromnych rozmiarów. Wersalski parkiet przykrywały różnobarwne perskie dywany. Pod ścianami stały duże biblioteki pokryte patyną czasu, wypełnione starymi książkami oprawionymi w ciemną skórę.

Szedłem naprzód powoli. Jak dotąd nikt nie pojawiał się w polu mojego widzenia. Wszystko było jakby za duże: aksamitne czerwone sofy, kanapy, złożone rzeźbione konsole, wysokie barokowe lustra, imponujące płótna z wizerunkami przodków, których jasne twarze na ciemnych tłach wydawały się wyłaniać z mroków historii. Długi, czarny prostokątny stół, przy nim z każdej strony tapicerowane krzesła z misternie rzeźbionymi oparciami, których wysokość zdawała się sięgać dwóch metrów. Dwa duże kryształowe żyrandole były wyłączone, ale na każdej konsoli, na każdym stole czy gzymsie stały świeczniki z wielkimi świecami; ich tańczące płomienie rzucały światło na czarne powierzchnie stołu i... fortepianu.

Fortepian...

Dubreuil ubrany w ciemny garnitur siedział przy nim odwrócony do mnie plecami. Jego ręce tańczyły po całej klawiaturze, wykonując sonatę Siergieja Rachmaninowa. Przed nim, na ogromnej czarnej pokrywie instrumentu, leżała na boku blondynka, całkowicie... naga. Głowę lekko podparła na dłoni. Patrzyła na pianistę roztargnionym wzrokiem. Nie mogłem oderwać oczu od jej niewysłowionej wiotkości. Stałem, kontemplując jej piękno, delikatność, niezwykłą kobiecość.

Czas się zatrzymał. Potrzebowałem dłuższej chwili, by sobie uświadomić, że oczy tej kobiety odwróciły się... w moją stronę i że patrzyła na mnie w ciszy. Znalazłem się w sytuacji, w której byłem zarazem zaskoczony, przerażony, że mnie zauważono, a jednocześnie... zakłopotany, zafascynowany oczami, które uchwyciły mój wzrok i zastygły. Stałem nieruchomy, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek gestu.

Chociaż zrobiłem wszystko, żeby nie zostać zauważonym, ubrałem się na czarno, żeby wtopić się w ciemność nocy, miałem bardzo szczególne uczucie, że patrzono na mnie tak intensywnie jak nigdy dotąd. Ta kobieta miała wzrok sfinksa. Nie była ani trochę zażenowana swoją nagością w obecności nieznajomego, a jej pewność siebie była wręcz kłopotliwa. Patrzyła na mnie wzrokiem rzucającym wyzwanie.

Dałbym wszystko, co miałem, żeby poczuć zapach perfum na jej skórze... Kiedy palce Dubreuila pędziły po białych i czarnych klawiszach, zalewając pałacyk różnobarwnymi dźwiękami, miałem wrażenie, a potem pewność, że ona mnie nie zdradzi. Mimo że była całkowicie świadoma sytuacji, w jakiej uczestniczyła, zdawała się zarazem kompletnie oderwana od wszystkiego, co się działo.

Walcząc z samym sobą, w końcu zacząłem się wycofywać. Wolno, bardzo wolno, aż do momentu, kiedy kobieta odczuje swoje zwycięstwo i odwróci wzrok.

W ciszy pokonałem stopnie schodów, nadal niezwykle poruszony, z jej obrazem utrwalonym w myślach. Pomału dochodząc do siebie, rzuciłem okiem na zegarek. Dwudziesta druga dwadzieścia cztery! Stalin może zostać spuszczonej za sześć minut... Szybko!

Podążyłem korytarzem pogrążonym w półmroku, starając się poruszać jak najciszej. Zgaszone kandelabry rzucały na ściany ledwo widoczne cienie, rysując ciemne motywy na ta-piseriach.

Kolejna fałszywa nuta i kolejne przekleństwo, po którym muzyka popłynęła dalej. Szybko, biuro! Popchnąłem drzwi i wślizgnąłem się do środka z żołądkiem niemal w gardle.

Od razu zauważyłem notes leżący obok groźnego noża do papieru, którego ostrze

zwrócone było w stronę wchodzącego.

Przypadłem do zeszytu z walącym sercem. Jeszcze tylko cztery minuty. To czyste szaleństwo... Szybko!

Chwyciłem zeszyt i zbliżyłem się do okna, żeby dojrzeć cokolwiek w słabym świetle księżycy. Otworzyłem w środku, na chybił trafił. Skargi Rachmaninowa podążające za mną od parteru wznosiły mój stres. Notatnik był prowadzony jak pamiętnik, pisany ręcznie, a każdy nowy akapit zaczynał się od mocno podkreślonej daty. Przebiegałem oczami fragmenty to tu, to tam, sfrustrowany, że nie mogę przeczytać wszystkiego.

21 lipca - Alan zarzuca innym, że ograniczają jego wolność, a nie zdaje sobie sprawy, że to on się podporządkowuje. Postępuje tak, ponieważ uważa, że ma obowiązek odpowiadać oczekiwaniom innych, żeby go akceptowano. To ochotniczy więzień, który ma za złe swoim panom własną naturę więźnia.

Alan ma wątpliwości, jest zafiksowany na konieczność stosowania się do norm...

Każdy akapit był wypełniony komentarzami na mój temat, na temat mojej osobowości. Miałem wrażenie, że jestem zwierzęciem doświadczalnym obserwowanym pod lupą przez badacza.

Cofnąłem się o kilka kartek. Nagle moje serce zamarło.

16 lipca - Alan w pośpiechu opuścił taksówkę na środku ulicy, trzasnąwszy drzwiami. To znak, że prawdopodobnie wypełnił zadanie, którym było niezgadanie się z kierowcą.

A jednak mnie śledzono... Moje przeczucia były uzasadnione... Następną myśl sprawiła, że zadrzałem. Czy to możliwe, żeby wiedział, iż tu teraz jestem?

Przyspieszyłem i szybko przewracałem kartki, zbliżając się do początku. Nagle uświadomiłem sobie, że fortepian ucichł, pałacyk spowijała teraz przerażająca cisza.

Przerzuciłem dziesięć, może dwanaście stron, cofając się czasie. W pewnej chwili natrafiłem na tekst, który sprawił, że serce przestało mi bić, a krew zastygła.

pierwszy raz spotkałem Yves'a Dubreuila w dniu próby samobójczej na wieży Eiffla. Nie zapomniałem tej daty, ponieważ była bolesna, obciążona strachem i wstydem: dwudziesty siódmy czerwca.

Akapit, który miałem przed oczami, nosił natomiast datę jedenasty czerwca.

24

Nadal stałem przerażony z notesem w ręce, kiedy usłyszałem za sobą cichutkie skrzypnięcie. Odwróciłem się i ogarnięty paniką zobaczyłem, że klamka się poruszyła.

Serce mi stanęło. Odłożyłem zeszyt na biurko i wślizgnąłem się za grubą kotarę, obawiając się, że to i tak bez sensu, bo już wiedzieli o mojej obecności.

Materiał zasłony był luźno tkany, mogłem więc co nieco przez nią dostrzec. Bałem się jednak, że i ja mogę zostać zauważony.

Drzwi się uchyliły i do środka wsunęła się głowa młodej kobiety. Zamarłem. To, co zobaczyła, musiało być zgodne z jej oczekiwaniami, gdyż popchnęła drzwi i weszła do pokoju, całkiem naga, zanurzając lekko koślawe stopy w grubym dywanie.

Szła w moim kierunku. Wstrzymałem oddech, lecz zatrzymała się przed biurkiem. Zacząłem znowu oddychać, częściowo z ulgą, częściowo rozczarowany. Szukała czegoś w mroku, rozglądając się. Była bliżej niż metr ode mnie. Pochyliła się nad blatem, kołysząc powabnie piersiami, i wyciągnęła dłoń po notes. Dotarł do mnie jej zmysłowy zapach, sprawiając, że zapłonąłem pożądaniem. Wystarczyłoby wy. ciągnąć rękę, żeby dotknąć jej skóry, lub wychylić się, by ją pocałować.

Odłożyła notes i sięgnęła po prostokątne pudełko. Otworzyła je i wyjęła ogromne cygaro.

Pudełko zostawiła otwarte i ku mojemu wielkiemu żalowi odwróciła się w stronę drzwi. Jej palce delikatnie zaciskały się na cygarze, które niosła dla pana domu.

Odczekałem dwadzieścia sekund, zanim się poruszyłem. Dwudziesta druga dwadzieścia dziewięć. A jeśli Dubreuil skorzystał z nieobecności kobiety i poszedł uwolnić psa? Co robić? Spróbować szczęścia czy zostać tu na noc i wyjść rano, kiedy Stalin z powrotem zostanie przywiązany?

Z fortepianu znowu popłynęła muzyka. Poczułem ulgę. Szybko, nie tracić czasu. Wyjść przez okno. Otworzyłem je i wślizgnąłem się na zewnątrz. Powietrze wydało mi się chłodne w porównaniu z duchotą w gabinecie. Znajdowałem się na pierwszym piętrze, ale parter był tak wysoki, że gdy stanąłem na gzymsie, od ziemi dzieliła mnie odległość czterech metrów. Posunąłem się naprzód z rozłożonymi rękoma jak linoskoczek, próbując odpędzić myśl o niebezpieczeństwie. Musiałem dojść aż do narożnika. Udało się! Odwróciłem się i spuściłem po rynnie, a potem przemknąłem przez ogród. Kiedy doszedłem do psich bud, odetchnąłem z ulgą. Stalin ciągle był na łańcuchu, gryzł kość. Gdy zobaczył, że wyłaniam się z zarośli, podniósł się natychmiast, stawiając uszy. Przemówiłem do niego spokojnie po imieniu, próbując złagodzić jego agresję i nie dopuścić, żeby zaalarmował całą dzielnicę. Pies nie mógł się jednak powstrzymać od złowieszczonego warczenia, a jego obwisłe wargi odsłaniały groźne szczęki - W końcu usiadł przed kością, ale nie spuszczał mnie z oczu. Niewdzięcznik.

W pałacyku zapaliło się światło. Szybko! Rzuciłem się w kierunku furtki, pociągnąłem... zamknięta! Moja metalowa kostka leżała na ziemi. Kiedy wchodziłem, musiałem puścić skrzydło furtki nieuważnie, zajęty psem.

Byłem w pułapce. Jak szczur. To tylko kwestia sekund i zostanę złapany. Ogarnął mnie strach, gwałtowny i paralizujący, do którego dołączyła się złość spowodowana bezradnością. Sytuacja bez wyjścia! Cały ogród był opasany żelaznym ogrodzeniem wysokim na trzy metry, zakończonym szpikulcami... Żadnego drzewa, o które można by się oprzeć, żadnego murka, żadnego... Mój wzrok spoczął na Stalinie. Pies ruszył głową, mając szczęki zaciśnięte na kości. Jego zęby co jakiś czas błyskały w ciemności. Za nim stały w szeregu cztery duże budy, tuż... pod ogrodzeniem.

Przelknąłem ślinę.

Dubreuil mówił, że prześladowcy wybierają swe ofiary nieprzypadkowo. A... psy? Czy Stalin mnie zaatakuje, jeśli widząc go, nie będę przerażony? Jak zareaguje, jeśli będę idealnie spokojny, rozluźniony, wręcz pewny siebie?

To jedyne wyjście...

Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mi, że muszę spróbować. Metalowa kostka spadła pewnie przypadkiem, ale przypadek, jak mawiał Einstein, to Bóg, który pojawia się incognito. Miałem przeczucie, że życie stawia przede mną wyzwanie, żebym mógł ewoluować, i jeśli nie wykorzystam okazji, którą mi oferowało, na zawsze pozostanę uwięziony w swoim strachu.

Mój strach... Stalin mnie przerażał. Czy jego agresja była odbiciem mojego przerażenia, czy to ono było owocem tej agresji? Czy mam odwagę skonfrontować się ze strachem, ujarzmić go i wyjść mu naprzeciw? Raz kozie śmierć, jak mówi przysłowie.

Głęboko wdychałem chłodne wieczorne powietrze. Rozluźniłem mięśnie, opuszczając ramiona i starając się pozbyć napięć. Każdy wydech pomagał mi coraz bardziej osiągnąć spokój. Po chwili czułem, że serce bije mi już wolniej.

Stalin to przyjaciel, miły piesek... Jestem spokojny... czuję się dobrze... mam do siebie zaufanie... mam do niego zaufanie... Lubię go, a on lubi mnie... Wszystko jest w porządku.

Szedłem powoli naprzód, patrząc od niechcienia na pierwszą budę. Oddychałem spokojnie, rozluźniałem się coraz bardziej... Wszystko w porządku...

Posuwałem się, ignorując psa, kierując myśli na kolor budy, chłód wieczoru, spokój ogrodu...

Nie spojrzałem na niego ani razu, ale kątem oka dostrzegłem, że podniósł głowę. Szedłem wciąż naprzód, myśląc o różnych elementach otoczenia i mojej pewności siebie.

Wspiąłem się pomału na budę. Dobry piesek się nie ruszył. Wszedłem na ogrodzenie i zsunąłem się po drugiej stronie, znikając w mroku nocy.

25

Od przeszło miesiąca pozwalałem obcym ludziom kierować moim życiem. Za punkt honoru postawiłem sobie dotrzymanie zobowiązania. Czego się spodziewałem? Ze Dubreuil dotrzyma obietnicy i uczyni ze mnie człowieka wolnego i żyjącego pełnią życia? Ale jak można stać się wolnym, podporządkowując się czyimś poleceniom? Nie chciałem dostrzegać tego paradoksu, zaślepiony egocentryczną przyjemnością, jaką czerpałem z tego, że ktoś się mną interesuje. A teraz odkryłem, że nasze spotkanie nie było przypadkowe. Ci ludzie mieli ukryte motywacje, o których nic nie wiedziałem.

Oczywiście mogłem zrozumieć, dlaczego Dubreuil opiekował się mną po tym, jak ściągnął mnie z wieży Eiffla - uratowanie komuś życia to jak zobowiązanie. Coś, czemu nie mogłem się oprzeć, popychało mnie w obranym kierunku. Nie umiałem jednak wyjaśnić, kto pisał raporty na mój temat, zanim się poznaliśmy.

Ta niewiedza stała się źródłem obawy, która odtąd mnie nie opuszczała. Źle spałem, budziłem się w nocy. W dzień byłem spięty, niespokojny, bezsilny, wyczekujący, że coś się znowu wydarzy.

Ciągle myślałem o tym, jak sformułowana została nasza umowa.

„Będziesz musiał dotrzymać umowy. Jeśli nie... nie pozostaniesz przy życiu”.

Tamte słowa nagle dotarły w pełni do mojej świadomości, wracały jak bumerang.

Mój los był całkowicie w rękach tego mężczyzny.

Wiedziałem już także, że jestem śledzony. W takich warunkach trudno żyć normalnie. Gdziekolwiek jestem - w metrze, w supermarkecie, czy też siedzę spokojnie na tarasie kawiarni, obserwując spieszących się paryżan, uganiających się za stresem jakby z obawy, że go stracą - mam zawsze z tyłu głowy to, że ktoś mnie obserwuje.

Nabrałem nowych przyzwyczajzeń. Wysiadałem z metra w ostatniej chwili tuż przed zamknięciem drzwi albo wychodziłem z kina wyjściem ewakuacyjnym. Te pozorne działania, zamiast mnie uspokoić, wzmagały tylko niepokój i w końcu z nich zrezygnowałem.

W kolejnych dniach nie miałem żadnych nowin od Dubreuil'a, co sprawiło, że moja wyobraźnia rozszalała się na dobre, a liczba pytań podwoiła. Czy został poinformowany o moim włamaniu? Czy tego wieczoru też ktoś za mną szedł? Czy naga dziewczyna zdradziła

mu moją obecność? Jaki to będzie miało wpływ na łączącą nas umowę? Czy... zwróci mi wolność, czy wręcz przeciwnie, jeszcze zwiększy na mnie presję? Czułem, że nie należy do tego typu osób, które łatwo się poddają.

Spędziłem sobotę, włóczę się po Paryżu, próbując zapomnieć o tej zagmatwanej sytuacji, w którą się wplątałem. Szedłem bez celu wąskimi uliczkami Marais, gdzie średniowieczne budynki są czasem tak bardzo pochylone, że zastanawiam się, jakim cudem jeszcze stoją. Zatrzymałem się pod arkadami placu Vosges, gdzie rozbrzmiewała jazzowa muzyka grana na saksofonie. Przeszedłem ulicą Rosiers, wstępując do żydowskiej piekarni, w której zachował się urok i atmosfera minionych wieków. Zapachy ciast ledwie wyjętych ze starych pieców sprawiały, że miało się ochotę kupić wszystko. Wyszedłem z jeszcze ciepłym strudlem jabłkowym, który zacząłem natychmiast jeść, i przechadzałem się po starym bruku pomiędzy sympatycznymi weekendowymi spacerowiczami.

Kiedy nadszedł wieczór, ostatkiem sił wróciłem do swojej dzielnicy. Byłem zadowolony z tego, jak spędziłem dzień, czułem zdrowe zmęczenie piechura.

Doszedłszy do mrocznego zakątka ciemnych i wyludnionych ulic, drgnąłem, czując czyjaś dłoń na ramieniu. Odwróciłem się. Przedemną stał Vladi, przewyższając mnie znacznie swoją wysoką, kwadratową sylwetką.

- Proszę iść ze mną - powiedział spokojnie, nie udzielając mi żadnych dodatkowych wyjaśnień.

- Dlaczego? - zapytałem natychmiast, omiatając wzrokiem okolice i stwierdzając z żalem, że jesteśmy sami.

Nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć, lecz wskazał dłonią mercedesa zaparkowanego na chodniku. Reszta jego ciała pozostawała nieruchoma jak skała.

Nie miałem siły rzucić się sprintem. Krzyk nie służyłby niczemu.

- Proszę mi tylko powiedzieć, dlaczego.

- Rozkaz pana Dubreuila.

Nie można było odpowiedzieć bardziej lakonicznie. Wiedziałem, że nie wyciągnę z niego nic więcej.

Otworzył drzwi. Nie drgnąłem. On też stał nieruchomo, obserwując mnie w spokoju, bez jakiegokolwiek agresji w oczach. W końcu wsiadłem wbrew sobie. Drzwi zamknęły się z głuchym odgłosem. Byłem w samochodzie sam. Dziesięć sekund później odjechał.

Miękka i wygodna kanapa zmieniła mój strach w przygnębienie. Byłem jak uciekinier złapany przez policję, na tyle przyzwyczajony do podróżowania radiowozem, że czuje niemal ulgę. Zacząłem ziewać.

Vladi włączył radio. Stare melodie z music-halli, kontrastujące z jego osobowością, popłynęły z głośników. Mercedes mknął wyludnionymi ulicami - ich mieszkańcy wybrali tymczasem Lazurowe Wybrzeże. Dojechaliśmy do bulwaru Clichy, również zasmucająco pustego. Rzadko przejeżdżające samochody wiozły pary wystrojone na wieczorne wyjście. Czerwone światło. Taksówka z mężczyzną przyglądającym się tęsknie oświetlonym sex-shopom. Vladi ruszył, opuściwszy szybę. Ciepłe powietrze nocy napłynęło do środka, łącząc się z melancholijnymi dźwiękami. Przejechaliśmy przez skrzyżowanie i mknęliśmy dalej bulwarem. Jakiś autokar przywiózł turystów pod Moulin Rouge.

Mercedes dojechał na plac Clichy, ale zamiast skręcić w bulwar Batignolles, w kierunku pałacyku Dubreuil, skręcił nagle w lewo i pojechał ulicą Amsterdam na południe.

- Dokąd mnie pan wiezie?

Brak odpowiedzi. Jedynie głos Freda Astaire'a w nagraniu Let yourself go.

- Proszę mi powiedzieć, dokąd jedziemy. Jeśli nie, wysiadam!

Żadnej reakcji. Czuję mieszankę złości i obawy.

W końcu samochód zatrzymał się na światłach. Sprężyłem się, gotowy wyskoczyć na zewnątrz, i nacisnąłem przycisk otwierający drzwi. Zablokowany!

- Ja włączyć zabezpieczenie dzieci, żeby pan nie wpaść ta noc autostrada - odezwał się Vladi.

- Jak to autostrada dziś w nocy?

- Ja radzę pan spać. Samochód cała noc.

Instynktownie zeszywniałem, ogarnięty paniką. Co to za obłąd? Szybko, musiałem się wymknąć!

Dojechaliśmy przed kościół Madeleine. Mercedes objechał go i obrał za kierunek ulicę Royale. Żadnego policjanta w zasięgu wzroku, żebym mógł dać mu znak przez szybę. Szyba... Ależ tak, szyba! Mogłem wydostać się przez okno... Szyba od strony Vladiego była opuszczona. Nie usłyszy, że otwieram swoją, kiedy będzie ruszał.

Wyczekiwałem nerwowo z palcem na przycisku. Dojechaliśmy na plac Zgody. W pewnej chwili kierowca odwrócił głowę w stronę fontanny Fleuves, gdzie młodzież ochlapwała się wodą, pokrzykując. Świadomy, że gram o ostatnią szansę, nacisnąłem guzik i szyba opadła. Brak reakcji. Wstrzymałem oddech. Przejechaliśmy przed obeliskiem, a przed wjazdem na Pola Elizejskie światło zmieniło się na czerwone. Samochód się zatrzymał.

Zanurkowałem.

Poczułem mocny uścisk na kostce i to, że Vladi wciąga mnie z powrotem. Krzychałem, chwytając się drzwi, żeby choć częściowo utrzymać się na zewnątrz. Machałem

w kierunku sąsiednich samochodów, ale pasażerowie byli odwrócenii w przeciwną stronę i jak idioci podziwiali rozświetlone Pola Elizejskie. Walczyłem, krzychałem, waliłem w karoserię. Na próżno.

Vladi zdołał wciągnąć mnie całkowicie do środka, urywając mi nieomal ucho.

- Spokojnie, spokojnie - powiedział.

Nie mogło być nic równie denerwującego jak te słowa, szczególnie z ust mężczyzny, którego puls wynosił pewnie ze dwadzieścia pięć, podczas gdy mój dwieście.

Walczyłem nadal, wymierzając mu na próżno kilka ciosów. W końcu, kiedy unieruchomił mnie siłą, przełknąłem złość, poddałem się i samochód odjechał. Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Sekwana, gmach Zgromadzenia Narodowego, bulwar Saint-Germain, Ogród Luksemburski...

Dziesięć minut później długi czarny mercedes mknął w mroku autostradą prowadzącą na południe.

26

Obudziły mnie wstrząsy. Otworzyłem oczy i usiadłem, zupełnie rozbity. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Sytuacja szybko sprowadziła mnie na ziemię. Mercedes jechał zwirową stromą ścieżką. Vladi nie zadawał sobie nawet trudu, żeby omijać dziury, a światła rzucały w ciemności jasne snopy a to na kamieniste podłoże, a to na rozgwieżdżone niebo.

Próbowałem oprzytomnieć, ale godziny monotonnej jazdy po autostradzie pokonały mnie.

Zaschło mi w ustach.

- Gdzie jesteśmy? - wymamrotałem z trudem.

- Niedługo na miejscu.

Samochód wspinał się po stromym zboczu. Żadnego domostwa w zasięgu wzroku. Jedynie ciemne kształty cienkich, powyginanych pni drzew odcinały się na tle gruzowiska kamieni oderwanych od skały. Vladi wyłączył silnik i nagle zapadła kompletna cisza. Przez chwilę siedział nieruchomo, jakby przyglądał się okolicy, potem wysiadł. Ciepłe powietrze wpadło do wnętrza samochodu. Mój puls przyspieszył. Co robimy w takim miejscu?

Vladi rozciągał się przez chwilę, dając wytchnienie plecom. Ten olbrzym w czarnym garniturze przypominał stracha na wróble poruszanego przez nocny wiatr. Otworzył drzwi od mojej strony. Zadrzałem.

- Proszę wysiąść - powiedział.

Wysiadłem cały obolały. Zwrot „proszę” uspokoił mnie trochę, ale kiedy przyjrzałem się miejscu, w którym się znaleźliśmy, mój niepokój się podwoił.

Przed nami wznosiły się wysokie, imponujące i nieco przerażające ruiny opuszczonego zamku. Skąpane w bladej poświacie reflektorów mercedesa, odcinały się na tle czarnego nieba. Stara, średniowieczna wieża z blankami stała chyba za sprawą magii, gdyż mury pełne były dziur tworzących mroczne jamy.

Wokół panowała martwa cisza, którą od czasu do czasu zakłócał krzyk puchaczy.

- Idziemy - powiedział.

Torował drogę pośród rozrzuconych kamieni i chwastów. Osty zaczepiały się o nasze spodnie, spowalniając marsz.

Nadeszła moja ostatnia godzina. Było jasne, że zlikwiduje mnie tutaj, w tym miejscu zagubionym w pustce, gdzie nikt nie mógł nas zobaczyć ani usłyszeć. Nie wiem, co przerażało mnie bardziej - myśl o pewnej śmierci czy to miejsce godne horroru.

Po zaledwie kilku metrach Vladi się odwrócił.

- Ręce do góry!

- Co?

- Pan ręce do góry, bardzo proszę.

Ten typ zabije mnie jak psa, ale ma czelność używać zwrotów grzecznościowych. Czuję, że krew we mnie zawrzała.

Podniosłem ręce.

Zbliżył się, obmacał mnie z góry na dół, od ramion aż po kolana. Dwukrotnie przerywał i przetrząsał moje kieszenie, opróżniając je z zawartości. Zabrał mój portfel ze wszystkimi dokumentami, pieniądze, książeczkę czekową oraz bilety na metro i wrzucił wszystko do czarnej torby, którą starannie zapiął błyszczącą klamrą. Nikt nie będzie mógł zidentyfikować ciała, a skoro nie mam rodziny, nikt się o mnie nie upomni. Skończę w zbiorowym grobie.

Rzucił dookoła przelotne spojrzenie, aby się upewnić, że nie ma świadków, i włożył rękę do kieszeni.

Ostatni raz rozejrzałem się dookoła, chcąc zabrać ze sobą obraz świata, ale miejsce było tak mroczne, że wolałem zamknąć oczy. Wysilałem się, żeby zapomnieć o nadchodzącej śmierci, i starałem się skupić na sobie. Słuchałem swojego oddechu, czułem bicie serca, mięśnie, próbowałem wyobrazić sobie moje ciało, mieć świadomość istnienia. Chciałem być po raz ostatni, po prostu być. Czuć życie.

- Proszę brać to.

Otworzyłem oczy. Coś mi podawał. Chyba nie poprosi, żebym sam ze sobą skończył...

- Proszę!

Przysunąłem się, nie mogąc dostrzec w mroku małego przedmiotu, który trzymał. Moneta... Jedno euro.

- Co... co... mam z tym zrobić?

W tym momencie dziwny odgłos sprawił, że aż podskoczyłem. Wśród okropnego trzepotu skrzydeł z zagłębienia w murze wyleciało stado nietoperzy.

Vladi mówił niewzruszony:

- Proszę brać. Ma pan prawo do tego. To wszystko.

- Ale... ja... nie rozumiem.

- Pan Dubreuil mówi pan się nauczyć radzić sobie sam. Sam. Jedno euro to wszystko.

Pan Dubreuil czeka pan dziś wieczorem o siódmej kolacja u niego. Pan jest na czas. Pan Dubreuil nie cierpi późno obiad.

Jego misja była skończona, odwrócił się.

Ogromny ciężar spadł mi z ramion. Czuję się... pusty. Nogi mi się trzęsły. Nie mogłem w to uwierzyć... Rzuciłbym mu się na szyję, gdybym miał na to siłę.

- Proszę zaczekać!

Nawet się nie odwrócił. Wsiadł do samochodu i odjechał, zostawiając za sobą tuman kurzu, który wydawał się płonąć w smudze tylnych świateł. Czarny mercedes się oddalał, a z powodu wybojów na drodze rzucało nim na wszystkie strony. Zniknął i znowu zapadła cisza, ciężka jak sztaba ołowiu. Wokół panowała całkowita ciemność. Odwróciłem się w stronę zamku i zadrzałem. W słabym świetle księżycy ruiny były jeszcze bardziej przerażające. Jedyne odległe gwiazdy migoczące na sklepieniu niebieskim dodawały mi trochę otuchy. To miejsce budziło głęboki niepokój i nie chodziło tylko o naturalny strach, jaki można odczuwać w nocy na pustkowiu. Miałem niewyjaśnione, ale nieodparte uczucie, że te ruiny są obciążone wielkimi emocjami, przeżyтыми dawno temu cierpieniami. Działy się tu prawdopodobnie okropne rzeczy, a w tych murach zachowały się po nich niewidzialne ślady. Mógłbym przysiąc, że tak było.

Schodziłem ze zbocza w pośpiechu, chcąc czym prędzej opuścić to mrozące krew w żyłach miejsce. Kilka razy o mało nie skręciłem sobie kostki na nierównościach. Bez tchu dotarłem do pierwszych domostw z szarego kamienia, o dachach pokrytych zabawnymi okrągłymi dachówkami. Zwolniłem, uspokajając się powoli.

Zacząłem odczuwać głód. Przede wszystkim nie wolno mi było myśleć o jedzeniu. Poprzedniego wieczoru nic nie zjadłem, gdyż nie zdążyłem wrócić do domu. Teraz gorzko

żałowałem, że nie posiliłem się wcześniej.

Szedłem dalej, aż dotarłem do starego, uśpionego miasteczka, przytulonego do wzgórza. Musiałem poczekać do wschodu słońca. Usiadłem na kamiennej ławce nadwerężonej przez czas i oddychałem głęboko, opierając dłonie na chropowatej powierzchni. Wyobrażałem sobie mieszkańców za kamiennymi murami domów, śpiących spokojnie w łóżkach nakrytych prześcieradłami pachnącymi słońcem, które je wysuszyło. Byłem szczęśliwy, że żyję, że wróciłem do wspólnoty ludzkiej.

Dzień w końcu wstał, poczułem dyskretne zapachy przyrody o poranku. Przed moimi oczami pojawiał się powoli czarujący, zapierający dech w piersiach widok. Miasteczko było zawieszona na stromym zboczu góry, porośniętym drzewami i poprzecinany tarasami upraw. Przede mną rozciągała się rozległa dolina. Dokładnie na wprost, o kilkaset metrów dalej, wznosiła się inna góra, konkurująca wysokością z tą, na której byłem. Na jej stoku wznosiło się podobnie wyglądające z daleka miasteczko, zbudowane z szarego kamienia. Wszędzie, na zboczach i w dolinie, rosły krzewy i drzewa, w większości iglaste, tworzące polacie zieleni zabarwionej błękitem.

Wschodzące słońce opromieniało ten piękny krajobraz, budząc zapach sosen, których gałęzie tworzyły nade mną baldachim.

Postanowiłem zwiedzić miasteczko. Musiałem jak najszybciej zebrać informacje, których potrzebowałem, żeby zorganizować powrót do domu. Ruszyłem jedyną drogą, biegnącą po zboczu. Natychmiast uległem urokowi tej pięknej osady z charakterystycznymi domami. Panujący tu spokój zdawał się przywracać mi siły po pełnych stresów latach spędzonych w Paryżu. Przeszedłem całe miasteczko, ale nie spotkałem nikogo. Tu i ówdzie z otwartych okien dobiegały głosy, słowa wypowiedane z miękkim akcentem.

Za zakrętem zauważyłem kawiarnię, mieszczącą się w ostatnim domu lub pierwszym dla tych, którzy przybywali do miasteczka od strony doliny. Z urządnego wzdłuż ulicy tarasu rozciągał się widok przyprawiający o zawrót głowy. Drzwi były szeroko otwarte. Wszedłem.

Rozmowy, prowadzone przez mniej więcej dziesięć osób zgromadzonych wokół stołów przykrytych ceratą, ustały w jednej chwili. Barman z wąsami, koło pięćdziesiątki, wycierał szkło za ladą. Przeszedłem przez salę w jego kierunku, odważając się na „dzień dobry”, które pozostało bez odpowiedzi. Klienci natychmiast pograżyli się w swoich myślach, opuszczając wzrok na napełnione szklanki.

Kiedy doszedłem do lady, ponowiłem pozdrowienie. Barman jedynie podniósł głowę.

- Czy mogę prosić o szklankę wody?

- O co? - zapytał głośno, omiatając wzrokiem zgromadzenie.

Odwrociłem się i dostrzegłem drwiące uśmiechy. Po chwili głowy znowu opadły.

- Szklankę wody. Nie mam przy sobie pieniędzy i... umieram z pragnienia.

Nie odpowiedział, ale wziął z półki szklankę, napełnił ją wodą z kranu i postawił na ladzie zamasztył gestem.

Upiłem kilka łyków. Cisza aż dźwięczała. Musiałem przełamać lody.

- Ładnie dzisiaj, prawda?

Brak odpowiedzi.

- Mam nadzieję, że nie będzie jednak zbyt gorąco - mówiłem dalej.

Spojrzał na mnie lekko rozbawiony, cały czas wycierając szkło.

- Skąd pan jest?

Cud. Przemówił.

- Ja... przychodzę z zamku... tam z góry. Zszedłem dziś rano.

Zaczął od spojrzenia na resztę klientów.

- Słuchaj, mały, nie musisz się z nas naigrawać tylko dlatego, że nie jesteś stąd, rozumiesz? Wszyscy tu wiedzą, że tam nikt nie mieszka.

- Nie... ale... naprawdę... wysadzono mnie koło zamku tej nocy i o świcie zszedłem. To wszystko, co mam do powiedzenia. Nie nabijam się z was.

- Jesteś z Paryża, tak?

- Tak, można tak powiedzieć.

- Jesteś z Paryża czy nie jesteś z Paryża? To niezbyt skomplikowane pytanie.

Miał tak śpiewny akcent, że nie wiedziałem, czy ton jego głosu jest normalny, czy zdradza podenerwowanie. Potrzebowałem go. Musiałem podtrzymać rozmowę.

- Kiedy zbudowano ten zamek?

- Zamek - powiedział, zwalniając wycieranie szklanek - zamek należał do markiza... de Sade.

- Markiza de Sade?!

Nie mogłem powstrzymać dreszczu, wyobrażając sobie, co tam się działo.

- Tak.

- A... tak właściwie to gdzie jesteśmy?

- Jak to gdzie jesteśmy?

- Gdzie się teraz znajdujemy?

Z uśmiechem na ustach spojrzał na salę.

- No powiedz, mały, popijasz nie tylko wodę!

- Owszem, ale... to skomplikowana historia... Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie jestem.

- Ja jestem w Lacoste, w Luberon. Ty jesteś na innej planecie, mały.

Kilka stłumionych chichotów wśród zgromadzonych. Barman był z siebie zadowolony.

- Luberon... Jesteśmy w Prowansji, tak?

- A widzisz, jak chcesz, to potrafisz!

Prowansja... to jakieś osiemset albo dziewięćset kilometrów od stolicy.

- Gdzie jest najbliższy dworzec?

Znowu spojrzał na zgromadzonych gości.

- Najbliższy dworzec jest w Bonnieux - powiedział, wskazując na miasteczko na stoku góry naprzeciwko.

Byłem uratowany. Godzina lub dwie drogi i wygrałem.

- Wie pan, o której odchodzi najbliższy pociąg do Paryża?

Wybuchy śmiechu na sali. Barman był wniebowzięty.

- Co w tym śmiesznego? Już odjechał, tak?

Spojrzałem na zegarek. Znowu śmiechy.

- Jest bardzo wcześnie! - powiedziałem. - Musi być jakiś inny pociąg później, w ciągu dnia. O której odchodzi ostatni?

- Ostatni pociąg odszedł... w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym.

Wybuchy śmiechu. Przełknąłem ślinę. Barman rozsmakowywał się w swoim triumfie. Postawił nawet kolejkę wszystkim gościom. Rozmowy potoczyły się dalej stałym rytmem.

- Masz, mały, stawiam ci kielicha - powiedział, podając mi białe wino. Twoje zdrowie!

Piliśmy. Nie powiem mu przecież, że nie piję na pusty żołądek. I tak otrzymałem już sporą dawkę kpin.

- Widzisz, dworzec w Bonnieux jest zamknięty od ponad sześćdziesięciu lat. Wszystkie pociągi do Paryża odchodzą z Avignon. Nie znajdziesz nic bliżej, mały.

- A Avignon... to daleko stąd?

Upił łyk białego wina i wytarł wąsy rękawem.

- Czterdzieści trzy kilometry.

Dużo, cholera.

- Są jakieś autobusy?

- W tygodniu tak, ale nie w niedzielę, mały. Dziś oprócz mnie nikt tutaj nie pracuje - odrzekł, podnosząc kieliszek do ust.

Miał naprawdę zabawny akcent, wymawiał wszystkie głoski, nawet te nieme.

- A pan... nie zna kogoś, kto może mnie tam zawieźć?

- Dzisiaj? Upał. Wiesz, ludzie nie wychodzą z domów. Tylko do kościoła. Nie możesz poczekać do jutra?

- Nie, koniecznie muszę być w Paryżu dziś wieczorem.

- Ach! Paryżanie, zawsze się spieszą, nawet w niedzielę!

W końcu się pożegnałem, pozdrawiając zebranych, którzy tym razem odpowiedzieli.

Poszedłem ulicą prowadzącą poza miasteczko. „Do Avignon trzeba iść w dół, w lewo”

- powiedział barman. Postanowiłem pojechać stopem...

Mała uliczka schodziła z boczem wzgórza pośród malowniczego krajobrazu z pachnącymi drzewami iglastymi. Byłem w Prowansji! Prowansja... Tyle o niej słyszałem... Było jeszcze piękniej niż w moich wyobrażeniach. Spodziewałem się suchej ziemi, pięknej, ale wysuszonej. Tymczasem, jak okiem sięgnąć, miałem wokół soczystą zieleń. Sosny o czerwonych w słońcu pniach, cedry, buki, niebieskawe cyprysy wznoszące się dumnie ku niebu. Ziemia zasłana była ostami, janowcami, wielkimi kępami rozmarynu, krzewinkami o lakierowanych liściach, pysznymi się swą migotliwą urodą, i tysiącem innych roślin, które odkrywałem, oczarowany.

Słońce, mimo że było jeszcze nisko nad horyzontem, zaczynało mocno prażyć, podsycając zapach przyrody rozsiewającej tysiące cudownych woni. Istny raj dla zmysłów.

Doszedłszy do stóp góry, droga wiała się dalej w dolinie, pośród sadów owocowych i zagajników. Szedłem już ponad godzinę, ale nie spotkałem ani jednego samochodu. Nie miałem szans na złapanie okazji. Byłem potwornie głodny, bolała mnie głowa. Zaczynało się robić naprawdę gorąco. Czulem, że nie będę mógł iść już zbyt długo.

Upłynęło jeszcze dwadzieścia minut, kiedy usłyszałem nagle warkot silnika. Na zakręcie za mną pojawiła się szara furgonetka. Jechała ze średnią prędkością. Miała przynajmniej dwadzieścia lub nawet trzydzieści lat - wersja ciężarowa citroena 2 CV, jakie widywałem w książkach o Francji, kiedy byłem dzieciakiem. Stałem na środku jezdni z rozpostartymi ramionami. Samochód zatrzymał się niemal w miejscu ze zgrzytem hamulców, silnik kaszlnął i zgasł. Zapanowała cisza. Kierowca, niski mężczyzna z wydatnym brzuchem i siwymi włosami, wysiadł. Był czerwony, może ze złości na mnie, a może dlatego, że zgasł mu silnik.

- Nie robi się takich rzeczy! Co pana napadło do cholery? Nie mam w tym hamulców

ferrari, omal pana nie rozjechałem! Kto mi teraz naprawi samochód? Już od dawna nie można kupić części.

- Przykro mi. Przepraszam, ale mam problem. Koniecznie muszę się dostać możliwie najszybciej do Avignonu. Już dwie godziny idę w słońcu. Nic nie jadłem od wczorajszego popołudnia i brakuje mi siły... Nie jedzie pan przypadkiem w tamtą stronę?

- Avignon? Nie, na pewno nie jadę do Avignonu! Co miałbym tam robić?

- Może jednak podjechałbym z panem kawałek?

- Hmm, jadę do Poulivets... To w tym samym kierunku, tak, ale po drodze muszę się zatrzymać, mam robotę.

- Nie ma problemu! Najważniejsze, że mnie pan podwiezie. Potem poczekam na inny samochód.

Czułem, że się zgodzi.

- Proszę - nalegałem.

- Dobra, wsiadaj pan z tyłu, bo z przodu mam pełno paczek. Nie będę wszystkiego przekładał. Nawet pana nie znam!

- Super!

Siedzenie dla pasażera rzeczywiście było załadowane. Obeszliśmy samochód i otworzył dwuskrzydłowe drzwi z tyłu.

- Siadaj pan tam! - powiedział, wskazując dwie skrzynie z drewna, które zajmowały i tak ograniczoną przestrzeń.

Ledwie wsiadłem, zatrzasnął drzwi, pograżając mnie w zupełnej ciemności. Odnalazłem po omacku skrzynie, potykając się, i przysiadłem na jednej z nich.

Dwa razy próbował ruszyć. Silnik kaszłał, w końcu zapłon zadziałał, wprawiając furgonetkę w drgania. Czuć było zapach benzyny.

Czyniłem nadludzkie wysiłki, żeby utrzymać się w pozycji siedzącej. Wieko mojej skrzynki było dziwnie nachylone i zsuwałem się z niego za każdym razem, kiedy samochód przyspieszał, wchodził w zakręt lub hamował. Nic nie widziałem i na próżno starałem się wymacać ścianę ciężarówki, nie mając się czego uchwycić. W końcu zacisnąłem uda wokół skrzynki, żeby utrzymać się na miejscu. Sytuacja była tak idiotyczna, że nagle ogarnął mnie szalony śmiech. Nie mogłem go powstrzymać. Rzucalo mną na wszystkie strony, wdychałem opary benzyny. Chyba pierwszy raz śmiałem się w samotności.

Furgonetka w końcu się zatrzymała. Silnik zgasł i usłyszałem trzaśnięcie drzwi kierowcy, a potem już nic. Cisza. Chyba o mnie nie zapomniał.

- Hop! Hop!

Brak odpowiedzi.

Nagle do moich uszu dobiegł cichy pomruk. Dziwne, miałem wrażenie, że dochodzi z dołu... Kilka wybuchów śmiechu rozległo się na zewnątrz. Kiedy nic się nie widzi, inne zmysły się wyostają. Pomruki stały się wyrazistsze, ale... tak, dochodziły z mojej skrzyni! Ależ... Mój Boże, to chyba nie... rój pszczół!

Wstałem natychmiast, uderzając głową o sufit. W tym momencie przednie drzwi trzasnęły, silnik zakaszłał i furgonetka szarpnęła do przodu. Rzuciło mną o tylne drzwi i utknąłem między nimi a skrzynią z pszczołami.

Jechaliśmy chyba drogą bitą, bo trzęsło na wszystkie strony. Zewsząd dobiegały trzaski. Pozostawanie w niezmienionej pozycji było najlepszym rozwiązaniem. Obawiałem się tylko jednego - ukąszeń tysięcy towarzyszek podróży. Czy mogły wydostać się ze skrzyni?

Po kolejnym wstrząsie silnika samochód stanął. Przednie drzwi trzasnęły. Czekałem. Tylne drzwi otworzyły się nagle i potoczyłem się pod stopy mojego wybawcy.

- Dobrze wyczułem od ciebie wińsko! Nic nie jemy, ale napić się lubimy, co?

Podniosłem na niego wzrok, lecz oślepiło mnie światło słoneczne.

- To nie tak, jak pan myśli...

- Ja wierzę w to, co widzę, jak święty Tomasz. A raczej w to, co czuję!

Podniosłem się, mrugając, żeby przyzwyczaić oczy do jasności.

Pejzaż, który ujrzałem, był oszałamiający. Przede mną rozciągały się pola lawendy, zatapiając dolinę w błękicie. Po zboczach przeciwnego wzgórza wspinały się drzewa owocowe. Z tego mieniącego się barwami, pięknego obrazu emanował delikatny, cudowny zapach, który sprawiał, że niemal udawało mi się zapomnieć, w jakiej jestem sytuacji. Największe wrażenie robił śpiew - cóż ja mówię - chór cykad! Może dlatego, że nigdy go sobie nie wyobrażałem w aż takim nasileniu. Te miłe odgłosy, tak naturalnie łączące się z suchym ciepłem wonnego powietrza, sprawiały wrażenie, że wszystkie cykady spotkały się tutaj, żeby zgotować mi powitanie.

- No dalej, posuń się, mam dużo do roboty!

Nachylił się do środka furgonetki i wyjął skrzynkę z plastrami.

- Trzymaj, pomóż mi! Każdy bierze po jednej. Postawimy je tam - powiedział, wskazując ule pośród kwiatów.

- Robi pan miód lawendowy... - powiedziałem, oczarowany.

- No chyba! Nutella się przecież nie robi.

- To zabawne, nigdy nie sądziłem, że przewozi się plastry i umieszcza je na polach lawendowych.

- A co, myślałeś, że wystarczy dać pszczołom polecenie, żeby nie zatrzymywały się na innych kwiatach oprócz lawendy?

Ruszył naprzód.

- Powiedz mi teraz wszystko. Dlaczego tak się spieszysz na pociąg z Avignonu?

- To trochę skomplikowane... Powiedzmy, że mam przed sobą pewne wyzwanie. Zabrano mi dokumenty i pieniądze, i jestem zmuszony dać sobie jakoś radę. Żeby misja się powiodła, muszę być w Paryżu dziś po południu.

- Wyzwanie? To jakaś gra, tak?

- W pewnym sensie tak.

Spojrzał na mnie krzywo, potem oczy mu się zaświeciły.

- Ach tak! Już wiem, bierzesz udział w eliminacjach do teleturnieju Agent. Tak?

- Prawdę mówiąc...

- Świetnie! Kiedy opowiem to Josette, nie uwierzy mi! Kurczę!

- Ale nie...

- A jak cię wybiorą, w zimie będziesz w telewizji!

- Chwileczkę, ja...

- No, nie uwierzy mi! Nie uwierzy!

- Proszę posłuchać...

- Czekaj, czekaj... - Nagle jego twarz przybrała natchniony wyraz. - Powiedz - mówił dalej. - Jeśli zawiozę cię na dworzec w Avignon, jesteś pewien, że wygrasz?

- Tak, ale...

- To słuchaj, mały. Zawiozę cię na dworzec, jeśli w zamian pojedziesz ze mną do domu zrobić zdjęcia pamiątkowe z moją rodziną. Co ty na to?

- Hmm...

- Tylko kilka zdjęć i jedziemy na dworzec! Dzięki temu cię wybiorą i zobaczymy cię w telewizji!

- Nie...

- No już, jedziemy! Pospiesz się, mały!

Otworzył tylne drzwi furgonetki niezwykle podekscytowany.

- Jedziesz z tyłu, nie będę przekładał wszystkich paczek, nie mamy czasu. Mamy przed sobą wyzwanie!

Usiadłem na podłodze, całkiem zadowolony, że teraz podróżuję sam.

Furgonetka ruszyła z trudem, najpierw lekko drżąc, a potem szarpiąc. Bolały mnie od tego pośladki.

Usłyszałem odgłosy rozmowy dobiegające z przodu. Mój kierowca telefonował.

- Halo, Josette! Przygotuj obiad, wiozę kandydata do programu Agent. Nie, Agent, przecież mówię. Agent. Halo! Tej zimy będzie w telewizji. Ależ tak, to prawda! Idź po aparat fotograficzny i sprawdź, czy w środku są baterie! Baterie, mówię. Tak. I zawiadom Michaela, nie uwierzy. I zadzwoń jeszcze do Babette, żeby ruszyła swój tyłek, jeśli chce być na zdjęciu. Tracę zasięg. Pospiesz się. Halo!

Mój Boże, zawiadamiał całą okolicę... To niemożliwe... Co im powiem?

Po jakimś kwadransie samochód się zatrzymał i dobiegły do mnie odgłosy ożywionej rozmowy.

Otworzono tylne drzwi i kiedy mój wzrok na nowo przyzwyczał się do światła, ujrzałem około dwunastu nieruchomych osób, stanowiących komitet powitalny, które wpatrywały się we mnie szeroko otwartymi oczyma. Czuję się naprawdę jak krety, siedząc na podłodze tej zakurzonej furgonetki.

- Ej - kierowca zwrócił się do mnie - jak się nazywasz?

- Alan.

- Alan? To imię jak dla amerykańskiej gwiazdy. Nada się do telewizji.

- Alan... - powtórzyła półgłosem ciężarna kobieta, a na jej twarzy malowała się inspiracja.

Wprowadzono mnie do domu, następnie wszyscy zgromadzili się w ogrodzie wokół grilla, gdzie piekły się kielbaski wydzielające nęcącą woń. Bardzo nęcącą. Zaczęła się sesja zdjęciowa. Co miałem im powiedzieć? Byłem rozdarty między chęcią powiedzenia prawdy a niechęcią do rozczarowania tych ludzi, którzy sami wpadli w pułapkę swoich marzeń. Nie wspominając o tym, na czym najbardziej mi zależało.

Myślę, że nigdy w życiu nie zrobiono mi tylu zdjęć. Wyobrażałem sobie swój wizerunek ustawiony na kominkach do czasu rozpoczęcia nowej serii teleturnieju.

Mój kierowca zdawał się w siódmym niebie. Był człowiekiem dnia. Pił drinka za drinkiem i zaczynał się robić trochę czerwony. Trzykrotnie odmówił, kiedy prosiłem, żebyśmy już jechali na dworzec. „Później, później” - powtarzał.

Nie mogłem nic zjeść, bo byłem osaczony ludźmi, którzy chcieli się ze mną sfotografować.

- Proszę posłuchać - powiedziałem. - Naprawdę muszę jechać, w przeciwnym razie przepuszczę pociąg i nic z tego.

- Czekaj, czekaj... Ach, ależ ci paryżanie są zestresowani!

Chwytał telefon.

- Mamo, pospiesz się, mówię. I zawiadam tatę, inaczej mi nie daruje!

- Nie, proszę posłuchać, to już niemożliwe. Musi pan teraz dotrzymać swojej obietnicy...

Moja uwaga zupełnie mu się nie spodobała i z czerwonego stał się szkarłatny.

- Słuchaj, mały, ja cię nie zmuszałem, żebyś wsiadał do mojej furgonetki. Wydaje mi się, że było wręcz odwrotnie! A więc nie bądź niewdzięczny, w przeciwnym razie nie jadę do Avignonu!

Dość porywczy człowiek. Jak go zmusić do wyjazdu? Czas uciekał, a ja nie miałem pojęcia o godzinach odjazdu pociągów. Może było już i tak zbyt późno, żebym na dziewiętnastą stawił się u Dubreuila. Dubreuil... Mówił, że w życiu ważne jest, aby mieć dostawać od innych to, czego się chce... Ale jak miałem to zrobić teraz? Pomyślmy, jak Dubreuil by się do tego zabrał?

„Popchnij, a odepchnie”.

„Nie popychaj, ciągnij”.

Natychmiast wpadłem na pomysł, ale... coś mnie krępowało. Jak dotąd wykorzystywałem nieporozumienie, ale nie chciałem kłamać celowo. Dobrze, postawię sprawę inaczej.

- Wie pan, jeśli pewnego dnia znajdę się w telewizji, będę pewnie mógł zaprosić jedną lub dwie osoby...

Spojrzał na mnie, nagle znowu bardzo uważnie.

- Ale - mówiłem dalej - nie mogę robić płonnych nadziei.

- Mały...

- Nie, nie... niech pan nie nalega.

- Jeśli natychmiast zawiozę cię na dworzec, obiecujesz, że zaprosisz mnie do programu? - zapytał nagle równie poważnie, jak gdyby negocjował depozyt stu plastrów na polu lawendy.

- Tak... ale nie chciałbym przerywać waszej imprezy...

Odwrócił się w stronę swych gości i odezwał się grubym głosem.

- Przyjaciele - powiedział - bawcie się dalej bez nas. Wrócę za godzinkę. Odwiozę Alana do Avignonu. Musi mu się udać.

Pół godziny później siedziałem już w pociągu jadącym do stolicy z brzuchem tak samo pustym jak wcześniej i jednym euro w kieszeni.

Znałem zasady - podróż bez biletu jest karana mandatem. Bez dokumentów zgarnie mnie policja.

Miałem kiepski plan, ale musiałem się na niego zdać. Stałem, wypatrując kontrolera. Kiedy zobaczyłem, jak wchodzi z drugiej strony wagonu, wszedłem do toalety i zamknąłem drzwi, lecz nie zasunąłem zasuw. Jeśli uzna, że kabina jest pusta, pójdzie dalej. Czekałem. Mijały minuty i nic się nie działo. Byłem sam, towarzyszył mi tylko hałas jadącego pociągu. Lekkie podskoki i wstrząsy zaburzały moją równowagę, a w nozdrza uderzała ostra won ciasnej kabiny.

Nagle drzwi się otworzyły i jakiś zaskoczony pasażer stanął ze mną oko w oko. Ponad jego ramieniem dostrzegłem wyraźnie zadowolonego niskiego mężczyznę z czarnymi wąsami, grubymi brwiami, w granatowej czapce i uniformie.

27

Catherine pochyliła się lekko do przodu, marszcząc czoło. - Chciałabym porozmawiać o tym, w jaki sposób pomogłeś Alanowi rzucić palenie.

Yves Dubreuil rozparł się w fotelu i poruszył kostkami lodu w szklance z burbonem. Uśmiechnął się nieznacznie. Uwielbiał wracać myślą do swoich osiągnięć i komentować je.

- Zmusiłeś go, żeby palił coraz więcej, aż mu zbrzydzie, czy tak?

- Wcale nie - odpowiedział z satysfakcją osoby, której czyny są tak genialne, że nie mogą ich zrozumieć nawet zawodowcy.

- Myślałam...

- Nie, zadowolilem się odwróceniem kierunku przymusu - powiedział niby skromnie, używając niejasnych sformułowań, co zmuszało rozmówczynię do zadawania kolejnych pytań.

- Odwróceniem kierunku przymusu?

Niespiesznie smakował łyk alkoholu i oczekiwanie, do którego zmuszał Catherine.

Dzień był szczególnie ciepły, a wieczór oferował sprawiający ulgę chłód. Rozkoszowali się nim, siedząc wygodnie w ogrodzie przed talerzem pełnym słodkich ciasteczek, z których jedne były pyszniejsze od drugich.

- Przypomnij sobie. Alan powiedział nam, że jego problemem była obawa przed utratą wolności. Gdzieś w głębi duszy chciał przestać palić, ale tym, co go powstrzymywało, było poczucie wolności, które kojarzył z papierosem. Wszyscy radzili mu rzucić, więc nie czuł, że to jego wybór. Rzucenie palenia sprawiłoby, że miałby poczucie podporządkowania się innym.

- Tak, to zrozumiałe.

Catherine słuchała, widocznie bardzo skoncentrowana na jego odpowiedzi. Nie ulegała pokusie słodczy, które mogłyby rozproszyć jej uwagę.

- A więc odwróciłem kierunek przymusu. Zrobiłem tak, że palenie stało się dla niego czymś narzuconym z zewnątrz. Odtąd wolność zmieniła obóz. Mógł zaspokoić potrzebę bycia wolnym, nie paląc.

Catherine nic nie powiedziała, ale uważny obserwator mógłby zauważyć w jej oczach błysk podziwu.

28

Jako dziecko inspektor Petitjean spędzał weekendy i wakacje, jeżdżąc na rowerze za przechodniami po eleganckich ulicach Bourg-la-Reine na przedmieściach Paryża. Notował starannie swoje spostrzeżenia w małym niebieskim notesie na spirali, z którym nigdy się nie rozstawał. Niektórzy udawali się na dworzec; sprawdzał wtedy godzinę i zza ogrodzenia peronu upewniał się, czy wsiedli do pociągu. Mogli przecież zboczyć z drogi, żeby zabić sąsiada. Czyż może być lepsze alibi niż zostać zauważonym przez świadków na dworcu tuż przed godziną zbrodni? Inni wracali do domu i chłopiec zastanawiał się, co ich do tego skłaniało, kiedy na zewnątrz była ładna pogoda. Na pewno mieli jakiś ukryty powód. I on go odkryje. Zaraz, zaraz... Kobieta w szerokiej niebieskiej spódnicy, widział ją już w zeszłym tygodniu... W takiej sytuacji przeglądał swój kapownik i odnajdował potrzebne informacje. Poszła do apteki? A więc to tak! Po co zatem dzisiaj znowu tam szła? Dwa razy w odstępie kilku dni, to podejrzane. A jeśli kupowała niebezpieczne lekarstwo, żeby pozbyć się męża? Ależ tak, to przecież oczywiste! Będzie czujny.

Jego rozczarowanie było ogromne, gdy lata później nie dostał się na wydział prawa. Odmówiono mu wielkiej kariery, o której zawsze marzył. Jednak młody Petitjean nie należał do ludzi, którzy łatwo rezygnują z dziecięcych marzeń. Jeśli nie mógł wejść głównym wejściem, trudno! Zacznie od samego dołu, a potem będzie wspinał się po kolejnych stopniach, aż osiągnie sukces.

Wstąpił do policji jako inspektor i został przydzielony do zajmowania się podróżnymi na gapę na dworcu lyońskim. W dniu, kiedy po raz pierwszy założył swój mundur, poczuł, że ma do wykonania prawdziwą misję, jak gdyby bezpieczeństwo Francji spoczywało na jego barkach.

Nie pozwolił sobie na poddanie się rozczarowaniu, gdy odkrył bezużyteczność swojej

funkcji. Powiedział sobie, że to tylko przejściowe, że musi wytrzymać. Oczywiście, czasami szara rzeczywistość połączona z biernością władz lokalnych brała górę nad jego dobrym samopoczuciem. Ale nadal wierzył, że jego czas nadejdzie.

Posterunek policji znajdował się na najniższym poziomie dworca. Nie miał żadnego okna ani drzwi prowadzących na ulicę. Kilka lamp neonowych przykrytych plastikowymi żółtymi kloszami dawało trochę światła, równie mdłego jak ściany, których chyba nigdy nie odmalowywano, i szary metalowy regał z połowy poprzedniego stulecia. Zapach stęchlizny, jaki panował w tym niesłużącym zdrowiu miejscu, ustępował chwilami woniom z pobliskich toalet.

Najtrudniejsza bez wątpienia była jednak relacja z szefem, mężczyzną dobiegającym emerytury, pokonanym przez system, zupełnie zdemotywowanym, którego jedyną przyjemnością było wyszczekiwanie poleceń. Nigdy nie interesowało go natomiast, jak są wykonywane. Nic już go nie interesowało oprócz kilku świńskich gazetek i kuponów lotto, które rozkładał na biurku. Smutne światło lamp neonowych nadawało temu meblowi wygląd równie przygnębiający jak metalowemu regałowi.

Inspektor Petitjean obiecał sobie: nigdy nie podda się poczuciu beznadziei i brakowi motywacji. „W dniu, w którym przestajesz wierzyć w to, co robisz, jesteś skończony” - powtarzał sobie bez przerwy. Oddawał się więc całą duszą i ciałem jednemu zadaniu, jakie mu powierzano i poddawał pasażerów bez biletu przesłuchaniu godnemu wielkich śledstw kryminalnych. Zmuszał ich do wyjaśnień, czasem popychał do wyznawania niewielkich przewinień, a przede wszystkim – to było jego obsesją - wyciągał na światło dzienne ukryte intencje. Wykraczając daleko poza swoje uprawnienia, prowadził dogłębne śledztwo. Korzystając z braku jakiegokolwiek nadzoru ze strony zwierzchników, zdarzyło mu się nawet udać w teren, żeby sprawdzić niektóre zeznania. Większość zatrzymanych stanowili niewypłacalni studenci, których jedynym przewinieniem była podróż bez biletu. Wielu załamywało się jednak w trakcie przesłuchania, a Petitjean uważał, że to nieunikniona zasługa jego profesjonalizmu. Niektórzy składali skargę u jego szefa, który zupełnie się tym nie interesował i w ogóle nie chciał nic wiedzieć.

Tamtego dnia inspektor miał bardzo kiepski nastrój. Była to jego trzecia z rzędu niedziela spędzona w pracy. Zaczynał przeczuwać, iż to jego zapał sprawił, że stał się idealnym wykonawcą tej pańszczyzny.

W sąsiednim pokoju zadzwonił telefon. Stary, bardzo głośny aparat. Komendant bez słowa podniósł słuchawkę i zadał te same pytania, które powtarzał kilkadziesiąt razy na dzień od lat:

- Jaki pociąg? Który peron? O której?

Odłożył słuchawkę stanowczym gestem i zza drzwi dało się słyszeć:

- Petitjean! Tor dziewiętnasty! Marsylia! Osiemnasta dwie!

Nic nie mówiąc, inspektor wyruszył na peron. Odwaga i cierpliwość. Pewnego dnia, tego był pewien, złapie dzięki temu przestępcę, którego będzie mógł poddać odpowiednim sankcjom. Wówczas poznają się wreszcie na jego talencie śledczego. Dostanie spektakularny awans.

29

Skóra zaskrzypiała, kiedy siadali w głębokich fotelach, zapraszających do relaksu. Czekali spokojnie, aż kelner hotelu Intercontinental skończy ich obsługiwać.

- Proszę zadzwonić, jeśli będzie pan czegokolwiek potrzebował, panie Dunker - wyrecytował, zanim się ulotnił.

Drzwi prywatnego apartamentu obite brunatną skórą zamknęły się cicho. W powietrzu unosił się delikatny zapach koniaku. Marc Dunker rozejrzał się dookoła. Bogate biblioteki z mahoni zastawione były książkami oprawionymi w czerwoną skórę, trochę zbyt błyszczącą jak na starocie. Lampki ze złożonymi nóżkami i opalizującymi szmaragdowymi abażurami sączyły subtelne światło, nie zakłócając intymnej czy raczej nastrojowej atmosfery pokoju.

Wybrał ten hotel za radą Andrew. Mieścił się przy placu de l'Opera, jakieś dwieście metrów od ich biura. Oferował wnętrza, które skłaniały - jak twierdził - do szacunku i szczególnego sposobu bycia. Takie kryteria, według Anglika, powinno spełniać miejsce przeznaczone do owocnych negocjacji. To już piąty raz zebrało się tam trio, a Dunker był zadowolony ze swojego wyboru. Doceniał przede wszystkim wygodne fotele, które zdawały się wchłaniać jego dwóch głównych akcjonariuszy, podczas gdy on sam mógł siedzieć na odpowiedniej wysokości. Zapewniał sobie przez to korzystniejszą pozycję. Był przekonany, że miało to niemały wpływ na kształt ich wzajemnych relacji.

- Doszliśmy do porozumienia - powiedział tęższy z udziałowców, rzucając okiem na drugiego.

Mówił, uśmiechając się i od czasu do czasu podnosząc brwi, co tworzyło fale zmarszczek na jego w trzech czwartych łysej czaszce. Dunker uważał, że nazywa się odpowiednio, David Poupon - takie nazwisko przywoływało na myśl łyse niemowlaki. Mały i tłustawy mimo młodego jeszcze wieku, wyglądał jak duże uśmiechnięte dziecko. Był sympatyczny, a to niepokoiło Dunkera najbardziej. Wolał tego drugiego, Rosenblacka, o

wiele bardziej powściągliwego i mniej przyjacielskiego, nieukrywającego, o co mu chodzi, i nieczyniącego najmniejszych wysiłków, żeby ukryć swój brak zainteresowania rozmówcą. Nie podnosił oczu znad papierów, które leżały na jego kolanach, i prawie bez przerwy drapał się za prawym uchem po solidnie owłosionej głowie.

Dunker zmrużył oczy, koncentrując się na tym uczestniku negocjacji, który właśnie zabierał głos. David Poupon mówił:

- Doszliśmy do wniosku, że zarówno jeśli chodzi o środki inwestycyjne, którymi zarządzam, jak i o środki przeznaczane na pensje, którymi zajmuje się nasz przyjaciel - uśmiechnął się do swojego towarzysza, ciągle zaabsorbowanego papierami - wasza firma musi przynosić piętnaście procent zysków od najbliższego trymestru, a kurs giełdowy musi wzrosnąć przynajmniej o osiemnaście procent.

Wygłaszał swoje oczekiwania, ani na chwilę nie rezygnując z ohydneho uśmiechu.

Dunker, który nie spuszczał z niego oczu, nie odzywał się aż do momentu, kiedy zyskał pewność, że tamten skończył. Kilka sekund poświęcił na upicie łyka koniaku. Znał siłę ciszy narzuconej temu, kto czeka, aż zabierzemy głos.

- Nie mogę się zobowiązać do osiemnastoprocentowego wzrostu notowań giełdowych, gdyż nie dysponuję wszystkimi danymi, jak pan wie. Poza tym... - Upił kolejny łyk alkoholu, utrzymując swojego rozmówcę w oczekiwaniu. - Poza tym - ciągnął - jest ten cholerny dziennikarz, Fisherman, który bezustannie podważa nasz wizerunek, wypisując bzdury za naszymi plecami. I niestety, jego analizy mają ogromny wpływ na rynki finansowe.

- Jesteśmy przekonani, że potrafi pan sobie poradzić z tą sytuacją. To dlatego podczas ostatniego walnego zgromadzenia akcjonariuszy pozostawiliśmy pana na czele przedsiębiorstwa.

Dunker doskonale uchwycił ledwie zawoalowaną groźbę, opatrzoną nieznikającym uśmiechem.

- Wie pan równie dobrze jak ja, że dziennikarzy nie da się kontrolować... Możemy rozgłaszać dobre wieści przy każdej nadarzającej się okazji, a Fisherman i tak powtarza w swoich artykułach, że nasze zespoły nie są wystarczająco produktywne, co jest całkowicie nieprawdą. Stwarzam presję i pracownicy harują naprawdę ciężko - powiedział z dumą kapitana, który staje w obronie swojej armii.

- Rzadko jest dym bez ognia - odparł Rosenblack, nie podnosząc wzroku.

Dunker upił łyk koniaku, lekko zdenerwowany. Cóż to za udręka zdawanie sprawozdań ludziom, którzy nie mają pojęcia o działalności firmy, a ich stopa nigdy w niej nie powstała!

- Odwagi! - powiedział Poupon. - Ufam w pańską zdolność znalezienia jakiegoś rozwiązania.

Kilka długich sekund ciszy.

- Mam pewien pomysł, ale potrzebuję zgody od panów, gdyż na pewno wynikną z tego konsekwencje.

- A! Widzi pan, kiedy pan chce, to pan potrafi.

Gruby Poupon był wyraźnie zadowolony, że dobrze przewidział. Umościł się w fotelu tak, jak się to robi w kinie po reklamach, żeby usadowić się wygodnie zanim zacznie się film.

- Mój pomysł opiera się na sztucznym pompowaniu wysokości obrotów.

Rosenblack podniósł w końcu posępne oczy i spojrzał na Dunkera jak stary pies drzemiący przy kominku, który się zastanawia, nie bardzo w to wierząc, czy słowo „spacer” nie pojawiło się przypadkiem w rozmowie prowadzonej przez właściciela.

- Jak dotąd - wyjaśniał Dunker - stosowaliśmy procedurę ścisłego weryfikowania wypłacalności naszych klientów, zanim podpisaliśmy umowę. Jeśli wykazywali trudności finansowe, wymagaliśmy zapłaty z góry całkowitej sumy naszego honorarium, na co oczywiście rzadko się zgadzali. Jeśli zmienimy tę zasadę i przymkniemy oczy na stan finansów naszych nowych klientów, uzyskamy natychmiastowy wzrost obrotów o jakieś dwadzieścia procent.

Poupon, bardzo uważny, wyglądał na zainteresowanego. Rosenblack, równie skupiony, robił wrażenie sceptycznego.

- Oszacowałem - kontynuował Dunker - że dążąc do wzrostu obrotów, ryzykujemy, że trzydzieści procent naszych klientów będzie niewypłacalnych, co jednak z dwóch powodów nie jest wielkim problemem. Po pierwsze, giełda zwraca uwagę jedynie na obrót, a niespłacone zobowiązania w ogóle jej nie interesują. Po drugie, nasi konsultanci będą pobierali honoraria nie od obrotów zrealizowanych, ale... od dochodów rzeczywistych. Brak wpłaty, brak wypłaty. Tak to rozwiążemy. Ogólnie rzecz biorąc, nie stracimy zbyt wiele, a kurs akcji wzrośnie.

- Wspaniale - powiedział Poupon.

Rosenblack zrobił minę wyrażającą aprobatę, lekko przytakując głową i wydymając usta.

- A co z piętnastoma procentami zysków? - zapytał.

Dunker powoli upił kolejny łyk koniaku.

- Już ja się tym zajmę - syknął przez zęby.

Poupon się rozpromienił.

- Doskonale! Mam zatem dla pana złą wiadomość: jeszcze nie w tym roku dostanie pan odprawę w wysokości trzech milionów euro, przewidzianą w pańskim kontrakcie!

Śmiali się, nawet Rosenblack uczynił ten wysiłek. Szkło zadźwięczało, uderzając o siebie.

- Tak - mówił Poupon. - Uważa pan, że jesteśmy wymagający, ale tak właśnie działa świat. Pan jest taki w stosunku do swoich pracowników, my w stosunku do pana, a nasi klienci wobec nas... Zawsze ma się kogoś pod sobą, czyż nie?

30

- Nie wierzę panu. Ani przez chwilę.

Zdanie padło jak bezapelacyjny wyrok, po nim nastąpiła ciężka cisza. Deprymujące światło sączyło się ze starej sfatygowanej lampy neonowej.

- A jednak to prawda - odpowiedziałem niepewnie.

Inspektor Petitjean chodził za swoim biurkiem w tę i z powrotem. Siedziałem na czymś niewygodnym, co przypominało małe krzeselko szkolne. To miejsce mnie przygnębiało... Byłem głodny. Desperacko głodny. I miałem już tego wszystkiego dość. Naprawdę dość.

- A zatem powtórzmy od początku.

- To już czwarty raz...

Próbowałem odpowiadać na pytania jak najmniej konkretnie. Mówiłem o wyzwaniu, któremu musiałem sprostać, próbując sprawić, nie uciekając się do kłamstwa, żeby uwierzył, iż padłem ofiarą prześladowania. Niestety, poczciwiec miał dużo energii i brał sprawę bardzo poważnie. A wszystko z powodu zwykłej podróży bez biletu. Czyżby nie miał nic lepszego do roboty? W końcu osaczył mnie gradem pytań i musiałem to z siebie wypluć. Opowiedziałem mu o mojej relacji z Du-breulem. W dalszym ciągu jednak dostrzegałem jego powątpiewanie. Uparcie nie chciał mi wierzyć. Włożyłem całą swoją energię w próbę przekonania go o mojej uczciwości, ale im lepiej argumentowałem, tym bardziej podważał moje słowa.

- Mówi pan, że podąży za instrukcjami człowieka, którego nawet pan nie zna, który chce dla pana dobrze, ale mimo to boi się go pan, który zabrał pańskie dokumenty i kazał pana zawieźć mercedesem na drugi koniec Francji, żeby rozwinąć pańską zdolność radzenia sobie. Czy tak?

- Tak, mówiąc w skrócie.

- I sądzi pan, że uwierzę w coś takiego? Odkąd wykonuję ten zawód, nie słyszałem czegoś równie idiotycznego!

Nigdy nie uda mi się go przekonać. Spędzę tu cały wieczór, może nawet noc - myślałem.

Musiałem zabrać się do tego inaczej... Jak to zrobić, żeby go przekonać o mojej uczciwości?

Jeśli popchniesz, będzie się opierał. Odwróć sytuację - przywołałem zasadę Dubreuil'a. Wpadłem na pewien pomysł.

- Jest coś jeszcze... - szepnąłem poufnym tonem.

Nie umiał powstrzymać uśmiechu, sądząc, że już za chwilę wyznam mu całą prawdę.

- Co?

Oczekałem kilka chwil.

- Hmm... nie, nie powiem panu.

Przyjrzał mi się lekko zaskoczony.

- Dlaczego?

Spojrzałem mu prosto w oczy.

- Bo nie mam do pana zaufania.

Jego twarz nieznacznie się zaczerwieniła.

- Jak to... Jak to nie ma pan zaufania?

Nie spieszyłem się.

- Nie ufam... pańskiej zdolności słuchania.

- Co też mi pan tu opowiada? - wymamrotał, czerwieniejąc coraz bardziej.

Odwróciłem wzrok, omiatając nim podłogę i przybierając smutny wyraz twarzy.

- To historia... osobista i nie mam ochoty powierzać jej komuś, kto nie zada sobie nawet trudu, żeby usiąść i mnie wysłuchać.

Przełknął ślinę.

- A poza tym - ciągnąłem - skoro mi pan nie wierzy, to po co mam mówić dalej?

Minęło kilka sekund. Nie patrzyłem na niego, ale czułem, że nie spuszczał ze mnie wzroku. Twarz miał purpurową. Słyszałem, jak głośno oddycha.

Usiadł.

Przez chwilę panowała cisza. Nawet stęchłe powietrze w pokoju wydawało się nieruchome.

Zdecydowałem się o wszystkim opowiedzieć.

- Jakiś czas temu próbowałem popełnić samobójstwo. Pewien mężczyzna znalazł się

tam przypadkiem... czy raczej tak mi się wydawało, że był to przypadek. Ocalił mi życie, lecz zażądał nieodwołalnego zobowiązania z mojej strony. Musiałem robić wszystko, co mi kazał. Dla mojego dobra.

Słuchał w ciszy.

- To rodzaj paktu - kontynuowałem. - Zgodziłem się chętnie.

Gorąco w biurze było nie do zniesienia. Potrzebowałem powietrza.

- I naprawdę pan... robił wszystko, o co ten człowiek prosił?

- Można tak powiedzieć.

- Zdaje pan sobie sprawę, że gdyby popchnął pana do zrobienia czegoś niezgodnego z prawem, to pan byłby odpowiedzialny?

- Nie prosił mnie o nic takiego. Nie kazał mi też jechać pociągiem bez biletu. Nie w tym rzecz...

- A jednak nie mogę zrozumieć, dlaczego wykonywał pan jego polecenia. Przecież jest pan wolny i może skończyć ze zobowiązaniem. Każdy by tak zrobił na pana miejscu. tego nie zrobiłem. Może przywiązuję zbyt dużą wagę do danego przez siebie słowa.

- Zaraz, zaraz, to już nie są czasy trzech muszkieterów! Lojalność jest ważna, ale tutaj mimo wszystko zagrożony jest pański interes!

- Aż do niedawna wszystko, czego ode mnie chciał, wymagało znacznego wysiłku, ale to dużo mi dawało... Miałem wrażenie, że się rozwijam...

- Nie rozumiem, jak to mogło przynieść panu cokolwiek oprócz kłopotów.

- Wie pan, kiedy go spotkałem, byłem bardzo samotny... W zasadzie to bardzo przyjemne, kiedy ktoś się człowiekiem interesuje, zajmuje się nim...

- Chwileczkę. Zażądał od pana zobowiązania w chwili, kiedy był pan słaby, zdesperowany. Schwycił pana w garść. Pan tymczasem słucha go i wypełnia jego polecenia co do joty, przymykając oko na jego intencje. Czy tak? Ależ to jak działanie sekty!

- Nie, tego się nie obawiam. Poza tym sekty chcą pieniędzy, on zaś nie chce ode mnie niczego. Zważywszy na jego wiek i bogactwo, chyba już zbyt wiele mu nie trzeba.

- Przecież nie robi tego na piękne oczy!

- Właśnie, w tym problem. Nie wiem, co go motywuje. Ostatnio odkryłem, że jestem śledzony, a zaczęło się to już... przed naszym pierwszym spotkaniem.

- A więc nieprzypadkowo był tam w dniu pańskiej...

- Próby samobójczej. Nie, nie przypadkowo. Nigdy wcześniej go jednak nie widziałem, mógłbym przysiąc. Nie wiem też, dlaczego kazał mnie przedtem śledzić. Tego nie umiem wyjaśnić i... niepokoi mnie to.

Stary neon migotał i brzęczał. Niedługo wyzionie ducha. Inspektor przyglądał mi się z niepokojem. On, który najpierw doprowadził mnie do ostateczności swoim przesłuchaniem, teraz zaczynał objawiać pewnego rodzaju współczucie. Zdawało się, że szczerze martwi się o mój los.

- Może pan coś dla mnie zrobić? - zapytałem.

- Nic. Absolutnie nic. Jeśli on nie popełnił wykroczenia, nie mogę nawet wszcząć śledztwa.

- Ma u siebie w domu notes wypełniony notatkami na mój temat. Te zapiski świadczą o tym, że byłem śledzony.

- Jeśli ten notes znajduje się w jego domu, nie mam do niego dostępu. Musiałbym mieć nakaz przeszukania, a żaden sędzia mi go nie wyda, gdyż nie było wykroczenia. Poza tym nie ma zakazu śledzenia ludzi. Wszystkie dzieciaki to robią.

- Wie pan, najbardziej skomplikowane w tej historii jest to, że mam wątpliwości i część mnie czuje się winna, że panu o tym opowiedziałem.

- Nie nadążam za panem.

- Nie mam stuprocentowej pewności, że on ma złe intencje. Oczywiście byłem przerażony, kiedy odkryłem, że mnie śledził jeszcze przed naszym pierwszym spotkaniem. Jednak, jeśli odsunę to na bok, nie mam mu nic do zarzucenia. Patrząc na to zupełnie obiektywnie, nie mogę twierdzić, że zrobił cokolwiek, co mogłoby mi zaszkodzić...

- Proszę posłuchać, nie możemy wykluczyć, że to zwykły stary wariat, który uważa się za nie wiadomo kogo i znajduje upodobanie w odgrywaniu roli mentora i wybawiciela. Najprościej będzie mu powiedzieć, że nie ma pan już ochoty dalej w to brnąć. Musi pan zerwać pakt. Powinien mu pan powiedzieć: „Dziękuję za wszystko, do widzenia” i skończyć z tym.

- Niemożliwe.

- Co pana powstrzymuje?

- Nie powiedziałem panu, ale... nasz pakt został zawarty na życie.

- Jak to na życie?

- Zgodziłem się je oddać, jeśli nie będę wywiązywał się z tego, o co mnie prosi.

Przez chwilę inspektor patrzył na mnie zupełnie zbity z tropu.

- To żart?

- Nie.

- I oczywiście pan się zgodził. To chce mi pan wmówić?

- Trzeba zrozumieć kontekst...

- Jest pan tak samo szalony jak on! Niech mnie pan teraz nie prosi o pomoc!

- Nie mogłem wiedzieć, że...

- W każdym razie zawarłicie umowę ustnie. Nie ma żadnego dowodu. Nie mogę nic zrobić.

- Nie może mnie pan jednak zostawić w niebezpieczeństwie teraz, gdy już zna pan całą sytuację. Prawda?

- Co pan sobie myśli? Że podatnik będzie płacił za chronienie pana w dzień i w nocy, dopóki ten człowiek rzeczywiście się do pana nie dobierze? Nie mamy dość środków, żeby zajmować się wykroczeniami faktycznie popełnionymi.

Powiedział to z żalem i czułem, że za złością, którą manifestował w stosunku do mnie, kryje się zmartwienie.

Rzuciłem okiem na smętny zegar zawieszony na ścianie tuż pod sufitem.

- Dobra, muszę już iść. Miałem być u niego o dziewiętnastej.

Wstałem.

Inspektor patrzył na mnie, nic nie mówiąc, zamyślony. Nagle zerwał się z miejsca.

- Proszę zaczekać... Jakie mam dowody, że to wszystko... to nie wymyślił pan tej historii, żeby spokojnie wrócić do domu?

Zmarszczył czoło, a jego twarz znów spurpurowiała.

- Jeśli mi pan nie wierzy, proszę ze mną do niego pójść.

Widocznie nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Stał nieruchomo przez pewien czas, potem kierował spojrzenie to na mnie, to na zegar ścienny.

- Gdzie to jest? - zapytał.

Przeszukałem kieszenie i w końcu znalazłem wizytówkę Dubreuil'a. Była pognieciona, karton zmiękł. Złapał ją i przeczytał, marszcząc czoło.

- W szesnastej dzielnicy?

Wahał się przez chwilę, potem przeszedł przez pokój, żeby zapukać delikatnie w jakieś drzwi.

- Niech pan sobie radzi, Petitjean! - burknął głos zza drzwi.

Inspektor zastanowił się minutę, widocznie rozdarty między sprzecznymi chęciami, i otworzył małą metalową szafkę. Wziął kluczyk od samochodu.

- Proszę za mną!

*

Godzinę później Petitjean odkładał starannie kluczyk do szafki. Jego zwierzchnik, nadal siedzący w biurze, widocznie nie był niczego świadom.

Inspektor nie mógł tracić czasu. Sprawa, na jaką czekał od miesiący, sama wpadła mu w ręce. Dokładnie tak, jak to sobie wyobrażał. Miał przecucie, był wręcz przekonany, że była poważna. Młody człowiek nie kłamał. Rzeczywiście weszli na teren posiadłości niejakiego Dubreuila. Co za dom! Petitjean nigdy wcześniej takiego nie widział. Wokół dworca nie było podobnych rezydencji ani w innych dzielnicach, które znał. Kto mógłby sobie taki kupić? Bez wątpienia za brudne pieniądze - stwierdził.

Należało przeprowadzić śledztwo, nie budząc podejrzeń komendanta, który na pewno wszystko by zatrzymał albo odebrał mu szansę na ujawnienie tego, czego był pewien - swojego wielkiego talentu policyjnego.

Dworzec lyoński niedługo będzie musiał się bez niego obyć.

31

Posiadłość rysowała się na tle wciąż jeszcze jasnego wieczornego nieba - mroczna budowla skrywająca tajemnice i sekrety.

Zaprowadzono mnie do biblioteki. Przechodząc przez hol, nie mogłem się powstrzymać i rzuciłem okiem na salon, gdzie widziałem przedtem młodą nagą kobietę na fortepianie. Teraz instrument stał smętnie w półmroku ogromnego pokoju, bez muzy i muzyka, który tchnąłby w niego życie.

Zastałem Dubreuila palącego papierosa, wygodnie usadowionego w jednym z głębokich skórzanych foteli w bibliotece. Byłem pewien, że nie kazał mnie śledzić od momentu, kiedy znalazłem się w miasteczku Lacoste. Moja misja zdawała się niewykonalna. Nie mógł podejrzewać, że oddałem się w ręce policji.

Catherine siedziała naprzeciwko niego. Przywitała mnie. Na stojącym przed nimi niskim stole zauważyłem mój portfel i resztę rzeczy osobistych.

- Widzisz, ostatecznie pieniądze niczemu nie służą, można się bez nich bardzo dobrze obejść! - powiedział, trzymając w ustach olbrzymie cygaro Montecristo.

Co kryło się za jego uśmiechem? Cóż ten zagadkowy człowiek chciał ode mnie uzyskać w ostatecznym rozrachunku?

A jeśli inspektor miał rację? Być może to emerytowany guru sekty, który zdobywszy pieniądze od swoich uczniów, zabrał się do ostatniej zbląkanej owieczki, żeby zająć czymś czas.

- Nie opowiedziałeś mi jeszcze, jak się potoczyło spotkanie z twoim prezesem.

Od tego epizodu wydarzyło się tak wiele, że wydawał mi się już bardzo odległy.

- Nieźle - odrzekłem zwięźle.

Umierałem z głodu od półtora dnia, ale Dubreuil nie spieszył się z przejściem do stołu.

- Udało ci się oprzeć chęci usprawiedliwiania się wobec jego uszczypliwości? Zadawałeś mu w zamian kłopotliwe pytania?

- Tak i poszło bardzo dobrze. Chciałem jednak wynegocjować dodatkowe środki dla naszego działu, ale nie udało mi się wiele zyskać. Powiniennem był coś w sobie zmienić.

- Czy wystarczająco się starałeś, żeby wejść w jego świat i zrozumieć jego sposób myślenia, zanim zacząłeś go przekonywać?

- Tak. Mniej więcej. Powiedzmy, że próbowałem mu pokazać, iż moje pomysły uwzględniają jego kryteria wydajności i opłacalności. Sądzę jednak, że nasze wartości są zbyt różne, abym przejął jego wizję spraw czy choćby udawał, że ją przejąłem. Wie pan, trudno utożsamiać się z wartościami wroga.

Dubreuil zaciągnął się cygarem.

- Nie chodzi o to, żebyś przejmował jego wartości. Jeśli nie zgadzają się z twoimi, to niemożliwe, żebyś je uznał za swoje. Ale należy odróżniać człowieka od jego wartości. Nawet jeśli te ostatnie są odrażające, człowiek ciągle jest... godny uwagi. A więc tym, co się liczy, nie jest ocenianie wartości danej osoby. Nawet jeśli cię szokują, jedyną nadzieją na sprawienie, żeby ta osoba zaczęła ewoluować, jest nieodrzućcie jej razem z tym, co myśli. Wejście w świat innego człowieka oznacza próbę postawienia się na jego miejscu, tak jakbyś był w jego skórze, żeby doświadczyć od środka, jak to jest wierzyć w to, w co on wierzy, myśleć tak samo, czuć to samo, zanim wrócisz na swoją pozycję. Jedynie taka postawa pozwoli ci naprawdę go zrozumieć bez oceniania. Zrozumiesz, co go popycha do działania i co sprawia, że się myli? jeśli tak się dzieje.

- Pewnie tak...

- Jest różnica między przejmowaniem a rozumieniem. Jeśli wystarczająco postarasz się znaleźć na miejscu swojego szefa, żeby zrozumieć jego sposób myślenia bez oceniania go, będziesz w stosunku do niego raczej tolerancyjny, a on to odczuje. Odtąd będziesz mógł żywić nadzieję, że się zmieni...

- Nie jestem pewien, czy on słucha opinii innych na swój temat ani czy go to obchodzi! Ale dobrze, załóżmy, że tak jest i że udaje mi się wystarczająco wejść w jego świat, aby nie czuł się oceniany lub też odrzucony. Czy nie ryzykuję, że tylko go utwierdzę w jego sposobie postępowania?

- Pamiętaj, jak kiedyś synchronizowaliśmy swoje gesty? W pewnej chwili powiedziałem ci, że jeśli robi się to wystarczająco długo, ze szczerą intencją wejścia w świat

drugiej osoby, to kiedy zmieni się pozycję, rozmówca robi to samo, nawet sobie tego nie uświadamiając.

- Tak.

- Myślę, że nawiązuje się pewnego rodzaju fuzja na poziomie podświadomości, bardzo głębokim, nawet jeśli nie zamieniło się z drugą osobą ani słowa. Ta jakość relacji jest odczuwana w ten czy inny sposób i jest tak rzadka, że każdy chce ją zachować, sprawić, żeby trwała.

- Rozumiem...

- Odpowiadając zatem na twoje wcześniejsze pytanie, powiedziałbym, że jeśli uda ci się bez oceniania wejść w świat twojego wroga, wślizgując się w jego skórę, przejmując jego odczucia i sposób myślenia, jeśli uda ci się stworzyć tę bardzo rzadką jakość relacji międzyludzkiej, jakiej być może nigdy wcześniej nie doświadczył, to w głębi duszy bardzo będzie chciał ją zachować. Wystarczy wówczas, że będziesz sukcesywnie stawał się sobą w jego obecności, wyrażając w naturalny sposób swoje wartości, a on się nimi zainteresuje. Nie będziesz musiał prosić go, żeby się zmieniał, ani dawać mu lekcji moralności. Bycie sobą wystarczy dzięki relacji, którą udało ci się stworzyć. Twój rozmówca nieświadomie nabierze ochoty na otwieranie się przed tobą, na twoją odmienność, zechce odkrywać twoje wartości i w końcu pozwoli wywrzeć na siebie pewien wpływ, zacznie zmieniać swój punkt widzenia.

- Chce pan powiedzieć, że kiedy wejdę na jego teren, on nabierze ochoty, żeby wejść na mój?

- W pewnym sensie. Pozostając sobą, pokażesz mu wtedy inny model świata, inną wizję spraw, inny sposób zachowania i działania. Zainteresuje się tym, a ty nie będziesz musiał czynić mu uwag.

- To mi przypomina naszą rozmowę o Gandhim...

- Tak. „Sami musimy być zmianą, którą chcemy zobaczyć w świecie”.

Zamyśliłem się. Ta perspektywa wydawała mi się zarazem bardzo piękna, godna podziwu i trudna do zastosowania. Czy miałbym ochotę, odwagę i cierpliwość niezbędne do stworzenia takiej relacji, jaką Dubreuil uważał za konieczną, by zmieniać innych?

- Wie pan, niezmiernie trudno mi postawić się na jego miejscu. Czuję się tak inny, oddalony o lata świetlne od jego problemów... Mówiąc wprost, nie mogę zrozumieć, co popycha ludzi takich jak on do nieustannej walki o kilka punktów więcej na giełdzie albo kilka setnych w szacowanej wydajności przedsiębiorstwa. Jaki ma w tym interes? Jeśli spojrzysz się z lekkim dystansem, z perspektywy całego życia, to co się ostatecznie zyskuje? Jak można mieć jego poziom inteligencji i rzucać się na oślep w szalony wyścig w celu

rozwijania czegoś, co zawsze będzie tylko firmą? Czy nie jest to pozbawione sensu? Życie dla... firmy. To mi się wydaje tak mało warte. Kiedy byłem w Stanach Zjednoczonych, poznałem Briana, chłopaka, który miał zwyczaj mówić: Chcesz rozśmieszyć Boga? Opowiedz Mu o swoich planach!

Catherine wybuchła śmiechem. Zapomniałem o jej obecności. Dubreuil upił łyk burbona.

- Może dla twojego szefa to sposób, żeby zapomnieć o dramacie egzystencji...

- Dramacie egzystencji?

- Widzisz, jestem przekonany, że to nie przypadek, iż w kadrach zarządzających jest o wiele więcej mężczyzn niż kobiet. Sądzę, że ci, którzy mówią o dyskryminacji kobiet, mylą się. Poza tym finansiści, w rękach których znajduje się nasza ekonomia, nie zwracają uwagi na płeć osób, które stawiają na czele firm, gdzie plasują kapitał. Nie interesuje ich dana osoba. W ich oczach liczą się jedynie wyniki. Nie, myślę, że niewielką liczbę kobiet na kierowniczych stanowiskach należy tłumaczyć czymś innym.

Catherine podniosła oczy znad swojego notatnika i spojrzała na Dubreuila.

- Czym? - zapytałem.

- Kobiety mają dar z niebios, są tak bardzo uprzywilejowane, że nie mają potrzeby walczyć o tego rodzaju bzdury.

- Chce pan powiedzieć...

- Kiedy jest się zdolnym do stworzenia duszy, nowego życia, noszenia go w sobie, a potem ofiarowania go całemu wszechświatowi, myślisz, że można się pasjonować notowaniami giełdowymi akcji?

Stworzyć duszę... Prawda, że to niezwykle, kiedy się o tym pomyśli. Przyjście dziecka na świat jest czymś tak powszechnym, że zapomina się o niezwykłości, wielkości, magii tego niesłychanego zdarzenia. Stworzyć duszę...

Wierny swoim zwyczajom, Dubreuil obracał w dłoni kieliszek burbona.

Te słowa w jego ustach w pewnym sensie mnie uspokoiły, gdyż od czasu lektury jego notesu czułem zagrożenie. Skoro zachwycał się w ten sposób fenomenem życia, czy mógłby mu zagrozić?

Catherine patrzyła w pustkę, zagubiona w swoich rozmyślaniach.

- My mężczyźni - mówił dalej - w najgłębszej warstwie naszej podświadomości jesteśmy dręczeni niezdolnością noszenia i dawania życia. Jestem przekonany, że ambicje zawodowe, tak często spotykane u większości nas, pochodzą z nierozwiązywalnej potrzeby zrekomensowania tego braku, z potrzeby wypełnienia tej egzystencjalnej pustki.

- Naprawdę tak pan sądzi?

- Wystarczy uważnie słuchać rozmów kadr zarządzających. Słownictwo, jakiego używają, nie jest przypadkowe. To po części odzwierciedlenie ich duszy... Posłuchaj uważnie kierowników, a często usłyszysz metafory odwołujące się do ciąży i porodu. O projekcie, który powstawał z trudem, można powiedzieć, że rodził się w bólach albo że poród był skomplikowany. Jeśli pomysł jest nietrafny, mówimy, że jest poroniony, czyż nie? Jeśli jego realizacja trwa w nieskończoność i ciągle wymaga nowych środków finansowych oraz pomocy, można powiedzieć, że jest przenoszony. Jeśli początkowo ambitny projekt przynosi rozczarowanie? Góra urodziła mysz. Zbliża się do końca? Zbliża się do rozwiązania. Projekt się konkretyzuje? To projekt, który ujrzy światło dzienne...

Siedziałem niemo, oszołomiony. Nigdy nie wyobrażałem sobie czegoś podobnego, nigdy nie myślałem o takim związku. Dla mnie szaleńczy pęd do władzy był rezultatem połączenia agresji i energii współzawodnictwa, najzwyczajniejszych atrybutów męczyzny...

Zabawnie było słyszeć to wszystko z ust Dubreuil, który zawsze wydawał mi się spragniony władzy. Czyżby był aż tak oświecony?

Być może mizoginizm pewnych męczyzn skrywa poczucie niższości.

- Jeśli wrócimy do mojej sytuacji w biurze, nie wiem, czy mój prezes jest zazdrosny o żonę, czy też po prostu ma zbyt wysoki poziom testosteronu, który wystrzela go w kosmos. Tak czy inaczej niczego nie mogę od niego uzyskać.

Dubreuil przez chwilę wyglądał na zdenerwowanego. Czy miał mi za złe, że nie zdołał wpoić mi wszystkich swoich nauk, czy też miał pretensje do siebie, że nie udało mu się wysławić tak skutecznie, jak by tego chciał?

Rzucił cygaro do wielkiej popielniczki obitej pikowaną skórą.

- Masz teraz w sobie niezbędne narzędzia, żeby wziąć życie w swoje ręce i nie poddawać się temu, co narzucają ci inni.

Jednym haustem dopił burbona, gwałtownie odstawił kieliszek na stolik i wstał.

Catherine wpatrywała się nadal w swoje notatki.

- Oto co zrobisz - powiedział z makiawelicznym uśmiechem, chodząc wzdłuż bibliotek pełnych książek. - To nowe zadanie, które musisz wypełnić.

- Tak?

Powietrze było przesiąknięte zapachem cygara.

- Myślisz, że twój szef jest w błędzie i jego decyzje są szkodliwe dla firmy?

- To mi się wydaje oczywiste.

- Masz uczucie, że należałoby zarządzać inaczej, łącząc kryteria czysto finansowe z

innymi elementami?

- Dokładnie.

- Musisz zatem zająć jego miejsce.

- Bardzo zabawne.

Spojrzał mi w oczy.

- Nie żartuję, Alan.

- Ależ oczywiście!

Zmarszczył brwi.

- Zapewniam cię, że nie.

Nagle ogarnęły mnie poważne wątpliwości. Czy naprawdę mówił... serio?

Wobec mojego ewidentnego zakłopotania przyglądał mi się przez kilka chwil.

- Co ci w tym przeszkadza? - zapytał słodziutkim głosem.

Poczułem się zupełnie wytrącony z równowagi tym pytaniem, było niezwykle nie na miejscu. Co odpowiedzieć osobie, która grzecznie pyta, co stoi ci na przeszkodzie, żeby zostać ministrem albo międzynarodową gwiazdą?

- Ale... to chyba... jasne... Bądźmy realistami. Istnieją ograniczenia, jeśli chodzi o to, co można osiągnąć, mimo wszystko.

- Jedyne ograniczenia to te, które sami sobie nakładamy.

Czułem, jak wzbiera we mnie złość. Znałem go zbyt dobrze, aby wiedzieć, że tak tego nie zostawi. Byłem w tarapatach. Ten człowiek zdecydowanie balansował między olśnieniami, wnikliwością analizy a szaleńczymi pomysłami.

- Zdaje pan sobie sprawę, że to nawet nie jest mój szef bezpośredni? To szef szefa mojego szefa! Dzielą nas trzy stopnie w hierarchii!!!

Catherine podniosła wzrok i wpatrywała się w Dubreuila.

- Ten, kto chce wspiąć się na szczyt góry, nie może cofać się przed jej wielkością.

- Ale czy pan w ogóle kiedykolwiek pracował w firmie? Szczebli nie przeskakuje się ot tak! Są określone zasady!

- Ten, kto podporządkowuje się zasadom, unika myślenia. Jeśli będziesz myślał o pozostaniu jedynie szeregowym pracownikiem, nigdy nie znajdziesz rozwiązań, o których inni już pomyśleli. Musisz wyjść poza swoje tory myślowe...

- To piękne słowa, ale tak konkretnie to co by pan zrobił na moim miejscu?

Usiadł na podłokietniku swojego fotela i przyglądał mi się z uśmiechem.

- Radź sobie, Alan. Zaczepnij ze swoich źródeł.

Wstałem, zdecydowany wyjść. Nie miałem zamiaru zostać na obiad u szaleńca.

- Nie mam żadnych możliwości, żeby to wykonać.

Powiedział powoli, niskim głosem:

- To twoja ostatnia misja. Wypełnij ją, a zwrócę ci... wolność.

Wolność... Wolność... Spojrzałem na niego. Uśmiechał się spokojnie, widocznie przekonany co do słuszności swojego pomysłu.

- Nie może pan uzależniać mojej wolności od niewykonalnego zadania. Nie mogę się zgodzić.

- Ale... niestety, nie masz wyboru, mój drogi Alanie. Czy mam ci przypomnieć... twoje zobowiązanie?

- Jak według pana mam dotrzymać zobowiązania, jeśli jest ono niemożliwe do wypełnienia?

Spojrzał mi w oczy władczo, wymagająco, bezlitośnie.

- Nakazuję ci zostać prezesem Dunker Consulting.

Jego stanowczy głos odbił się echem w ciszy wielkiego pokoju.

Wytrzymałem jego wzrok, nie złamałem się.

- Daję ci trzy tygodnie - powiedział.

To niemożliwe.

- To rozkaz. Znajdź mnie niezależnie od tego, co się wy. darzy dwudziestego dziewiątego sierpnia. Będę na ciebie czekał o dwudziestej w restauracji... Jules Verne.

Moje serce zamarło. Jules Verne... restauracja na wieży Eiffla. Wypowiedział to, zniżając głos, wymawiając nazwę bardzo wolno, nie spuszczać mnie z oczu. Groźba była ewidentna, straszna. Poczułem, że nogi mam jak z waty. Moje nadzieje były na nic. Wpadłem w ręce szaleńca.

Kilka sekund, które wydały mi się bardzo długie, siedzieliśmy nieruchomo w ciszy, twarzą w twarz. Potem wyszedłem. Idąc w stronę drzwi, napotkałem wzrok Catherine. Był równie przerażony jak mój.

32

- Yves Dubreuil nie istnieje.

- Słucham?

- Mówi inspektor Petitjean. Dobrze pan usłyszał, Yves Dubreuil nie istnieje.

- Jeszcze dwie godziny temu rozmawiałem z nim.

- Naprawdę nazywa się Igor Dubrovski.

Słyszając to nazwisko, natychmiast poczułem jakiś nieokreślony niepokój. Nie wiedziałem dlaczego.

- To Rosjanin - mówił dalej policjant - szlachcic. Jego rodzice opuścili Rosję podczas rewolucji. Zabrali ze sobą znaczną sumę pieniędzy. Musiała to być niezła kupa szmalu. Później dzieciak skończył studia we Francji i Stanach Zjednoczonych. Został psychiatrą.

- Psychiatrą?

- Tak, lekarzem psychiatrą. Ale zawód wykonywał w bardzo ograniczonym zakresie.

- Dlaczego?

- Na razie brakuje mi informacji, jest niedziela... Niełatwo się czegoś dowiedzieć... Zdaje się, że został wykluczony z towarzystwa lekarskiego. Mówiono mi, że zdarza się to niezwykle rzadko, musiał więc popełnić jakieś poważne wykroczenie.

- Poważne wykroczenie...

Zamyśliłem się.

- Na pańskim miejscu strzegłbym się go.

W tej chwili usłyszałem jakiś bełkot na drugim planie. Strzępki słów: „Z kim pan rozmawia, Petitjean? Kto to?”. Stłumione odgłosy. Inspektor musiał zasłonić dłonią słuchawkę. „Centrala dzwoniła - usłyszałem. Mówili, że prosiłeś o kartoteki. Co to za burdel? Nie chcę tu żadnych kłopotów, Petitjean, jasne? Poza tym...” - Słuchawka została odłożona. Świadczył o tym powtarzający się przerywany dźwięk.

Rozłączyłem się. Nagle poczułem się zupełnie sam. Dotkliwie sam. Wzbierał we mnie niepokój. Moje mieszkanie wydało mi się bardzo ciche, puste. Podszedłem do okna. Niezliczone światła Paryża nie pozwalały mi dostrzec gwiazd.

Byłem oszołomiony. Już to, że Dubreuil okłamał mnie co do swojej tożsamości, budziło obawę. Człowiek, któremu powierzyłem swój los, nie był tym, za kogo go uważałem.

Poważne wykroczenie... Jak daleko sięgała powaga popełnionego przez niego czynu?

Nerwowe i fizyczne zmęczenie nagromadzone od czasu mojego uprowadzenia dwadzieścia cztery godziny temu spadło na mnie i ogłuszyło jak maczuga. Czuję się pusty, bez sił.

Zgasilem światło i rzuciłem się na łóżko. Mimo wyczerpania sen jednak nie nadchodził.

Myśl o zobowiązaniu wobec DubreUILa bez przerwy do mnie wracała, ogłuszająca i dusząca, a strach powoli przejmował nade mną kontrolę.

„Na życie”.

Ten człowiek był zdolny przejść do czynów, teraz byłem pewien.

*

Obudziłem się w środku nocy, zlany potem. Odpowiedź przyszła we śnie, w czasie

gdy nasza podświadomość jako jedyny kapitan jest zdolna odnaleźć zagubiony element w bezdennej studni naszej świadomości, naszych doświadczeń i miliardów informacji od dawna zapomnianych, zagubionych w otchłani umysłu.

Dubrovski to nazwisko autora artykułu o samobójstwie, artykułu, dzięki któremu dowiedziałem się o istnieniu przejścia, którym można dostać się na belki wieży Eiffla. To miejsce zostało opisane jako idealne do popełnienia spektakularnego samobójstwa.

33

Cały następny dzień pozostawałem w dziwnym stanie. Oprócz towarzyszącego mi stale głuchego strachu znowu czułem się okropnie samotny. Sam na świecie. Bez wątplenia to było najtrudniejsze do zniesienia.

W tym wrogim otoczeniu jedynie Alice zasługiwała na moją sympatię. Oczywiście była tylko znajomą, nawet nie przyjaciółką, ale doceniałem jej szczerść, naturalność. Czułem, że mnie lubi, tak po prostu, bez żadnych podtekstów i wyrachowania. To już dużo.

W ciągu dnia przyjąłem czterech kandydatów. Nieznajomi, którzy opowiadali mi o swoim życiu w samych superlatywach. Zacząłem im zazdrościć. Pragnąłem być na ich miejscu, tak jak oni oddać się beztrósce życia zawodowego w celu zrobienia kariery i nie zadawać sobie metafizycznych pytań na temat swojego losu. Miałem ochotę stać się ich przyjacielem, zapominając o tym, że ich miłe uśmiechy miały na celu jedynie zdobycie moich względów rekrutującego.

Wyszedłem z biura wcześniej. Przed domem zatrzymałem się obok Etienne'a. Usiedliśmy razem na zniszczonych, starych kamiennych schodach. Nie wiem dlaczego, ale jego obecność i spokojny wyraz twarzy działały na mnie uspokajająco. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, jedząc jeszcze ciepłe pierożki z pomidorami, które kupiłem w piekarni naprzeciwko. Piesi przechodzili przed naszymi oczyma, zabiegani, mimo że dzień się już kończył.

Kiedy wróciłem do domu, przetrząsnąłem całe mieszkanie w poszukiwaniu ewentualnych podsłuchów. Niczego nie znalazłem.

Potem usiadłem przed komputerem i połączyłem się z Internetem. W Googlach wpisałem „Igor Dubrovski” i ze ściśniętym żołądkiem zacząłem wyszukiwanie. Siedemset trzy wyniki. Większość w nieznanym mi języku, pewnie po rosyjsku... Przeglądałem linki w poszukiwaniu zrozumiałych informacji. Zauważyłem kilka linijek po francusku. Lista nazwisk, po których następowały dane procentowe: „Bernard Vialley 13,4%, Jérôme Cordier

8,9%, Igor Dubrovski 76,2%, Jacques Ma...”.

Rzuciłem okiem na adres strony: societe.com - strona 2 informacjami finansowymi na temat przedsiębiorstw. Bez kpienia wykorzystano tu podwójny sens słowa: societe, oznaczającego zarówno „towarzystwo”, jak i „firma”. Klikną-feni dla spokoju sumienia. Strona systemu Web przedstawiała listę akcjonariuszy firmy o nazwie Luxares S.A. Żadnego związku. Wróciłem do listy wyników wyszukiwania... Jeszcze jedna strona po francusku: Czy Dubrovski zabił François Littreca? Zadrzałem. Informacja została opublikowana przez stronę gazety: lagazettedetoulouse.com. Serce waliło mi coraz szybciej. Kliknąłem.

Błąd. Strona nie istnieje. Cholera, mogliby uaktualnić swoje linki.

Powrót do wyszukiwarki Google. Kolejne artykuły przywołujące prawdopodobnie tę samą sprawę, opublikowane na stronach różnych gazet: Proces Dubrovskiego, Oskarżony bierze sprawy w swoje ręce. Kliknąłem. Tekst komentował przebieg procesu, ale zamiast opisać sprawę przedstawiał zachowanie niejakiego Dubrovskiego wobec zgromadzonych. Jak pisano, oskarżony bez przerwy uciszał swojego adwokata i zabierał głos zamiast niego. Artykuł donosił, że przysięgli byli widocznie zdenerwowani jego wystąpieniami...

Przysięgli... Chodziło więc o ławę przysięgłych, a przed nią stawało się za zabójstwo.

Znalazłem kolejny artykuł: Czy pewnego dnia poznamy prawdę? Dziennikarz wyjaśniał, że nastąpił zwrot w procesie, i dziwił się, że człowiekowi, którego policja przedstawiła jako jednoznacznie winnego, udaje się zasiać wśród członków ławy przysięgłych wątpliwości.

We wszystkich artykułach pisano mniej więcej o tym samym. Wszystkie pochodziły z lat siedemdziesiątych. Prawie trzydzieści lat... Dzienniki umieszczały swoje archiwalne materiały w Internecie.

Pewien artykuł z „Le Monde” nosił tytuł: Freudzie, obudź się, oszaleli! Kliknąłem. Był podpisany nazwiskiem Jean Calusacą i został napisany w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku. W długim tekście podważano metody, określone jako niebezpieczne, stosowane przez psychiatrę Igora Dubrovskiego. Zadrzałem. To on... Autor omawiał modele psychoterapeutyczne, zapoczątkowane w Stanach Zjednoczonych, których Dubrovski był apostołem. Ostro je krytykował. Artykuł nie pozostawiał miejsca na wątpliwości co do winy Dubrovskiego. Wydawało się oczywiste, że skłonił młodego François Littreca do popełnienia samobójstwa we wciąż jeszcze zagadkowych okolicznościach. Calusacą domagał się kary śmierci.

Byłem przerażony. Wpadłem w ręce niebezpiecznego psychiatry, zdecydowanie bardziej szalonego niż ludzie, których leczył, kiedy jeszcze praktykował... Mój Boże...

Znalazłem też inne artykuły. Nagle wpadło mi w oczy słowo „uniewinniony”. Dubrovski uniewinniony - donosił „Le Parisien”. Kliknąłem.

Uniewinnienie Dubrovskiego jest problematyczne w kontekście uprawianego przez niego zawodu. W jaki sposób sąd - pisał dziennikarz - mógł uwolnić człowieka, którego wina była tak ewidentna?”.

W innym artykule zastanawiano się, czy psychiatra nie zahipnotyzował przysięgłych, żeby wpłynąć na ich głosowanie, i przytaczano dziwne zeznania osób obecnych na rozprawie.

Dwa kolejne artykuły zajmowały się wyrzuceniem Dubrovskiego z towarzystwa lekarskiego i zwracały uwagę na brak przejrzystości decyzji podejmowanych przez tę instancję, która odmawiała udzielenia prasie informacji na temat przyczyn swojego postanowienia.

Dowiedziałem się wystarczająco dużo.

Wyłączyłem komputer ze ściśniętym żołądkiem. Musiałem się chronić i wydostać z tego piekła. Ale jak to zrobić? Jedno było jasne: na pewno nie przez próbę wypełnienia niemożliwej misji, którą mi wyznaczył.

Od dwóch dni rozważałem wszelkie możliwości. Żadna mnie nie satysfakcjonowała. Musiałem przyznać, że odkąd policja odmówiła mi ochrony, nie było dobrego rozwiązania. W końcu uznałem, że moją jedyną nadzieją jest przekonanie Dubreuil, żeby zrezygnował z powierzonego mi zadania, odwołując moją ostatnią misję. To było najrozsądniejsze. Zamierzałem zrobić użytek z jego nauk, wykorzystując je przeciwko niemu i nakłaniając do zmiany zdania.

Zbudowałem precyzyjny scenariusz, przygotowałem kolejne zachowania, pytania i argumenty, starałem się wyprzedzić jego możliwe obiekcje, wyobrażając sobie wszelkie możliwości i reakcje, z jakimi mogłem się zetknąć.

Przez kilka dni szlifowałem mój plan, aż do momentu, kiedy się zorientowałem, że już od dawna jestem gotowy, a moje zbyt dokładne przygotowania można było tłumaczyć jedynie chęcią odłożenia działania na później. Dubreuil napawał mnie strachem. Bałem się już na samą myśl, że będę musiał wrócić do jego jaskini i dobrowolnie wpaść w jego łapy.

W końcu starannie zaplanowałem akcję. Zdecydowałem, że przyjdę do niego niespodziewanie, pewnego wieczoru po kolacji, w porze, kiedy poziom jego energii będzie bez wątpienia najniższy, na krótko przed odejściem lokajów.

Pojawiłem się w alei, przy której mieszkał, około dwudziestej pierwszej trzydzieści. Wysiadłem z autobusu jeden przystanek wcześniej. Spacerując, chciałem dotlenić mózg i

pozbyć się wywołanego tremą ucisku w żołądku. Zapach topól unosił się w powietrzu. Było gorąco i duszno, zanosilo się na burzę.

W dzielnicy panował spokój, mimo że część mieszkańców wróciła już z lipcowych wakacji. W myślach powtarzałem sobie różne możliwe scenariusze. Miałem marne szanse, ale miałem też nadzieję, podsycaną natychmiastową koniecznością uwolnienia się od Dubreuila.

Kontury pałacyku rysowały się coraz wyraźniej, w miarę jak się do niego zbliżałem. Zatrzymałem się przed wysokim ciemnym ogrodzeniem o ostrych złowróżbnych zakończeniach. Okna fasady były pogrążone w mroku. Panowała martwa cisza, miejsce wydawało się opustoszałe. Od czasu do czasu niebo rozświetlały błyskawice, choć nie było słychać grzmotu piorunów.

Zawahałem się. Odczekałem chwilę, zanim zadzwoniłem. Wpatrywałem się w ciemność. Nagle usłyszałem gwałtowny, podniesiony głos. Należał do kobiety. Światło w holu się zapaliło.

- Mam tego dość! Powyżej uszu! - krzyczała.

Drzwi otworzyły się nagle, a w świetle pojawiła się sylwetka. Byłem sparaliżowany, zaskoczony, niczego nie rozumiałem. Młoda kobieta pokonująca stopnie zewnętrznych schodów to... Audrey, moja ukochana...

Zanim udało mi się wykonać jakikolwiek ruch, otworzyła gwałtownie furtkę i stanęła ze mną oko w oko. Zatrzymała się i zamarła w bezruchu. Widziałem na jej twarzy zdumienie, oczy miała szeroko otwarte.

- Audrey...

Nie odpowiedziała, ale wpatrywała się we mnie rozdzierającym wzrokiem, z twarzą przepełnioną bólem.

Ciemne niebo coraz częściej rozdzierały błyskawice, nadal w ciszy.

- Audrey...

Łzy popłynęły z jej oczu. Cofnęła się, żeby uciec.

- Audrey...

Zrobiłem krok w jej stronę. Zalały mnie emocje. Byłem rozdarty między nieustającym pragnieniem jej a nieznośnym bólem, jakiego przysporzyło mi jej odrzucenie.

Zatrzymała mnie gestem dłoni, płakała. Szlochając, powiedziała:

- Ja... nie mogę.

Potem uciekła. Biegła, nie odwracając się.

Mój ból szybko przerodził się w gwałtowną złość. Zapominając o strachu, rzuciłem się na żelazne pręty furtki. Zamknięta. Dzwoniłem jak wariat, naciskając dziesiątki razy przycisk, a potem trzymając na nim palec bez przerwy.

Nikt nie odpowiadał.

Złapałem za pręty obiema dłońmi i szarpałem, jak tylko mogłem najmocniej, wyładowując złość, krzycząc z całej siły, co spowodowało nieprzerwaną lawinę ujadów Stalina.

- Wiem, że pan tam jest!

Zadzwoiłem znowu, na próżno. W końcu rozpętała się burza, pioruny waliły głucho. Pojawiły się pierwsze krople, z początku rzadkie i ciepłe, szybko jednak przybrały na sile i deszcz lunął strumieniami.

Bez zastanowienia rzuciłem się na ogrodzenie. Pionowe pręty, mokre i śliskie, nie dawały żadnego oparcia, ale wściekłość zwiększała moją energię. Wspiąłem się na furtkę i opierając stopy o poprzeczkę między szpikulcami, skoczyłem. Krzaki zamortyzowały mój upadek. Wstałem i z trudem łapiąc oddech, puściłem się w kierunku ciężkich drzwi. Wpadłem do zimnego holu. Z salonu padał snop światła. Wielkimi susami przebyłem hol, stukając obcasami o marmur. Wszedłem do salonu. Atmosfera spokoju, którą tworzyły przygaszone światła, kontrastowała z moją wściekłością. Natychmiast zauważyłem Dubreuila. Siedział do mnie tyłem, nieruchomo, obok pianina, z rękami na kolanach. Byłem przemoczony do suchej nitki. Woda błyszczała mi na twarzy, spływając z ubrania na perski dywan.

- Jesteś zły - powiedział najspokojniej w świecie, nie odwracając się. - To dobrze. Nigdy nie należy tłumić w sobie frustracji czy urazy... No dalej. Wyraż to. Krzycz, jeśli chcesz.

Jego słowa zwały mnie z nóg. Chciałem na niego nakrzyczeć, ale... krzyk sprowadzałby się do wypełniania jego polecenia. Czułem, że znalazłem się w pułapce, podciął mi skrzydła. Miałem ohydne uczucie, że jestem marionetką, której emocjami i działaniami można manipulować, pociągając za niewidzialne sznurki. Chciałem skończyć z tym, że wywierał na mnie wpływ.

- Co pan robił z Audrey?! - wrzasnąłem.

Brak odpowiedzi.

- Co ona u pana robiła?!

Cisza.

- Zabraniam panu mieszać się do mojego życia uczuciowego! Nasza umowa nie upoważnia pana do zabawiania się moimi uczuciami!

Nadal nie odpowiadał. Zauważyłem Catherine. Siedziała na jednej z kanap w rogu salonu. Mówiłem dalej:

- Wiem, że gardzi pan miłością. To się dla pana nie liczy. Tak naprawdę nie jest pan zdolny kochać. Spotyka się pan z kobietami o połowę młodszymi, bo boi się pan pokochać naprawdę. Dobrze jest umieć dostawać to, czego się w życiu chce, mieć odwagę oznajmiać swoją wolę i spełniać marzenia. Muszę panu przyznać, że to cenne. A jednak niczemu nie służy, jeśli nie jest się zdolnym do miłości, do pokochania jednej osoby, polubienia innych... Pali pan w miejscach publicznych, jeździ pasami dla autobusów i po chodnikach. Ma pan gdzieś dobre samopoczucie innych. Co to daje, jeśli ma się wszystko, czego się zapragnie, ale jednocześnie odcina się od innych? Nie można żyć tylko dla siebie. Wtedy życie nie ma sensu. Cały luksus świata nie może zastąpić piękna relacji, czystości uczucia ani nawet choćby szczerego uśmiechu sąsiada czy przechodnia, któremu przytrzyma się drzwi. Pańskie teorie są doskonałe, skuteczne, genialne wręcz, ale zapomina pan o jednej najważniejszej sprawie: zapomina pan kochać.

Zamilkłem, a mój głos, którego siłę wzmocniła złość, ucichł w ogromnym pokoju, ustępując miejsca absolutnej ciszy. Dubreuil cały czas był odwrócony plecami. Catherine spuściła wzrok. Oboje trwali nieruchomo.

Odwróciłem się. Kiedy doszedłem do drzwi, obejrzałem się.

- I niech pan zostawi w spokoju Audrey!

*

Słowa młodego człowieka jeszcze długo rozbrzmiewały w obszernym salonie. Potem zapanowała cisza.

Catherine była zszokowana sceną, która właśnie się rozegrała. Nieprzyzwyczajona do wyładowań emocjonalnych, nie znosiła być ich świadkiem.

Nie odezwała się ani słowem. Czekwała na reakcję Igora.

Dubreuil siedział nieruchomy z poważną miną, ze wzrokiem ciągle wbitym w podłogę.

Cisza trwała wieczność. W końcu Catherine usłyszała, jak wyszeptał złamanym głosem:

- On ma rację.

fundamenty, na jakich stałem.

Im dalej brnąłem w relację z Dubreuilem, a raczej Dubrovskim, tym więcej niewyjaśnionych zdarzeń miało miejsce. Sprawiały, że nasza znajomość stawała się coraz bardziej zagadkowa. Jak mógł do tego stopnia wedrzeć się w moje życie? A przede wszystkim: co zamierzał? Nie był tylko starym psychiatrą, któremu brakowało pacjentów. To był niebezpieczny szaleniec, manipulator zdolny do wszystkiego.

Wiedziałem, że nastąpiłem mu na odcisk. Uderzyłem w jego teorie na temat stosunków międzyludzkich. Żeby w relacji stało się coś naprawdę magicznego, należy pozwolić sobie pokochać drugiego człowieka. Pokochać. To klucz. Bez wątpienia. Klucz wszelkich relacji, tak przyjacielskich, jak i zawodowych. Dubrovski nie miał tego klucza. Mnie też go brakowało, gdy miałem przekonać do czegokolwiek mojego szefa. Nie lubiłem go i musiał to czuć... Wszelkie moje wysiłki były czynione na próżno, były bezużyteczne. Musiałem znaleźć sposób, żeby wybaczyć mu jego wstrętne zachowanie i choć trochę go polubić. Tylko pod tym warunkiem będzie mógł rzeczywiście otworzyć się przede mną, otworzyć się na moje pomysły, moje propozycje... Ale jak znaleźć odwagę, żeby polubić swojego najgorszego wroga?

Po pracy zmierzałem do domu. Gdy znalazłem się na mojej ulicy, ta znajoma okolica sprawiła, że udało mi się trochę rozluźnić. Montmartre jest taki przyjemny. Zapomniałem prawie, że jestem w wielkim mieście.

Nadal pogrążony w myślach i rozważaniach na temat miłości, zauważyłem nagle starą sąsiadkę, która szła w moim kierunku, jak zwykle ubrana na czarno od stóp do głów. Od czasu ostatniej wizyty u mnie nie odzywała się ani słowem.

Nasze spojrzenia się spotkały, ale odwróciła wzrok, udając, że zainteresowała ją najbliższa witryna sklepowa. Niestety, trafiła na butik z wyjątkowo frywolną bielizną... Stała, wpatrując się w stringi i podwiązki na manekinach w bardzo sugestywnych pozach. W samym środku witryny, tuż przed nią, widniała rada, której nie mogła nie zauważyć: „Lekcja 36 podkreśl krągłości”. Gwałtownie odwróciła głowę i poszła dalej, wbijając wzrok w chodnik.

- Dzień dobry, pani Blanchard! - krzyknąłem radośnie.

Powoli podniosła oczy.

- Dzień dobry, panie Greenmor - odpowiedziała, czerwieniąc się lekko. Bez wątpienia przypomniała sobie scenę naszego ostatniego spotkania.

- Jak się pani miewa?

- Dziękuję, dobrze.

- Ależ dzisiaj piękny dzień! Od wczoraj pogoda się zmienia...

- Tak, rzeczywiście. Skoro już pana widzę, powiem panu, że zamierzam napisać petycję w sprawie sąsiadki z czwartego piętra. Jej kot przechadza się po balustradzie balkonów i wchodzi do mieszkań innych ludzi. Ostatnio znalazłam go śpiącego u mnie na kanapie. To niedopuszczalne.

- Ten mały szary kotek?

- Tak. A co do pana Roberta, mam już dość zapachów z jego kuchni. Mógłby przynajmniej zamykać okno, kiedy przygotowuje posiłki. Mówiłam o tym już chyba ze trzy razy na zebraniu mieszkańców, ale widocznie tylko mnie to przeszkadza...

Dobrze, zostawmy ten temat... Tak bardzo miałem ochotę sprawić, żeby choć trochę zmieniła swoje nastawienie na bardziej pozytywne.

- Idzie pani po zakupy?

- Nie, idę do kościoła.

- W tygodniu?

- Chodzę do kościoła codziennie, panie Greenmor - odparła z pewnego rodzaju dumą w głosie.

- Codziennie?

- Oczywiście!

- A... po co chodzi pani codziennie?

- Jak pan myśli? Żeby wyrazić miłość, jaką darzę Pana Jezusa.

- Tak... - Zawahałem się przez chwilę. - Wie pani, muszę coś pani powiedzieć...

- Co takiego?

- Mam... jak by to ująć... pewne wątpliwości.

- Wątpliwości, panie Greenmor? Na jaki temat?

- Hmm... Nie jestem pewien, czy jest pani dobrą chrześcijanką.

Znieruchomiała, dotknięta do żywego. Potem zaczęła się trząść i jej twarz stała się czerwona.

- Jak pan śmie!

- Hmm... Wydaje mi się, że nie stosuje pani zasad, jakie ustanowił Jezus.

- Ależ owszem!

- Nie jestem specjalistą, ale... nie przypominam sobie, żeby Jezus kiedykolwiek powiedział: „Kochajcie mnie”. Za to jestem pewien, że powiedział: „Kochajcie siebie nawzajem”.

Patrzyła na mnie w ciszy z otwartymi ustami. Kompletnie odjęło jej mowę.

Stała tak przez dłuższą chwilę, nieruchoma, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami. Wydała mi się prawie wzruszająca. W końcu się nad nią zlitowałem.

- Za to - powiedziałem - przyznaję, że stosuje się pani dobrze do słów Jezusa, który nakazał: „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego”.

Jej wzrok wyrażał wielkie niezrozumienie. Nic nie odpowiedziała, ale było mi jej coraz bardziej szkoda. Łagodnie i szczerze zapytałem:

- Pani Blanchard, dlaczego pani nie lubi siebie?

Druga nad ranem. Nigdy nie uda mi się zasnąć, jeśli ciągle będę wałkował te same myśli. W każdym razie nadal nie miałem odpowiedzi. Nie wiedziałem, czego naprawdę chce Du-browski. To straszne, do jakiego stopnia brak zrozumienia czegoś może powodować stres.

I ta lista akcjonariuszy znaleziona w Googlach, na której znajdowało się jego nazwisko. Czy to tylko zbieżność nazwisk? A jeśli to on? Może powinienem trochę podrażnić temat... Zbyt słabo go zbadałem. Co to była za firma? Luxores, Luxares, coś w tym stylu.

Tak, musiałem to sprawdzić. Nie zasnę, jeśli tego nie zrobię. Co za tortura! Dlaczego w nocy nie mogę po prostu wyłączyć myślenia, przestać się szamotać jak ryba bez wody i spokojnie zasnąć?

Wyciągnąłem rękę w kierunku włącznika lampki nocnej. Przymknąłem oczy, żeby światło mnie nie oślepiło.

Pstryk! Lampa zaświeciła i za sekundę zgasła. Żarówka się przepaliła. Trudno. Im mniej się rozbudzę, tym łatwiej potem zasnę.

Wstałem po ciemku i podszedłem do okna. Odsunąłem kotarę, żeby wpuścić trochę światła księżycy. Uśpione miasto migotało miejscami to tu, to tam. Przeszedłem przez pokój i usiadłem przed komputerem. Włączyłem go i w półmroku rozblysło blade światło. Głęboką ciszę nocy przerwały trzy znajome dźwięki towarzyszące uruchamianiu.

Klawiatura odpowiadała kliknięciami, kiedy zgrabiętymi palcami naciskałem klawisze i wstukiwalem w Googlach nazwisko Igora.

Na ekranie znowu pojawiły się wyniki w języku rosyjskim. Wertowałem strony, jedna po drugiej, przelatując wzrokiem listę rezultatów wyszukiwania. Nie mogłem powstrzymać ziewnięcia i lekkiego dreszczu. Byłem tylko w spodniach od piżamy, a noc była chłodna.

Nagle rozpoznałem listę nazwisk. Po każdym następowały dane procentowe. Kliknąłem. Firma, której ten Igor Dubrowski był głównym udziałowcem z siedemdziesięcioma sześcioma i dwiema dziesiątymi procent, nazywała się Luxares S.A. Ale na stronie podawano tylko liczby.

Przekopiowałem nazwę do wyszukiwarki i kliknąłem Enter. Jedyne dwadzieścia trzy wyniki. Tym lepiej. Strony internetowe prasy zajmującej się finansami i strona, która mogła należeć do firmy Luxares S.A.: luxares.fr. Restauracje specjalizujące się w...

Kliknąłem.

Aż odskoczyłem, kiedy zobaczyłem, co się wyświetliło.

Zdjęcie, które pojawiło się na ekranie, rozjaśniając mrok panujący w moim pokoju, zostało zrobione w nocy. Na pierwszym planie odrażające metalowe belki, które ginęły w ciemności. Za nimi rozświetlone okna ukazywały luksusowe wnętrza restauracji Jules Verne.

37

Bałem się. To nie był już lekki niepokój, towarzyszący mi od czasu zawarcia paktu, ale przerażenie, które ścisnęło mnie za gardło i nie puszczało. Człowiek, który przejął kontrolę nad moim życiem, był bardziej niebezpieczny niż bogaty i wpływowy. Uwolnienie się spod jego wpływu stało się teraz ttoją obsesją.

Zadzwoiłem do inspektora Petitjeana i opowiedziałem mu o swoim odkryciu. Nalegałem, żeby przyznano mi ochronę policyjną. Powtórzył mi to, co już słyszałem: to wszystko tylko garść podejrzeń. Owszem, niepokojących, ale nienaprowadzających na ślad wykroczenia. Nie mógł nic dla mnie zrobić.

Na próżno szukałem możliwości, żeby się uwolnić. Jedynym realnym rozwiązaniem było przeprowadzenie negocjacji z Igorem. Obecność Audrey zepsuła mi plan poprzednim razem, a teraz, po awanturze, jaką zrobiłem, nie miałem odwagi tam wracać. Obraziłem Dubreuila w obecności Catherine, a on nie należał do tych, którzy łatwo wybaczą.

Musiałem przyznać, że jedynym sposobem uwolnienia się od paktu było wypełnienie ostatniej misji, którą mi wyznaczył, co oczywiście było niewykonalne. Znalazłem się w pułapce, jak szczur.

Kolejne dwa dni były dla mnie torturą. Desperacko szukałem rozwiązania tej nierozwiązywalnej sytuacji. Nie mogłem spać po nocach. W pracy z największym trudem koncentrowałem się na spotkaniach. Zdarzyło mi się zadać kandydatowi dwa razy z rzędu to samo pytanie, co uprzejmie mi wytknął... Alice mówiła, że wyglądam jak żywy trup, i radziła jak najszybciej udać się do lekarza. Brnąłem...

Drugiego dnia wieczorem, kiedy wracałem do biura po portfel, którego zapomniałem, zauważyłem Vladiego w alei de l'Opera, jakieś dwa metry za sobą. Mój strach jeszcze wzrósł.

Następnej nocy miałem dziwny sen. Zdarzenie miało miejsce w Stanach Zjednoczonych, na farmie w stanie Missisipi. Do pojemnika ze śmietaną wpadła zaba. Brzegi były wysokie, więc znalazła się w pułapce. Nie mogła wspiąć się po płynnej śmietanie. Nie miała szans. Jej los był przesądzony. Mogła już tylko umrzeć na dnie. Była jednak zbyt głupia, żeby to zrozumieć, i walczyła, jak tylko mogła, mimo bezsensowności swojego działania. Traciła na próżno energię, próbując wydostać się ze śmiertelnej pułapki, ale w miarę jak ubijała śmietaną łapkami, ta zamieniała się w masło. Zaba mogła się wreszcie po nim wspiąć. Wskoczyła z pojemnika i odzyskała wolność.

Rano byłem pewien swojej decyzji. Będę walczył zębami i pazurami, żeby zająć miejsce mojego prezesa.

38

Nie traciłem ani chwili.

Jeszcze tego dnia ściągnąłem ze strony Dunker Consulting statut i ostatnie oficjalne raporty finansowe. Musiałem dowiedzieć się o firmie jak najwięcej.

Dwa wieczory z rzędu zagłębiałem się w tej ekscytującej lekturze. Dlaczego francuscy prawnicy używają tak zagmatwanych wyrażeń, żeby mówić o prostych rzeczach? Musiałem szybko przyznać, że moje anglosaskie wykształcenie księgowego nie pozwalało mi zrozumieć tego bełkotu. Potrzebowałem pomocy.

Jednym z pozytywnych aspektów pełnienia funkcji rekrutującego jest to, że szybko można zdobyć wiele kontaktów. Zadzwoiłem do młodego dyrektora finansowego, którego wybrałem na stanowisko w jednej z niedużych firm kilka tygodni temu. Ten sympatyczny człowiek pozostawił w mojej pamięci dobre wrażenie. Wybadałem grunt i powiedziałem, że potrzebuję rady. Od razu zgodził się mi pomóc. Jeszcze tego wieczoru wysłałem przesyłką ekspresową wszystkie dokumenty, które zgromadziłem.

Kilka dni później spotkaliśmy się po południu na tarasie kawiarni niedaleko Ogrodu Luksemburskiego. Przyszedł Punktualnie. Wysoki i szczupły, miał na sobie beżowy, bardzo elegancki garnitur, białą koszulę z rozpiętym ostatnim guzikiem i luźno zawiązany krawat.

Był tak uprzejmy, że przeczytał wszystko.

- Dunker Consulting to spółka o uproszczonych akcjach, notowana na nowym rynku giełdowym w Paryżu - powiedział.

- Ach tak?

- Tak, to forma prawna, w której o niemal wszystkich regułach decyduje statut, a nie

większość głosów.

- Czyli założyciele dyktują reguły, tak?

- W pewnym sensie tak.

- A obecnie jakimi zasadami kieruje się Dunker Consulting?

- Niczym wyjątkowym poza sposobem wybierania prezesa.

- Właśnie to mnie interesuje.

- Prezes jest wybierany bezpośrednio na walnym zgromadzeniu akcjonariuszy, co nie jest bardzo częstą praktyką.

- Czyli wszyscy akcjonariusze głosują, żeby wybrać prezesa?

- Nie, nie do końca. Jedynie ci, którzy stawiają się na zgromadzeniu. Wszyscy mają oczywiście prawo w nim uczestniczyć, ale w praktyce prawie nikt się tym nie interesuje... oprócz największych udziałowców.

- Najwięksi udziałowcy...

- Tak. W wypadku Dunker Consulting jest dwóch głównych udziałowców i dziesiątki tysięcy drobnych.

- Niech zgadnę... Założę się, że jednym z tych dwóch jest Marc Dunker.

- Nie, on posiada tylko osiem procent akcji.

Przypomniałem sobie, że Alice już mi o tym mówiła. Kiedy Dunker wprowadzał swoją firmę na giełdę, zachował tylko niewielką część udziałów. Władza nie była zatem całkowicie w jego rękach... Wspaniale...

- Kim są pozostali?

- Fundusz inwestycyjny Invenira i pewien fundusz z kapitałem amerykańskim o nazwie Stravex, reprezentowany przez niejakiego Rosenblacka, który kieruje oddziałem we Francji.

Ci dwaj udziałowcy mają razem trzydzieści cztery procent akcji przedsiębiorstwa. Żaden inny akcjonariusz, oprócz Dunkera, nie ma natomiast więcej niż jeden procent akcji. To wystarczy, żeby dwaj najwięksi mogli swobodnie rządzić.

Przed nami pojawiało się coraz więcej przechodniów, w większości turystów albo gapiów w okularach słonecznych, mniej zabieganych niż wychodzący z pracy paryżanie. Na przeciwległym chodniku wielu ludzi się zatrzymywało, żeby obejrzeć fotografie rozwieszone na ogrodzeniu parku. Przy stoliku obok młoda dziewczyna pożerała jeszcze ciepłe pączki, które rozsiewały przyjemny zapach jabłek i karmelu.

W pewnym momencie zdecydowałem się na wielkie ryzyko - wyjawilem mojemu rozmówcy prawdziwy cel moich działań.

Był na tyle delikatny, że mnie nie wyśmiał, zrobił jedynie dziwny grymas.

- Nie chcę pana zniechęcać, ale... to nie będzie proste.

- Nie wątpię.

- Gdyby podejść do tego matematycznie, nie ma pan żadnych szans. Skoro Dunker pozostał prezesem, to znaczy, że ma poparcie dwóch największych udziałowców.

- Co z tego? Mają przecież tylko trzydzieści cztery procent udziałów, a nie pięćdziesiąt...

- Tak, ale z powodu, o którym mówiłem, mają decydujący głos. Mali udziałowcy nie przychodzą na zgromadzenia. Nie mają z tego żadnych korzyści. Zjawiają się tylko nieliczni emeryci, którzy znudzeni przyjeżdżają z nadzieją, że będzie darmowy bufet. To szara, nic nieznacząca masa. Oczywiście nie mają wpływu na rezultat głosowania. Przypominam panu, że niewielkich udziałowców są dziesiątki tysięcy. Musieliby zjawić się na zgromadzeniu prawie wszyscy, aby można było liczyć, że ich głosy coś zmienią... Nigdy się tak jednak nie dzieje, może z wyjątkiem sytuacji, kiedy firma stoi na skraju upadku i zaczynają się obawiać o swoje oszczędności. Wówczas przyjeżdżają się użalać.

W tej chwili to ja miałem ochotę poużalać się nad sobą.

- Skoro Dunker został ponownie wybrany na prezesa - kontynuował mój rozmówca - to znaczy, że ma poparcie dwóch największych akcjonariuszy. Mają trzydzieści cztery procent udziałów, co stanowi jakieś osiemdziesiąt procent głosów oddanych przez obecnych na walnym zgromadzeniu. Nie chcę z góry przesądzać o pańskim talencie i umiejętności przekonywania, ale nie wiem, dlaczego tych dwóch miałyby zmienić zdanie i poprzeć młodego konsultanta zatrudnionego w firmie.

Zamyśliłem się i zniechęciłem, kiedy usłyszałem tak logiczny wywód.

Turyści w letnich strojach przechadzali się nonszalanckim krokiem przed parkanem ogrodu, podziwiając prezentowane na nim zdjęcia.

- Przykro mi - powiedział w końcu szczerze.

Mimo wszystko miło odczuwać współczucie ze strony innych ludzi, kiedy wszystko idzie nie tak, ale to jeszcze nie był czas, żebym pogrążył się w beznadziei. Musiałem znaleźć rozwiązanie, ustalić plan ofensywy. Musiał przecież być jakiś sposób.

- Gdyby pan był na moim miejscu, co by pan zrobił? Co można zrobić w tej sytuacji?

Odpowiedział bez wahania:

- Dać sobie spokój. Nie może pan nic zrobić. W pańskim położeniu może pan wszystko stracić i nie zyskać niczego.

W moim położeniu. Gdybyś tylko je znał, mój przyjacielu...

Zapłaciłem za dwie butelki wody Perrier i podziękowałem mu za pomoc. Pożegnaliśmy się.

Przeszedłem przez Ogród Luksemburski. Spacerowanie zawsze pomaga mi się rozluźnić, pozbyć się niepokoju i nabrać sił. Byłem przybity, ale nie chciałem się poddawać. Walka była moją jedyną nadzieją na odzyskanie wolności, być może nawet gwarantowała mi zachowanie życia. Zamierzałem do niej przystąpić, wkładając w to całą energię, nawet jeśli moje szanse na wygraną były bliskie zera. Musiałem znaleźć odpowiednie miejsce do ataku.

Zazdrościłem bez troski innym spacerowiczom. Mali starszuszki wyciągali ręce z okruciami chleba w stronę ptaków, a ich dłonie służyły za przystań małym łapkom wróbelków, które natychmiast po uchwyceniu zdobyczy odlatywały na najbliższe drzewo. Studenci próbowali szczęścia i uwodzili dziewczyny, gdy te przeglądały notatki z zajęć, siedząc na ładnych, zielonych metalowych krzesłach, upojone zapachem róż. Młoda kobieta o indiańskiej urodzie prowadziła po ogrodzie kucyki, na których siedziały rozradowane dzieci. Podążała za nimi grupka rodziców.

Wyszedłem od strony senatu, potem obrałem za kierunek małą uliczkę biegnącą na dół aż do teatru l'Odeon.

Spędziłem wieczór, spacerując. Przemierzyłem niemal całą stolicę, analizując sytuację ze wszystkich stron, zanim wróciłem do domu. Szukałem słabych punktów w funkcjonowaniu firmy, rozważałem różne scenariusze. Miałem przecucie, że uda mi się coś wymyślić, że wpadnę na pomysł, który pozwoli mi na nowo rozdać karty i przynajmniej walczyć. Ale czy była to intuicja, czy po prostu świadomość, że muszę znaleźć jakieś rozwiązanie?

Kiedy stanąłem przed drzwiami mojego mieszkania, zauważyłem papierową torbę powieszoną na klamce. Wszedłem i położyłem ją na stole w kuchni. W środku było coś ciepłego zawiniętego w folię aluminiową. Na wierzchu leżała niebieska koperta z koronkowymi brzegami. Otworzyłem ją. Wewnątrz znalazłem kartkę w tym samym kolorze i również ze zdobionymi brzegami. Pismo było staranne, tekst napisano piórem, z zawijasami, jakich nikt już dzisiaj nie potrafi kreślić. „Smacznego życzy madame Blanchard”.

Tego wieczoru zjadłem przepyszne ciasto czekoladowe.

Mimo mojego zdecydowania, żeby wypełnić ostatnie zadanie, musiałem się rozeznąć w sytuacji i zabezpieczyć sobie tyły. Szanse na powodzenie były tak nikłe, że powinienem wziąć pod uwagę porażkę i przygotować się na konsekwencje. To kwestia przetrwania.

Zdecydowałem się wszcząć poważne śledztwo dotyczące mrocznej przeszłości Igora Dubrovskiego. Jeśli uzyskał uniewinnienie dzięki zahipnotyzowaniu przysięgłych, czego bez

wątpienia nigdy nie dowiem się na pewno, być może istniało jeszcze coś, co dałoby mi pewną przewagę w negocjacjach z nim. Gdybym wskrzesił umarłych, dysponowałbym kartą przetargową... Miałem wewnętrzne przekonanie, że klucz do mojej wolności tkwił w jego przeszłości.

Wróciłem do Internetu w poszukiwaniu ostrego artykułu dziennikarza z „Le Monde”, którego nazwiska zapomniałem. Chodziło mi o artykuł znacznie lepiej udokumentowany od innych, opisujących samobójstwa. Pamiętałem, że zamieszczono w nim bardzo szczegółowe informacje na temat Dubrowskiego i jego metod. Dziennikarz musiał znać się na tym, o czym pisał. Powinienem koniecznie z nim porozmawiać.

Bez trudu odnalazłem artykuł w sieci. Autor nazywał się Jean Calusacą. W pośpiechu złapałem telefon.

- Dzień dobry, staram się odnaleźć dziennikarza, który pracował w „Le Monde” w latach siedemdziesiątych. Zastanawiam się, czy jeszcze u was pracuje...

- Jak się nazywał?

- Jean Calusacą.

- Jak?

- Calusacą. Jean Calusacą.

- Nigdy o nim nie słyszałam, a jestem tu już osiem lat... pański znajomy musi być od dawna na emeryturze!

- To nie jest mój znajomy, ale koniecznie muszę odnaleźć jego ślad. To bardzo ważne. Może jest u was ktoś, kto go znał i zachował jego namiary?

- A skąd mam wiedzieć? Przecież nie będę krzyczeć po wszystkich korytarzach!

- Nie, ale na pewno ma pani gdzieś nazwisko redaktora naczelnego z tamtego okresu.

On mógłby mi pomóc.

Usłyszałem westchnięcie.

- Z którego roku jest ten artykuł?

- Tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego.

- Niech się pan nie rozłącza...

Zabrzmiał jazzowy kawałek grany na saksofonie. Trwało to wiele minut. Tak długo, że zacząłem się zastanawiać, czy o mnie nie zapomniano.

- Podaję, ale bez gwarancji. Już od dawna nie mamy z nim kontaktu. Raymond Verger, zero, jeden, czterdzieści siedem, dwadzieścia...

- Chwileczkę! Notuję... Raymond Verger, zero, jeden, czterdzieści...

- Czterdzieści siedem, dwadzieścia osiem, jedenaście, zero, trzy.

- Doskonale, dziękuję!

Kobieta odłożyła słuchawkę jak najszybciej, aby nie ryzykować, że zapytam o coś jeszcze.

Wybrałem numer, obawiając się, że jest już nieaktualny. Sygnał. Uf. Kamień z serca. Cztery sygnały, pięć... Nikogo. Siedem, osiem... Już miałem zrezygnować, kiedy w końcu ktoś odebrał. Cisza, potem kobiecy, lekko zaspany głos. Trzymając kciuki za powodzenie, wydusiłem pytanie.

- Kto mówi? - usłyszałem.

~ Alan Greenmor.

- Zna pana?

- Nie, jeszcze nie, ale chciałbym z nim porozmawiać o dawnych współpracownikach.

- Świetnie! To go rozerwie. Proszę mówić wyraźnie, jeśli chce pan zostać zrozumiany. Zapadła długa cisza. Czekałem cierpliwie. Usłyszałem szept, a potem znowu cisza.

- Halo... - odezwał się w końcu niemrawy głos.

Poszedłem za radą kobiety i oddzielałem każdą sylabę.

- Dzień dobry panu, panie Verger. Nazywam się Alan Greenmor i dostałem pański numer w redakcji „Le Monde”. Pozwalam sobie zadzwonić, ponieważ koniecznie potrzebuję się spotkać z jednym z pańskich dawnych dziennikarzy. To dla mnie bardzo ważne. W gazecie powiedzieli mi, że może pan mieć do niego kontakt.

- Dawny dziennikarz? Nadal się z niektórymi spotykam. Jak się nazywa? Pamiętam każdego. Moja żona może potwierdzić, że jestem nie do zagięcia.

- Jean Calusacą.

- Jak?

- Jean Calusacą.

Długa cisza.

- Panie Verger, jest pan tam?

- Nic mi to nie mówi - wyznał.

- Pracował jakieś trzydzieści lat temu...

- Nie, nie! Nie w tym problem! Pamiętałbym... Nie, to bez wątplenia pseudonim.

- Pseudonim?

- Tak, dziennikarze często ich używają, kiedy podpisują artykuły nie dotyczące spraw, o których zwykle pisują.

- A... mógłby pan się dowiedzieć, jak się naprawdę nazywał?

- Tak, mam listę moich dziennikarzy i ich pseudonimów.

Wszystko zachowałem, wie pan... Proszę zadzwonić za pół godziny i powiem panu, kto to.

Pół godziny później kobieta znowu podała mu słuchawkę. Kazała mi się streszczać, żeby nie przeszkadzać w sjeście.

- Na mojej liście nie ma nazwiska Calusacą - stwierdził. - Jest pan pewien tego nazwiska?

- Tak, absolutnie.

- A więc to musiał być ktoś znany. W takich wypadkach nic nie zapisywaliśmy, żeby chronić anonimowość.

Ktoś znany? Dlaczego miałby się interesować samobójstwem jakiegoś nieznanego człowieka?

- Przykro mi - powiedział wyraźnie rozczarowany. - Nie będę w stanie panu pomóc. Proszę jednak zostawić swój numer. Jeśli pamięć mi wróci...

40

Mawia się, że szczęście sprzyja odważnym. Ja musiałem na nie jeszcze poczekać. Prześladował mnie pech. Próbowałem sprostać ogromnemu wyzwaniu, walcząc samotnie z genialnym

1potężnym szaleńcem. A wszechświat nie do końca mi sprzyjał.

Tego ranka przyszedłem do biura dość późno. Pierwsi kandydaci umówieni na ten dzień już stali przy recepcji na parterze. Byli ubrani na ciemno, bez najmniejszego zagniecenia na spodniach czy spódnicach. Szybko przyszedłem przez korytarz, gdzie snuł się zapach perfum i wody po goleniu, potem poszedłem schodami, żeby nie spotkać się w windzie z szefem mojego działu i nie być narażonym na krępującą ciszę podczas pokonywania kolejnych pięter.

- Spójrz na to - powiedziała, podając mi dwie kartki. Wziąłem dokumenty. Jeden z działu administracyjnego.

Rozpoznałem listę firm borykających się z kłopotami finansowymi, które zwróciły się do nas z prośbą o współpracę. Każdego miesiąca taką listę przekazywano szefom działów, a oni z kolei przekazywali ją nam. W tym miesiącu jej nie dostaliśmy.

Na drugiej kartce były rozpisane zadania dla każdego z konsultantów na nadchodzący tydzień. Dostawaliśmy je w każdy poniedziałek. Wystarczyło rzucić okiem, żeby się przekonać, że na obu kartkach były w większości te same nazwy firm. Czarna lista nosiła datę

pierwszy sierpnia. Data listy zadań to piąty sierpnia...

- Rozumiesz? - zapytała zdenerwowana. - Pojmujesz, co to oznacza? Każą nam podnosić obroty przy pomocy klientów, o których z góry wiemy, że nie zapłacą! To bzdura! Dyrekcja podejmuje coraz więcej decyzji pozbawionych zdrowego rozsądku! Nie rozumiem już, o co tu chodzi. I nie wiem, czy wiesz, co to dla nas oznacza. Jeśli klient nie płaci, nie dostajemy prowizji! Wyobrażasz sobie? Będziemy harować za friko, będziemy...

Już jej nie słuchałem, pochłonięty pomysłem, który rodził się w mojej głowie i nabierał kształtów. Powoli, jak obraz w obiektywie, zanim ustawi się ostrość. Wiadomo jednak, że stanie się wyraźny, precyzyjny, jasny...

- Dlaczego się uśmiechasz? - zapytała rozczarowana, że nie podzielam jej oburzenia.

- Alice... mogę zatrzymać te dokumenty? Pozwolisz?

- Tak, jasne, ale...

- Dzięki, tysiącrotne dzięki, Alice. Prawdopodobnie uratowałaś mi życie.

- Powiedzmy, że dzięki temu nie będziesz pracował za darmo.

- Alice, muszę iść, wybacz...

Podniosłem słuchawkę telefonu i poprosiłem Vanesę, żeby przełożyła wszystkie moje spotkania. Musiałem mieć ten dzień dla siebie. Wiedziałem, że nie ujdzie mi to na sucho, ale moja kariera konsultanta i tak była już zagrożona, niezależnie od tego, co zrobię.

*

Walne zgromadzenie akcjonariuszy miało się odbyć dwudziestego ósmego sierpnia. Dwudziesty ósmy sierpnia... Igor Dubrovski wyznaczył mi spotkanie na dwudziesty dziewiąty... Był zatem bardzo dobrze poinformowany i nieprzypadkowo wybrał datę. Sądziłem, że ostatnie zadanie przyszło mu do głowy podczas naszego spotkania. Tymczasem wszystko było zaplanowane już wcześniej.

Kiedy wróciłem do domu, zadzwoniłem do banku i poprosiłem o zakup jednej akcji firmy Dunker Consulting, gdyż posiadanie jej było warunkiem koniecznym, żeby móc kandydować na prezesa. Statut nie nakładał obowiązku zgłaszania swojej kandydatury wcześniej. Wystarczyło ją podać na początku zgromadzenia. Mogłem więc spokojnie pozostawać w cieniu aż do ostatniej chwili.

Mój pomysł miał szansę powodzenia jedną na milion. Miałem zaprezentować się akcjonariuszom i spróbować ich do siebie przekonać. Mój Boże, już na samą myśl o tym drżałem... Ja, który mam tremę, kiedy muszę zabrać głos na zebraniu przed dziesięcioma czy piętnastoma kolegami.

Już samo myślenie o tym sprawiało, że zasychało mi w gardle i trzęsły mi się ręce.

Nie mogłem jednak zaprzepaścić szansy tylko z powodu tremy. Musiał istnieć jakiś sposób, żeby nauczyć się przemawiać publicznie ze spokojem.

Szukałem w Internecie. Kilkanaście instytucji oferowało kursy lub seminaria. Udało mi się dodzwonić tylko do jednego z nich. Reszta w sierpniu była zamknięta. Nazwa była obiecująca: SPEECH-MASTERS. Osoba, która odebrała mój telefon, zaproponowała, żebym przyszedł na spotkanie z trenerem, zanim się zapiszę. Umówiłem się.

Moim następnym krokiem był telefon do biura, do Alice.

- Mówiłem ci, że Dunker publikuje w gazetach fałszywe ogłoszenia?

- Tak, Alan. Jeszcze się po tym nie otrząsnęłam.

- Słuchaj, potrzebuję cię. Mogłabyś zrobić listę?

- Listę fałszywych ofert pracy?

- Tak, dokładnie.

Cisza.

- To zajmie dużo czasu. Jak daleko chciałbyś się cofnąć wstecz?

- Nie wiem... Powiedzmy: trzy ostatnie miesiące.

- Musiałabym przejrzeć wszystkie ogłoszenia w każdej z gazet i porównać te dane...

- Mogłabyś to dla mnie zrobić? To... superważne.

- Jesteś dzisiaj jakiś zagadkowy.

- Proszę, Alice.

41

Ponieważ nie udawało mi się wpaść na trop dawnego dziennikarza z „Le Monde”, postanowiłem poszukać informacji u źródeł. Sprawa była delikatna, trudna, ale w ten sposób mogłem bez wątplenia dowiedzieć się o wiele więcej.

Dom znalazłem łatwo. Dziennikarze wystarczająco dobrze opisali niegdyś to miejsce. Łatwo je odnalazłem na planie miasta.

Vitrysur-Seine znajdowało się kilka kilometrów na południowy wschód od Paryża. Udałem się tam samochodem. Wiedząc, że mogę być śledzony, spoglądałem w lusterko wsteczne. Nie zauważyłem niczego szczególnego, ale nie mogłem ryzykować. Igor w żadnym razie nie mógł się dowiedzieć, dokąd zmierzam. Pojechałem więc autostradą na południe w kierunku stacji metra Porte d’Orleans, później zatrzymałem się w zatoczce kilka kilometrów dalej, i na wstecznym dojechałem do zjazdu z autostrady. Manewr był niebezpieczny, ale niezawodny.

Zwykle dość trudno się zorientować w topografii paryskiego przedmieścia. Na każdym czerwonym świetle zerkalem na mapę, którą położyłem obok, na siedzeniu pasażera.

Do Vitry dojechałem bulwarem Gorkiego, minąłem gimnazjum Makarenki i dojechałem do alei Gagarina i bulwaru Stalingradu. Gdzież ja przyjechałem? Myślałem, że ZSRR rozpadło się dwadzieścia lat temu... Kiedy odwróciłem głowę w prawo, zauważyłem merostwo. Zaskoczony, o mało nie uderzyłem w samochód jadący przede mną - to był Kreml w miniaturze!

Dobra. Wszystko to bardzo zabawne, ale trzeba znaleźć właściwą drogę. Zobaczymy, gdzie ja jestem... Aleja Robe-spierre'a, ulica Marata, hmm... sami wielcy demokraci... Cóż, zdecydowanie się zgubiłem. Włączyłem światła awaryjne i zatrzymałem się na poboczu, żeby odnaleźć na planie miejsce, w którym byłem. Ach tak. OK. Wystarczy pojechać aleją Powstania, potem aleją Pręgierza i przejechać przez most Rozstrzelanych. Ładny program...

W końcu dotarłem do bardzo spokojnej uliczki, wzdłuż której stały skromne, ale poruszające swoją prostotą domy. Zaparkowałem i dalej poszedłem piechotą. Pod numerem dziewiętnastym znajdował się domek z cegieł pomalowany na biało, wąski i wysoki. Musiał być niegdyś czarujący, zanim czas zdziałał swoje. Gdzieś tam farba odprysnęła, odsłaniając cegielki, jak brunatne plamy na chorej skórze.

Podszedłem do drewnianej furtki. Ogród, jeśli tak można nazwać wąską przestrzeń oddzielającą dom od ulicy, był zaniedbany, między nierówno rozsypanym żwirem rosły chwasty.

Numer dziewiętnaście namalowano na kawałku blachy falistej, powieszony tuż nad bezimienną skrzynką na listy.

Zebrałem w sobie całą odwagę i zadzwoniłem krótko.

Przez dłuższą chwilę nie wydarzyło się nic, dom stał pogrążony w martwej ciszy, potem drzwi się otworzyły i ukazała się w nich twarz starego mężczyzny, poorana zmarszczkami. Wydawało się, że wyrzeźbił je głównie smutek. Od razu wiedziałem, że to właściwy adres.

- Pan Littrec?

- Dzień dobry panu.

- Nazywam się Alan Greenmor. Przyjechałem, gdyż muszę panu zadać kilka pytań. Z góry proszę wybaczyć, że przywołam złe wspomnienia, ale muszę z panem pomówić o pańskim synu.

Pionowa zmarszczka między brwiami mężczyzny pogłębiła się jeszcze, kiedy pokręcił odmownie głową.

- Nie, proszę pana - odpowiedział słabym głosem. - Nie chcę o tym mówić, przykro mi.

Nie zamierzałem ustąpić.

- Mam powody, żeby przypuszczać, że znajduję się w takiej samej sytuacji, w jakiej niegdyś pański syn, i...

- Wpuść go! - kobiecego głos dobiegł z wnętrza domu.

Starzec spuścił wzrok, westchnął smutno, aż w końcu zrezygnowany otworzył szeroko drzwi, a sam cofnął się do środka.

Popchnąłem furtkę, która uchyliła się, skrzypiąc. Wszedłem po schodkach do domu.

Wystrój był prosty i staroświecki, ale natychmiast dawało się zauważyć, że w mieszkaniu panowała nienaganna czystość mimo lekkiego zaduchu.

- Nie wstanę, żeby się przywitać, bo bardzo bolą mnie nogi - powiedziała starsza kobieta z włosami zebranymi w kok, siedząca w fotelu.

- Proszę się nie kłopotać. Dziękuję, że zechcieli mnie państwo wpuścić - odparłem, siadając na rzeźbionym krześle, które mi wskazała.

Usłyszałem skrzypienie schodów, kiedy jej mąż wchodził na piętro.

- Żyję obecnie pod presją człowieka, psychiatry Igora Du-browskiego - oznajmiłem. - Jeśli mam dobre informacje, oskarżyli go państwo w okresie...

- Samobójstwa mojego syna. Tak.

- Zdołał się jednak wybronić z braku dowodów. Czy może mi pani powiedzieć wszystko, co pani wie o tym człowieku?

- To już ponad trzydzieści lat... - odpowiedziała w zamyśleniu.

- Proszę mi opowiedzieć to, co pani pamięta. To konieczne, żebym mógł się chronić.

- Wie pan, spotkałam go tylko raz przed procesem...

- To on prowadził terapię pani syna?

- Tak, właściwie tak. Rozmawialiśmy z nim w dniu, kiedy powierzaliśmy mu François. Mówiąc szczerze, nie pamiętam nawet, co wówczas mówił.

- Co znaczy „właściwie”?

- Dwóch lekarzy zajmowało się François.

- Pani syn był pod opieką dwóch psychiatrów?

- Tak, doktora Dubrowskiego i jeszcze jednego, w szpitalu.

Zamyśliłem się.

- Czy chce pan, aby mój mąż przygotował dla pana kawę? - zaproponowała uprzejmie.

- Nie, dziękuję bardzo. Proszę mi powiedzieć, co syn mówił o Dubrowskim?

- O, proszę pana, nic nie mówił. Nie był gadatliwy, wie pan. Był skryty. - Westchnęła i dodała: - Bez wątplenia to właśnie tak bardzo mu ciążyło...

- Ale... dlaczego złożyli państwo skargę na Dubrovskiego, jeśli było dwóch lekarzy?

- Wie pan, niektóre rzeczy nas przerastają. Nie przywiązywaliśmy do tego tak wielkiej wagi. Wiedzieliśmy, że i tak nie odzyskamy François. To był nasz jedyny syn. Po jego śmierci nasz świat się zawalił. Nic już nie miało znaczenia. Złożyliśmy skargę, bo tego od nas zażądano. Nie chcieliśmy się mścić. Walka z losem niczemu nie służy.

- Ale dlaczego zaskarżyli państwo Dubrovskiego, a nie tego drugiego lekarza? Dlaczego nie obu? I... co właściwie mieliście mu do zarzucenia?

- Wyjaśniono nam, że to Dubrovski popchnął François do samobójstwa. Wie pan, niczego nie wymyślaliśmy. Powtórzyliśmy to, co nam kazano powiedzieć. Poza tym na proces chodziliśmy każdego dnia wbrew sobie, bo przede wszystkim chcieliśmy być sami.

- Chwileczkę, chwileczkę... Kto państwu mówił, co macie robić?

- Nasz doradca. Powtarzał bez przerwy: „Pomyślcie o młodych ludziach, których ocalicie”.

- Chce pani powiedzieć, że to był wasz adwokat?

- Nie, nie adwokat.

- A zatem kto?

- Już dobrze nie pamiętam. To już trzydzieści lat... Wielu ludzi wówczas do nas przychodziło... Najpierw straż, potem policja, inspektor, ubezpieczyciele... Nie znaleźmy z mężem tych ludzi.

- I nie wie pani, kim był ten człowiek? Czym się oficjalnie zajmował?

Zawahała się, na próżno szukając w pamięci.

- Nie... ale to mężczyzna z wysoką pozycją.

- Może mi go pani opisać?

- Oj, przykro mi... Już zupełnie nie pamiętam jego twarzy. Pamiętam jedynie, że pedantycznie dbał o buty. To było na tyle dziwne, że zapamiętałam!

Z takimi informacjami daleko nie zajdę... - pomyślałem.

- Naprawdę był maniakiem - powtórzyła ze smutnym uśmiechem. - Prosił nas bez przerwy, żeby pies nie podchodził do jego mokasynów. Pamiętam też, że trochę pluł, mówiąc, i w czasie naszej rozmowy kilkakrotnie wyciągał chusteczkę, żeby przetrzeć buty. Kiedy wychodził, długo wycierał je na wycieracze. To mnie trochę zdenerwowało, muszę przyznać.

Wrogowie waszych wrogów niekoniecznie są waszymi przyjaciółmi. Człowiek, z którym miałem tego dnia spotkanie na tyłach gmachu giełdy, nie był nim i z pewnością nigdy nim nie zostanie.

Był jednak jedynym człowiekiem na świecie, który mógł sprawić, że Dunker nie będzie spał spokojnie. Fisherman, dziennikarz, który publikował regularnie negatywne opinie na temat naszej firmy w „Les Echos”. Nigdy u nas nie był, a mimo to miał kiedyś czelność napisać, że nasi pracownicy nie są wystarczająco produktywni. Obudziło to lawinę działań dyscyplinujących i zwiększyło presję, którą na nas wywierano.

Rozmawialiśmy przez telefon i przekonałem go, żeby się ze mną spotkał. Byłem na tyle enigmatyczny, że podsyciłem jego ciekawość, ale nie zdradziłem, o co mi chodzi.

Przyszedłem za wcześnie i usiadłem przy małym okrągłym stoliku z marmuru i metalu. Nie było zbyt wielu klientów tego ranka, ale w lokalu i tak panował ruch przed zbliżającą się porą obiadu. Kelner zaczynał nakrywać stoły. Barman serwował piwo kilku stałym bywalcom przy barze, podczas gdy ekspres do kawy stojący za nim wypluwał z siebie espresso roznosząc aromat arabiki. Człowiek zmywający kafelki na podłodze płynnym ruchem poruszał mopem, sprawiając, że w magiczny sposób znikwały ślady mydlin naniesionych przed chwilą gąbką. Na chodniku na zewnątrz trwała parada garniturów, krawatów i ciemnych garsonek.

Opisałem się Fishermanowi, żeby mógł mnie rozpoznać, kiedy dotrze na miejsce. Kiedy zobaczyłem w drzwiach mężczyznę w tweedowej marynarce, koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, bardzo poważną miną i w dużych okularach sięgających krzaczastych brwi, od razu wiedziałem, że to on, zanim mnie zauważył.

Powitał mnie, mamrocząc coś półgębkiem, bez uśmiechu. Zaproponowałem mu kawę. Odmówił.

- Tak jak wspominałem przez telefon - powiedziałem - będę niedługo mógł podać panu przewidywane tendencje kursu akcji Dunker Consulting na następny dzień.

- Skąd pan może to wiedzieć?

- Od czasu do czasu wiem o pewnych sprawach, zanim zostaną podane do publicznej wiadomości.

Patrzył na mnie podejrzliwie.

- A skąd ma pan dostęp do tych informacji?

- Pracuję w tej firmie.

Jego wzrok stał się pogardliwy.

- Czego chce pan w zamian? - zapytał z miną kogoś, kto nie ma już złudzeń co do ludzkiej natury.

- Niczego.

- Nie robiłby pan tego, gdyby nie miał pan w tym jakiegoś interesu.

- Owszem.

_ A więc co pan zyska?

Wytrzymałem jego spojrzenie.

- Nienawidzę Marca Dunkera. Cieszy mnie wszystko, co może mu zaszkodzić.

Zdawało się, że przyjął moją odpowiedź. Pasowała do jego wizji świata.

Skinął w stronę kelnera, żeby ten przyniósł mu kawę.

- Za każdym razem - mówiłem dalej - kiedy pisze pan negatywnie o jego firmie, Dunker się wścieka.

Nie zauważyłem żadnej szczególnej reakcji ze strony Fisher-mana. Twarz miał kamienną.

- A zatem będzie mi pan przekazywał z wyprzedzeniem, co wydarzy się w firmie, tak?

- Nie, nie zdradzę panu tego, co się zdarzy. Ale kiedy będę pewien, że jakaś informacja ma zostać upubliczniona, powiem panu o tym.

- Co więc to zmienia?

- Jeśli biorąc to pod uwagę, opublikuje pan negatywny artykuł, zanim ważna informacja zostanie upubliczniona, pogłębi pań ogólne poczucie, że w Dunker Consulting coś nie gra. To zaostrzy sytuację. Tego właśnie chcę.

Patrzył na mnie w ciszy przez kilka chwil.

- Interesuje mnie konkretna informacja, a nie tylko wiadomość, że się pojawi.

- Nie zdradzę panu nic konkretnego. Nie można być zbyt łakomym... W każdym razie w pańskim zawodzie liczą się przewidywania giełdowe, czyż nie? Ja dam panu możliwość informowania w prasie o tym, że akcje Dunker Consulting stracą na wartości, zanim zrobi to ktoś inny. To już bardzo dużo...

Nie odpowiedział, ale nadal wpatrywał się we mnie nieufnie.

- Ma pan wyłączność - dodałem.

- Nie mam pewności, że pańskie przewidywania okażą się dokładne.

- Oceni pan sam, począwszy od tego tygodnia.

Podniósł brew.

Lekko pochyliłem się w jego stronę i zniżyłem głos, żeby podkreślić wagę moich słów.

- Pojutrze - powiedziałem - akcje Dunker Consulting spadną o co najmniej trzy procent w ciągu dnia.

Wpatrywał się we mnie przez kilka chwil mętным wzrokiem, potem upił łyk kawy z powątpiewającą miną.

- W każdym razie - wyrzucił w końcu - nie mogę publikować informacji opartej na jakiejś plotce, którą usłyszałem od nieznanego.

- Niech pan robi, jak pan uważa. Dam panu cynk... powiedzmy... trzy razy. Jeśli pan z tego nie skorzysta, później będę informował pańskich kolegów po fachu z konkurencyjnego dziennika.

Wstałem, wyjąłem z kieszeni kilka monet i położyłem je na stole, żeby zapłacić za swoją kawę. Tylko za swoją. Potem wyszedłem, zostawiając go z jego sceptycyzmem.

43

Dzwonek telefonu wyrwał mnie z rozmyślań. Odebrałem.

- Proszę się nie rozłączać, daję słuchawkę mężowi. Długa cisza.

- Halo! Pan Greenmor? Natychmiast poznałem ospały ton.

- Tak, to ja.

- Raymond Verger przy telefonie. Wie pan, dawny naczelny „Le Monde”...

- Tak, tak, oczywiście. Jak się pan miewa?

- Bardzo dobrze, dziękuję, drogi panie. Dzwonię, ponieważ wydaje mi się, że ustaliłem, kto krył się pod pseudonimem Jean Calusacą...

Szczęście zaczynało mi sprzyjać. W końcu będę mógł pomówić z autorem zabójczego, ale bardzo wnikliwego artykułu na temat Igora Dubrovskiego. Ten człowiek musiał znać go osobiście.

- Tak jak myślałem - mówił dalej - chodziło o kogoś znanego. Dlatego jego nazwiska nie było na mojej liście pseudonimów.

Czułem, że serce mi staje.

- Proszę mi wszystko powiedzieć. Jak się nazywa?

- Słucham?

Zapomniałem, że jest przygłuchy. Powtórzyłem głośno i wyraźnie:

- Jak się nazywa?

- Ach tak, więc na początku proszę przyjąć do wiadomości, że szanuję zwyczaje, drogi panie. Zdradzam panu jego tożsamość tylko dlatego, że od dawna nie żyje. W przeciwnym

razie chroniłbym jego anonimowość. Ale to już tyle czasu...

Zmroziło mnie. To na nic.

- Wpadłem na jego nazwisko - ciągnął - kiedy przypomniałem sobie, że niektórzy przybierali pseudonim będący anagramem ich nazwiska. Zajęło mi dobrą godzinę, zanim się zorientowałem, że za nazwiskiem Jean Calusacą krył się Jacques Lacan.

- Lacan, ten wielki psychoanalityk?

- Dokładnie.

Zabrakło mi słów. Dlaczego Lacan tak bardzo nienawidził Dubrovskiego, że napisał jadowny artykuł na jego temat?

Zapytałem o to mojego rozmówcę.

- Tego nie wiem, drogi panie. Jedynie specjalista mógłby Panu odpowiedzieć... Może pan zapytać Christine Vespalles.

- Kogo?

- Christine Vespalles, dawnej dziennikarki pisma „Sciences humaines”. Psychoanaliza i tego typu zagadnienia to jej pasja. Z przyjemnością odpowie na pańskie pytania. Odnajdzie ją pan bez trudu. Od czasu, kiedy przeszła na emeryturę, spędza popołudnia w kawiarni Deux-Magots.

- W Saint-Germain-des-Pres?

- Słucham?

Powtórzyłem, oddzielając sylaby.

- Tak, w tej. Może pan tam pójść i się z nią spotkać. Łatwo ją poznać, gdyż zawsze nosi ekstrawaganckie kapelusze. W tych czasach już nie widuje się ich wielu... Łatwo nawiązać z nią kontakt, zobaczy pan. Zadzwońię do niej i powiem jej o panu.

*

Z trudem odnalazłem uliczkę zagubioną gdzieś na tyłach placu Bastylli, idąc w kierunku placu Republiki, w nieodnawianej dzielnicy, która zachowała urok plebejskich ulic z dawnych czasów. W większości budynków na parterze znajdował się sklep albo zakład rzemieślniczy. Drzwi były otwarte na ulicę i cały ten światek wychodził na zewnątrz, zajęty tyleż rozmowami, co pracą. Dostawcy wypakowywali produkty na środku chodnika, zaczepiali ludzi o znajomych twarzach i zagłębiali się w dyskusje, przekrzykując jedni drugich. Hałaśliwie popychali palety, gubiąc czasami paczki, gapie zaś śmiali się szyderczo.

Był tam szewc, którego można było obserwować przy maszynie, wdychając przy tym zapach rozgrzanej skóry. Jego sąsiadem był sprzedawca artykułów gospodarczych zdradzający zacięcie poetyckie, gdyż na szyldzie napisał Mydło i powidło. Wystarczyło

rzucić okiem na jego kramik, by się przekonać, że nie kłamie: znajdowała się tam niewyobrażalna liczba przedmiotów użytku codziennego, których różnorodność trudno sobie wyobrazić. Pasty, kolorowe klamerki do wieszania blielizny, gąbki, ścierki do kuchni, fartuchy zielone, żółte i beżowe... Wszystko radośnie wylewało się aż na chodnik. Sprzedawca z zieleniaka przyciągał uwagę klientów, wykrzykując donośnym głosem ceny warzyw i owoców. Dalej przejście zagradzał metalowy stojak sprzedawcy gazet, których nagłówki informowały wielkimi literami o skandalach. Z pobliskiego magła dochodził syk pary i charakterystyczny zapach. Naprzeciwko witryna sklepu spożywczego zachęcała klientów kielbasami z Morteau, jeszcze ciepłymi roladami z serem, korsykańskimi kielbaskami zawieszonymi na haku i tysiącem innych przysmaków, a jedne pyszniejsze od drugih.

Znając jedynie amerykańskie centra handlowe, bezosobowe i bezduszne, uświadomiłem sobie, jakie szczęście mieli Francuzi, że zachowały się tu takie miejsca, dzielnice ożywione drobnym handlem. Czy doceniali ich wagę, czy też zamierzali pozwolić im wymrzeć? Po co kupować więcej za niższą cenę w hipermarketach, jeśli potem wraca się do pozbawionych duszy osiedli-sypialń.

Pod numerem pięćdziesiąt jeden mieścił się budynek z fasadą pokrytą patyną czasu. Obok portyku ładna tabliczka, zrobiona ręcznie, głosiła dumnie: Towarzystwo SPEECH-MASTERS schody na podwórzu.

Wszedłem na dziedziniec. Naprzeciwko stał jeszcze jeden budynek z zamkniętymi drzwiami, do którego można było wejść po wybraniu numeru domofonu. Żadnej tabliczki, żadnego oznaczenia. Dziwne... Szedłem z powrotem przez dziedziniec, gdy nagle mój wzrok zatrzymał się na schodach biegnących w dół muru łączącego oba budynki. Z daleka zauważyłem tabliczkę przyczepioną metalowym drutem do poręczy. Poszedłem sprawdzić, choć bez przekonania: takie schody mogły prowadzić jedynie do piwnic. Zbliżając się, dojrzałem na tabliczce nazwę towarzystwa napisaną ręcznie i strzałkę skierowaną w dół. Przechyliłem się przez poręcz. Jedynie na pierwsze stopnie padało słabe światło dzienne, reszta była pogrążona w pół-mroku, a dalej w ciemności. Niezbyt zachęcające.

Zszedłem, mimo że miałem poczucie zagłębiania się w podmiejskie lochy. Na dole zauważyłem metalowe drzwi i dzwonek. Nacisnąłem go i czekałem. Było zimno i wilgotno. Drzwi się otworzyły i powitał mnie rudowłosa mężczyzna w wieku około trzydziestu lat.

- Dzień dobry. Mam na imię Erie.

- Alan. Miło mi.

Jego uśmiech nie przeszkadzał bardzo poważnej minie. Wszedłem.

Miejsce spodobało mi się natychmiast. Zadziwiająco duża przestrzeń pod wspaniałym łukowym, kamiennym sufitem. Przeszklenia w każdym rogu wpuszczały nieco naturalnego światła. Tanie halogeny dopełniały reszty. Na podłodze zauważyłem starą, zupełnie zużytą klepkę, gdzieś brakowało listewek. Łatwo było sobie wyobrazić, jak bardzo przesiąkła historią. W drugim końcu pokoju znajdował się podest, taki jak dawniej w szkołach. Przed nim, na niemal całej podłodze, stały dziesiątki taboretów, może nawet setka. Obok wejścia, niedaleko nas, ustawiono stół kuchenny z maszynką do kawy, obok której piętrzyły się stopy plastikowych kubeczków. Pod spodem mała lodówka mruczała cicho.

- Czy to była kiedyś piwnica?

- Znajdujemy się w dawnej pracowni stolarskiej. Rodzina pracowała tu przez kilka pokoleń, aż do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego. Niestety, ostatni stolarz poszedł na emeryturę i nie doczekał się następcy.

Wyobraziłem sobie tych rzemieślników, jak obrabiają drewno za pomocą noży, dłut i hebli, potem składują tu swoje dzieła, pachnące żywicą sosny, dębu, orzecha, palisandru czy mahoniu.

- Proszę mi wszystko o sobie opowiedzieć. Co pana zmotywowało do zapisania się tutaj? - zapytał Erie bardzo poważnie.

Zdecydowany, ale nie zarozumiały, mówił dobrze ustawionym głosem o miłej barwie. Patrzył na mnie niemal surowo, jakby mnie oceniał. Miałem wrażenie, że powinienem się usprawiedliwić, podczas gdy spodziewałem się, że będzie zachwalał zalety swojego instytutu, żeby mnie zachęcić.

- Co mnie zmotywowało? Nie umiem wypowiadać się publicznie. Mam dziką treść, która sprawia, że tracę nad sobą kontrolę, a niedługo bez wątpienia będę zmuszony zabrać głos przed licznym zgromadzeniem. Chciałbym przedtem poćwiczyć, żeby uniknąć katastrofy.

- Rozumiem.

- Jak przebiegają kursy?

- To nie są kursy.

- Ach tak?

- Każdy uczestnik ćwiczy, rzucając się na głęboką wodę, czyli wygłaszając kilkunastominutowe przemówienie na wybrany przez siebie temat. Później inni piszą na kartkach swoje oceny i oddają mu je.

- Oceny?

- Tak, informację zwrotną na temat jego wystąpienia. Komentują je, wymieniając

zauważone braki: tiki językowe, niedoskonałości, mówiąc krótko: wszystko, co można poprawić czy to w kwestii głosu, postawy, czy też struktury wypowiedzi.

- Rozumiem.

- Jeśli jest trzydzieści osób, dostanie pan trzydzieści kartek. Później samodzielnie zweryfikuje pan, co w opiniach pojawia się najczęściej, i przy następnym wystąpieniu spróbuje pan to poprawić i wypaść lepiej.

Podkreślił słowa „poprawić” i „lepiej”, marszcząc lekko brwi jak nauczyciel w szkole. Mimo to metoda wydała mi się interesująca.

- Kiedy mogę zacząć?

- Wznawiamy spotkania dwudziestego drugiego sierpnia. Odbywają się co tydzień.

- Dopiero dwudziestego drugiego sierpnia? Nie wcześniej?

- Nie, wszyscy są na wakacjach.

Bytem ugotowany... Walne zgromadzenie, jeśli wezmę w nim udział, odbędzie się dwudziestego ósmego sierpnia. Będę mógł zatem skorzystać tylko z jednego spotkania, co wydało mi się niewystarczające... Zwierzyłem mu się z problemem.

- Oczywiście, to nie jest idealna sytuacja. Nasz system opiera się na wysiłkach długoterminowych. Ale mimo wszystko otrzyma pan uwagi, które pomogą panu w planowanym wystąpieniu... Trzeba było zabrać się do tego wcześniej.

Ostatnie zdanie powiedział z wyrzutem.

44

- Mój drogi Alan Greenmor! Jak się pan miewa? Byłem zaskoczony, że kobieta, którą widzę po raz pierwszy w życiu, zwraca się do mnie z taką emfazą, jakbyśmy byli przyjaciółmi od dwudziestu lat. Niektórzy goście odwrócili się w naszą stronę. Wyciągnęła do mnie dłoń wierzchem do góry, teatralnym gestem, z półprzymkniętymi powiekami. Czego chciała? Pocałunku w rękę?

Wykonałem coś na kształt uścisku dłoni.

- Dzień dobry, pani Vespalles.

- Mój kochany Raymond Verger powiedział mi o panu tyle dobrego...

Z trudem mogłem sobie wyobrazić dawnego naczelnego „Le Monde” rozplywającego się w zachwytach na mój temat.

- Proszę usiąść - dodała, wskazując mi krzesło obok siebie. - To mój stolik, witam pana serdecznie. Georges?!

- Słucham panią.

- Co pan zamawia, Alanie? - zwróciła się do mnie. - Pozwoli pan, że będę używała pańskiego imienia, prawda? To takie ładne imię... Jest pan Anglikiem, jak przypuszczam.

- Amerykaninem.

- Bez większej różnicy. Na co się pan skusi?

- Yyy... kawa.

- A może jednak napije się pan odrobinę szampana? Georges, dwa kieliszki, mój przyjacielu!

Taras kawiarni Deux Magots był przepełniony tego sierpniowego popołudnia. Zasiedli tu zarówno turyści, jak i stali bywalcy. Ci ostatni mieli zwyczaj rozmawiania ze sobą między stołami. Christine Vespalles, zgodnie z przewidywaniem, miała na głowie monumentalny kapelusz w kolorze bladuróżowym, z woalką odsuniętą do tyłu i ptaszkiem w kolorze fuksji przyszytym do ronda. Ubrana na różowo, bardzo elegancka mimo swojej ekscentryczności, mogła mieć około siedemdziesiątki, ale czuło się, że mentalnie i duchowo ma zaledwie dwadzieścia lat.

- Mój uroczy Raymond powiedział mi, że interesuje się pan Jacusiem.

- Jacusiem?

- Tak, powiedział: „Opowiedz mu wszystko, co wiesz o Lacanie”. Odpowiedziałam: „Mój drogi, nie doceniasz mojej wiedzy na ten temat! Cała noc by nam nie wystarczyła i nie obchodzi mnie czas Alana”.

- Właściwie interesują mnie głównie jego relacje z innym psychiatrą, niejakim Igorem Dubrovskim.

Opowiedziałem jej o artykule, który znalazłem.

- Ach! Lacan i Dubrovski. O tych dwóch i ich wiecznej rywalizacji można by napisać powieść!

- Rywalizacji?

- Oczywiście! Trzeba nazywać rzeczy po imieniu. A ich znajomość to rywalizacja! Lacan był zazdrosny o Dubrovskiego, to jasne...

- Zazdrosny... w jakim okresie?

- W latach siedemdziesiątych, kiedy o Dubrovskim zaczęto mówić.

- Ale przecież Jacques Lacan był już sławny i uznany, z tego, co wiem. To było pod koniec jego życia, tak? Jak mógł być zazdrosny o kogoś jeszcze nie bardzo znanego?

- Wie pan, trzeba to odnieść do kontekstu epoki. Lacan był główną postacią psychoanalizy we Francji. Psychoanaliza była tym, czym była, i każdy uważał za normalne,

że pacjent spędza piętnaście lat na kozetce, mówiąc o swoich problemach. Pewnego dnia zjawia się natomiast młody Rosjanin, który rozwiązuje problemy pacjentów podczas kilku spotkań... To burzy porządek rzeczy, czyż nie?

- Być może nie leczył ich... dogłębnie?

- Tego nie wiem. Pacjent cierpiący na fobię, no nie wiem... na przykład arachnofobię, ma jednak wybór między piętnastoma latami u Lacana a trzydziestoma minutami u Dubrovskiego. Co by pan wybrał?

- A więc Lacan był zazdrosny o wyniki, jakie Dubrovski uzyskiwał?

- Tak, ale nie tylko... Wszystko ich różniło.

- To znaczy?

- Wszystko. Jeden był stary, drugi młody. Lacan był intelektualistą, który konceptualizował swoje metody i publikował książki. Dubrovski był pragmatykiem głoszącym działanie i szukającym wyników. Pozostaje też kwestia źródeł ich metod.

- Chce pani powiedzieć: metod, które stosowali?

- Tak. Psychoanaliza to wynalazek europejski. Dubrovski był we Francji prekursorem terapii kognitywnej, pochodzącej ze Stanów Zjednoczonych.

- I w czym problem?

- Powiedzmy, że był to czas, kiedy w środowiskach intelektualistów panował antyamerykanizm. Ale to nie wszystko. Wie pan... dzieliły ich też pieniądze.

- Pieniądze?

- Tak. Dubrovski był bogaty, bardzo bogaty. Miał rodzinną fortunę. W wypadku Lacana było inaczej, miał kłopoty finansowe. - Upiła łyk szampana. - Poza tym - ciągnęła - sędzę, że Lacan miał obsesję na punkcie Dubrovskiego. Zazdrościł mu szybkości, z jaką tamten działał, i sam zaczął skracać seanse. W rezultacie, kiedy pacjent przychodził do jego gabinetu i zaczynał mówić, już po pięciu minutach Lacan przerywał mu i ogłaszał koniec sesji.

- To szaleństwo...

- To jeszcze nie wszystko. Tak bardzo zazdrościł Dubrovskiemu fortuny, że zaczął podwyższać swoje honoraria w zastraszający sposób. Żądał pięciuset franków, co wówczas było ogromną sumą jak za kilka minut spotkania. Jedna z pacjentek zaprotestowała. Chwylił jej torebkę, żeby wziąć pieniądze z portfela. Naprawdę się spalił, mój Jacuś.

Upiłem łyk szampana, smakując delikatny aromat. Po drugiej stronie placu kościół Saint-Germain-des-Pres, oświetlony ciepłym światłem wieczornego słońca, zdawał się piękniejszy niż kiedykolwiek.

- Największa szkoda - mówiła dalej pani Vespalles - że gdyby Lacan zignorował Dubrovskiego, wszyscy szybko by o nim zapomnieli.

- O Dubrovskim? Dlaczego? Przecież miał najlepsze wyniki.

- Ach, mój przyjacielu, trzeba być naprawdę Amerykaninem, żeby zadawać takie pytania. Wy stawiacie na wyniki. My we Francji podziwiamy intelekt. Wyniki są dla nas niemalże dodatkiem... - Zajrzała do swojej torebki, różowej, z wężowej skóry, i wyjęła z niej książeczkę. - Proszę! Przyniosłam to dla pana. Proszę otworzyć na chybił trafił i przeczytać fragment.

Wziąłem dzieło autorstwa Jacques'a Lacana. Otworzyłem w środku i przeczytałem kilka linijek.

- To kompletnie niezrozumiałe, ale dobrze, nie jestem psychiatrą.

- Zapewniam pana, że psychiatrzy też nic z tego nie rozumieją. Ale jesteśmy we Francji... Im mniej ludzie rozumieją, co mówisz, tym za większego geniusza uchodzisz.

- Hmm...

- A więc proszę sobie wyobrazić bardzo konkretnego Du-brovskiego, pragmatycznego, skupionego na wykonywaniu zadań. Przy Lacanie uchodził niemal za idiotę...

W tej chwili wykonałem niezręczny ruch i przewróciłem wysoki kieliszek. Szampan rozlał się po stole i spłynął mi na buty. Na szczęście tylko na moje.

- Och! Tego Jacques Lacan by nie zniósł.

- Wylania szampana na buty?

- Ależ owszem! Był maniakiem butów.

Zadrzałem.

- Maniakiem butów...

- To była jego pasja! Był zdolny do tego, żeby pozostawiając pacjentów w poczekalni, wyjść z gabinetu tajnym wyjściem, aby kupić nową parę między seansami. To genialne, czyż nie?

45

Trzeba to jasno powiedzieć: młody François Littrec popełnił samobójstwo. Miał dwóch psychiatrów, w tym Igora Dubrovskiego. Jacques Lacan chorobliwie zazdrosny, był gotów zrobić wszystko, żeby zniszczyć przy tej okazji swojego konkurenta. Napisał morderczy artykuł w „Le Monde” pod pseudonimem, podważając jego metody. Zjawił się też

u rodziców młodego człowieka, żeby nimi manipulować i nakłonić do oskarżenia Dubrovskiego. Zdradziła go obsesja na punkcie butów... To paradoks w wypadku psychiatry. Kiedy nie udało mu się doprowadzić do skazania swojego kolegi po fachu przez sąd, wpłynął na towarzystwo lekarskie, żeby uzyskać jego wykluczenie. W ten sposób zakończył karierę, która stała się dla niego kłopotliwa. No cóż. Dlaczego nie? Ale jeśli Igor Dubrovski naprawdę był niewinny, jak wyjaśnić wszystkie mroczne aspekty tej sprawy? Po co ściągał na wieżę Eiffla nieszczęśników za pomocą swojego artykułu o prawie do samobójstwa i tam na nich czekał, zanim przystąpią do działania? Żeby nimi kierować? Żeby wyciągnąć od nich zobowiązania? W jakim celu? Co chciał uzyskać? I jak wyjaśnić notatki na mój temat z okresu przed próbą samobójczą? I co znaczy jego znajomość z Audrey?

Zatopiony w myślach, zupełnie nie śledziłem przebiegu naszego zebrania handlowego w tamten poniedziałkowy poranek. Luc Fausteri i Gregoire Larcher komentowali z pewnym rozdrażnieniem kolumny cyfr wyświetlonych przez projektor. Cyfry i cyfry. Potem krzywe, diagramy słupkowe i okrągłe niczym ser camembert. Czulem, że jestem lata świetlne od ich rozważań, te bezsensowne wyniki zupełnie mnie nie obchodziły. Ledwie docierały do mnie ich tępe głosy, odległe, bezbarwne... Dwóch strażników wyrzucających szaleńcom, że zakreślili złe kratki w lotto. Byliśmy źli, niekompetentni, niezdolni odgadnąć dobrych numerków. Wyświetlali nam obrazy tego, czym zostaniemy ukarani: bicze, kije, później odebranie camemberta. Potem poinformowali, że w przyszłości pejcze się wydłużą i uniosą jak węże gotowe do ataku, kije będą grubsze, a camembert coraz mniejszy. Szaleńcy bili brawo. Musieli być masochistami.

Zebranie skończyło się późno, po czym wszyscy poszli na obiad. Wszyscy oprócz mnie. Wróciłem do mojego pokoju i czekałem, aby się upewnić, że na piętrze nie ma już nikogo. Otworzyłem segregator z najwyższej półki, złapałem dwie kartki, które znajdowały się w środku pod stosem odrzuconych CV, i włożyłem je do plastikowej koszulki.

Wyszedłem na korytarz, rzuciłem okiem tu i tam, nadstawiłem uszu. Wszędzie panowała idealna cisza. Kiedy doszedłem do szczytu schodów, znowu się rozejrzałem. Nadal nikogo. Jak najciszej zszedłem na niższe piętro. Spokój. Wychyliłem głowę. Nikogo. Narastała we mnie swego rodzaju trema. Udałem się do pomieszczenia, gdzie stał faks, i wślizgnąłem się do środka z walącym sercem. Włożyłem kartki do urządzenia, starannie je układając w podajniku. Nie może się zaciąć... Ostatni raz rzuciłem okiem na korytarz. Nadal cisza. Otworzyłem mój notatnik z adresami i telefonami, po czym wybrałem odpowiedni numer. Ręce mi drżały. Każdy naciskany guzik powodował dźwięk, który wydawał mi się ogłuszający. W końcu nacisnąłem start i urządzenie zaczęło połykać pierwszą kartkę.

Potrzebowałem około dwudziestu minut, żeby wysłać listę fałszywych ofert pracy publikowanych przez Dunkera do wszystkich redakcji we Francji. Wszystkich z wyjątkiem „Les Echos”.

46

Igor Dubrovski był tego wieczoru sam w swoim ogromnym salonie, w którym wyrafinowane oświetlenie tworzyło ciepłą i przytulną atmosferę. Siedział przed fortepianem, skoncentrowany na wykonywaniu sonaty Rachmaninowa. Jego mocne palce przebiegały po klawiaturze, przejmowały nad nią władzę, wydobywając ze Steinwaya idealnie czyste dźwięki.

Drzwi do salonu otworzyły się nagle. Spojrzał sponad ramienia, nie przerywając gry. Catherine. Nie miała zwyczaju wchodzić tak gwałtownie.

- Vladi jest pewien! - wyrzuciła z siebie widocznie wstrząśnięta.

Igor zdjął dłonie z klawiatury, ale nadal przyciskał stopą prawy pedał przedłużający dźwięk.

- Vladi - mówiła dalej - potwierdził, że Alan przygotowuje się do kandydowania na prezesa w wyborach podczas walnego zgromadzenia!

Igor przełknął ślinę. Spodziewał się wszystkiego, ale nie tego.

Zwolnił pedał i ostatnie wibracje muzyki natychmiast ucichły. Catherine, zazwyczaj spokojna, chodziła w tę i z powrotem, nie przestając mówić, wyraźnie wstrząśnięta.

- Zdaje się, że zapisał się do instytutu specjalizującego się w nauce publicznego przemawiania. Na jedno spotkanie. Tylko jedno. A za trzy tygodnie stanie przed nie wiadomo jak dużą grupą ludzi i będzie ich przekonywał, żeby na niego głosowali... Przegra, poniesie porażkę stulecia. To katastrofa!

Igor odwrócił głowę, głęboko poruszony.

- To prawda - mruknął.

- To go zniszczy! Wyobrażasz to sobie? Publiczne upokorzenie to coś najgorszego. Nie nada się już do niczego. Wszystko, nad czym pracowaliśmy od samego początku, pójdzie na marne. Jego postępy zostaną zniweczone. Stanie się jeszcze słabszy i bardziej wrażliwy niż dawniej...

Igor nie odpowiedział, ograniczając się do skinienia głową. Zdecydowanie miała rację.

- Ale dlaczego, do diabła, kazałeś mu przez to przechodzić?

Westchnął, potem odparł bezbarwnym głosem, patrząc w pustkę:

- Bytem pewien, że odmówi...

- A więc... po co w ogóle wymyśliłeś mu takie zadanie?

- Żeby go skłonić do odmowy.

Długa cisza.

- Już nie rozumiem, co do mnie mówisz, Igorze.

Zwrócił wzrok w jej kierunku.

- Chciałem go popchnąć do tego, żeby się zbuntował przeciwko mnie. Chciałem go postawić w sytuacji na tyle niemożliwej do zaakceptowania, żeby nie miał innego wyjścia niż odmówić mi i zerwać naszą umowę. Nadszedł czas, żeby uczeń wyzwolił się spod wpływu nauczyciela. Wiesz, Catherine, prowadzenie kogoś ku wolności to paradoks. Moja kontrola była potrzebna, ponieważ zobowiązywała go do robienia tego, czego w przeciwnym razie nigdy by nie zrobił. Teraz jednak musi się ode mnie uwolnić i stać się naprawdę wolny... To nie moja rola. To musi wyjść od niego. W przeciwnym razie... nigdy tak naprawdę nie będzie wolny.

Igor wziął do ręki kieliszek burbona stojący na fortepianie. Kostki lodu zniknęły. Zadowolił się łykiem. Catherine nie spuszczała z niego oczu.

- Rozumiem.

- Kiedy kazałem mu zająć miejsce swojego prezesa, chciałem go skłonić do podważenia autorytetu. Wysłałem mu metaforyczne przesłanie dotyczące naszej relacji...

Odstawił kieliszek. Czuł na sobie ciężące spojrzenie Catherine.

- Tylko że się nie udało - powiedziała. - Nie zbuntował się. Wręcz przeciwnie, idzie dalej.

- Tak. - Igor skinął głową.

- Musimy mu zatem pomóc. Musimy coś zrobić. Nie możemy go zostawić samego w tej sytuacji po tym, jak sami go w nią wpędziliśmy!

Zapadła długa cisza. Po chwili Dubrovski westchnął smutno.

- Ten jeden raz nie bardzo wiem, co możemy zrobić.

- A gdybyś mu po prostu powiedział, żeby sobie odpuścił. Gdybyś przyznał, że kazałeś mu zrobić coś zbyt trudnego, i...

- Ależ nie! To by było najgorsze. To by dla niego oznaczało, że ja, jego mentor, nie wierzę w jego możliwości. Jego wiara w siebie zniknęłaby na zawsze. Nie mówiąc już o tym, że wzmocniłoby to jego zależność, którą chcę zniwelować!

- OK. Ale trzeba coś wymyślić! Nie pozwolimy mu się podłożyć! Nawet jeśli nie

możemy zmienić biegu zdarzeń, należy przynajmniej zrobić coś, co sprawi, że nie przeżyje zbyt boleśnie swojej porażki. Za wszelką cenę musimy oszczędzić mu totalnego publicznego upokorzenia. Niech choć trochę zachowa pozory, niech nie czuje się zerem, niech...

- Nie mam pomysłu. Nie widzę wyjścia. Zostaw mnie samego, proszę.

Catherine powstrzymała reakcję, zamarła i opuściła pokój. Słysząc było jej kroki w holu. Igor słuchał, jak się oddalają.

Wróciła cisza. Pusta i ciężka. Został sam ze świadomością popełnionego błędu. Błędu kapitalnego, niewybaczalnego. Błędu brzemiennego w skutkach.

Powoli położył palce na klawiaturze i dołączył do Rachmaninowa w jego niespokojnych snach.

47

Wychodząc z domu tamtego ranka, zauważyłem ciemną sylwetkę madame Blanchard u stóp schodów. Podawała coś Etienne'owi. Rozpoznałem kształt - ciasto podobne do tego, które mnie też ofiarowała. Obdarowany wyglądał na zaskoczonego w najwyższym stopniu.

Z uczuciem, jakbym miał kamień w brzuchu, przeszedłem na drugą stronę ulicy, żeby pójść do kiosku. Z piekarni unosiły się zapachy świeżych bagietek i ciepłych bułeczek z czekoladą.

Wzięłem wszystkie dzienniki, jakie były w sprzedaży, i poszedłem usiąść przy stoliku na tarasie w bistro za rogiem. Otworzyłem „Le Figaro” i szybko kartkowałem, aż dotarłem do strony poświęconej ekonomii. Czułem, jak wali mi serce, kiedy przebiegałem wzrokiem artykuły. Mój poziom stresu wzrastał w miarę, jak przeglądałem na próżno kolejne szpalty, kiedy nagle wstrzymałem oddech.

Podjęcie malwersacji w Dunker Consulting - głosił tytuł poprzedzający kilka linijek tekstu wyjaśniających, o co chodzi, w neutralnym raczej tonie.

- Co podać? - zapytał nieprzyjaznym tonem wąsaty kelner o skurczonej twarzy.

- Ma pan bułeczki czekoladowe?

- Nie, rogaliki albo bułki z masłem - odpowiedział, nie patrząc na mnie.

- A więc dwa rogaliki i dużą kawę, bardzo proszę!

Oddalił się bez odpowiedzi.

Podkscytowany, złapałem „Le Monde” i tam również znalazłem wzmiankę na ten temat, poprzedzającą artykuł o firmach rekrutacyjnych, stosowanych przez nie metodach oraz zarzutach, jakie im często stawiano. „La Liberation” opublikowała tekst dość krótki, ale na

widocznym miejscu, opatrzony zdjęciem naszej firmy i przykuwającym uwagę tytułem: Kiedy łowcy głów zarabiają na nas. „Le Parisien” wskazał na problem czasu, jaki na próżno poświęca kandydat odpowiadający na nieprawdziwe oferty pracy, oraz koszt wydruków i wysyłki CV, jaki ponosi. „France Soir” pisał o dużej rywalizacji w sektorze rekrutacji, konieczności zaistnienia w prasie dzięki dużej liczbie publikowanych ogłoszeń, co zapewne skłoniło Dunkera do przekroczenia granicy. „L’Humanite” poświęciła wydarzeniu aż pot strony. Na dużym zdjęciu pokazano potencjalnego kandydata zaznaczającego czarnym flamastrem ogłoszenia w gazecie, podczas gdy okazały tytuł informował: Skandal, fałszywe oferty pracy publikowane przez Dunker Consulting. Artykuł odkrywał niezdrowe skutki dzikiego liberalizmu i jego konsekwencje dla nieszczęsnych kandydatów. Przytoczono wypowiedzi bezrobotnych, którzy opowiadali, że nigdy nie otrzymali odpowiedzi na swoje aplikacje. Powodem było to, jak twierdził dziennikarz, że „stanowiska, o które się starali, nie istniały! „Canard Enchaîné” tytułował swój artykuł: Firma consultingowa cię oszukuje.

W kiosku nie było gazet regionalnych, ale i o nie byłem spokojny, zwłaszcza że Dunker miał kilka filii poza Paryżem. Najważniejsze jednak było dla mnie to, co pisały gazety finansowe. Wszystkie, począwszy od „La Tribune”, „La Cote Desfosses”, aż po „Le Journal des finances”, opublikowały informację o Dunker Consulting. Nie było komentarzy czysto ludzkich ani zabarwionych emocjonalnie, ale to sprawa drugorzędna. Wiadomość została wykorzystana przez prasę. Osiągnąłem swój cel.

Poszedłem do biura. Chciałem tam dotrzeć przed dziewiątą, żeby zdążyć na otwarcie rynku giełdowego i śledzić tendencje akcji.

O ósmej pięćdziesiąt już siedziałem przed komputerem, mając przed oczyma stronę internetową gazety „Les Echos”. Nie wiedziałem, czy publikacja takiej informacji będzie miała wpływ na notowania firmy. Może nie należy się na to nastawiać... Byłem zdenerwowany, czułem napięcie.

Dokładnie o dziewiątej kurs akcji Dunker Consulting z otwarcia giełdy wyświetlił się na czerwono na monitorze. Spadek o jeden i dwie dziesiąte procent. Byłem oszołomiony, z trudem mogłem w to uwierzyć. Nagle poczułem, jak ogarnia mnie entuzjazm, radość, skrajna ekscytacja. Ja, Alan Greenmor wpłynąłem na kurs akcji czołowej firmy konsultingowej na giełdzie paryskiej! To niewiarygodne! Niesłychane! Jeden i dwie dziesiąte procent! To coś wielkiego! Monumentalnego!

Przypomniałem sobie o tym, że uprzedzałem Fishermana. Przepowiedziałem spadek o trzy procent w ciągu jednego dnia. Oczywiście wynik wzięłem z księżycy, ale miałem nadzieję, że przybliży się do tej cyfry. Była to kwestia mojej wiarygodności, która miała w tej

sprawie kluczowe znaczenie. Decydowała o życiu lub śmierci, stanowiła klucz do realizacji mojego planu... Teraz tendencja musiała się utwierdzić i nabrać dynamiki.

Dobrą część dnia spędziłem, zerkając na monitor. Sto, dwieście, może trzysta razy sprawdzałem kurs. Nawet w trakcie spotkań nie mogłem się oprzeć, żeby od czasu do czasu rzucić nań okiem.

Tendencja wzrastała w ciągu dnia, mimo że koło południa akcje miały się nieco lepiej. O szesnastej, kiedy zamykano giełdę, kurs ostateczny obniżył się o dwa i osiem dziesiątych procent. Miałem szczęście.

W euforii wyszedłem ze swojego pokoju na przerwę. Nie należało się spodziewać szampana w automatach z napojami. Wypiłem perriera, smakując pierwsze zwycięstwo.

Wracając do siebie, przeszedłem przez korytarz, skąd przez szklane drzwi widać było moich współpracowników, zestresowanych odhumanizowanym i stawiającym coraz większe wymagania sposobem zarządzania, stojących pod presją wyników giełdowych, zupełnie już niemotywowanych i nieentuzjastycznych wobec rozwoju firmy. Co za przykry widok: wszyscy ci ludzie nieszczęśliwi w pracy, podczas gdy mogliby się tu przecież realizować, rozwijać! Istniała przepaść między ich nastrojem a moim. Nagle uświadomiłem sobie, że to nie tylko strach przed Dubrovskim popychał mnie do realizacji ostatniego zadania. Wciągnięty w mroczną grę, w której wygrałem pierwszy set, poczułem jakiś wewnętrzny przymus. Zadanie stawało się misją. Mimo że ryzykowałem wszystko i mogłem znaleźć się na ulicy, miałem ochotę tylko na jedno: iść na całość.

*

Wracając z obiadu, Marc Dunker spojrział z roztargnieniem na kurs akcji w Internecie.

- Co to, do cholery?! - krzyknął.

Dało się słyszeć głos Andrew, dobiegający z sąsiedniego pokoju.

- Czy pan prezes czegoś potrzebuje?

Dunker go zignorował. Strona nie publikowała komentarzy. Przecież musiało się coś stać...

- Co się, kurwa, dzieje...

Smukła sylwetka Andrew pojawiła się w drzwiach.

- Czy czytał pan gazety, które położyłem rano na pańskim biurku, panie prezesie?

- Nie, a co? Co w nich jest? - zapytał zaniepokojony.

- Hmm... chyba były przecieki, proszę pana...

Marc Dunker zamarł. Zerwał się z fotela i złapał gazetę.

- Co? Co mi pan tu opowiada?

Złapał „La Tribune” i zaczął ją w pośpiechu kartkować, nieomal drąc strony.

- Strona dwunasta, panie prezesie.

Dunker natychmiast zauważył artykuł, który Andrew zakreślił na żółto. Przeczytał, zamknął gazetę i usiadł powoli.

- Mamy w stadzie czarną owcę - powiedział w zamyśleniu. Był spokojny, ale jego twarz poczerwieniała. - To bez znaczenia - dodał, jakby chciał sam siebie upewnić. - Za dwa tygodnie nikt już nie będzie o tym pamiętał.

48

Długi czarny mercedes z trudem wszedł w zakręt i jechał małą handlową uliczką do momentu, kiedy utknął za dostawcą wyładowującym skrzynki z brzoskwiniami i nektarynkami.

Igor zostawił Vladiego w samochodzie, a sam wysiadł i ostatnie metry przeszedł pieszo, torując sobie drogę wśród porannego tłumu. Paryż nie został stworzony dla samochodów - pomyślał. Szczególnie te stare, zaniedbane dzielnice, które należałoby wyburzyć i zbudować od nowa zgodnie z normami.

Wszedł w bramę. Idealne miejsce dla morderców - pomyślał. Dotarł na dziedziniec i zauważył schody, o których powiedział mu wcześniej Vladi. Zbliżył się i zawisnął nad ciemną czeluścią, która zdawała się schodzić do trzewi ziemi. Było jeszcze gorzej, niż opisywał to kierowca. Dlaczego Alan wybrał taką szczyrą norę? Dubrovsky zszedł po schodach i znalazł się przed drzwiami do czegoś, co przywodziło na myśl loch. Zadzwoił zdecydowanie. Nie był pewien, czy o tej porze zostanie jakąś żywą duszę w tym zapomnianym miejscu. Duchy i nietoperze są aktywne tylko w nocy.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich rudzielec. Igor wszedł do środka.

Mimo że panowała letnia susza, w piwnicy czuć było wilgoć. Zimą musiało tu być koszmarne.

- W czym mogę panu pomóc? - zapytał młody człowiek.

Dubrovsky rozejrzał się dokoła. Zlustrował wysłużoną podłogę, starą, na poły zgniłą mównicę, stół kuchenny przykryty ceratą, wściekle hałasującą lodówkę.

Rudzielec skrzyżował ramiona. Igor się nie spieszył.

- Chcę z panem porozmawiać o jednym z klientów pańskiej firmy.

- Chce pan powiedzieć: o członku naszego towarzystwa?

- A jest jakaś różnica?

- Jesteśmy organizacją non profit.

Igor się uśmiechnął.

- To zabawne, żeby definiować się przez negację, kierując uwagę na cel, który nie jest waszym...

Rozmówca wszedł mu w słowo. Mówił wolno, dobierając słowa najlepiej wyrażające to, co miał na myśli:

- Celem członków jest rozwój. Chcą poprawić swoją umiejętność zabierania głosu przed publicznością.

- Rozwój... Bardzo dobrze. A pan... też jest członkiem?

- Oczywiście.

Dubrovsky pokiwał głową z aprobatą.

- Gratuluję. Szczerze. W naszych czasach rzadko spotyka się ludzi, którzy chcą się rozwijać... Akceptujemy naukę i rozwój, kiedy jesteśmy mali, a potem już wcale! Kiedy dorośniemy, nie chcemy już niczego zmieniać w naszym sposobie komunikowania się, zachowywania. Ludzie mówią: „Chcę być taki, jaki jestem”, jakby rozwój w relacjach miał zmienić to, kim są. To tak, jakby dziecko odmawiało nauczania się języka ojczystego, bo chciałoby pozostać tym, kim jest!

Rudzielec przytaknął.

Igor zrobił kilka kroków w głąb sali.

- Osoba, o której chcę z panem porozmawiać, nazywa się Alan Greenmor. Kilka dni temu przyszedł tu, żeby się zapisać.

- Tak, to prawda.

- Pewnie panu powiedział, że przygotowuje się do wystąpienia przed dużą grupą ludzi pod koniec miesiąca.

- Tak, to prawda.

- Zapewne nie powiedział panu, że przy okazji będzie grał o swoją przyszłość. Mam na myśli jego równowagę psychiczną.

Erie zmarszczył brwi.

- Dokładniej mówiąc, zabierze głos, żeby przekonać ludzi, by zagłosowali na niego w wewnętrznych wyborach. Czy mu się uda, czy nie, to bez znaczenia. Najważniejsze jednak jest to, żeby nie ośmieszył się publicznie. Jeśli mu się nie powiedzie, będzie to miało na niego ogromny wpływ, wytrąci go z równowagi. To ktoś bardzo kruchy. Konsekwencje będą dramatyczne.

Igor opuścił głowę, wyobrażając sobie tę scenę. Rozmówca milczał.

- Nie wie pan pewnie, że to ktoś, kto w dziedzinie publicznego przemawiania zaczyna... od zera. To nie jego działka, źle się czuje w takich sytuacjach. Jednym słowem: ma przed sobą jeszcze kawał drogi...

- Rozumiem, co pan do mnie mówi, ale niewiele możemy mu pomóc. To długoterminowa praca, wie pan. Takich umiejętności nie nabywa się w ciągu trzech spotkań... A on będzie uczestniczył tylko w jednym.

- Proszę mi opowiedzieć o swoich metodach.

- To bardzo proste. Członek wygłasza kilkunastominutowe przemówienie przed resztą grupy, która jest widownią. Potem każdy anonimowo notuje, co mówca powinien poprawić w przyszłości. W ten sposób ze spotkania na spotkanie czyni postępy. Po roku wszyscy osiągają dość dobry poziom.

- Po roku - powtórzył Igor w zamyśleniu.

- Nie kryłem tego przed nim. To praca na dłuższy czas.

- Ale on będzie miał tylko jedno spotkanie...

- Mógł się zabrać do tego wcześniej.

- Chcę panu coś zaproponować - powiedział Igor, wpatrując się w stalowoniebieskie oczy.

Wyłożył szczegółowo swój plan. Rudzielec słuchał, nie mówiąc ani słowa, ale dało się wyczuć, że był nastawiony negatywnie. Na koniec pokręcił głową.

- Nie, to niemożliwe.

- Ależ owszem. To bardzo proste.

- Nie to chcę powiedzieć. Nie stosujemy takich metod. Nie pracujemy w ten sposób, przykro mi.

- A zatem to okazja, żeby wypróbować coś nowego!

- Nie, stowarzyszenie ma swoje zasady funkcjonowania. Nasze techniki okazały się skuteczne. Mamy satysfakcjonujące wyniki. Może dochodzimy do nich powoli, ale to wymaga czasu. Ważne, żeby postępować tak, jak należy. Nie zgadzam się na zmianę metod, które stosujemy od ponad czterech lat.

Igor na próżno próbował go przekonać. Młodzieniec okopał się na swojej pozycji, widocznie pewny, że broni niezbitą prawdę.

W końcu gość skierował się do wyjścia. Doszedłszy do odrażających więziennych drzwi, odwrócił się.

- To zadziwiające - powiedział - że człowiek, który poświęca swój czas na pomaganie innym w rozwoju, sam sobie go odmawia... Byłem przekonany, że będzie pan elastyczny,

zdolny do zmian, otwarty na nowe metody, gotowy na rzeczy inne niż zwykle... Chyba się myliłem.

49

Giełda ma krótką pamięć. Akcje Dunker Consulting utrzymały się przez kilkanaście dni na niższym poziomie, a potem powoli zaczęły znowu rosnać. Inwestorów nie obchodził los nieszczęsnych kandydatów do pracy, odpowiadających na fałszywe ogłoszenia. Wystarczyło, że prezes opublikował tyleż optymistyczne, co śmieszne prognozy, a już rynki finansowe odzyskały zaufanie do jego firmy. Inwestorzy nie zadają sobie nigdy zbyt wielu pytań, wolą odwracać głowę i łudzić się co do możliwości przedsiębiorstwa. Chciwość idzie w parze z naiwnością. Rzeczywistość mało się liczy, byleby tylko system nie runął. Na szczęście miałem w zanadrzu małą niespodziankę, która trochę ich ostudzi.

Zadzwoiłem do Fishermana, do redakcji, tuż przed zamknięciem numeru. Przedstawiłem się osobie, która odebrała. Dziennikarz zgodził się ze mną rozmawiać. Czy moje przewidywanie, kiedy się potwierdziło, zmniejszyło jego sceptycyzm? Teraz musiałem wzmocnić ten załączek zaufania.

- Mam dla pana kolejną informację - powiedziałem konfidencjonalnym tonem.

Zero reakcji. Nie rozłączył się jednak.

- Akcje Dunker Consulting pojutrze spadną o ponad cztery procent.

Znowu podałem liczbę z sufitu. Coś mi podpowiadało, że nagromadzenie skandalizujących informacji musi wzmóc reakcję giełdy.

- Pojutrze?

Cud, przemówił. Już lizał haczyk koniuszkiem języka...

- Tak, pojutrze - potwierdziłem, dając mu tym samym czas na opublikowanie przewidywań w najbliższym, czyli jutrzejszym numerze.

Brak odpowiedzi.

W końcu się rozłączyłem. Zaczynałem żałować, że to jego wybrałem. Postawiłem na niego z powodu nieustającej krytyki naszej firmy, jaką publikował na łamach „Les Echos”. Błędem było to, że wierzyłem, iż Fisherman żywi osobistą niechęć do mojego szefa i rzuci się na wszystko, co podburzy wizerunek naszej firmy. Być może przeniosłem na niego własne uczucia... Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, tak naprawdę wydawał mi się kompletnie pozbawiony emocji. Dunkera krytykował tylko dlatego, że nie wierzył w jego strategię.

Zepsuło mi to resztę dnia. Wieczorem nie mogłem zasnąć.

Cały mój plan opierał się na Fishermanie. Czy doznałem porażki?

Następnego dnia o świcie zszedłem do kiosku, aby kupić „Les Echos”. Nawet najmniejszej wzmianki o Dunker Consulting. Czułem się zniesmaczony.

Było już zbyt późno, żeby zwrócić się do innego dziennikarza. Być może stracę wszystko, ale nadal musiałem stawiać na Fishermana. Gracz, który na próżno przez cały wieczór obstawia w kasynie czerwone, rzadko ma odwagę w ostatnim podejściu postawić na czarne. Gdyby wypadło czerwone, nigdy by sobie tego nie wybaczył.

W porze obiadu ponowiłem poprzednią operację. Ponieważ byłem w biurze sam, wysłałem do wszystkich redakcji niezbity dowód na to, że Dunker Consulting świadomie i z premedytacją postanowił współpracować z niewypłacalnymi firmami.

*

Potrzebowałem aż trzech dni, żeby wybrać temat mojego wystąpienia. Można dobrze mówić tylko na taki temat, który się zna, to jasne. Dlatego miałem wybór pomiędzy przedmiotem mojego wykształcenia, czyli księgowością, a moim obecnym zawodem, czyli rekrutowaniem. Tę ostatnią dziedzinę uznałem za niebezpieczną. Moi słuchacze mogli sobie przypomnieć własne nieprzyjemne doświadczenia, ponieważ wszyscy kiedyś starali się o pracę. Mogliby podświadomie poczuć do mnie urazę. Nie byłoby miło...

Wybrałem zatem temat księgowości. Przecież to dziedzina dająca azyl wszystkim nieśmiałym na tej ziemi. Moja wypowiedź mogła oczywiście nie okazać się zbyt porywająca, ale przynajmniej zmniejszyłam niebezpieczeństwo nie najlepszych relacji ze słuchaczami. Jeśli zasną, tym lepiej, będę się czuł pewniej.

Długo przygotowywałem tekst. Kiedy ma się tremę, dobrze jest wcześniej napisać przemówienie, co pozwala nie być aż tak sparaliżowanym, aby szukać rozpaczliwie słów, -czując suchość w ustach i pustkę w głowie.

Na miejsce dotarłem przed czasem. Woląłem obserwować, jak napływają pojedynczo, niż skonfrontować się z całą masą naraz. To pozwoli mi się zaaklimatyzować, oswoić strach, zanim ściśnie mnie za gardło, a także odzyskać równowagę.

Erie, kierownik o rudych włosach, u którego się zapisywałem, powitał mnie uprzejmie, starając się dodać mi otuchy. Rzuciłem okiem w stronę mównicy jak skazaniec patrzący na szafot. Byłem zaskoczony, widząc mikrofon i system nagłaśniający. Podczas mojej poprzedniej wizyty nie zauważyłem tego sprzętu.

Ludzie stopniowo napływali. Wszyscy przyjaźnie witali się z Erikiem i zartowali między sobą, jak gdyby znali się od lat. To bardzo miłe i uspokajające, chociaż nie mogłem nie myśleć o tym, że jeśli należeli do stałych bywalców, na pewno prezentowali już wysoki

poziom.

Kierownik zamknął drzwi dokładnie o ustalonej godzinie, co w Paryżu stanowiło niemal cud, bo tu wszyscy uznają za normalne trzydziestominutowe spóźnienie. Uspokoilem się, gdy zauważyłem, że było nie więcej niż dwadzieścia pięć osób. Będę czuł się o wiele pewniej, niż gdyby było ich dwa razy tyle...

Erie wszedł na podwyższenie, wziął mikrofon i stuknął w niego, żeby sprawdzić podłączenia. Z głośników rozległ się dźwięk. Zaczął mówić idealnie ustawionym głosem, niskim i stanowczym, brzmiącym bardzo miło. Dobrze opanował swoją sztukę. Ogłosił otwarcie nowego sezonu, który zapowiadał się interesująco. Przypomniał kilka podstawowych reguł, takich jak obowiązek płacenia składek, przychodzenie na czas na zajęcia i w miarę regularnej obecności.

- A dzisiaj - powiedział na zakończenie - mam przyjemność powitać nowego członka... - Serce podskoczyło mi do gardła. Oddychaj, oddychaj głęboko, rozluźnij się, nakazywałem sobie w duchu. -...który od razu wygłosi swoje pierwsze przemówienie. Alan Greenmor.

Zebrani przywitali mnie brawami. Wszedłem na scenę, podczas gdy kierownik poszedł usiąść na swoim taborecie, wśród innych uczestników. Mój puls wzrósł do stu pięćdziesięciu. Na sali zapadła cisza. Wszystkie spojrzenia były wycelowane we mnie. Cholera jasna, dlaczego nie mogłem pozbyć się tej przeklętej tremy? Co za feler... Wziąłem mikrofon do prawej ręki, w lewej trzymając notatki, żebym mógł do nich zajrzeć, jeśli zajdzie taka potrzeba.

To okropne wiedzieć, że wszyscy czekają, aż zabierzesz głos.

- Dzień dobry wszystkim.

Mój głos był głuchy, jakby uwiązł w gardle. Wargi mi drżały i czułem się okropnie sztywny.

Miałem świadomość, że ci ludzie właśnie wysłuchali Erica - pewnego siebie, doskonale panującego nad głosem i ciałem. Musieli myśleć, że jestem beznadziejny.

- Będę mówił na temat, który, zdaję sobie sprawę, nie jest powalająco erotyczny, a mianowicie o księgowości anglosaskiej.

Ogólny wybuch śmiechu, po którym nastąpiły brawa.

Boże... co się dzieje? Byłem wstrząśnięty...

Prawie godzinę starałem się wymyślić coś zabawnego na początek mojego wystąpienia, zgodnie z zasadami amerykańskimi, ale nie spodziewałem się, że ten żarcik odniesie taki sukces. Od razu zrobiło mi się ciepłej na sercu. Trema spadła o połowę.

Kontynuujemy zatem, ale muszę lepiej artykułować i ustawić głos.

- Studiowałem tę dziedzinę przez cztery lata w Stanach Zjednoczonych i... yyy... - Kurczę... co mam teraz powiedzieć? Dziura. Zupełna pustka... A przecież znałem to przemówienie na pamięć! Cholera jasna, to niemożliwe... Szybko... moja kartka.

Zacząłem czytać:

- Kiedy przyjechałem do Francji, skąd pochodziła moja matka, aby znaleźć pracę... - Chyba wychodzę na idiotę. Czytanie swoich wypocin przed wszystkimi to beznadzieja. -...konsultant do spraw rekrutacji poinformował mnie z szerokim uśmiechem, że zasady księgowości francuskiej są tak różne od amerykańskich, iż mogę dyplom wyrzucić do kosza.

Znowu chichot. Wszyscy patrzyli na mnie z uśmiechem, z taką życzliwością... Uwielbiam ich.

- On też się śmiał, kiedy mi to mówił. Mnie jednak wcale nie było do śmiechu.

Kolejny ogólny wybuch radości i brawa. Nie mogłem w to uwierzyć. To szaleństwo, ale całkiem miło jest rozśmieszać całą salę. To unosi, stymuluje. To niewiarygodne. Nagle zrozumiałem, dlaczego niektórzy uczynili z tego swój zawód.

- Musiałem więc zapoznać się z różnicami między księgowością anglosaską i francuską.

Nie mam już tremy... Nie mam jej... Czuję się dobrze, lekko... to genialne...

- We Francji normy dyktują urzędnicy państwowi - kontynuowałem - podczas gdy w Stanach Zjednoczonych organizmy niezależne, których celem jest to, żeby księgowość służyła interesom inwestorów i dostarczała im informacji potrzebnych do podejmowania racjonalnych decyzji. Klasyfikacja stanowisk jest inna niż we Francji...

Mówiłem przez blisko dziesięć minut i udało mi się prawie całkowicie uwolnić od notatek. Moi słuchacze wyglądali na naprawdę zainteresowanych tematem, co nie było z góry przesądzone, jeśli użyję najłagodniejszego z możliwych określeń. Udało mi się przykuć ich uwagę, wzbudzić zainteresowanie.

Czułem się zadziwiająco dobrze, na coraz większym luzie. W trakcie przemowy pozwoliłem sobie nawet na luksus chodzenia po scenie. Patrzyłem na widownię, moje ruchy były swobodne. W rezultacie publiczne przemawianie wydawało mi się bardzo ekscytujące.

Gdy skończyłem, otrzymałem wyjątkowo intensywne brawa, przeplatane okrzykami. Kilku członków towarzystwa wstało, za nimi oczywiście reszta sali. Owacje na stojąco... Nie mogłem w to uwierzyć! Skandowali moje imię. Czułem się, jakbym płynął w chmurach, niesiony emocjami, szczęśliwy.

Erie dołączył do mnie na scenie, sam też klaskał. Potem poprosił wszystkich, aby

poświęcili parę minut na zanotowanie indywidualnych komentarzy. Zapadła cisza.

Po jakimś czasie kierownik oddał mi dużą kopertę pełną kartek papieru złożonych na cztery. Usiadłem w kącie sali i rozwijałem każdą wiadomość z niecierpliwością, ciekawy, jakie miałem niedociągnięcia i co, zdaniem słuchaczy, mogę poprawić. Moje zaskoczenie rosło w miarę, jak odczytywałem kolejne świstki. Sto procent pozytywnych komentarzy! Sto procent!!! To było niewiarygodne, niesłychane... Nie mogłem uwierzyć. Miałem wrażenie, że za strachem, jak dotąd paralizującym, skrywał się stłumiony talent, rodzaj naturalnego daru, który chciał się wyrazić.

Erie powiedział mi, że na pierwszym spotkaniu lepiej wyjść po swoim wystąpieniu niż słuchać innych wypowiedzi, żeby dobrze wszystko zapamiętać i przeczytać komentarze w zaciszu domowym.

Pożegnałem się z uczestnikami i wyszedłem. Owionęło mnie chłodne wieczorne powietrze. Wbiegłem po ciemnych schodach jak po stopniach pałacu. Niósł mnie mój sukces. Szedłem przez miasto z nowymi siłami, które we mnie wstąpiły, gotowy na konfrontację z przeznaczeniem, kiedy do niej dojdzie.

- Jest wśród nas czarna owca!

- Słucham pana? - powiedział Andrew, stając w drzwiach. Dunker popchnął w jego stronę dwa dzienniki rozłożone na biurku. Potem rozparł się w fotelu z chmurną miną. Sekretarz się zbliżył.

Artykuł w „La Tribune” nosił tytuł: Dunker Consulting: po fałszywych ogłoszeniach fałszywi klienci?

„Le Figaro” stwierdzał natomiast: Po ofertach pracy bez pracy klienci bez pieniędzy.

- To niedobrze dla naszej firmy! - zauważył Andrew ze swoim twardym akcentem.

Dunker spiorunował go wzrokiem.

- Ma pan jeszcze jakieś inne pogłębione analizy w tym stylu? Anglik nie odpowiedział, tylko lekko się zaczerwienił. Powinien siedzieć cicho. Kiedy szef był w złym nastroju, odreagowywał, wykorzystując przeciwko rozmówcy każde słowo, które ten wypowiedział.

- Mamy czarną owcę w ekipie, to jasne! - powtórzył. - Akcje jeszcze spadną...

Podkreślając swe słowa gestem, odwrócił się do komputera i nacisnął nerwowo kilka klawiszy.

- Voila! Natychmiast... Co za banda kretynów... Wystarczy, żeby pojawiła się jakaś główniana informacja, a te tchórze już panikują i sprzedają! Głupcy. Spadek o dwa procent! A

to dopiero początek sesji! Bzdury...

*

- Proszę pokazać...! Nie przedstawił go pan cierpiącego, mam nadzieję!
- Powiedział pan, że chce uśmiechniętego, więc namalowałem uśmiechniętego!
- Rzeczywiście, uśmiechnięty! Dobrze, taki mi odpowiada, jest bardzo dobry.

Zapłaciłem kwotę umówioną poprzedniego wieczoru i odszedłem, przedzierając się z trudem przez grupę gapiów, którzy chcieli zobaczyć obraz.

W to piękne słoneczne popołudnie na placu Tertre, pod drzewami rozsiewającymi delikatną letnią woń, było tłoczno. Przychodziło tu wielu turystów pragnących, aby któryś z malarzy siedzących na placu przed sztalugą, z paletą w jednej ręce i pędzlem w drugiej, namalował ich portret. Fascynujące były oczy tych artystów - ich uważne spojrzenie wwiercało się w twarze modeli, szukając pod maską uśmiechu najbardziej charakterystycznego rysu portretowanej osoby.

Zakochani pozowali parami. Rodzice co chwila powtarzali dzieciom: „Przestań się kręcić, bo pan nie może malować!”. Mała staruszka ze wzrokiem skupionym na człowieku, który ją unieśmiertelniał, błagała, żeby przenieśli się w cień, a on odpowiadał: „Już prawie gotowe”, zupełnie się nie spiesząc.

Gapie stawali za plecami malarzy, żeby porównać obraz z modelem, każdy dodawał swój komentarz. Niektórzy z pozujących byli dumni, że skupiają na sobie uwagę przechodniów, inni natomiast czuli się skrępowani i czerwienili się lub denerwowali.

Opakowanie na obraz przygotowałem w domu. Od zamknięcia giełdy bujałem w obłokach - akcje Dunker Consulting spadły o prawie pięć procent. To niezwykły wynik. Od razu poczułem się hojny.

Dziesięć minut później zapukałem do drzwi madame Blan-chard.

- Kto tam?
- Greenmor, pani sąsiad...

Otworzyła.

- Proszę, to dla pani - powiedziałem, podając jej paczkę.
- Dla mnie? - zapytała z wyraźnym zaskoczeniem. - Ale z jakiej okazji?
- Tak po prostu. Byłem bardzo poruszony, kiedy podarowała mi pani ciasto. Teraz ja chciałbym zrobić pani mały prezent.

Rozpakowała go i przez kilka sekund podziwiała obraz.

- Bardzo ładny. Dobrze namalowany. Dziękuję bardzo, panie Greenmor.

Wyczuwałem, że nie ma odwagi zapytać.

- Podoba się pani? - zagadnąłem.
- Tak, bardzo. A... kogo przedstawia?
- Madame Blanchard! To Jezus Chrystus!
- Och...

Patrzyła z oczami jak spodki. Chciałem, aby się rozluźniła.

- To jasne, że nie jesteśmy przyzwyczajeni do oglądania Go takiego...

Milczała.

- Przyzna pani - powiedziałem - że to, co ludzie Mu zrobili, to okropność. Przedstawiają Go tylko na krzyżu z twarzą zmienioną cierpieniem... Chciałaby pani, żeby zrobiono pani zdjęcie na łożu śmierci i potem je rozpowszechniano?

51

Postanowiłem zadzwonić do Fishermana pod koniec dnia, aby dać mu stosunkowo mało czasu przed zamknięciem numeru. Chciałem, żeby zadziałał spontanicznie, żeby nie miał możliwości zastanowienia się.

Nie przewidziałem jednak, że moje ostatnie spotkanie w pracy będzie trwało wiecznie. Kandydat przyjechał na nie z prowincji, nie mogłem więc skrócić rozmowy i umówić się na inny termin. Była dziewiętnasta trzydzieści pięć, kiedy wyszedł. Numer gazety zamykano o dwudziestą. Rzuciłem się do telefonu z obawą, że już za późno.

- „Les Echos”, dzień dobry!
- Proszę z panem Fishermanem, to bardzo pilne!
- Proszę się nie rozłączać.

W słuchawce niekończące się Cztery pory roku. Słyszając to nagranie, Vivaldi przewróciłby się w grobie.

Cholera jasna, odbierz... Dziewiętnasta czterdzieści jeden.

- Halo...
- Pan Fisherman?
- A kto mówi?

Odpowiedziałem, ale niestety moje uszy musiały na nowo znosić powtarzający się wciąż motyw Lata, od brzmienia którego skóra cierpła.

Dziewiętnasta czterdzieści trzy. Odbierz, odbierz... I tak nie będzie miał czasu napisać czegokolwiek przed zamknięciem o dwudziestą...

- Dobry wieczór. - W końcu ten ochryply głos.

- Dobry wieczór. Znowu mam... niusa dla pana.

Cisza, którą w końcu przerwał.

- Słucham pana.

- Kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy, mówiłem panu, że przewiduję spadek akcji Dunker Consulting o trzy procent, i tak się stało.

- Prawie - poprawił.

- Za drugim razem przewidziałem ponad cztery procent. Było cztery i osiem dziesiątych procent.

- Tak.

Skoncentrowałem się. Mój głos powinien brzmieć zdecydowanie i spokojnie. Nie miałem zwyczaju blefować, a ten blef był... ogromny. Nie kryło się za nim nic, absolutnie nic... Nie miałem już dla prasy żadnego skandalu.

Wziąłem wdech.

- Jutro akcje odnotują najbardziej spektakularny spadek w historii. Kurs obniży się przynajmniej o dwadzieścia procent w trakcie jednej sesji.

- Dwadzieścia procent? Podczas jednej sesji? To niemożliwe...

Nie mogę dać się zbić z tropu albo przepadnę...

- Tak naprawdę jestem przekonany, że spadek będzie jeszcze większy. Może lepiej byłoby zawiesić notowanie firmy, żeby akcje nie spadły do zera.

Cisza.

- Zobaczmy - powiedział w końcu.

Ta dwuznaczna odpowiedź nie spodobała mi się. Co chciał przez to powiedzieć? Czy opublikuje krótką informację o spadku notowań akcji, żeby sprawdzić, o ile spadną, czy zostanie z boku tak jak poprzednio i będzie się przyglądał rozwojowi sytuacji? Jeśli nadal będzie grał rolę obserwatora, już po mnie.

Pożegnaliśmy się.

Kości zostały rzucone.

Zaczęło się długie oczekiwanie. Przeżywałem istne męki, próbując przewidzieć dalszy ciąg wydarzeń. Napisze? Czy moje dwukrotne przewidywanie, które się sprawdziło, wystarczy, aby potwierdzić moją wiarygodność? Myśli kołatały mi się po głowie przez cały wieczór. Byłem na zmianę to niespokojny, to spokojny, potem znowu wątpilem. Chciałem wierzyć, ale tak bardzo bałem się rozczarowania.

Przewidywania giełdowe Fishermana miały wielki posłuch w środowisku. Wystarczyło jedno jego słowo, żeby kurs akcji spadł, a wręcz przepadł.

Miałem ogromny kłopot z zaśnięciem, a kiedy już mi się to udało, spałem niespokojnie. Wielokrotnie budziłem się i sprawdzałem, która godzina. Cyfry podświetlone na zielono zdawały się zmieniać nieprawdopodobnie wolno. O szóstej wstałem i przygotowałem się do wyjścia. Zmuszałem się do słuchania radia, żeby nie myśleć o czym innym. O szóstej pięćdziesiąt pięć zszedłem na dół. Było jeszcze chłodno. Kilka osób wyprowadzało psy przed pójściem do pracy. Inni już tam zmierzali z mało radosnymi minami.

Bistro otwarto tuż przed moim przyjściem. Zamówiłem kawę i poprosiłem o „Les Echos”.

- Zaraz dowiozą. Proszę chwilę poczekać - powiedział kelner mało przyjaznym tonem. Czekać, czekać. Nie miałem już siły czekać.

Kawa była za mocna. Pierwszy łyk pozostawił w ustach cierpko-kwaśny smak. Poprosiłem, żeby dolano do niej wody i sięgnąłem po rogalika. Zjadłem go bezwiednie pochłonięty rozmyślaniami.

Kelner przyniósł kawę i rzucił gazetę na stolik tak gwałtownie, że aż podskoczyłem.

Usiadłem i chciwie przerzucałem strony z zaciśniętym żołądkiem. Nagle rzucił mi się w oczy jeden z tytułów. Zamarłem. W pierwszej chwili nie poczułem nic, zupełnie nic, jakby chwilowy szok odciął mnie od uczuć i myśli.

Dunker Consulting: sprzedawajcie, zanim będzie za późno.

Miałem ochotę krzyknąć ze szczęścia. Nie wierzyłem własnym oczom. To szaleństwo, coś niezwykłego, bajecznego!

Zamówiłem jeszcze jedną kawę oraz drugiego rogalika i pogrzeżyłem się w lekturze krótkiego artykułu. Fisherman, wpływowy i szanowany Fisherman, radził sprzedawać! Wyjaśniał, że ostatnie przykłady malwersacji, na które nakładały się jadowite plotki, a nade wszystko widoczne błędy strategiczne w ostatnich miesiącach, nie wróżyły nic dobrego. To zbyt ryzykowne inwestować w akcje Dunker Consulting. O wiele lepiej się ich pozbyć.

Niesamowite! Super! Ekstra!

Gdyby był koło mnie, rzuciłbym się, żeby go uściskać mimo jego lodowatego sposobu bycia!

Godzinę później byłem już w biurze, drżąc z niecierpliwości przed monitorem komputera. Czekałem na otwarcie sesji giełdowej. Tak bardzo oczekiwane cyfry pojawiły się w końcu minutę po dziewiątej. Spadek o siedem i dwie dziesiąte procent w chwili otwarcia. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Czy to wystarczająco dużo?

Spędziłem dzień z oczami wbitymi w ekran.

Kurs rósł i malął zygzakowato przez cały poranek, ale tendencja była mimo wszystko spadkowa. W porze lunchu akcje spadły o dziewięć i osiem dziesiątych procent. Pobiegnę do automatu po kanapkę. Kiedy wróciłem, kurs załamał się aż o czternaście i jedną dziesiątą procent. Serce mi stanęło. Jedynym możliwym wyjaśnieniem takiego ruchu była masowa wyprzedaż akcji w ciągu zaledwie kilku minut. Jeden z głównych akcjonariuszy zrezygnował. Yes! Byłem wniebowzięty, uradowany. Spadek o dziesięć procent musiał wywołać efekt psychologiczny, który wprowadził w ruch lawinę. Przecież fundusze inwestycyjne zazwyczaj podejmują decyzje o sprzedaży na podstawie wcześniej ustalonych kryteriów.

Wystarczy, że drugi akcjonariusz też się wycofa, i będę miał czysty teren!

Jaki próg sobie wyznaczył? Piętnaście procent? Mogłem tylko mieć nadzieję. Było już tak blisko...

W następnej godzinie nie wydarzyło się nic szczególnego. Z niecierpliwości wszystko we mnie wrzało. Zjadłem zaledwie pół kanapki. Nie byłem głodny. Pobiegnę jak opętany po kawę i wróciłem, wylewając połowę na podłogę. Żadnych zmian.

Strona internetowa „Les Echos” zamieściła krótką informację, że fundusz Invenira sprzedał swoje akcje Dunker Consulting, nie komentując tego posunięcia.

O piętnastej trzydzieści została przekroczona granica pięć-nastoprocentowego spadku. Czekałem, wstrzymując oddech.

Dalej, dalej, niech i drugi sprzeda! - myślałem gorączkowo.

Minuty mijały i nic się nie działo. Zły znak. Czekałem, z trudem hamując zniecierpliwienie. Piętnaście i trzy dziesiąte procent. Spadek pogłębiał się powoli, ciągle nie następował zbawienny ruch, na który tak czekałem.

Cholera jasna, sprzedaj!

Bessa trwała. Zakończyła się historycznym spadkiem w wysokości szesnastu i ośmiu dziesiątych procent. To oczywiście bardzo dużo, niesłychanie dużo, ale jeden z głównych akcjonariuszy nadal trzymał się twardo, co bardzo komplikowało sprawę. W połączeniu z Markiem Dunkerem mogli mieć większość głosów wśród obecnych w dniu walnego zgromadzenia... Zapowiadała się ciężka batalia.

Cały dzień trwałem w silnym podnieceniu dzięki optymistycznym wynikom, a teraz wszystko nagle się kończyło, zostawiając mnie z poczuciem niedokończonego zadania. Maszyna się zatrzymała. Niebo, dotąd tak promienne, w jednej chwili się zachmurzyło. Miałem uczucie połowicznego zwycięstwa, naznaczonego porażką. Adrenalina spadała i nagle poczułem się zmęczony, pusty.

Co z tego, że będę przekonujący dla akcjonariuszy zebranych na walnym

zgromadzeniu? Cóż znaczą dziesiątki, a nawet setki ich głosów wobec siły największego z nich?

52

Andrew wytrząsnął nad swoim biurkiem płócienną torbę, którą dostał od recepcjonistki. Białe koperty wysypały się na obicie z czerwonej skóry, tworząc wysoką górę, podobnie jak w poprzednich dniach. Trzy z nich upadły na ziemię, ale sekretarz czym prędzej je podniósł. Koszyk na papier przesunął na prawą stronę biurka, piramidę listów przepchnął na lewo, a potem, uzbrojony w nóż do papieru, wziął pierwszą kopertę, rozciął ją szybkim i precyzyjnym gestem, żeby wyjąć dokument, położył go, a chwilę później wrzucił do koszyka. Sięgnął po następną kopertę i powtarzał te czynności z niezwykłą wprawą.

Pół godziny później usłyszał głos szefa. Rozmawiał przez telefon? Rzut oka na aparat upewnił go, że nie. Lepiej zobaczyć, co się dzieje.

Zapukał zwyczajowo dwa razy i otworzył drzwi. Dunker nie dał mu czasu na zadanie zapytania o ewentualne potrzeby.

- Same matole!

- Proszę pana...

- Same matole, mówię! Jakiś cholerny dziennikarz miesza się do czegoś, co go nie dotyczy, i wszyscy ci idioci, niezdolni do samodzielnego myślenia, idą za jego durnymi radami. Sprzedają, więc notowania spadają, a reszta podąża za nimi bez zastanowienia!

Andrew wiedział z doświadczenia, że w obliczu takiej frustracji szefa najlepiej nic nie mówić i pozwolić mu wszystko z siebie wyrzucić. Do końca. Dopiero potem Dunker może ewentualnie przejść do innego tematu, stając się na powrót dystyngowanym dżentelmenem, jakim potrafił być w niektórych okolicznościach.

- A Poupon to taki sam matole jak wszyscy. Trzy dni temu Invenira nas opuściła i od tego czasu próbuję wziąć byka za rogi, dzwoniąc do Poupona, żeby przekonać tego barana, by ponownie zainwestował, korzystając z tego, że kurs jest niski. Nieosiągalny! Tak mi mówią. Powiedzmy raczej, że nie ma jaj! To nie dziwne, z takim nazwiskiem... A przecież niewiele by go to kosztowało. W związku z tą prasą, która przesadza na temat naszych urojonych problemów, akcje spadają od trzech dni. Degradują się, mówię panu, obracają się w pył, marnieją! Niedługo nie będą już nic warte!

Andrew pozostał niewzruszony, mimo że nienawidził, kiedy jego szef, zdolny do używania najbardziej wyrafinowanego języka, zniżał się do takiego poziomu. Działo się tak

za każdym razem, kiedy tracił kontrolę nad tym, co się dzieje.

Czekał cierpliwie, a kiedy zdawało mu się, że złość Dunke-ra już się wyczerpała, spróbował zmienić temat.

- Wspominałem już panu o najbliższym walnym zgromadzeniu akcjonariuszy, panie prezesie, i...

- Niech mi pan nie mówi o tym zgromadzeniu, to najmniejsze z moich zmartwień! Straciłem głównego inwestora, a kurs nie ma zamiaru wzrosnąć. Moje słowa skierowane do kilku starych ramoli, którzy przyjdą z braku lepszych zajęć, nie zmienią sytuacji! Poza tym to nie jest prawny obowiązek. Anuluję to zebranie.

- Ma pan rację. Informuję jednak, że to prawny obowiązek zwoływać akcjonariuszy raz do roku.

- Akcjonariusze! Akcjonariusze! To za duże słowo na określenie dziadków, którzy mają parę groszy oszczędności i inwestują w giełdę, myśląc, że to przyniesie im trochę więcej zysku niż książeczka oszczędnościowa. Poza tym zazwyczaj nie przyjeżdżają na walne zgromadzenie, oprócz kilku kretynów, którzy sądzą, że są ważni, bo posiadają kilka akcji.

- Yyy... obawiam się, że jest ich o wiele więcej, niż pan sądzi, panie prezesie. Od kilku dni otrzymujemy coraz więcej potwierdzeń uczestnictwa w odpowiedzi na wysłane przez nas zaproszenia. To właśnie o tym próbuję z panem od wczoraj porozmawiać. Będzie trzeba zmienić salę, ponieważ sala konferencyjna, którą wynajęliśmy w hotelu Lutetia, jest za mała.

- Za mała? Jak to za mała? Co to za burdel!

- Myślę, iż boją się spadku kursu akcji i zdecydowali, że zainteresują się bliżej przedsiębiorstwem, którego są współwłaścicielami...

- Ależ oni mają zupełnie nieznaczącą część akcji, po pięć albo sześć, co najwyżej. Niech mnie nie wkurwiają. Nie będę przecież rozmawiał o strategii i rozwoju z panem lub panią Nikt. Nie mam im nic do powiedzenia!

- Ludzie, którzy nie śledzą na co dzień kursu akcji i budzą się dopiero, kiedy zauważą trzydziestoprocentowy spadek, zdają sobie sprawę, że już za późno, aby je sprzedawać. Za dużo by stracili. Ich jedynym oczekiwaniem jest teraz poprawa sytuacji, dlatego zaczynają się interesować sposobem zarządzania firmą, nawet gdy dwa dni temu była to ostatnia rzecz, jaka ich obchodziła. Obserwowano takie samo zjawisko, kiedy spadły akcje firmy Eurotunel, panie prezesie. Mali akcjonariusze zdecydowali się przybyć na zgromadzenie, żeby bronić swoich interesów.

- Prosiłbym pana o zakończenie tych przypadkowych porównań, dobrze?

- W każdym razie, panie prezesie, trzeba będzie zmienić salę, żeby wszyscy mogli się

zmieścić.

- Zmienić salę, zmienić salę... Przecież nie wynajmę im Zenithu!

- Yyy... nie, proszę pana, Zenith byłby za mały. Przy tym tempie, w jakim postępuje zainteresowanie, trzeba by pomyśleć o Pałacu Sportów Paris-Bercy.

53

Tak jak wszyscy akcjonariusze, do których i ja teraz należałem, dwa tygodnie temu otrzymałem zaproszenie na walne zgromadzenie listem poleconym.

Od tygodnia pisałem przemówienie, wygładzając je, jak rzeźbiarz, który pracuje nad dziełem sztuki, polerując marmur, żeby usunąć każdą niepożądaną chropowatość. Znałem je już prawie na pamięć, ponieważ ćwiczyłem przed lustrem w łazience, wyobrażając sobie, jak stoję przed grupką akcjonariuszy, których muszę do siebie przekonać. Myślałem o tym niemal bez przerwy, idąc ulicą, siedząc w metrze czy stojąc w kolejce. Zdarzało mi się nawet recytować niektóre fragmenty pod prysznicem. Wizualizowałem sobie publiczność uwiedzioną moim wystąpieniem, podczas gdy ciepła woda spływała mi strumieniami po głowie, lśniła na skórze, ogrzewała ciało i serce, oddziałując na wibracje mojego głosu, a zarazem na publiczność. Cały czas przypominałem sobie triumf na spotkaniu Speech-Masters i to dawało mi wiarę w moje umiejętności.

Byłem raczej dumny z mojego przemówienia, które uważałem za przekonujące. Na miejscu drobnych akcjonariuszy bez wątpienia zagłosowałbym na mnie.

Miejsce zgromadzenia zostało zmienione na początku tygodnia. Powiadomiono mnie o tym oficjalnym pismem, podając nowy adres: POPB, bulwar Bercy numer osiem, dwunasta dzielnica. Świeżemu paryżaninowi, jakim byłem, niewiele to mówiło.

W przeddzień wziąłem dzień wolny, żeby się rozluźnić, zrelaksować i przygotować psychicznie. Gdy słońce zaczęło chować się za horyzontem, znikając za dachami i kominami, moja pewność siebie zaczęła się jednak ulatniać. Powoli docierała do mnie twarda rzeczywistość, niweczając marzenia: walka miała potoczyć się o wielką stawkę i zbliżała się nieodwołalnie.

Było oczywiste, że Dunker nigdy nie wybaczy mi tego, iż kandyduję przeciwko niemu. Jutro o tej samej porze albo będę prezesem Dunker Consulting, albo byłym konsultantem na bezrobociu, prześladowanym przez na wpół szalonego byłego psychiatrę.

Głowa wzięła górę nad sercem i ogarnął mnie strach, który ścisnął mi trzewia.

Ranek następnego dnia minął bardzo szybko. Przeczytałem po raz enty moje

przemówienie, a potem zszedłem na dół, żeby się przejść, dotlenić i spróbować obniżyć poziom stresu. Byłem w dziwnym stanie bolesnej tremy. Wychodząc, zauważyłem Etienne'a pod schodami i poczułem, że muszę mu się zwierzyć, być może po to, aby ostatni raz poczuć, że są słabsi ode mnie, lub po to, aby oswoić się z sytuacją, w której niedługo sam mogłem się znaleźć.

- Mam tremę - wyznałem mu.

- Tremę? - zapytał swoim zachrypniętym głosem.

- Tak, dzisiaj będę mówił przed ludźmi, żeby im przedstawić moją wizję rozwiązania pewnych problemów... i właśnie z tego powodu mam tremę.

Jego wzrok błądził po obojętnych przechodniach.

- Nie wiem, w czym kłopot. Ja mówię, co myślę, i wszystko jest w porządku.

- To nie takie proste... Nie będę sam. Będę obserwowany, słuchany, oceniany...

- No cóż, jeśli nie będą zadowoleni, tym gorzej dla nich! Trzeba mówić, co się myśli.

Słuchać swojego serca, a nie swojego strachu. Wtedy nie można mieć tremy.

Przygotowałem sobie dość lekki obiad, potem nastawiłem radio na kanał informacyjny. Wolałem jeść, słuchając, jak inni mówią, aby samemu dużo nie myśleć.

Nagle zamarłem. Dziennikarz zapowiedział skrót informacji, które nadają o czternastej trzydzieści. Czternasta trzydzieści... Serce mfi stanęło, kiedy podwijałem rękaw. Na moim zegarku była trzynasta siedem. Pobiegłem do sypialni. Budzik też wskazywał czternastą trzydzieści! Niemożliwe!!!

Zgromadzenie zaczyna się o piętnastej... na drugim końcu Paryża!

Zdarłem z siebie koszulę i dżinsy, rzuciłem się na szary garnitur, założywszy białą koszulę, i chwyciłem włoski krawat. Trzy razy próbowałem zawiązać węzeł na odpowiedniej wysokości. Buty wypastowałem w mgnieniu oka. Złapałem moje zaproszenie oraz przemówienie i wybiegłem na klatkę.

Czternasta trzydzieści osiem. Zacznie się o piętnastej. Byłem bez szans. Pozostawało mi tylko się modlić, żeby zgromadzenie nie zaczęło się o czasie. Swoją kandydaturę należało zgłosić u przewodniczącego na początku zebrania. Jeśli nie zdążę, wszystko na nic...

Biegłem i ledwie dysząc, dotarłem do metra dokładnie w momencie, kiedy drzwi się zamykały. Zdażyłem wbiec do środka i padłem na ławkę, sapiąc jak pies, naprzeciwko babci, która patrzyła na mnie oczami wielkimi jak piłki lotto.

Byłem wściekły. Cóż to za niefart, że mój zegarek psuje się właśnie w dniu, kiedy nie mam prawa popełnić błędu!

- To niemożliwe! - krzyknąłem na głos. - Nie wierzę, nie wierzę! - powtarzałem

załamany z twarzą w dłoniach.

Babcia zmieniała miejsce.

Całą drogę drżałem z wściekłości.

Kiedy wychodziłem z metra, moja komórka wskazywała piętnastą pięć. Czy to na pewno ta godzina? Rzuciłem się do wyjścia i zacząłem szukać adresu bulwar Bercy numer osiem. Ulica była dziwna, otoczona zarośniętymi trawą pagórkami, gdzieś widać było wejścia prowadzące w dół, jak otwarte paszcze, które wskazywały, że pod ziemią znajdowały się jakieś hangary albo parkingi. Ani jednego budynku oznaczonego numerem w zasięgu mojego wzroku. Byłem przekłety. Podbiegłem do jakiegoś przechodnia, który odwrócił głowę i odszedł, jak tylko zacząłem mówić. Znalazłem innego.

- Przepraszam, bulwar Bercy numer osiem, gdzie to jest?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Nie wiem, a co tam jest?

Wyjąłem zaproszenie.

- POBP. To musi być...

- Dokładnie tam - powiedział, wskazując jedną z otwartych paszcz obok gigantycznego plakatu Madonny. - Niech pan tak nie panikuje, koncert jest jutro!

Pobiegłem ile sił w nogach, minąłem bramkę i pokazałem zaproszenie strażnikowi. Pałac Sportów Paris-Bercy - głosiła tablica. Nie wiedziałem, że stadiony wynajmują przedsiębiorstwom sale. Dziwny pomysł.

- Proszę pójść do recepcji - powiedział strażnik, wskazując kilka stołów ustawionych w rzędzie, za którymi nudziły się hostessy ubrane na niebiesko.

Podbiegłem do nich z zaproszeniem w ręce.

- Spóźniłem się - powiedziałem niecierpliwie, pokazując je.

Hostessa szukała niespiesznie mojego nazwiska na liście, rozmawiając z koleżankami. Bardzo powoli zaczęła przygotowywać mi identyfikator. Przeszkadzały jej oszalałymi długie paznokcie pomalowane na czerwono. Potem odebrała telefon.

- Tak, już niewiele zostało - powiedziała, śmiejąc się. - Poczekaj na mnie, bo potem idę do fryzjera...

- Przepraszam - przerwałem. - Jestem bardzo spóźniony i koniecznie muszę wejść do środka. To bardzo ważne.

- Oddzwonię - powiedziała, zanim się rozłączyła, piorunując mnie wzrokiem.

W końcu ze skwaszoną miną napisała moje nazwisko na wizytówce, podała mi ją i błędnym wzrokiem wskazała kierunek.

- To tam, drugie wejście po lewej - powiedziała tonem wymówki.

- Dziękuję. Yyy... Nie wiem, czy mam iść tam, gdzie wszyscy, ponieważ... chcę złożyć kandydaturę na prezesa.

Spojrzała na mnie w lekkim osłupieniu, po czym wybrała numer na interkomie.

- Tak, tu Linda z recepcji. Mam tu gościa, który chce kandydować na prezesa. Co mam z nim zrobić? Co?... Tak, dobrze.

Wzniosła oczy w moją stronę.

- Przyjdą po pana.

Piętnasta dwadzieścia. Czas mijał, a nikt nie nadchodził.

Cholera, to się nie dzieje naprawdę! To okropne...

Tak się tym martwiłem, że zupełnie zapomniałem o tremie. Zniknęła. Ulotniła się. Niechcący znalazłem antidotum.

Zobaczyłem go w oddali i przełknąłem ślinę. Nasz dyrektor finansowy. Podszedł do hostessy, która wskazała mnie palcem. Gdy mnie rozpoznał, wybałuszył oczy ze zdziwienia, potem się opanował i zbliżył do mnie:

- Pan Greenmor?

A kim miałbym być?

- To ja - potwierdziłem.

W zdumieniu zapomniał się przywitać.

- Powiedziano mi, że...

- Dokładnie, chcę zgłosić swoją kandydaturę na prezesa firmy.

Przez chwilę nic nie mówił. Za jego plecami dało się słyszeć trajlujące hostessy.

- Ale... czy pan... uprzedził pana Dunkera?

- Tego statut nie wymaga.

Przyjrzał mi się uważnie. Wyraźnie czuł się nieswojo.

- Idziemy? - zapytałem.

Przytaknął powoli w zamyśleniu.

- Proszę za mną.

Szedłem za nim krok w krok przestronną i bardzo wysoką halą, w której panowała chłodna, bardzo nieprzytulna atmosfera. Mógłby to być skład jakiejś fabryki. Lata świetlne od eleganckiego stylu, którym lubił popisywać się Dunker.

Weszliśmy w korytarz nadzorowany przez strażnika, który dał znak głową mojemu towarzyszowi. Po chwili znaleźliśmy się w innym korytarzu, wąskim, ciemnym i niskim, ale za to tak długim, że nie widać było jego końca. Pachniało piwnicą. Chyba byliśmy pod

ziemią. W końcu doszliśmy do szarych metalowych drzwi, nad którymi paliło się czerwone światło. Przeszedłem przez nie i... przeżyłem szok mojego życia.

Znalazłem się na scenie w gigantycznej hali, która... pękała w szwach. Wszędzie siedzieli ludzie, ściśnięci na ławkach po lewej i prawej. Było ich z piętnaście tysięcy, a może dwadzieścia lub więcej... Ich robiąca ogromne wrażenie obecność osaczała mnie zewsząd. Byli jak tysiące zębów gigantycznego potwora, którego paszcza mogła pożreć scenę za jednym zamachem. Czułem oszołomienie, miałem zawroty głowy.

Powinienem się jednak cieszyć. Było ich bowiem wystarczająco dużo, żeby zrównoważyć głównego akcjonariusza. Sytuacja okazała się dla mnie bardzo korzystna. Mimo to w moim brzuchu rosła paraliżująca kula niepokoju. Sama myśl, że będę musiał zabrać głos przed tym ogromnym tłumem, sprawiała, że chciało mi się rzygać.

Nagle uświadomiłem sobie, że dyrektor finansowy mnie wyprzedził. Chciałem go dogonić, ale wiedząc, że dwadzieścia tysięcy osób patrzy na mnie, nie mogłem poruszać się swobodnie. Skierowaliśmy się na prawą stronę wielkiej sceny, gdzie stał długi stół przykryty niebieskim obrusem - błękit naszego logo, które wyświetlone zostało na wielkim ekranie w głębi podium. Przy stole, twarzą do publiczności, siedziało około dziesięciu osób. Pośrodku Dunker, obok dyrektorzy i kilka osób, których nie znałem. Za nimi ustawiono jakieś pięćdziesiąt foteli w kilku rzędach, jakby dla gości. Rozpoznałem wśród nich zaledwie kilku starannie wybranych na tę okazję kolegów.

Kiedy dyrektor finansowy znalazł się dziesięć metrów od stołu, odwrócił się w moją stronę i gestem dłoni nakazał mi cierpliwość. Dołączył do dyrektorów siedzących za stołem, zostawiając mnie samego na środku. Trudno, abym nie czuł się głupio... Jedną rękę włożyłem do kieszeni, przybierając rozluźnioną pozę, podczas gdy tak naprawdę czułem się uwięziony w swoim garniturze, śmieszny, upokorzony, że muszę stać z boku.

Dyrektor finansowy podszedł do prezesa i lekko nachylił się w jego stronę. Nie mogłem nic usłyszeć z ich rozmowy, ale było jasne, że moja kandydatura zaburzyła porządek zdarzeń. Dunker kilkakrotnie wykonał szeroki gest, odwracając się w kierunku osób siedzących na fotelach za nim, i pokazywał coś palcem. Ani on, ani reszta nawet na mnie nie spojrzeli. Ja z kolei, stojąc samotnie na środku sceny, zawstydzony, nie miałem śmiałości spojrzeć na publikę.

W końcu dyrektor finansowy wrócił do mnie i dał znak, żebym za nim poszedł.

- Usiądzie pan tam - powiedział, wskazując fotel, który jakiś osiłek prznosił na dalszy plan.

Poczułem ulgę, że wreszcie mogę się ruszyć, a przede wszystkim odwrócić tyłem do

ludzi. Ku mojemu zdumieniu typek postawił fotel z dala od innych, w odległości jakichś pięciu czy sześciu metrów. Trzymano mnie na dystans, jak zadzumionego. Zamierzałem usiąść, ale czułem, jak wzbiera we mnie złość, złość. To uczucie paradoksalnie dodawało mi odwagi. Wzbierało we mnie pragnienie zemsty.

Po upływie kilku sekund jeden z nieznanym mi mężczyzną siedzących przy stole wstał i podszedł do mnie. Przedstawiając się jako inspektor rachunkowy firmy, poprosił mnie o dowód tożsamości, a potem o podpisanie dokumentu, który przeczytałem pobieżnie. To zgłoszenie kandydatury. Wrócił na swoje miejsce, zostawiając mnie odizolowanego w tyle sceny. Ze swojego miejsca mogłem widzieć jedynie plecy dyrektorów, rząd ciemnych garniturów. Jedyna wśród nich kobieta miała siwe włosy, równie krótkie jak mężczyźni, jakby chciała zatuszować swoją kobiecość, żeby lepiej wtopić się w grupę.

- Panie i panowie, dzień dobry - dało się słyszeć z głośników.

Na sali zapanowała wreszcie cisza po serii kaszlnięć osób, które obawiały się, że nie będą mogły tego zrobić później.

- Nazywam się Jacky Keriel, jestem dyrektorem finansowym Dunker Consulting. Mam za zadanie otworzyć nasze coroczne walne zgromadzenie i przedstawić kilka danych. Na początek trochę liczb...

Monotonnym głosem rozpoczął długie wyliczanie. Mówił o metodach dokonywania obliczeń, przedstawiał dane liczbowe, wyniki, rozwodził się nad stopą zadłużenia, zdolnością autofinansowania, przepływem gotówki, a nawet kapitałem własnym - nowicjusz mógłby zrozumieć co najwyżej przymiotniki.

Szybko przestałem go słuchać i przebiegłem wzrokiem po sali. Nigdy bym nie pomyślał, że gwałtowny spadek akcji popchnie tylu ludzi do odbycia podróży. To przechodziło ludzkie pojęcie... Musieli być rozgoryczeni, niespokojni, niezadowoleni. Atmosfera zapowiadała się na nerwową. Wiedziałem oczywiście, że powinienem się z tego cieszyć, że jedynie tak wielka ich liczba pozwalała mi przechylić szalę głosów na swoją stronę, mimo że na sali był obecny główny akcjonariusz. Nie w tym jednak tkwił problem. Byłem przerażony na myśl o zabraniu głosu przed takim tłumem, obserwowany zewsząd. Koszmar. To ponad moje siły i możliwości. Czułem, że sytuacja zupełnie mnie przerasta, że znalazłem się nie na swoim miejscu. Ale gdzie tak naprawdę jest moje miejsce? Czy zostałem stworzony do zajmowania stanowiska nieobciążonego zbyt dużą odpowiedzialnością? Może... Czułbym się na nim o wiele bezpieczniej. Ale dlaczego? W każdym razie to nie kwestia poziomu wykształcenia. Wskazywało na to zbyt wiele przykładów. Kwestia osobowości zatem? Kierownicy w firmie wydawali mi się bardzo różni, nie reprezentowali jakiegoś

konkretnego typu. Nie, to bez wątpienia coś innego. Może środowisko, z którego pochodzimy, hamuje nas podświadomie przed chęcią zajmowania pozycji wyższej rangi niż ta, która jest przypisana naszej rodzinie? Może sobie na to nie pozwalamy? A może nie wychodzimy poza to, do czego przeznaczili nas rodzice, czując w głębi, że inna strefa jest zakazana? To bardzo możliwe. Nie jest jednak oczywiste, że jeśli przeskoczy się kilka stopni drabiny społecznej, nasz rozwój osobisty będzie większy...

- Teraz zachęcam do zadawania pytań, a my postaramy się jak najlepiej na nie odpowiedzieć. Wzdłuż rzędów chodzą hostessy z mikrofonami. Proszę dać im znak, jeśli ktoś z państwa chce zabrać głos.

Zaczął się seans pytań i odpowiedzi, ciągnący się przez godzinę. Każdy z dyrektorów, którego dotyczyło pytanie, odpowiadał zza stołu. Niektórzy byli lakoniczni, inni gadatliwi, wdając się w nudne szczegóły.

- A teraz oddaję głos naszemu prezesowi, Marcowi Dunkerowi, kandydatowi na reelekcję, który podzieli się z państwem swoją analizą aktualnej sytuacji i przedstawi strategię na przyszłość.

Dunker wstał i pewnym krokiem wyszedł na środek sceny, gdzie ustawiono mównicę z pulpitem i mikrofonem. W przeciwieństwie do Keriela nie mówił zza stołu, mimo że i mównica, i stół miały takie samo wyposażenie. Musiał się wyróżniać, prezentować jako lider.

Na sali zapanowała cisza. Wyraźnie oczekiwano jego przemówienia.

- Moi drodzy przyjaciele - zaczął tonem hipokryty, jaki czasami umiał przybrać. - Na początku chciałbym wam podziękować za tak liczne przybycie. Dostrzegam w tym znak waszego przywiązania do naszej firmy i zainteresowanie jej przyszłością.

Dobry był, skubaniec...

- Znajdujemy się w paradoksalnej sytuacji - kontynuował. - Przedsiębiorstwo jeszcze nigdy tak dobrze nie prosperowało, o czym świadczą wyniki, które przedstawił dyrektor finansowy. A jednak kurs naszych akcji jeszcze nigdy nie był tak niski...

Jego luz i charyzma boleśnie uświadamiały mi moje słabości. Jak będę przyjęty, kiedy zabiorę głos po takim mówcy?

- Działania, które zarzucała nam prasa, a w szczególności jeden z dziennikarzy, nie są niczym niezwykłym - mówił Dunker. - W naszym zawodzie to chleb powszedni i zazwyczaj nikt się przeciwko takim praktykom nie buntuje. Ostatecznie powinienem tę krytykę i ataki odebrać jako pochlebstwo, gdyż są wyrazem specjalnego traktowania, zarezerwowanego dla wielkich, którzy skupiają na sobie uwagę i budzą zazdrość słabszych.

To nie było zgręczne zagranie Dunkera. Po jakiej bowiem stronie znajdowali się obecni

tu ludzie? Po stronie wielkich tylko dlatego, że mają po trzy akcje, czy... małych, zakwalifikowanych przez niego do słabych?

- Niestety, muszę to przyznać. Przyczyną tego nieporozumienia jest prawdopodobnie informator pochodzący z naszego przedsiębiorstwa, czarna owca, ktoś, kto przekazał te haniebne informacje dziennikarzom, dla których okazały się łakomym kąskiem. Takiemu szefowi jak ja trudno się do tego przyznać, ale niewątpliwie do zdrowego jabłka wpelznął robak. W naszych szeregach jest zdrajca. Jego szkodliwe działania zaburzyły notowania giełdowe naszej firmy, zagroziły waszym oszczędnościom. Stojąc tu przed wami, zobowiązuję się jednak do zdemaskowania go i przepędzenia, na co zasługuje.

Miałem ochotę zniknąć. Chciałbym teleportować się gdzieś indziej, ulotnić się. Próbowałem zachować kamienną twarz, podczas gdy wrzał we mnie przerażający koktajl wstydu i poczucia winy.

Wśród publiczności wybuchła fala oklasków. Dunkerowi udało się skierować złość drobnych akcjonariuszy na tajemniczego zdrajcę, podczas gdy on sam uchodził za prezesa opiekuna, który przywróci sprawiedliwość.

- Wszystko to będzie tylko złym wspomnieniem - kontynuował. - Nawet cyklon nie przeszkodzi źdźbłu odrosnąć. Prawda jest taka, że nasze przedsiębiorstwo w pełni się rozwija, a realizowana strategia przynosi zyski.

Przemawiał dalej w tonie samozadowolenia, potwierdzając słuszność każdego ze swoich strategicznych wyborów, które przedstawił szczegółowo, wyrażając chęć kontynuowania ich w przyszłości.

Skończył, oklaskiwany przez dyrektorów i grupę gości siedzących z tyłu. Natychmiast przyłączyła się do nich znaczna część sali. Czekał, aż na powrót zapanuje cisza, i oznajmił spokojnym tonem:

- Zdaje się, że mamy kandydata z ostatniej chwili. To kandydatura trochę... niepoważna, mówiąc delikatnie. - Zapadłem się w fotel. - Chodzi o młodego pracownika naszej firmy. Młodego rekruta, powinienem powiedzieć, gdyż jest z nami zaledwie od kilku miesięcy... Dołączył do naszej firmy tuż po opuszczeniu szkolnej ławy.

Śmiechy pośród zgromadzenia. Zagłębiłem się w fotel jeszcze bardziej. Dałbym wszystko, żeby znaleźć się gdzie indziej.

- Nie udało mi się go odwieść od tego pomysłu - ciągnął nieubłaganie - żeby oszczędzić wasz czas. W końcu uznałem, że skoro wszyscy doświadczyliśmy trudnych chwil, dobrze nam zrobi, kiedy się razem pośmiejemy. Jeśli on nie ma poczucia śmieszności, my mamy poczucie humoru.

Na sali dało się słyszeć drwiny, a Dunker spokojnie wrócił na swoje miejsce z zadowoleniem malującym się na twarzy.

Byłem zastraszony jego obraźliwymi słowami. Jakie to złośliwe z jego strony! Odrażające.

Idąc od mównicy, lekko zwrócił głowę w moją stronę i uśmiechnął się pogardliwie, sardonicznie.

Jeszcze nie doszedł do swojego fotela, gdy dyrektor finansowy siedzący za stołem wziął mikrofon do ręki.

- Udzielam zatem głosu drugiemu kandydatowi na stanowisko prezesa naszej firmy, panu Alanowi Greenmorowi.

Przelknąłem ślinę, a mój żołądek był zaciśnięty w supeł. Czułem, jakbym przyrósł do fotela, zamienił się w betonowy blok.

Dalej, idź. Musisz. Nie masz już wyboru. Podnieś się! - nakazywałem sobie w duchu.

Dokonałem tytanicznego wysiłku, żeby wstać. Wszyscy dyrektorzy odwrócili się w moją stronę, niektórzy z lekko drwiącym uśmieszkiem. Goście po mojej prawej stronie wpatrywali się we mnie równie pobłażliwie. Czułem się samotny, straszliwie samotny i w takiej opresji, że z trudem oddychałem.

Wziąłem kartki z moim wystąpieniem. Najtrudniejsze były pierwsze kroki w kierunku mównicy. Przeszedłem przez scenę, zbliżając się do tej ogromnej publiczności. Gdyby wyłączono światła na sali, zostawiając tylko te nad sceną, nie widziałbym tych tysięcy nieznajomych i szyderczych twarzy, które patrzyły na mnie jak na egzotyczne zwierzę.

Droga, którą miałem przejść, wydawała mi się nieskończenie długa, każdy krok pod ciężarem spojrzeń był sprawdzianem. Czułem się jak gladiator wypuszczony na arenę, rzucony na pożarcie lwom przed drwiącym i spragnionym krwi plebsem. Im bliżej mównicy podchodziłem, tym wyraźniej słyszałem kpiny. Czy rzeczywiście tak było, czy to po prostu wytwór mojego udręczonego umysłu?

W końcu dotarłem do mównicy, punktu skupienia uwagi, w samym środku sceny, w sercu zbudzonego potwora gotowego zaryczeć. Skrajnie przerażony, byłem własnym cieniem.

Położyłem kartki na pulpicie i dostosowałem wysokość mikrofonu. Ręka mi drżała, a serce waliło, jakby chciało wyrwać się z piersi. Czułem, jak krew dopływa do skroni, jak pulsuje. Musiałem koniecznie choć trochę się skupić, zanim zacznę. Oddychać. Oddychać. Powtórzyłem w myślach pierwsze zdania przemówienia. Nagle wydało mi się niedobre, niedostosowane, źle wyważone...

Daleko w rzędach publiczności, gdzieś na górze, odezwał się głos: „No dalej, mały,

wyrzucić to z siebie!”, po czym nastąpiły docinki dochodzące z różnych miejsc sali.

To bolesne, gdy śmieją się z ciebie dwie albo trzy osoby, ale kiedy jest ich trzysta lub czterysta przy piętnastu tysiącach świadków, to nie do zniesienia. Trzeba było szybko z tym skończyć. W agonialnym wstrząsie zebrałem siły i skoczyłem na głęboką wodę.

- Panie i panowie! Mój głos, wzmocniony przez gigantyczne głośniki, wydał mi się głuchy, jakby uwiązł mi w gardle. - Nazywam się Alan Greenmor.

Jakiś żartowniś krzyknął: „Greenmor, już nie żyjesz!”, wywołując serię śmiechów głośniejszych niż poprzednio. Zło triumfowało.

- Jestem konsultantem do spraw rekrutacji, pracuję w samym sercu Dunker Consulting. Dziś stoję przed wami, żeby zaprezentować wam swoją kandydaturę... na prezesa. - Niedobrze. Ta przemowa brzmi fałszywie. - Jestem świadomy dużej odpowiedzialności.

Z lewej strony ozwał się drwiący głos: „Już uginasz się pod jej ciężarem!”. Nowa lawina śmiechów. Maszyneria się zacięła. Makiawelicznie nastawieni kpiącymi słowami Dunke-ra, zachęteni jego niewypowiedzianym przyzwoleniem, poparci jego błogosławieństwem, drobni udziałowcy nie żalowali sobie. Zostałem im rzucony jako ofiara, a oni ją rozszarpali. Byłem ugotowany.

Być kozłem ofiarnym publiczności to najgorsze, co mogło mi się przytrafić. Najgorsze. To podważało moją wiarygodność, redukując do zera wszelką nadzieję. Wolalbym wrogość od szyderstwa. Wrogość popycha do działania, drwiny do ucieczki. Miałem ochotę zniknąć raz na zawsze. Być gdzie indziej... nieważnie, gdzie, ale nie tu... Trzeba było koniecznie z tym skończyć. Natychmiast! Wszystko, żeby tylko przestali drwić...

Motywowany powagą sytuacji, która stawała się gorsza z sekundy na sekundę, i przerażony tym, że zostanę wygwizdany przez całą salę, obarczony jarzmem wstydu, które mnie przygniatało, zapominając o moim wystąpieniu, notatkach, a nawet o ważnych celach, podniosłem wzrok w kierunku ławek, gdzie wzmagały się śmiechy w odpowiedzi na moje milczenie. Spojrzałem w twarz tej publiczności zupełnie pozbawionej współczucia, zniósłem drwiące spojrzenia, w końcu zbliżyłem mikrofon do ust, dotykając zimnego metalu.

- To ja doniosłem prasie o malwersacjach pana Dunkera! - Mój głos brzmiał imponująco w tej świątyni szyderstwa.

Cisza zapadła natychmiast. Cisza totalna, absolutna, ogłuszająca. Cisza niesłychana w sali mieszczącej piętnaście tysięcy osób. Drwiny ustąpiły miejsca zdziwieniu. Facet na scenie nie był już tylko bufonem. Był wrogiem, groźnym wrogiem, który uszczuplił ich oszczędności.

To niesamowite, jaką energię niesie sala wypełniona ludźmi. Zdziwiająca. To coś

więcej niż suma emocji i myśli poszczególnych osób. To zbiorowa energia, emanująca z całej grupy jak z monolitu. Stojąc sam na scenie, czułem tę energię, czułem ją do głębi. Odbierałem jej wibracje. Przez chwilę zachwiała się w martwym punkcie, potem przeszła we wrogość. Mimo że tym razem z widowni nie padło ani jedno słowo, mogłem tej wrogości dotknąć, otrzeć się o nią, posmakować jej. Była obecna, unosila się w powietrzu jak złowrózne fale, bezgłówna, ale ciężka. I co dziwne, nie przerażała mnie. Stało się coś zadziwiającego, transcendentnego.

Te dusze, które mnie otaczały i dominowały nade mną, były związane w uprzedzeniu, niechęci, urazie, ale niezależnie od przyczyny były związane. W tej chwili tylko to się liczyło. Mogłem poczuć tę niewidzialną energię, która z nich emanowała i sprawiała, że tworzyli zwartą całość. Coś niesamowitego. Czułem to w najgłębszych pokładach mojego ja. Ich niema unia wytrącała z równowagi, ale była fascynująca, prawie... piękna. Byłem zupełnie sam w obliczu tych ludzi. Zacząłem im zazdrościć, chciałem być na ich miejscu, pragnąłem do nich dołączyć. Chciałem się z nimi stopić. Różnica, która nas dzieliła, wydała mi się nagle drugorzędna, bez znaczenia. To tylko ludzie, tacy jak ja. Chcieli chronić swoje oszczędności, swoje emerytury, tak jak ja chciałem zapewnić sobie przetrwanie. Czyż nasze cele nie były podobne?

Słowa Igora Dubrowskiego wróciły do mnie jako narzucająca się oczywistość. To już jednak nie technika, którą trzeba zastosować, lecz filozofia, którą należy przyjąć.

„Wejdz w świat drugiej osoby, a otworzy się przed tobą”.

Wejść w świat drugiej osoby... Nie byliśmy jednostkami stojącymi naprzeciw siebie, lecz ludźmi, których łączą te same dążenia, te same chęci, to samo pragnienie, aby żyć najlepiej, jak się da. Tym, co nas różniło, był tylko szczegół, maleńki detal w porównaniu z tym, co nas łączyło, co nas zbliżało do siebie jako ludzi. Ale jak się z nimi podzielić tym odczuciem, jak im to wyjaśnić? I jak znaleźć w sobie siłę, żeby to przekazać?

Przed oczami stanęły mi wspomnienia ze spotkania w Speech-Masters i przypomniałem sobie to cudowne uczucie, jakie mi wtedy towarzyszyło. Miałem gdzieś w głębi niezbędne zasoby. Byłem do tego zdolny. Jeśli tylko starczy mi odwagi, mogłem pójść w stronę tych ludzi, mówić do nich, otworzyć ich na moje głębokie uczucia.

Trybuny naprzeciwko mnie wydawały się barierą, barykadą ucieleśniającą naszą opozycję. Wyciągnąłem dłoń i chwyciłem mikrofon. Zdjąłem go ze statywu, potem obszedłem mównicę, zostawiając na niej kartki, i zbliżyłem się do tłumu. Sam, bezbronny, ofiarowałem im moją słabość. Szedłem wolno, niesiony przez szczere pragnienie pokoju. Bałem się, ale mój strach znikał pomału na korzyść rodzącego się dziwnego uczucia ufności.

Czułem paradoksalną potrzebę oddania się im. Czułem, że właśnie to jest sposób, żeby zaświadczyć o szczerości i przejrzystości moich działań. Zdając się na instynkt, poluzowałem krawat i rzuciłem go na podłogę, potem to samo zrobiłem z marynarką. Upadła, łopocząc.

Stałem na proscenium. Mogłem dostrzec poważne miny najbliższych siedzących osób. Dalej twarze się rozmywały, aż stawały się ledwie plamkami jak na impresjonistycznym obrazie. Czułem jednak na sobie ich spojrzenia w intensywnej i ciężkiej ciszy.

Rzeczą oczywistą stało się dla mnie, że nie mogę wyrecytować mojego tekstu. Napisany tydzień temu, nie miał związku z obecną chwilą. Był pozbawiony emocji tego momentu. Musiałem użyć słów, które przychodziły mi na myśl.

Trzeba słuchać serca - powiedział Etienne - i mówić to, co się czuje.

Rozejrzałem się dookoła, patrzyłem na zebranych ludzi.

Ich zaniepokojenie i niezadowolenie były niemal namacalne. Echo tych odczuć odbierałem swoim ciałem.

Zbliżyłem mikrofon do ust. Miał metaliczny posmak.

- Wiem, co teraz czujecie. - Mój głos profanował ciszę. Rozbrzmiewał w gigantycznej przestrzeni, niebywale przybierając na sile, i ta siła robiła wrażenie. - Mogę wyczuć wasz niepokój, waszą złość. Zainwestowaliście pieniądze w akcje naszego przedsiębiorstwa. Moje doniesienia do prasy sprawiły, że ich kurs spadł, i macie mi to za złe, jesteście wściekli. Postrzegacie mnie jako... niegodziwca, zdrajcę, świnię.

Ani jednego szmeru pośród zgromadzonych.

Mocne reflektory ogrzewały mi twarz.

- Też bym tak myślał, gdybym był na waszym miejscu.

Cała sala była pogrążona w kompletnej ciszy, pełnej napięcia, elektryzującej.

- Wasze nadzieje na zyski finansowe - kontynuowałem - zostały zawiedzione. Być może potrzebowaliście tych pieniędzy, żeby podwyższyć poziom swojego życia, zwiększyć siłę nabywczą, zasilić swoje emerytury albo sprawić, żeby kapitał, który chcecie zostawić dzieciom, był większy. Bez względu na wasze cele rozumiem to i szanuję.

Myślicie, być może, że przekazałem te informacje prasie z powodu nienawiści do Marca Dunkera, z chęci osobistej zemsty. Mogłoby tak być, zważywszy na cierpienia, jakim mnie poddał. A tymczasem nie, to nie chęć zemsty była powodem moich działań. Podałem te informacje do publicznej wiadomości w konkretnym celu: chciałem, aby notowania akcji spadły.

Wystrzeliło kilka obelg. Mówiłem dalej:

- Chciałem, aby spadły i żebyście tu przyjechali, a ja - żebym mógł stanąć z wami

twarzą w twarz i porozmawiać.

Napięcie sięgało zenitu i czułem, że ludzie skrajnie skoncentrowali się na tym, co mówię. Wrzeli z ciekawości, żeby poznać moje stanowisko, odkryć sens moich czynów.

- Macie prawo wiedzieć, że kurs akcji rośnie na przestrzeni miesięcy i lat. Kiedy stworzono giełdę, miała ona za zadanie dać szansę firmom na zgromadzenie pieniędzy udziałowców, co pozwoliłoby się tym przedsiębiorstwom rozwijać. Ci, którzy inwestowali, niezależnie od tego, czy są wielkimi, czy drobnymi inwestorami, pokładali zaufanie w danej firmie i wierzyli, że z czasem będzie się rozwijała. Przyłączali się do projektu. Później przynęta, jaką był zysk, skłoniła niektórych do inwestowania coraz częściej i przenoszenia kapitału z jednej firmy do drugiej, żeby skorzystać z chwilowego wzrostu akcji i możliwie najbardziej zwiększyć roczny przychód. Spekulacje stały się powszechną praktyką, a bankowcy wynaleźli to, co nazywają narzędziami finansowymi, a co pozwala na wszelkiego rodzaju zakłady dotyczące zmian kursu, czekając oczywiście na spadek. Ten, kto spekuluje podczas bessy, zyskuje na tym, że przedsiębiorstwo ma kłopoty. To tak, jak gdyby spekulowało się na temat pogorszenia stanu zdrowia sąsiada. Wyobraźcie sobie, że ma raka. Stawiacie tysiąc euro, że jego zdrowie w ciągu najbliższych sześciu miesięcy zdecydowanie się pogorszy. Trzy miesiące później ma przerzuty? Genialnie! Już zyskaliście dwadzieścia procent... Oczywiście myślicie, że ten przykład chorej osoby nie ma nic wspólnego z firmą. Otóż ma. Od kiedy giełda stała się kasynem, zapomina się o jej pierwotnej funkcji. Przede wszystkim jednak zapomina się, że za nazwami przedsiębiorstw, na które się stawia jak na liczby w ruletce, kryją się ludzie, osoby z krwi i kości, które tam pracują i poświęcają tej pracy część swojego życia - zmierzałem powoli do sedna sprawy.

- Musicie wiedzieć, że kurs akcji jest ściśle związany z krótkoterminowymi perspektywami zysku. Aby rósł, przedsiębiorstwo musi co trymestr publikować utopijne wyniki. Firma jest zatem jak człowiek. Jej zdrowie jest raz lepsze, raz gorsze, i to jest całkowicie normalne. A czasem, tak jak w przypadku ludzi, choroba pozwala nabrać dystansu, spojrzeć na sprawy inaczej, zmienić kierunek, w którym się podąża, by potem ruszyć do przodu z większym zapasem sił. Trzeba to zaakceptować i być cierpliwym. Jeśli jako akcjonariusze nie chcecie tego przyjąć do wiadomości, szefowie przedsiębiorstwa zaprzeczają, że mają trudności, będą was okłamywali albo podejmą decyzje, które bez względu na koszty przyniosą krótkoterminowe zyski. Publikując fałszywe oferty pracy czy też współpracując z niewypłacalnymi klientami, Marc Dunker odpowiedział jedynie na wymagania gry, której reguły są nie do przyjęcia. Wymóg, aby kurs akcji rósł, sprowadza na wszystkich ogromną presję, od prezesa po zwykłych pracowników. Przeszkadza w sensownej,

spokojnej pracy. Doprowadza do zarządzania w krótkoterminowej perspektywie, co nie jest dobre ani dla firmy, ani dla pracowników, ani dla szefów, którzy, sami stojąc pod wielką presją, wywierają jeszcze większą na załogę. Zdarza się, że dobrze prosperujące firmy zwalniają ludzi tylko po to, aby podnieść swoją pozorną wydajność. To zagrożenie wisi nad każdym z nas, prowadząc do dbania wyłącznie o własne bezpieczeństwo, co z kolei wpływa na złą atmosferę w pracy. W rezultacie wszyscy żyjemy w stresie. Praca nie jest przyjemnością. Tymczasem ja jestem przekonany, że powinna nią być.

Na sali panowała martwa cisza. Sytuacja nie sprzyjała wybuchom śmiechu, jakie pojawiały się podczas mojego przemówienia w Speech-Masters, czułem jednak, że niesie mnie szczerść. Wyrażałem jedynie to, w co wierzyłem całym sobą. Nie udawałem, że posiadam prawdę, ale mówiłem to, co myślałem, i to wystarczało, żeby dodać mi sił do kontynuowania.

- Nie zmienimy świata dzisiaj, moi przyjaciele. Nieważne. Niedawno dowiedziałem się, że Gandhi mawiał: „Musimy być zmianą, którą chcemy zobaczyć w świecie”. I to prawda, świat jest sumą każdego z nas. Dzisiaj macie wybór. Ten wybór nie będzie miał oczywiście wielkiego wpływu na całą planetę, ale będzie miał wpływ na kilkaset osób, które pracują dla Dunker Consulting, oraz na kilka tysięcy kandydatów, z którymi codziennie rozmawiamy, a może pośrednio i na pracowników, których przyjmą nasi zleceniodawcy. Oczywiście to niewiele, ale zawsze coś. Macie następujący wybór... - Zawiesiłem głos, potęgując napięcie wyczekiwania.

- Jeśli chcecie, żeby wasze akcje wkrótce znalazły się na takim poziomie jak kilka tygodni temu i szybko rosły, radzę, abyście ponownie wybrali aktualnego prezesa. Jeśli zaś wybieriecie mnie jako głowę przedsiębiorstwa, nie obiecuję wam tego. Jest nawet prawdopodobne, że akcje przez pewien czas pozostaną na dość niskim poziomie. Zobowiązuję się jednak do tego, że Dunker Consulting stanie się firmą bardziej ludzką. Chciałbym, żeby każdy był zadowolony, wstając rano z perspektywą, że może przyjść i zaprezentować swoje umiejętności, niezależnie od tego, jakie zajmuje stanowisko. Chciałbym, żeby nasi menadżerowie mieli za zadanie stworzenie warunków rozwoju i powodzenia każdego członka zespołu, czuwając nad tym, żeby mógł stale podnosić swoje kwalifikacje. Jestem przekonany, że wówczas każdy będzie dawał z siebie to, co ma najlepszego - nie po to, żeby osiągnąć normy dyktowane zewnętrznymi wymaganiami, ale dla satysfakcji, że czuje się kompetentny, dla własnego rozwoju. Sądzę bowiem, że potrzeba rozwoju jest zapisana w genach każdego człowieka, o ile nie jest sabotowany przez menadżerów. Chcę stworzyć przedsiębiorstwo, gdzie wyniki będą owocem pasji, która

przełoży się na pracę, a nie konsekwencją niszczycielskiej presji, zagrażającej równowadze i zadowoleniu pracowników.

Na sali wciąż panowała cisza. Słuchali mnie.

- Chciałbym również - mówiłem dalej - żebyśmy szanowali naszych zleceniodawców i klientów, tak jak siebie samych. Nie wiem, w jaki sposób mogłoby to przeszkadzać w rozwoju firmy. Myślę, że wręcz przeciwnie. Kiedy chce się zabrać kołdrę tylko dla siebie, innymi słowy: kiedy negocjuje się tak, aby rzucić oponenta na kolana, zachęca się go do takiego samego postępowania, gdy tylko nadarzy mu się okazja. W końcu żyjemy przecież w świecie współzawodnictwa, gdzie każdy chce sprawić, aby inni przegrali. A w konsekwencji przegrywają wszyscy. Nie można niczego zbudować na bazie konfliktu czy próby sił. Tymczasem szacunek powoduje szacunek. Zaufanie prowokuje tego, kto został nim obdarzony, do okazania się go godnym - przekonywałem.

- Zobowiązuję się również do całkowitej przejrzystości w zarządzaniu i metodach osiągania wyników. Koniec z kłamstwami. Jeśli przejściowo będziemy mieli złe wyniki, dlaczego mamy to przed wami ukrywać? Żebyście nie sprzedali akcji? Dlaczego mielibyście to robić, jeśli przyłączyliście się do projektu, którego realizacja rozkłada się w czasie? Wszystkim wam zdarza się czasem złapać katar lub grypę, która na tydzień przykuwa was do łóżka. Czy ukrywacie to przed partnerem ze strachu, że was opuści? Chcę sprawić, aby nasz rozwój stał się zadaniem długofalowym. Ponieważ, jak widzicie, ten projekt nie jest słodkim snem marzyciela. Jestem przekonany, że przedsiębiorstwo, którego funkcjonowanie opiera się na zdrowych zasadach, może się rozwijać bardzo dobrze, a nawet przynosić zyski. Nie mogą one jednak stać się obsesją, niczym narkotyk dla narkomana. Zysk to naturalny owoc zdrowego i harmonijnego zarządzania.

Wróciły do mnie słowa Igora. „Wiesz, nie można zmienić ludzi. Można jedynie wskazać im drogę i sprawić, żeby mieli ochotę nią pójść”.

- Wybór należy do was - podsumowałem. Ostatecznie nie wybieriecie prezesa, lecz rodzaj satysfakcji, którą chcecie odczuwać po pewnym czasie. W jednym wypadku będziecie mieli satysfakcję z maksymalnych dochodów i być może wyjedziecie na wakacje trochę dalej, kupicie większy samochód albo zostawicie większy spadek dzieciom. W drugim wypadku będzie ona wynikała z uczestniczenia we wspaniałej przygodzie, a mianowicie w przywracaniu ludzkich zasad w biznesie. I być może każdego dnia poczujecie w głębi serca iskrę dumy z tego, że przyczyniliście się do tworzenia lepszego świata, tego, który zostawicie swoim dzieciom.

Spojrzałem na ludzi. Wydawali mi się bliscy, mimo że było ich tak wielu.

Powiedziałem im to, co leżało mi na sercu. Nie trzeba było mówić nic więcej. Nie czułem potrzeby zakończenia przemówienia piękną formułą, wywołującą oklaski. To nie było zresztą przemówienie, lecz jedynie wyraz moich głębokich przekonań, mojej wiary w możliwość zmieniania przyszłości. Stałem przez chwilę, patrząc na nich, w ciszy, która już mnie nie przerażała. Potem wróciłem na mój odseparowany fotel, odsunięty od reszty. Dyrektorzy siedzący przy stole wpatrywali się w swoje buty.

Głosowanie i liczenie głosów trwało całą wieczność. Była już późna noc, kiedy zostałem prezesem Dunker Consulting.

54

Im bardziej się do niej zbliżałem, idąc pachnącymi alejkami parku na Polu Marsowym, tym bardziej wydawała mi się gigantyczna i dominująca. Wieża Eiffla. Zabarwiona na purpurowo zachodzącym słońcem, była majestatyczna i niepokojąca zarazem. Nie miałem wprawdzie powodów do obaw. Powodzenie mojej ostatniej misji poprzedniego dnia uwolni mnie od Igora i w spokoju będziemy mogli świętować moje zwycięstwo. Wieża była jednak w moich oczach klatką starego lwa. Miałem wrażenie, że do niej wracam po tym, jak udało mi się z niej uciec.

Doszedłszy do stóp Żelaznej Damy spojrzałem w górę. Czułem zawroty głowy, jakbym się kołysał. Byłem malutki i bezbronny, petent na kolanach przed olbrzymem, proszący o łaskę.

Skierowałem się w stronę południowego filaru. Przecisnąłem się między turystami i podszedłem do mężczyzny wpuszczającego ludzi do prywatnej windy restauracji Jules Verne.

- Na jakie nazwisko ma pan rezerwację? - zapytał, pochylając się nad trzymaną w ręce listą.

- Jestem umówiony z panem Igorem Dubrovskim.

- Dobrze, proszę za mną - odparł natychmiast, nie patrząc nawet na swoją kartkę.

Poszedłem za nim w głąb filaru. Dał dyskretny znak koledze, który czekał z grupą klientów. Weszliśmy przed nimi do starej wąskiej windy ze ścianami ze szkła i żelaza. Drzwi zamknęły się za nami z hukiem, jak drzwi do celi, i pojechaliśmy do metalowego serca konstrukcji tworzącej filar.

- Pan Dubrovski jeszcze nie dotarł. Jest pan pierwszy.

Winda wjeżdżała do nieba, jakby przyciągana przez niewidoczne jeszcze gwiazdy, oddalała się od miasta, które rozciągało się u jej stóp w całej swojej okazałości.

Kiedy wjechaliśmy na drugie piętro, poczułem niepokój na widok wielkiego koła ciągnącego kable. Poczułem, że poca mi się dłonie. Mężczyzna zaprowadził mnie do szefa sali, który powitał mnie z wielką dystynkcją i zaprosił do stołu na skraju szklanego wykuszu. Zaproponował mi aperitif. Poprosiłem o wodę.

Restauracja miała ciepły, przyjemny klimat. Wystrój stonowany, biało-czarny. Światło zachodzącego słońca wpadało do środka, docierając do najmniejszych zakamarków, co podkreślało wrażenie przestronności tego miejsca. Kilka stołów było już zajętych. Wyłapałem strzępki słów w obcych językach.

Kiedy wyjrzałem na zewnątrz, nie mogłem powstrzymać dreszczu. Belki za oknem były zbyt znajome. Przypominały mi moje zagubienie i minione cierpienie. Pustka poniżej była tak przejmująca, że miałem przyprawiające o zawroty głowy uczucie zawieszenia w chmurach.

Dobrze było wrócić w końcu do miejsca, gdzie przeżyło się traumę. Dzięki niej dostałem nową szansę. Nie chciałem wymazać przeszłości, ale przynajmniej dopisać do niej inną historię. To jakby nowe nagranie na starej taśmie filmowej, które nie do końca zastępuje poprzednie, ale w znacznym stopniu je zamazuje.

Przebyłem od tamtego czasu długą drogę, naznaczoną emocjami, napięciami, obawami, ale i nadzieją, postępami, awansami... Jako osoba nie zmieniłem się. Byłem wciąż tym samym człowiekiem. Miałem jednak poczucie, że uwolniłem się z więzów, jak statek, który podnosi kotwice zatrzymujące go w porcie. Odkryłem, że większość moich obaw była tylko wytworem mojego umysłu. Rzeczywistość przebiera się czasem za przerażającego smoka, który znika, jak tylko zdobędziemy się na odwagę, żeby spojrzeć mu w twarz. Pod wpływem Igora oswoiłem smoki mojej egzystencji, która teraz wydawała mi się zaludniona dobrymi aniołami.

Igor... Igor Dubrovski. Yves Dubreuil. Czy wyjaśni mi tajemnice, które nadal istniały, mimo że nasz układ dobiegł końca? Czy wreszcie zrozumie jego motywacje, czy nadal będę go postrzegał jako starego, na wpół szalonego psychiatrę?

Czas płynął, a Igor nie przychodził. Restauracja stopniowo wypełniała się gośćmi, a kelnerzy, szefowie sali i somelierzy rozpoczęli swój wieczorny taniec wokół stolików. Ich ruchy były płynne i ciche. Poprosiłem o kieliszek burbonu. Nigdy go nie piłem, ale w tej chwili nabrałem ochoty, żeby spróbować.

Niebo stało się różowe, a słońce zniżało się nad miastem. Miły, ciepły róż zalewał przestrzeń nad horyzontem, emanując niewiarygodnym spokojem. Nie miałem nic do zrobienia, nic do powiedzenia. Czekałem, smakując chwilę. Czas się zatrzymał, terazniejszość

umykała z przyjemną nonszalancją.

Wzięłem szklankę i lekko, bardzo lekko obróciłem w palcach. Kostki lodu zaczęły tańczyć i delikatnie objąć się o kryształowe ścianki, wydając ledwie słyszalny dźwięk.

Igor nie przyjdzie. W głębi duszy to wiedziałem. Mgliście to przeczuwałem.

Pozwoliłem, aby mój wzrok zagubił się w widoku nieba. Czułem się tak, jakby całe moje „ja” rozplątało się w jego pięknie. Łyk alkoholu objął podniebienie łagodnym aromatem, a potem rozniósł ciepło po całym moim ciele, zapraszając je do odpoczynku.

Nad Paryżem zapadła noc, przystroiła się w migotliwe światła i pogrążyła restaurację w urzekającej wieczornej atmosferze.

Zjadłem kolację sam, otulony nocą, kołysany melancholijnymi akordami jazzującego pianisty. Na niebie świeciły spokojnie gwiazdy.

55

Mężczyzna usiadł wygodnie w altanie i odstawił filiżankę parującej kawy, którą ze sobą przyniósł. Wyjął z paczki papierosa i włożył go do ust. Potarł zapalką o ściankę pudełka. Złamała się, więc zaklął, rzucając ją na ziemię. Druga zapaliła się od razu. Przypalił papierosa, zaciągając się po raz pierwszy tego ranka.

To najlepszy moment dnia. Mały ogród przy domu był jeszcze uśpiony, a na kwiatach o różowych, białych i żółtych płatkach wciąż widać było krople rosy. Słońce zaczęło wschodzić na bladoniebieskim niebie. Dzień zapowiadał się upalnie.

Mężczyzna otworzył gazetę „La Provence” i przeczytał tytuły z pierwszej strony. Nie za wiele nowin pod koniec sierpnia. „Kolejny pożar lasu został szybko ugaszony przez strażaków z Marsylii po interwencji Canadair”. Bez wątplenia spowodował go piroman albo jacyś nieświadomi turyści, którzy mimo zakazu urządzają pikniki na łonie natury. Jeden z artykułów mówił o wzroście zainteresowania koncertami letnimi, na które czasem wydawano więcej, niż na nich zarabiano. Znowu my za pomocą podatków zapłacimy za koncerty pary-żan - pomyślał czytelnik.

Upił łyk kawy i rozłożył gazetę, żeby przeczytać, o czym donosiły kolejne strony.

Jego uwagę przykuło zdjęcie podpisane wielkimi literami: „Dwudziestoczteroletni młodzieniec został wybrany na prezesa największej we Francji firmy konsultingowej”.

Papieros wypadł mu z kącika ust.

- Hej Josette! Chodź, zobacz! - zawołał.

*

Habit nie czyni mnicha, a stanowisko - mężczyzny. Jednak nieubłaganie zmienia się sposób, w jaki postrzegają go inni. Mój powrót do biura następnego dnia po wybraniu mnie na prezesa był dość niecodzienny. Kiedy wchodziłem, w holu zebrał się niemalże komitet powitalny. Tak jakby anons o moim wyborze był na tyle niewiarygodny, że moi koledzy chcieli sprawdzić doniesienia osobiście. Każdy witał mnie na swój sposób, ale wszyscy zwracali się do mnie jak nigdy przedtem. Wyczuwałem, że już zaczynało się rozgrywanie osobistych interesów. Nie mogłem mieć im tego za złe. Jedni byli ostrożni, a inni w widoczny sposób chcieli się do mnie zbliżyć, żeby prędzej czy później na tym skorzystać. Thomas był spośród nich największym pochlebcą, co mnie nie zdziwiło. Jedyne Alice w swoich reakcjach pozostała sobą i czułem, że jej radość była szczerą.

Nie zwlekając, udałem się do swojego pokoju. Byłem tam zaledwie od piętnastu minut, kiedy pojawił się sam Marc Dunker.

- Nie ma co owijać w bawełnę - powiedział, nie witając się. - Skoro zamierza mnie pan zwolnić, lepiej to zrobić od razu. Proszę tu podpisać i nie mówmy o tym!

Podał mi kartkę z nagłówkiem firmowym. Przeczytałem, nawet nie biorąc jej do ręki. Był to list napisany na komputerze, adresowany do Dunkera, który zawierał zwolnienie go z funkcji. Pod miejscem na odręczny podpis widniało: Alan Greenmor, prezes i dyrektor generalny.

Ten człowiek był tak przyzwyczajony do kierowania wszystkim, że nawet sam sobie napisał wymówienie! Wziąłem list i rozdarłem go na pół, a następnie wrzuciłem do kosza na śmieci. Przyglądał mi się zaskoczony.

- Długo się nad tym zastanawiałem - powiedziałem. - Zdecydowałem, że zachowam dla siebie stanowisko prezesa firmy i powołam dyrektora generalnego, żeby nie obejmować dwóch funkcji naraz. Powierzam panu to stanowisko. Wyznaje pan kult wydajności, zaangażowania i osiągania dobrych wyników. Wykorzystamy to w słusznym celu. Odtąd pańskim zadaniem będzie, jeśli się pan zgodzi, uczynienie z tej firmy miejsca bardziej przyjaznego ludziom, odznaczającego się wysoką jakością usług, przy jednoczesnym poszanowaniu wszystkich, zarówno klientów, jak pracowników, i wreszcie kandydatów. Jak pan wie, założyłem, że szczęśliwi pracownicy będą dawać z siebie wszystko, kandydaci traktowani jak partnerzy będą godni zaufania, a nasi klienci potrafią docenić wartość tego, co im oferujemy.

- To się nie uda. Widział pan, że podczas wczorajszego walnego zgromadzenia akcje spadły o kolejne jedenaście procent!

- To nic niepokojącego. Po prostu drugi duży udziałowiec sprzedał akcje. Odtąd

przedsiębiorstwo należy tylko do drobnych akcjonariuszy, którzy przystali na nową wizję firmy. Koniec presji wielkich inwestorów stanowiących prawo! Teraz jesteśmy rodziną...

- Da się pan zjeść na surowo. Daję panu pół roku, po czym jakaś konkurencyjna firma zgłosi nas do przetargu! W ciągu dwóch tygodni znajdzie się akcjonariusz, który stanie się głównym udziałowcem, i zostanie pan zwolniony.

- Przetargi na nic się nie zdadzą. Oferta kupna jest niczym innym jak chęcią odkupienia akcji za cenę wyższą niż giełdowa. Przypominam panu, że głosowali na mnie po tym, jak uświadomiłem im, że gdy stanę na czele firmy, akcje będą wzrastały wolniej, niż gdyby to pan pozostał prezesem. Przyłączyli się zatem do projektu, rezygnując z nadziei na szybki zysk. Mogę się założyć, że pozostaną nam wierni i nie skusi ich syreni śpiew.

- Oszukuje się pan. Odejdą. Ludzie są słabi, kiedy w grę wchodzi pieniądze.

- Nie zrozumiał pan, że sytuacja uległa zmianie. Pańscy akcjonariusze nie interesowali się firmą. Ich jedyną motywacją była chęć zysku. To dlatego był pan niewolnikiem wydajności ich kapitału. Ci, którzy zostali ze mną, są odtąd połączeni wspólnym projektem, prawdziwym projektem firmy opartej na pewnej filozofii i zasadach. Nie ma żadnego powodu, dla którego mieliby się teraz wyrzec swoich wartości. Zostaną.

Dunker patrzył na mnie w osłupieniu. Otworzyłem dossier, które leżało przede mną, i wyjąłem z niego kartkę, którą mu podałem.

- Proszę, oto pańska nowa umowa o pracę. Warunki są takie same poza tym, że odtąd będzie pan dyrektorem generalnym, a nie prezesem i dyrektorem generalnym.

Patrzył na mnie w milczeniu przez chwilę. Potem zdawało mi się, że dostrzegłem w jego oczach błysk przebiegłości. Wyjął długopis z kieszeni, nachylił się nad moim biurkiem i podpisał umowę.

- Zgadzam się, przyjmuję stanowisko.

W tym momencie zadzwonił mój telefon.

- Tak, Vanesso?

- Mam na linii dziennikarza. Połączyć?

- Tak, odbiorę.

Dunker skinął w moją stronę głową i wyszedł.

- Pan Greenmor?

- Tak, to ja.

- Emmanuel Valgado z telewizji BFM. Chciałbym pana zaprosić do naszego programu, którego emisja odbywa się we wtorek rano. Chcielibyśmy, aby opowiedział pan o kulisach swojego przejścia władzy w Dunker Consulting.

- Nie uważam tego za przejęcie władzy...

- Właśnie to nas interesuje. Nagranie odbędzie się w poniedziałek o czternastej.

Będzie pan mógł przyjść?

- Yyy... jedna sprawa... Czy będzie tam publiczność?

- Jakieś dwadzieścia osób najwyżej. A dlaczego pan pyta?

- Czy mogę zaprosić jedną albo dwie osoby? Złożyłem pewną obietnicę, której chciałbym dotrzymać.

- Nie ma problemu.

*

Marc Dunker wyszedł z gabinetu Alana Greenmora z lekkim uśmiechem. Gołowus chce być u władzy, ale brakuje mu jaj, żeby zrobić cokolwiek samodzielnie - pomyślał. – To dlatego zostawił mnie na stanowisku dyrektora generalnego. Jest niezdolny do zarządzania firmą i dobrze o tym wie.

Były prezes i dyrektor generalny już zacierał ręce, przeskakując po dwa stopnie po schodach prowadzących do jego gabinetu. Bez trudu zdobędzie przewagę nad tym dzieciakiem tak naiwnym, że nawet nie stara się tego ukryć. Żadnej umiejętności utrzymania władzy. To pewne. Ostatecznie nic się nie zmieni. To on, Marc Dunker, będzie wszystkim kierował z pozycji dyrektora generalnego. Prezes będzie za nim podążał. Po roku przedstawi swój bilans na walnym zgromadzeniu, a kiedy przekona akcjonariuszy, że to on odwalił całą robotę, znowu od ręki zostanie wybrany.

Dochodził do drzwi swojego pokoju, kiedy nagle jego twarz zastygła, potem stała się szkarłatna. Niepokojąca myśl zawładnęła jego umysłem. Jego odprawa... jego szczerozłota odprawa. Trzy miliony euro przewidziane na wypadek zwolnienia. Oczywiście, o to chodziło!!! Dlatego Greenmor poprosił go, żeby został!!! A... on podpisał umowę.

Wszedł do gabinetu i minął Andrew, nawet go nie zauważając. Słowa nieświadomie wydarły się z jego ust:

- Ten mały fiut wyruchał mnie po raz drugi!

Sekretarz podniósł brew.

- Tak, proszę pana?

56

Wyszedłem z biura wcześniej, żeby udać się do Igora Du-browskiego. Był mi winien wyjaśnienia. To zbyt łatwe tak zniknąć.

Szofer prezesa, odtąd do mojej dyspozycji, zawiózł mnie na miejsce. Wydało mi się to zabawne. Usadawiłem się na mięciutkim tylnym siedzeniu, wtulony w najdelikatniejszą skórę, podczas gdy wokół mnie na ulicy Rivoli kierowcy stresowali się za kierownicą. Miałem poczucie, że jestem kimś ważnym. Zdziwiłem się, kiedy zauważyłem, że ludzie przyglądają się nam na czerwonym świetle. Czy będę cieszył się szacunkiem? A może... podziwem? Tak naprawdę jednak nikt nie zwracał uwagi na mnie. Każdy był zbyt zajęty przemykaniem się na sąsiedni pas i ruszaniem szybciej niż samochód obok. W tej rozgrywce mieliśmy gorszą pozycję ze względu na rozmiary naszego pojazdu. Wszyscy nas wyprzedzali... Czego tak naprawdę się spodziewałem? Czy ja podziwiałbym kogoś tylko dlatego, że ma szofera? Nie, oczywiście, że nie... Zdecydowanie nie. Kolejna iluzja. Poza tym zabieganie o uznanie byłoby objawem próżności. W jaki sposób podziw innych mógłby zrekompensować mój niski poziom wiary w siebie? To, co przychodzi z zewnątrz, nie może naprawić tego, co jest niedoskonałe w nas samych.

Gdy sobie to uświadomiłem, nabrałem ochoty, żeby wznowić wykonywanie zadania, które Igor Dubrovski powierzył mi jakiś czas temu - notować trzy rzeczy z minionego dnia, które napawają mnie dumą. Zaniechałem tego, kiedy odkryłem fałszywą tożsamość mojego mentora, a także z powodu ogromu alarmujących zdarzeń, które pochłaniały moją energię.

Kilka minut później utknęliśmy na placu Zgody w potwornym korku, aż w końcu pożałowałem, że nie pojechałem metrem, które dowiozłoby mnie na miejsce w mniej niż dwadzieścia minut!

Wreszcie dotarliśmy, limuzyna zatrzymała się przed czarnym ogrodzeniem pałacyku. Wysiadłem. Na niebie gromadziły się gęste chmury. Powietrze było przesycone wilgocią. Wznoszący się pośród szarości budynek przypominający zamek zdawał się kosmicznym statkiem widmem.

Poznałem lokaja, który mi otworzył, i poszedł przodem, nie mówiąc ani słowa i kierując się do salonu. Smętna atmosfera nappełniała wnętrze spokojem i melancholią. Wbrew zwyczajom tego domu paliły się tylko nieliczne światła.

Znalazłem Catherine siedzącą na sofie. Podkurczyła nogi, pozostawiając buty na dywanie.

- Dzień dobry - powiedziałem.

Popatrzyła na mnie, ale nie odpowiedziała, tylko lekko skinęła głową. Rozejrzałem się. Była sama. W półmroku zamknięty fortepian przypominał daktyl z czarnego marmuru. Przez wysokie okna otwarte na ogród można było dojrzeć pierwsze krople deszczu skapujące na liście drzew.

- Gdzie jest Igor?

Nie odpowiedziała od razu. Odwróciła wzrok.

- Ach... znasz jego prawdziwe imię.

- Tak.

Przez dłuższą chwilę milczała.

- Alan...

- Tak...

Westchnęła.

- Alan... muszę ci powiedzieć...

- Co?

Nabrała powietrza. Czuję, że jest na skraju załamania.

- Igor nie żyje.

- Igor nie...

- Tak, wczoraj rano miał zawał. Lokaje nie mogli nic zrobić. Karetka przyjechała zbyt późno.

Igor nie żyje. Nie mogłem w to uwierzyć. To było niepojęte. Nawet jeśli moje uczucia względem niego były ambiwalentne po tym, jak w ciągu lata poznałem dzięki niemu całą gamę emocji, od podziwu poprzez strach, aż do nienawiści, był tym, który uwolnił mnie z pęt moich obaw i zrobił ze mnie mężczyznę zdolnego żyć pełnią życia. Igor nie żyje... Nagle uświadomiłem sobie, ile mu zawdzięczam. Poczuję się niewdzięcznikiem. Nigdy nie miałem okazji mu podziękować.

Powoli narastał we mnie smutek, który w końcu mną zawładnął. Poczuję się nagle ciężki, przybity. Stary lew opuścił świat...

Przez głowę przebiegła mi pewna myśl: czy odpowiedzi na moje pytania zniknęły razem z nim?

- Catherine, czy mogę panią o coś zapytać?

- Alan, ja...

- Proces. Proces François Littreca. Igor był winny, prawda?

- Nie, nie miał sobie nic do zarzucenia w tej sprawie.

- A więc dlaczego zahipnotyzował przysięgłych? Przecież to zrobił, prawda?

Catherine uśmiechnęła się smutno.

- To by mnie nie zdziwiło, ale jeśli to zrobił, to dlatego, że wolał wywierać wpływ niż się usprawiedliwiać... A może po prostu nie mógł udowodnić swojej niewinności, mimo że był niewinny. Poza tym bardzo mało rozmawiał z tym młodym człowiekiem, który już

przedtem był leczony. Igor nie miał swojego wkładu w to, że Littrec pozbawił się życia.

- A ja? Nasze spotkanie na wieży Eiffla nie było przypadkowe, prawda?

Spojrzała na mnie życzliwie.

- Istotnie nie było.

- Postępował tak, żeby mnie zaciągnąć do swojej świątyni, tak?

Przytaknęła ruchem głowy.

Przełknęłam ślinę. Była jego współpracowniczką, wiedziała o wszystkim i pozwalała mu działać.

- Catherine, czy wie pani, skąd Igor znał Audrey?

Odwróciła głowę w stronę okna i zaczęła mówić w zamyśleniu. Wpatrywała się w deszcz, który padał z szumem na liście w ogrodzie.

- Igor wiedział, jak mocne było wasze uczucie. Poinformował Audrey o... swoich planach względem ciebie. Przekonał ją, żeby cię opuściła, zostawiwszy w mieszkaniu artykuł o samobójstwie.

- To on zażądał od Audrey, żeby ode mnie odeszła?

Byłem wściekły. Jak mógł zrobić coś tak niegodziwego?

- Trudno było ją przekonać, ale Igor umiał się do tego zabrać. Udowodnił jej, że to leżało w twoim interesie, i wynegocjował u niej czas, którego potrzebował, zanim ponownie będziecie mogli być razem.

Nie mogłem uwierzyć, że Audrey przystąpiła do jego gry. Była zbyt szlachetna na coś takiego.

- Widziałem, jak pewnego dnia wychodziła od Igora.

- Przyszła mu powiedzieć, żeby poszedł do diabła, że nie może już wytrzymać, że to wszystko bez sensu. Igor musiał u niej wynegocjować jeszcze trochę czasu. Alan...

Ta historia sprawiła, że straciłem panowanie nad sobą. Czulem, jak wzbiera we mnie głucha złość.

- Ale jak on mógł...

- Alan...

- To naprawdę ohydne tak igrać z ludzkimi uczuciami!

- Alan...

- A gdyby w tym czasie poznała kogoś innego?

- Alan...

- Podjął takie ryzyko, żeby...

Catherine krzyknęła, żeby przebić się przez potok moich słów:

- Alan, Igor był twoim ojcem!

Jej głos rozbrzmiał w wielkim salonie. Wibrował w mojej głowie. Nastąpiła cisza. Byłem ogłuszony, oniemiały. Moje myśli wirowały pod wpływem różnych mieszających się emocji.

Catherine trwała w bezruchu. Nie spuszczała ze mnie oczu, mimo że wydawała się bardzo zakłopotana.

- Moim ojcem... - mamrotałem, niezdolny wyartykułować czegokolwiek innego.

- Nie wiem - mówiła dalej spokojnie - czy matka ci o tym mówiła. - Człowiek, który wychowywał cię w Stanach Zjednoczonych, nie był twoim ojcem biologicznym.

- Tak, tak. Wiedziałem. Wiedziałem o tym.

- Lata po twoim poczęciu Igor zdecydował się przygarnąć dziewczynkę jednej ze swoich gospodyń, która zachorowała. Była samotną matką i nie miała nikogo, kto mógł zająć się jej dzieckiem w trakcie dwóch tygodni jej pobytu w szpitalu. To była urocza mała dziewczynka w twoim wieku. Bardzo twarda, ale pełna życia, ciekawska i zabawna. Malutka, ale już miała silną osobowość. Igor kompletnie zwariował na jej punkcie. On, który w najmniejszym stopniu nigdy nie interesował się dziećmi, spędzał dni, zajmując się nią. Stanowiła dla niego odkrycie. Kiedy jej matka wróciła ze szpitala i odebrała córkę, Igor nalegał, żeby pozwoliła mu regularnie opiekować się dziewczynką. Odegrał rolę jej ojca, opiekuna, rolę, którą pełnił też później, gdy stała się dorosła, nawet po tym, jak jej matka przestała u niego pracować. Kiedy ta mała pojawiła się w jego życiu, nastąpiły zmiany. Igor nagle przypomniał sobie o dziecku, które począł, a które nigdy nie poznało swojego ojca. Ta myśl nawiedzała go w dzień i w nocy. Opętały go wyrzuty sumienia i nie mógł znieść tego, że jego jedyny syn żył gdzieś daleko od niego. Zaczął poszukiwania zakrojone na wielką skalę za pomocą wszelkich środków, jakimi dysponował. Przypominało to jednak szukanie igły w stogu siana. Poświęcił prawie piętnaście lat, żeby wpaść na twój trop. A potem przypadek sprawił, że przyjechałeś tu, żeby zamieszkać tuż obok niego, nawet o tym nie wiedząc...

- Przypadek...

- Oczeka! trochę, zanim się z tobą skontaktował. Odkładał to z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień. Bez wątplenia wstydził się. Chociaż poświęcił tyle czasu na odnalezienie ciebie, nagle nie miał odwagi spojrzeć ci w oczy. Obawiał się, że go odrzucisz, że mu nie wybaczysz, iż zostawił twoją matkę jeszcze przed twoim przyjściem na świat. W pewnym okresie sądziłam, że być może nigdy nie zbliży się do ciebie, że definitywnie z tego zrezygnuje. Potem kazał cię śledzić, podchodził coraz bliżej. Stało się to prawie jego obsesją. Każdego wieczoru czytał raporty na twój temat. Wiedział wszystko o twoim życiu każdego

dnia. Znał twoje obawy, rozczarowania, uczucia. Vladi nie wystarczał, żeby zbierać wszelkie dane. Prędzej czy później zorientowałbyś się. Poprosił zatem swoją podopieczną, żeby przyłączyła się do jego działań. Zgodziła się. Nie przewidział jednak tego, co się wydarzy. Dziewczyna, w miarę jak cię obserwowała i śledziła, zakochała się w tobie do szaleństwa i odtąd odmówiła składania raportów.

- Nie wierzę.

- Tak.

- Audrey?

Catherine przyglądała mi się w ciszy, potem przytaknęła.

Audrey... Mój Boże, Audrey była podopieczną Igora.

- Dopiero wówczas postanowił... schwycić cię w garść. Sądzę, że to był jego sposób na pozbycie się wyrzutów sumienia spowodowanych tym, że cię nie wychowywał. Nie wykluczam też, że chciał na powrót przejąć kontrolę nad sytuacją, która mu się wymknęła. Szukał cię piętnaście lat i dokładnie w momencie, kiedy chciał zaistnieć w twoim życiu, rzuciłeś się sercem i ciałem w ramiona młodej dziewczyny. Może podświadomie chciał cię zatrzymać na jakiś czas wyłącznie dla siebie... Jeśli o mnie chodzi, nie byłam pewna co do słuszności jego pomysłu zajęcia się tobą. Uważałam, że to jeszcze bardziej skomplikuje wasze relacje, kiedy dowiesz się, że jest twoim ojcem. Nie słuchał mnie jednak. Jak zwykle słuchał tylko siebie.

- Ale kim pani dla niego była? Zawsze się nad tym zastanawiałem.

- Można powiedzieć, że koleżanką po fachu, która stała się przyjaciółką. Ja też jestem psychiatrą i niegdyś, kiedy wykonywał swój zawód, usłyszałam o jego dokonaniach. Wówczas skontaktowałam się z nim i poprosiłam o możliwość asystowania mu i uczenia się od niego. Od razu się zgodził, bardzo zadowolony, że on i jego metody budzą zainteresowanie. Trzeba przyznać, że twój ojciec był geniuszem, mimo swoich metod lekko... niekonwencjonalnych.

- Ale przyzna pani, że to szaleństwo - popychać swojego syna do samobójstwa tylko po to, żeby znaleźć się w pozycji tego, który ma kontrolę. Mogłem się przecież zabić albo znaleźć inny sposób niż ten, który próbował mi podsunąć.

- Nie. Byłeś nadzorowany z bliska...

Coś jednak nie dawało mi spokoju, gnębiło mnie, chociaż nie umiałem określić, co to takiego. Trwałem w tym dziwnym stanie przez chwilę, potem ovladnęły mną gwałtownie wspomnienia.

- Catherine... W dniu, kiedy spotkałem go po raz pierwszy na wieży Eiffla, byłem w

kiepskim stanie.

- Wiem.

- A Igor zachęcał mnie... abym skoczył. Przysięgam. Nadal słyszę, jak mówi: „No dalej, skacz!”.

Catherine uśmiechnęła się melancholijnie.

- A tak! To cały Igor! Wiedział o tobie i twojej osobowości wystarczająco dużo, aby być pewnym, że jeśli wyda ci rozkaz, będzie to najlepszy sposób powstrzymania cię przed skokiem.

- A gdyby się... pomylił? Podjął ogromne ryzyko!

- Widzisz, to dlatego nigdy nie będziemy tacy jak on. Całe życie podejmował ryzyko. Ale wiesz, twój ojciec znał ludzi lepiej niż oni sami. Miał instynkt. Wyczuwał, co im należy powiedzieć w danej chwili. I jeśli o to chodzi, nigdy się nie mylił.

Deszcz przestał padać. Ogród skąpany był teraz w jasnych promieniach słońca, które odbijały się od kropel na mokrych liściach. Delikatna bryza dotarła do nas przez otwarte okno.

Rozmawialiśmy o moim ojcu dość długo. W końcu podziękowałem Catherine za jej zwierzenia. Poinformowała mnie o dacie pogrzebu i pożegnałem się. Doszedłszy do drzwi salonu, zawahałem się i odwróciłem:

- Czy Igor dowiedział się o... wybraniu mnie na prezesa?

Podniosła wzrok i przytaknęła.

Nurtowało mnie jedno pytanie, ale wstydziłem się je zadać.

- Czy był... ze mnie... dumny?

Odwróciła głowę w kierunku okna i nie odzywała się przez chwilę, a potem odparła lekko zachrypniętym głosem:

- Przyszłam do niego tego samego wieczoru, kiedy Vladi mnie zawiadomił, że nie udaje mu się dodzwonić do Igora. Weszłam, a on siedział przy fortepianie. Był odwrócony do mnie tyłem, ale przestał grać, żeby mnie wysłuchać. Wiedział, dlaczego przyszłam. Poinformowałam go o twoim zwycięstwie. Przyjął tę wiadomość w ciszy, nie mówiąc ani słowa. Nie poruszył się. Po długiej chwili podeszłam do niego. - Catherine zrobiła pauzę. - Miał oczy pełne łez.

Są w życiu okresy obfitujące w emocje, kiedy nie umiemy tego wyjaśnić ani nadać temu szczególnego sensu. Moje ponowne spotkanie z Audrey wpisało się w ten trudny czas. To było wielkie szczęście znowu ją widzieć, zamknąć bolesny czas naszej rozłąki. Byłem

wniebowzięty, odkrywszy, że nadal mnie kocha. Czułem się lekki, szczęśliwy, niesiony przez uczucie. Znowu mogłem ją widzieć, dotykać, czuć, tulić. Przyrzekliśmy sobie, że już nigdy się nie rozstaniemy bez względu na to, co się wydarzy. Rozmawialiśmy o Igorze, oczywiście łącząc się w smutku, płacząc wspólnie. Opowiedziała mi o swoim spędzonym z nim dzieciństwie, a ja o naszej krótkiej, ale niezwykle intensywnej znajomości. Razem śmialiśmy się z moich obaw wobec niego, z zadań, jakie mi narzucił, z przygód, które się z tego zrodziły.

Pogrzeb odbył się na rosyjskim cmentarzu Sainte-Genève-des-Bois po mszy odprawionej w prawosławnym obrzędzie ortodoksyjnym w katedrze Saint-Aleksandre-Newsky.

Większość uczestników tej uroczystości nie знаła się nawzajem poza lokajami, stojącymi razem. Inni nie rozmawiali ze sobą. Przechadzali się ocienionymi alejkami cmentarza w oczekiwaniu na trumnę z ciałem. Najwięcej było kobiet, niektóre bardzo piękne, ubrane w żywe kolory.

Gdy przyjechała trumna, ludzie zebrali się w jednym miejscu. Niosło ją czterech mężczyzn w czerni, za którymi szedł Władimir, prowadząc na smyczy zadziwiająco spokojnego Stalina.

Poszliśmy za nimi w długim niemym pochodzie, w promieniach słońca, wśród zieleni tego pięknego i smutnego miejsca, ogromnego i pełnego spokoju, wysadzanego brzoźkami, świerkami i sosnami pachnącymi żywicą, których poskręcane pnie rysowały się na tle jasnego, błękitnego nieba.

Za zakrętem alejki poczułem ucisk w sercu. Przed nami stał fortepian. Siedział za nim młody człowiek o słowiańskich rysach i jasnyniecznych oczach. Zaczął grać, popłynęły kryształowe, melancholijne nuty. Tłum znieruchomiał, powalony wzruszającą chwilą. Audrey wtuliła się we mnie. Melodia stawała się coraz bardziej przesywająca, była tak piękna, że poruszała do głębi, prowadząc słuchaczy do królestwa uczuć - smutku i pojednania.

To ta melodia, rozpoznałbym ją wśród tysięcy innych. Mojemu ojcu w jego ostatniej podróży towarzyszył Rachmaninow. Nawet najbardziej niewzruszeni spośród nas nie mogli powstrzymać łez napływających do oczu.

Mijały miesiące. Pewnego zimowego poranka, gdy śnieg przykrywał ogród lekkim, miękkim płaszczykiem, a jego płatki zbierały się na długich majestatycznych gałęziach

wielkiego cedru, przeprowadziliśmy się do posiadłości mojego ojca. Było zimno, a powietrze pachniało tak wspaniale jak w górach.

Byłem podniecony na myśl o mieszkaniu w tak dużym i wygodnym domu. W pierwszym tygodniu zmienialiśmy sypialnię co noc, a posiłki jedliśmy w wielkim salonie albo w bibliotece, czasem we wspaniałej jadalni. Byliśmy jak para dzieciaków w pałacu pełnym zabawek. Codzienne prace wykonywali za nas pracownicy domu.

Po dwóch tygodniach nabraliśmy stałych zwyczajów. Nasze życie skupiło się stopniowo w dwóch pokojach i siłą rzeczy opuściliśmy pozostałe.

Przyjęliśmy kilkakrotnie znajomych Audrey, ale brakowało dobrej atmosfery. Mimo że my się nie zmieniliśmy, oni nie czuli się swobodnie w tym miejscu, które i na mnie przez długi czas wywierało wielkie wrażenie. Postrzegali nas inaczej, a rozmowom brakowało naturalności, ciepła, spontaniczności. Nasze relacje się wypaliły, stały się chłodne, pełne dystansu. Wiedzieli, że jesteśmy bogaci. Niektórzy nawet bez skrępowania prosili o wsparcie finansowe, którego nie umieliśmy odmówić. Po pewnym czasie staliśmy się bardziej ich bankowcami niż przyjaciółmi. Inni z kolei próbowali na siłę się z nami zaprzyjaźnić, ale czuliśmy, że powoduje nimi tylko chęć chwalenia się tym, że u nas bywają. Bogactwo przyciąga ludzi towarzyskich i szpanerów. Pomału zaczęliśmy się odcinać od ludzi, aż w końcu odseparowaliśmy się zupełnie.

Wszechobecność lokajów szybko zaczęła nam przeszkadzać w życiu prywatnym. W każdej chwili mogli się pojawić, psując prawdziwy odpoczynek. Zakłócali naszą intymność. Czuliśmy się obcy we własnym domu.

Po trzech miesiącach straciliśmy znaczną część radości życia, młodzieńczą naturalność. Sytuacja wymykała się nam spod kontroli. Byliśmy wobec niej kompletnie bezbronni.

Uświadomienie sobie naszej porażki popchnęło nas do działania. Próbowałem zrozumieć sens tego, co nas spotykało. Byłem przekonany, że nie stało się to przypadkiem. Przypadek... Nabrałem dystansu i zastanowiłem się, dlaczego nagle cały ten luksus sprawił, że moja egzystencja zmieniła się na gorsze. Być może życie chciało zweryfikować moje dążenia... Być może dałem się złapać w pułapkę, myśląc potrzebę rozwoju, jaką wszyscy odczuwamy, z chęcią wspięcia się po drabinie społecznej. Czyż prawdziwy rozwój nie dokonuje się w nas samych? Tylko zmieniając siebie, można stać się szczęśliwym, a nie poprzez zmienianie tego, co nas otacza.

W przypiływie zbawiennej mądrości podjęliśmy decyzję, że pozbedziemy się przygniatającego ciężaru. Sprzedaliśmy posiadłość, a pieniądze daliśmy lokajom. Zasłużyli na

nie, lojalnie służąc mojemu ojcu przez całe życie. Matka Audrey, która rok wcześniej przeszła na emeryturę, też dostała swoją część. Vladi, który zatrzymał Stalina, otrzymał również mercedesa, z którym nie mieliśmy co zrobić. Piękne samochody powodują zazdrość małych ludzi, pogardę intelektualistów i litość dusz przebudzonych. Same negatywy. Restaurację Jules Verne przekazałem organizacji Restos du Coeur dożywającej biedaków, bardzo rozbawiony myślą o tym, jak kloszardzi będą wjeżdżać na szczyt wieży Eiffla, żeby zjeść posiłek.

Następnie Audrey i ja zadzwoniliśmy do madame Blan-chard, trzymając kciuki. Podskoczyliśmy z radości, gdy powiedziała, że nie wynajęła jeszcze mojego dawnego mieszkania, podejrzewając, że potencjalni lokatorzy, z którymi dotąd rozmawiała, będą hałaśliwi!

Wprowadziliśmy się pewnej pięknej kwietniowej soboty, zabierając jedynie to, czego potrzebowaliśmy do szczęścia. Gdy tylko wnieśliśmy kartony, Audrey otworzyła szeroko okno i rozsypała na parapecie okruchy. Do mieszkania wpadły napawające radością promienie słoneczne, a paryskie wróbelki nie zwlekały z ucztą, popiskując cicho.

Tego samego wieczoru madame Blanchard zorganizowała na podwórzu podwieczorek, żeby uczcić nasz powrót. Coś się w niej zmieniło, ale nie umiałem określić co. Na starym stole rozłożyła biały obrus i ustawiła na nim kisze oraz ciasta, które cały dzień przygotowywała, wypełniając dom smakowitymi aromatami. Zaprosiła wszystkich sąsiadów, zadowolonych, że mogą cieszyć się jednym z pierwszych ciepłych wiosennych wieczorów, i ku mojemu wielkiemu zdziwieniu poszła po... Etienne'a. Rzucił się na jedzenie i ogłosił przetarg na butelkę wina reńskiego, której przez cały wieczór już nie wypuścił z rąk. Stary magnetofon na baterie odtwarzał niemodne już, ale bardzo wesołe francuskie piosenki, w rytm których podskakiwaliśmy, żartując. Bez troska i miła atmosfera wróciły.

Kilkakrotnie w trakcie wieczoru obserwowałem madame Blanchard i zastanawiałem się, co się w niej zmieniło. Była już prawie północ, kiedy przyszła odpowiedź - zrezygnowała z czerni i założyła ładną sukienkę w kwiatki. Czasem największe znaczenie ma to, co umyka niezauważone.